

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne

Pro Libris

HARMONIA

Nr 1-4(58-61) Zielona Góra 2017 ISSN 1642-5995 Nr indeksu 370754

Eseje Wiersze Proza Szkice krytyczne Sztuka

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne

Pro Libris

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne Pro Libris nr 1-4 (58-61)/2017

Prace plastyczne wykorzystane w numerze
Stanisław Ożóg

© Copyright by Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. C. Norwida, Zielona Góra 2017

Redaktor naczelny
Andrzej Buck

Layout
Magdalena Gryska

Sekretarz redakcji
Ewa Mielczarek

Korekta
Joanna Wawryk

Stale współpracują:
Joanna Kapica-Curzytek, Małgorzata Mikołajczak, Robert Rudiak, Czesław Sobkowiak, Mirosława Szott

Fotografie:
Archiwum WiMBP im. C. Norwida, Bogdan Bloch, Paweł Broł, Janusz Łastowiecki, Aneta Michałowska,
Marek Mizera, Mirosława Szott

Wydawca
Pro Libris – Wydawnictwo Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Cypriana Norwida,
al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra

Skład komputerowy i opracowanie graficzne numeru
Firma Reklamowa GRAF MEDIA, tel. 68 451 72 78

Druk i oprawa
Mazowieckie Centrum Poligrafii

Nakład – 250 egz.

ISSN 1642-5995

Nr indeksu 370754

Adres redakcji:
WiMBP im. C. Norwida w Zielonej Górze, al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra (z dopiskiem Pro Libris);
e-mail: prolibris@wimbp.zgora.pl, www.wimbp.zgora.pl, www.prolibris.net.pl

Od redakcji

Listopad, przedzimy, coraz mniej światła, poczucie schyłkowości, łatwo ulec depresyjnym nastrojom. Spróbujmy uniknąć niepożądanych skutków nadchodzącej zimy, stosując najlepszą z metod – czytamy! Metoda doskonała: tania, kształcąca, relaksująca, odskocznia od codzienności, sprawdzająca się w każdych warunkach. „Pro Libris” w dużej mierze spełnia tę terapeutyczną funkcję, oferując bogaty zestaw tekstów, tematów, doznań estetycznych.

Numer, który trzymają Państwo w rękach, rozpoczyna obszerny wywiad z Elisabeth Herrmann, niemiecką autorką poczytnych kryminałów, gościem VII Festiwalu Literackiego „Proza Poetów” im. A. Tokarskiej aktualnie trwającego w Zielonej Górze, którego szczegółowy harmonogram zamieszczono na końcu czasopisma. Również w formie wywiadu – o środowisku literackim Gorzowa i Zielonej Góry wypowiada się Krystyna Kamińska, dziennikarka, regionalistka, autorka książek z dziedziny kultury i sztuki. Polecamy teksty opowiadań autorów znanych już naszym Czytelnikom (Zofia Mąkosa, Marcin Radwański, Anna Kokot czy Adam Bolesław Wierzbicki) oraz twórców debiutujących na łamach „Pro Libris” (Roksana Polon, Aleksandra Mazur, Agnieszka Góra-Stępień, Stanisław Szulist, Daria Wolanin).

Polecamy Państwa uwadze tekst dr. Roberta Rudiaka o niedawno zmarłym Januszu Koniuszu – pisarzu, poecie, publicyście, działaczu kulturalnym, prawdziwym humaniście. W podobnie

pożegnalnym tekście Eugeniusz Kurzawa uczcił sylwetkę Jana Kurowickiego – filozofa, krytyka literackiego, poety, eseisty i prozaika, profesora nauk humanistycznych.

Kontynuując dział EKSLIBRIS w PRO LIBRIS, prezentujemy kolejne cudeńka graficzne Agaty Buchalik-Drzyzgi, opatrzone jej autorskimi komentarzami. Z kolei od niedawna wprowadzony cykl KOLEKCJONER LUBUSKI tym razem przybliży sylwetkę Marka Mizery, fotografa, zbieracza aparatów fotograficznych.

Rekomendujemy ponadto recenzje i omówienia książek nadesłanych do redakcji. Polecamy również szczególnej uwadze prace plastyczne umieszczone w numerze. Dzięki przychylności Stanisława Ożoga możemy podziwiać talent tego wybitnego artysty zainspirowanego twórczością Leśmiana i Schulza.

Teksty prozatorskie uzupełniają utwory liryczne autorstwa Justyny Koronkiewicz, Renaty Diaków, Władysława Łazuki, Czesława Sobkowiaka, Elżbiety Mikoś, Ewy Kuberskiej, Klaudii Małagockiej oraz Jacka Katosy Katarzyńskiego (tomik tego ostatniego ukaże się lada chwila w wydawnictwie Pro Libris jako wydarzenie w ramach obchodów *100 lat awangardy w Polsce*).

Przypominamy także młodym poetom o Konkursie DEBIUT POETYCKI PRO LIBRIS, którego regulamin umieszczamy na końcu numeru.

Zapraszamy do czytania.

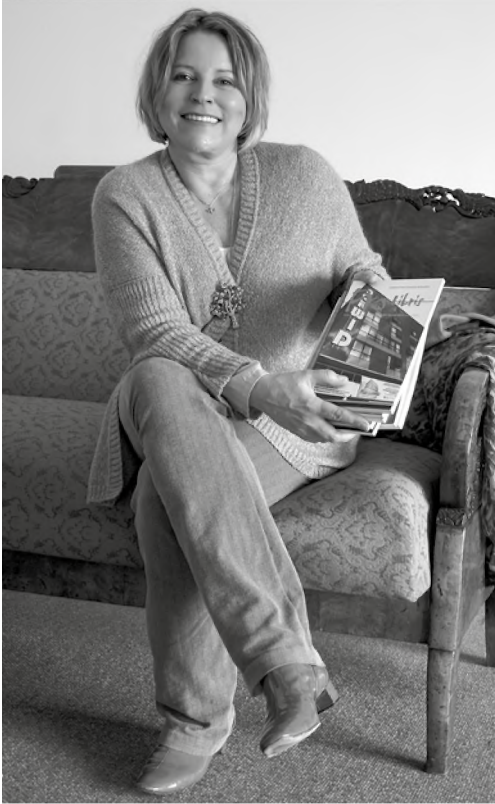
Spis treści

„Najtrudniejsze jest stworzenie konstrukcji historii” Rozmowę z Elisabeth Herrmann przeprowadziła Alina Polak-Woźniak	6
Justyna Koronkiewicz , Wiersze [Terra indigena, Lipcowe upały, Proste drogi, Cykle]	9
Zofia Mąkosa , Mój Mount Everest	13
Władysław Łazuka , Wiersze [*** Przemierzałem pagórki..., Październik, *** Z mgły..., Podążaj]	17
Roksana Polon , Gierle. Czytanie zdjęć	21
Ewa Kuberska , Wiersze [Nie chciałam, Kiedyś wrócimy do...]	24
Anna Kokot , Apertura wciąż patrzy	26
Klaudia Małagocka , Wiersze [Schizein, Rosa, Cytryniarka, Rok nieprzystępny]	33
Adam Bolesław Wierzbicki , Wyprawa na koniec świata	37
Renata Diaków , Wiersze [Nie mam szalika, Dzikie ptaki, Zmartwychwstanie, Smak samotności]	39
Daria Wolanin , Wielkie otwarcie	43
Marcin Radwański , Nieznajoma dziewczyna	44
Jacek Katos Katarzyński , Wiersze [Czuwanie, Kocham cię tak jak potrafię]	47
Krzysztof Martwicki , W drodze na Dalnię. 1945	49
Elżbieta Mikoś , Wiersze [Kobieta, Koncert, Wiersz, Jeszcze nie]	52
Aleksandra Mazur , A twarz miał anioła	56
Věra Kopecká , Wiersze [Czwarty wymiar, Rozstanie, Cień, Fale]	62
Agnieszka Góra-Stępień , Rower dla syna	65
Czesław Sobkowiak , Wiersz [*** Po jakiej stronie...]	75
Stanisław Szulist , W drodze do piekła	76
ZBLIŻENIA	
Bogumiła Różewicz , Wiersz [*** Zamknięta ostatnia kartka]	86
Robert Rudiak , Janusz Koniusz (1934-2017). Wspomnienie o pisarzu – prywatnie i literacko	87
Eugeniusz Kurzawa , Filozof w głębi pokoju	92
„Po prostu przyjemność bycia razem”. Rozmowę z Krystyną Kamińską przeprowadziła Mirosława Szott	94
Marlena Berdys , Sprawozdanie z konferencji „Wartości językowe i kulturowe obecne w czasopiśmiennictwie polskim do roku 1989”	98
Mirosława Szott , Projekt Garbowski	100
Adrianna Machalica, Natalia Szymańska , Kresowianin na Ziemi Lubuskiej	101
Robert Rudiak , Początki baśni lubuskiej (cz. 1)	106
Robert Rudiak , II Zielonogórski Slam Poetycki 2017	111
Robert Rudiak , Stanisława Plewińska (1925-2017)	118
Czesław Sobkowiak , Na pożegnanie Elżbiety Mikoś	120
EKSLIBRIS W PRO LIBRIS	
Z teki Agaty Buchalik-Drzyzgi	122
PREZENTACJE	
Stanisław Ożóg	124
KOLEKCJONER LUBUSKI	
„Wciśnięcie spustu migawki to nie wszystko”. Rozmowę z Markiem Mizera przeprowadziła Ewa Mielczarek	125
VARIA	
Joanna Kapica-Curzytek , Karl Max i Mechtild Lichnowsky: obywatele Europy	129
Agnieszka Dylewska , Eberhard Hilscher	132

Wojciech Śmigieński , Wojciech Młynarski – prześmiewca uparty, czyli o piosenkach do czytania, a nie słuchania	142
Halina Bohuta-Stapel , Czy łatwo zostać szczęśliwym Duńczykiem? Czy hygge to polska bajka?	144
RECENZJE I OMÓWIENIA	
Żywa lekcja historii	
Katarina Bader, <i>Życie po ocaleniu. Testament Jurka</i> (Joanna Kapica-Curzytek)	149
Oszczędność środków wyrazu	
Bogumiła Różewicz, <i>Błękitne zamyslenie</i> (Elżbieta Brygida Kościucha-Wieczorek)	150
Książka o bibliotece na „Przystanku Historia”	
Daniel Koteluk, <i>„Papierowa propaganda” w bibliotece w osadzie wiejskiej Czerwieńsk w powiecie zielonogórskim od 1949 do 1956 roku</i> (Daniel Koteluk)	151
Temat na pożegnanie	
Umberto Eco, <i>Temat na pierwszą stronę</i> (Piotr Fudali)	152
Wiersze poety z łasku	
Jerzy Szewczyk, <i>Między pamięcią a zapomnieniem</i> (Krystyna Kosierb)	153
Poważnie i z przymrużeniem oka o Polsce i Polakach	
Matthias Kneip, <i>111 powodów aby kochać Polskę... Wyznanie miłosne do najpiękniejszego kraju na świecie</i> (Barbara Krzeszewska-Zmyślony)	154
Pod podszewką świata	
Robert Rudiak, <i>Umieralnia</i> (Elżbieta Musiał)	155
Powrót redaktora Sokoła	
Krzysztof Koziołek, <i>Operacja Aksamit</i> (Alfred Siatecki)	157
Reality show z piekła	
Przemysław Piotrowski, <i>Droga do piekła</i> (Alfred Siatecki)	158
Kulinarium Waśkiewicza	
Andrzej Krzysztof Waśkiewicz, <i>Jedzenie jest niezdrowe. Ale przyjemne...</i> (Czesław Sobkowiak)	159
Mortui viventes obligant. Człowiek wobec zła	
Dariusz Czaja, <i>Lekcje ciemności</i> (Anna Piliszewska)	161
Piórem po kartce i słowem po niebie	
<i>Pióro na niebie. Antologia wierszy członków Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów na 20-lecie Stowarzyszenia</i> (Robert Rudiak)	165
Poeci dla pokoju	
<i>Zieleni się drzewo pokoju. Poezja europejska w intencji powszechnej zgody</i> (Robert Rudiak)	167
<i>To jedno</i> – biograficzno-poetycka opowieść o Dorze Maar	
Elżbieta Musiał, <i>To jedno</i> (Robert Rudiak)	169
Kryminały z duszą	
Elisabeth Herrmann, <i>Wioska morderców, Śnieżny wędrowiec</i> (Agnieszka Ginko-Humphries)	172
KSIĄŻKI NADEŚLANE	175
AUTORZY NUMERU	177
VII Festiwal Literacki im. Anny Tokarskiej PROZA POETÓW	182
V KONKURS „Debiut Poetycki Pro Libris”, REGULAMIN	185

Najtrudniejsze jest stworzenie konstrukcji historii

Rozmowę z Elisabeth Herrmann przeprowadziła Alina Polak-Woźniak



Literatura kryminalna przez znawców jest dzielona na mnóstwo rodzajów. Wielu twórców tego gatunku skupia się dziś na opisie tła społecznego. Wątek kryminalny stanowi jedynie pretekst. W Pani książkach tak nie jest – fabuła, element zaskoczenia są bardzo ważne. W jaki sposób chciałaby Pani zakwalifikować swoją twórczość?

Chciałabym określić ją jako... snucie opowieści. Wciągających, zapierających dech w piersiach opowieści z bohaterami, których się kocha albo nienawidzi; dziejących się w fascynującej scenerii, mających korzenie w historii współczesnej. Mam nadzieję, że to działa. Dla mnie fabuła jest najważniejszą częścią moich książek. Nie jestem „rozpruwaczem”, nie interesują mnie brutalne morderstwa. Zbrodnia ma zazwyczaj miejsce, gdy już coś pójdzie naprawdę nie tak. Dlaczego? Na to ekscytujące pytanie muszą odpowiedzieć moi bohaterowie.

Czy zna Pani polskich autorów kryminałów i ich dzieła? Jeżeli tak, to czy zauważyła Pani jakiś wpływ swojej twórczości na polską literaturę kryminalną? I odwrotnie, jakie wpływy polskiej literatury kryminalnej można znaleźć u Pani?

Wśród facebookowych znajomych mam Katarzynę Puzyńską, która jest bardzo aktywna i kiedyś poleciła jedną z moich książek. Ale żeby czytać jej posty, potrzebuję tłumacza Google. W środowisku pisarzy powieści kryminalnych dobrze znana jest Katarzyna Bonda. Jej książka *Das Mädchen aus dem Norden* [w Polsce ukazała się pod tytułem *Pochłaniacz – A.P.-W.*] odniosła w Niemczech wielki sukces. Wiem, że Katarzyna też była kiedyś dziennikarką, zresztą dziennikarze często piszą kryminały. Nie znam polskich autorów aż tak dobrze, żeby mieli oni wpływ na moją twórczość, ani żebym mogła się spodziewać, że to, co piszę, inspirowane jest w jakiś sposób. Staram się wypracować swój własny styl, jak każdy pisarz w każdym kraju. Wyjątkiem są, jak je nazywam, „covery”, czyli historie powielające motywy znane z bestsellerów. Przykładowo, w wielu kryminałach odnajduję Hanni-

bala Lectera, często też wykorzystywany jest wątek sadystycznej zbrodni, zazwyczaj na młodej kobiecie. Tego typu twórczość budzi u mnie niesmak.

Wspomniana już Katarzyna Bonda wiele czasu poświęca na zbieranie materiałów (tzw. research). Jak twierdzi, po solidnym researchu książka pisze się sama. Jak ta kwestia wygląda u Pani?

Och, rozumiem, o co jej chodzi, jednak pisanie książki to ciężka praca wymagająca zdyscyplinowania. Z drugiej strony, przygotowanie się za pomocą dobrego researchu pozwala się wpasować w scenę, tak jakby się tam było. Dla mnie najtrudniejsze jest stworzenie konstrukcji historii. Wymyślanie zwrotów akcji zabiera dużo czasu, to jak gra w szachy z samym sobą. W czasie procesu twórczego również wychodzi, gdzie i co muszę jeszcze zbadać. Te dwa kroki są często ze sobą powiązane. Porządny research wzbogaca moją wypowiedź. Ale to zdarza się często, także gdy zrobię sobie listę rzeczy, które muszę sprawdzić, kiedy tworzę fabułę. Samo pisanie trwa około pół roku. Przygotowania często zabierają tyle samo czasu. Jednak bycie dobrze przygotowanym jest oczywiście sekretem stworzenia barwnej, żywej historii.

Ma Pani jakieś pisarskie rytuały? Ulubione miejsce do pisania, porę dnia?

Piszę w tzw. komnacie pokojówek – nie jest to pokój, tylko mała komórka, która znajduje się w moim mieszkaniu, i w której kiedyś zamieszkiwały biedne pokojówki, a teraz w takich trzyma się szcztotki. Pomieszczenie jest ekstremalnie małe, ale z widokiem na podwórze za domem. Nie lubię pracować w kuchni, salonie czy sypialni. Nie mam rytuałów. W lecie uwielbiam jeździć do domu moich przyjaciół na południu Francji, gdzie mogę pisać w absolutnym spokoju. Jeśli tworzę książkę, potrzebuję koncentracji, jeśli scenariusz – mogę pracować w hotelu, na lotnisku czy nawet w pociągu.

Przez długi czas pracowała Pani jako dziennikarka, zajmowała się Pani sprawami kryminalnymi oraz osadzonymi w trudnej historii II wojny światowej i w okresie powojennym. Czy

ta praca w jakiś sposób wpłynęła na Pani karierę pisarską?

Tak, oczywiście. Nauczyłam się, jak zrobić odpowiedni research i prosić ludzi o pomoc we właściwy sposób – uprzejmie, ale bez zbędnej nieśmiałości. Żeby zdobyć informację, niekiedy trzeba naciskać, ale tak, żeby kogoś nie przestraszyć. Są delikatne tematy wymagające ostrożnego podejścia. Przykładowo, na potrzeby książki *Das Kindermädchen* [w Polsce ukazała się pod tytułem *Opiekunka do dzieci* – A.P.-W.] rozmawiałam z robotnicami przymusowymi z czasów II wojny światowej. Z dziś już dojrzałymi osobami, które dorastały w sierocińcach w NRD, przeprowadziłam wywiad, by napisać powieść *Zeugin der Toten* [w Polsce jeszcze nieopublikowaną – A.P.-W.]. Prowadzenie researchu to słuchanie, niekiedy przez długi czas, bywa, że nieco już wyblakłych wspomnień. Ale dla mnie to bardzo istotne i jestem bardzo szczęśliwa, że mam w tym zawodowe doświadczenie. To wielka nagroda, gdy ludzie otwierają się przede mną i dają mi swoje historie niczym cenny dar, którego muszę strzec.

Obecnie dużo mówi się o stosunkach polsko-niemieckich, które od dwóch lat mocno się ostabiają. Czy w Pani życiu i twórczości stosunki polsko-niemieckie odegrały jakąś rolę? Jeżeli tak, to w jaki sposób one się przedstawiały?

Hmm... Tak... Miałam kiedyś polsko-niemieckie stosunki [uśmiech], ale to sprawa prywatna... Bardzo, bardzo kocham Polskę. To kraj sąsiadujący z moim, pierwszy raz przyjechałam tu we wczesnych latach dziewięćdziesiątych. Unia Europejska dla mnie to przekraczanie mostu między Frankfurtem a Słubicami. To magia! Nasza przyszłość! Bardzo mi przykro, że po obu stronach granicy istnieją osoby, które chcą to zniszczyć. W kontekście mojej pracy doświadczenia związane z Polską były pełne wzajemnego szacunku, otrzymałam też wiele pomocy. Akcją powieści *Versunkene Gräber* [nie było jeszcze jej polskiego wydania – A.P.-W.] osadziłam w okolicach Zielonej Góry. To było wspaniałe doświadczenie spotkać mieszkańców tego regionu, poznać dzieje ich życia, zdobywać informacje. W moim życiu prywatnym Polska to miejsce, gdzie zawsze czuję się zycielwie

przyjęta i bezpieczna. Uwielbiam Wybrzeże, często tam jeżdżę i Kocham krajobraz Ziemi Lubuskiej.

Książka *Versunkene Gräber* ukazała się w Niemczech w 2013 r. Zbierała Pani do niej materiały m.in. w Zielonej Górze i Witnicy. Czy mogłaby Pani zdradzić zielonogórzanom i w ogóle Lubuszanom coś więcej na temat tej powieści, zanim zostanie wydana w polskim przekładzie?

Chciałam się dowiedzieć, dlaczego Polacy i Niemcy nie lubią się wzajemnie. Między nami panuje wiele uprzedzeń, które mają swoje korzenie w ostatnich stu latach historii. Piszę powieści kryminalne, nie jestem historykiem, dlatego moim zamiarem było stworzenie książki, której tłem będą wydarzenia z grudnia 1945 r., ale akcja powinna dziać się współcześnie. Do mojego „bohatera”, berlińskiego prawnika Joachima Vernaua, zwraca się z prośbą o pomoc bliski przyjaciel Jazek, oskarżony o morderstwo w Poznaniu. Jazek mieszka z ojcem w winnicy niedaleko Cigacic, która wcześniej była w posiadaniu Niemców. W miejscu tym kryje się coś tak tajemniczego i pociągającego, że można dla tego zabić... Vernau wyciąga przyjaciela z aresztu, a morderca działa dalej. Co przydarzyło się w styczniu 1945 r. ojcu Jazka, wówczas dziewięcioletniego chłopca? Co zostało ukryte w jaskiniach? I dlaczego stare listy nigdy nie zostały dostarczone do adresata, ale schowane w szafie przez Magdę, która podczas wojny była służącą w domu w winnicy. Jazek i Vernau nie tylko rozwiążą zagadkę kryminalną, ale dowiedzą się także, że niektóre rany z czasów wojny nie zabiły się po dziś dzień.

W obydwu książkach z cyklu o Saneli Bearze części akcji dzieje się na Łużycach. Dlaczego inspirowała Panią akurat te tereny?

Gdy pracowałam jako dziennikarka telewizyjna, odwiedziłam prawie każdą wioskę w tym regionie. Ciągłe zachodzą tam zmiany – młodzi ludzie przenoszą się do większych miast i pustoszą całe obszary, na które powracają wilki. To dziki, odludny teren. Uwielbiam to. Doskonałe miejsce dla osadzenia akcji kryminału!

W 2015 r. powstał film telewizyjny *Wioska morderców* z Aliną Levshin w roli głównej. Czy w scenariuszu do filmu udało się zawrzeć wszystkie wątki z książki, czy jednak różni się on znacząco? Czy miała Pani wpływ na obsadę aktorów? Przyznam, że inaczej wyobrażałam sobie Sanelę i Lutza niż ich filmowe odpowiedniki.

Cały film rozminął się z moimi wyobrażeniami. Nie potrafię tego skomentować. Straciłam go. Mój wpływ na produkcję skończył się cztery dni przed początkiem zdjęć, po prostu zostałam zwolniona przez reżysera. On miał swój scenariusz i swoje pomysły. Czasem tak się dzieje. Musisz się pożegnać z własną historią i dalej sobie nią głowy nie zawracać (choć ja sobie zawracałam bardzo!). Zazwyczaj gdy piszę scenariusz, charakterystyczne zwroty z dialogów czy cechy bohaterów są nadal w filmie rozpoznawalne. *Vernau* – cztery filmy o Joachimie, berlińskim prawniku – są wspaniałe! Następny, *Schattengrund*, z Josephine Preuss jako Nico, będzie cudowny! Przede wszystkim dlatego, że Kocham tam każdą scenę, każde zdanie dialogu. One aż iskrzą – i to jest to, czego chciałam. Film musi być błyskotliwy, podobnie jak książka, w ekranizacji *Wioski morderców* ten polot, to iskrzenie gdzieś zniknęły. Dla mnie. Może nie dla widzów i oczywiście reżysera.

W jednym z wywiadów powiedziała Pani, iż często odwiedza Polskę. Które miejsce upodobała Pani sobie najbardziej?

Jak już wcześniej wspomniałam, Wybrzeże, Międzyzdroje, a ponadto rejony Gorzowa Wlkp. i Gdańsk. Ale chcę zobaczyć więcej miejsc!!!

Wiem też, że lubi Pani nasze lubuskie wina. A które Pani najbardziej zasmakowało?

Najbardziej odpowiadają mi białe wina z małych wytwórni. Świetna jest Stara Winna Góra w Górzycowie koło Cigacic oraz Cantina Mariusza Pacholaka. Robią tam znakomite białe wina z owocową nutą. Polecam odwiedzić te winnice i spróbować samemu!

Bardzo dziękuję za rozmowę i czekam z niecierpliwością na polskie wydanie *Versunkene Gräber*.

Terra indigena

Powoli odlatują bociany. Odliczamy dni do końca lata.
W myślach przeciąg. Daty, obrazy. Fragmenty historii z różnych części świata.
Na języku obco brzmiące słowa, smaki, baśnie tysiąca i jednej nocy.
Pomiędzy widokówką z „Beautiful Glencolmcille” a listem z Australii
układam bukiety. Suszę dziurawiec. Kartki ode mnie pachną kawą i miętą.
Szumią jak drzewa w pobliskim lesie.

Ten fragment świata to odsłonięte skały, płaskie szczyty, za którymi
słońce zachodzi coraz wcześniej. Na drugiej półkuli odwrotnie.
Noce coraz krótsze. Cieplesze ranki. Mogłabym się skusić na ofertę
wakacji w tropikach, ale kocham tutejsze góry. Pasma w dorzeczu Włodzicy
i Ścinawki. Widok na Śnieżnik. Kruche piaskowce i wapienie. Muflony.

Pełna jestem ścieżek, potoków, górskich polan. Kartek czerpanych
z celulozowych włókien. Rzadko opuszczam granice lasu. Nawet jeśli
kuszą i wołają mnie rozgrzane pustynie, oceany
czy urokliwe uliczki na Montmartre.

Lipcowe upały

Czuję ulgę, kiedy w połowie drogi między ranem a południem przynosisz deszcz. Zimne krople ściekają z palców. Kładziesz kostki lodu na moim brzuchu i patrzysz, jak zaciskam palce, przygryzam usta z rozkoszy. Niebo jest bezchmurne, pluje żarem. W twoim spojrzeniu wyczuwam narastającą burzę.

Schodzimy głębiej, w chłód ziemi. Przyciąga nas cień, miękkość traw, zapach lubczyku. Zanim wyschną we mnie rzeki, policzysz wszystkie uderzenia serca, przyspieszone oddechy, wyładowania na skórze. Czujesz, jak drżą nam mięśnie? Jak krzyk szuka ujścia między spierzchniętymi wargami?

W zakamarkach ciała odkrywam wulkany, gorące źródła, falujące pustynie. Błogosławię twój język. Wilgoć jaką wlewasz we mnie. Chłód dłoni, którymi przytulasz moje nabrzmiące od słońca piersi.

Proste drogi

Zaczynam dzień od chleba, powszednich modlitw do drzew.
Zasłuchana w szmer wody daję się głaskać zimnym falom.
Chłód wchodzi w żyły. Zostawia ślady na skórze.
Między tyczkami tataraku niebieska ważka. Przecina skrzydłami ciszę.

Ze szczelin w ziemi wypełzają zaskrońce.
Szukają kamieni, ciepłych miejsc. Zwijają ciała w srebrne zygzaki.
Obserwuję ich podróż przez trawy. Bezszelestne wychodzenie z cienia.
Płynę razem z nimi w stronę łąki. W odorzające zapachy. Zioła, kwiaty,
słoneczne plamy, barwiące skórę pyłki.

Tak chcę się zestarzeć. Pośród mchów i liści. Z sercem otwartym dla ptaków,
z dziecięcym zachwytem w oczach i przekonaniem,
że do szczęścia wystarczy trochę szeptów i zaklęć. Zielony kamyczek w ręce
i ścieżka przez las.

Cykle

Nabieram powietrza. Zanurzam ciało w rzece. Woda zmywa ze mnie sól,
krew miesięczną. Wypłukuje pestki. Puste oddaję ziemi. Wpadają w szczeliny,
przechodzą w inny wymiar. Ze wszystkich nasion tylko dwa puściły pędy.
Rozrosły się we mnie. Nocami drzę na myśl o ich odważnych
wędrówkach ku słońcu.

Z przeszłości pamiętam tylko to, co dotknęło. Zielony kamień na brzuchu.
Ocean. Ostatnie spojrzenie mamy. Najmocniej odczuwam tu i teraz.
Zapach truskawek, kolor lipowego miodu. Drażliwość podbrzusza i piersi.

Nie zastanawiam się, ile razy wzeszło dla mnie słońce,
czy doczekam kolejnej pełni. Jest lipiec, kwitną malwy i lawenda.
Gniazda roją się od piskląt. Rzeczy wielkie dzieją się tuż obok.
We mnie i poza mną. Wczoraj oźrebiła się klacz u sąsiadów.
Za miesiąc wychodzę za mąż. Zaraz potem jesień. Nowy rok.
Powtarzający się krąg czasu.

Mój Mount Everest

Pewnego dnia postanowiłam zdobyć Mount Everest. Nie było mi to niezbędne do życia, bo dotąd jakoś dawałam sobie radę. Jednak podkuśiło mnie, żeby zrobić właśnie to, a nie coś odrobinę łatwiejszego. Co mi wtedy przyszło do głowy? Nie wiem i do tej pory się zastanawiam.

Dzień 1

Na Mount Everest nie wchodzi się bez przygotowania. Trzeba zdobyć umiejętności teoretyczne i praktyczne. Zapisalam się na kurs. Siedzę więc wśród innych osób i wodzę wzrokiem po nieznanym twarzach. Prawie wszyscy są ze trzy razy młodszy ode mnie. Nie, pod ścianą siedzi drobna blondynka. Na pewno jest po czterdziestce. Wygląda na zdenerwowaną. Przypuszczam, że czuje się trochę lepiej niż ja. Widzi przecież mnie – starszą od niej o dobrych parę lat. Co myślą o mnie ci młodzi ludzie? Że zwiariowałam na starość? Nie byłoby nic dziwnego w tej ocenie. Sama siebie o to podejrzewam.

Zaczyna się. Najpierw formalności, harmonogram zajęć, a potem wykład, slajdy, wyjaśnienia i tak przez kilka godzin. Po ostatnich słowach wymyklam się ukradkiem. Czuję się tu obco. Zupełnie nie na miejscu. Ale jakoś to przetrwam.

Dni 2, 3, 4 i 5

Ciągłe trwa szkolenie teoretyczne. Muszę przyznać, że prowadzący to prawdziwy fachowiec. Mówi ciekawie. Widać, że zależy mu na tym, by dobrze nas przygotować. Mimo to momentami prawie zasypiam, od siedzenia boli kręgosłup i puchną nogi. Na krótkich przerwach tworzą się grupki koleżeńskie. Młodzi rozmawiają o szkole, osiemnastkach, niektórzy palą papierosy na zewnątrz. Z nikim nie nawiązuję bliższego kontaktu. Nie staram się. W końcu oni będą wchodzić tylko na Śnieżkę.

Dzień 6

Skończyłam przygotowanie teoretyczne. Czas na praktykę. Jest szósta rano. Idę na spotkanie z moim przewodnikiem. Po głowie krąży nazwisko usłyszane w telefonie. Chyba je znam. Może nawet spotkałam go kiedyś?

Czeka na mnie obok samochodu. Tak, na pewno gdzieś go widziałam. Wyciąga rękę, przedstawia się i pyta: – Czy pani mnie pamięta? Uczyła mnie pani.

Zaskoczona staram się odnaleźć w twarzy młodego mężczyzny rysy dziecka. Gdzieś z głębi umysłu wydobywa się obraz – chłopiec w sportowym ubraniu, miły i grzeczny. Niestety, nic więcej.

– Zwykle zapamiętuje się osoby charakterystyczne, wybitnych uczniów albo urwisów – tłumaczę się. Tak naprawdę trochę mi wstyd, bo każdy zasługuje na pamięć.

– Ruszamy – mówi, wskazując fotel kierowcy.

– Jak to? – wpadam w popłoch. – Myślałam, że na pierwszym spotkaniu zobaczę, co samochód ma pod maską! Nigdzie nie pojedę! Nie mam o tym pojęcia! Nie jestem gotowa, panie Piotrze.

Mówię do niego pan. Prawie zawsze tak robię wobec byłych uczniów. Chcę w ten sposób podkreślić, że zdają sobie sprawę, że są dorośli. Zwykle wtedy proszą, by mówić im po imieniu. W tym wypadku forma pan jest właściwsza. Pozwala mi pamiętać, kto teraz jest uczniem, a kto nauczycielem.

– Ruszamy – powtarza zdecydowanie. – Proszę się niczego nie bać. Wszystkiego panią nauczę.

No cóż, chyba nie ma wyjścia. Cierpliwie wykonuję polecenia. Robię to niezręcznie i nieumiejętnie. Staram się przy tym nieustannie żartować. Nie chcę, by wiedział, że boję się bardziej, niż się do tego przyznaję.

Ruszam. Naprawdę! Co chwila zbaczam z drogi i uciekam do rowu, chcąc ustąpić miejsca wszystkim jadącym z przeciwka.

– Proszę tak nie robić! Niech pani porusza się prawą stroną i nie ucieka!

Przed sobą widzę dwie postacie idące prawym poboczem. Poznają! To gimnazjaliści, z którymi mam dzisiaj zajęcia. Biedne dzieci idą na szkolny autobus i nie wiedzą, co im grozi! Wyprzedzając ich, prawie zjeżdżam do rowu, ale tego z lewej strony jezdni. Jadąc dalej, widzę następnych uczniów czekających na przystanku. Jak na złość wszyscy zaglądnę ciekawie do wnętrza elki. Czyżby tamci dwaj dali już znać, kto jedzie całą szerokością ulicy?

Mijają dwie godziny. Wsiadam przed domem na miękkich nogach. Jestem spocona i zdenerwowana. Jutro to samo. Od nowa. Co ja narobiłam!

Dni kolejne

Jest coraz gorzej. Zdobywanie Mount Everestu okazało się trudniejsze, niż przypuszczałam. Brak mi kondycji, wiedzy i odporności psychicznej. Wciąż coś źle robię. Nie mogę zapamiętać i skoordynować czynności, które pozwolą mi bezpiecznie i sprawnie poruszać się po szlaku. Widzę, że młodzież z mojego kursu jest już prawie gotowa, by zdobyć swoją górę, a ja ciągle drepczę u podnóża. Zadzieram głowę i nie widzę wierzchołka. Tonie w chmurach, nieprzyjazny i niedostępny.

Nocami leżę skulona w pozycji embrionalnej. Nie śpię. Pod zamkniętymi powiekami widzę zbliżające się skrzyżowania, światła, ronda i samochody. Za oknem słyszę silnik jakiegoś auta. Kulę się jeszcze bardziej. Strach ściska gardło i żołądek. Jutro znowu jazda. Nienawidzę tego! Gdybym mogła cofnąć czas i odwołać moje postanowienie albo wcale go nie wypowiedzieć. Jak spokojne było moje życie przedtem, a jakie się stało przez jedną nieprzemyślaną decyzję. Zrezygnowałabym, ale zawiodłabym wtedy wszystkich, którzy mówią: „Dasz radę! Nie poddawaj się!”. Leżę więc na skalnej półce, kulę się ze strachu i wiem, że jutro od nowa podejmę wspinaczkę, choć tak bardzo tego nie chcę.

Dni następne

Zaczęła się Zielona Góra! Wczesnym rankiem pod mój dom podjeżdża elka. Wsiadam, ale ze strachu zapominam, jak uruchamia się samochód. Na szczęście instruktor cierpliwie przypomina niektóre kroki:

– Fotel, lusterka, pas. Teraz przekreścimy kluczyk i włączamy światła. Pierwszy bieg, hamulec i ruszamy. Pojedziemy w lewo, więc włączamy lewy kierunkowskaz.

Włączamy! Włączamy! Mówi się: włączamy, Piotrusiu, dziecko drogie! – jęczy moja nauczycielska dusza. Nie odzywam się jednak, tylko posłusznie wykonuję wszystkie czynności i pokornie „włączam” się do ruchu.

Znowu robię błędy, oszukuję, staram się ułatwić sobie zadania. Totalna panika. Słyszę, co pan Piotr do mnie mówi, ale nie słucham. Nie jestem w stanie się uszyć. W ustach tak sucho, że ledwie mogę mówić. Ukradkiem zerkam na zegarek. Czy to się kiedyś skończy?

Nocą chcę wtulić się w skalną szczelinę i zasnąć na zawsze, byleby tylko nie myśleć o zdobywaniu góry. Płaczę w poduszkę z bezsilności. Dlaczego jestem taka słaba, dlaczego nie potrafię tego, co wielu innym nie sprawia trudności?

Dzisiaj ćwiczę z Teresą – blondynką spod ściany. Mówi o swoim strachu. Nie jestem więc sama? Ona jeździ tak jak ja. Nerwowo i chaotycznie. Obie odczuwamy ulgę i zaczynamy się wspierać.

Kolejna jazda. Tym razem moją towarzyszką jest młoda dziewczyna – Ania. Okazuje się, że i jej wypadło wchodzić na Mount Everest. Nie na Śnieżkę.

W pracy

Siedzę pochylona nad dziennikiem. Maj – jeszcze miesiąc i trzeba będzie wystawiać oceny. Jestem w tej klasie na dłuższym zastępstwie. Słabo znam dzieci. Teraz piszę sprawdzian, a ja analizuję oceny. Drugie nazwisko i już alarm. Cztery jedynek! Szukam wzrokiem ich właściciela. Wojtek, niski i drobny chłopiec w zbyt dużych okularach. Nie wygląda na szóstą klasę. Najwyżej na czwartą. Podchodzę i zaglądam mu przez ramię. Niewiele napisał. Znowu będzie jedynek. Wracam do stolika nauczycielskiego i kontynuuję analizę ocen. Nigdzie nie jest tak źle jak u Wojtka. Może dla niego Mount Everestem jest historia? Teraz już wiem, co to znaczy mieć przed sobą wielką górę i nie móc jej pokonać.

Dzwonek. Na stoliku łąduje sterta sprawdzianów.

– Wojtku! Zaczekaj chwilę. Musimy się zastanowić, co zrobić z tymi jedynekami. Może mógłbyś zostawać po lekcjach i pouczylibyśmy się razem?

Zostaje.

Jazda, ciągle jazda

Wyjeżdżyliśmy już z Teresą i Anią swoje trzydzieści godzin. Niestety o egzaminie nie ma mowy. Musimy dokupić następne jazdy. Nie ma sensu przerywać kursu, ale czy jest sens go kontynuować? Gdyby nie to, że trasa do i z Zielonej Góry wpływa nam w bardzo sympatycznej atmosferze, trudno byłoby znieść to wszystko. Jadąc, nieustannie rozmawiamy. O przepisach na zupy i sałatki, o dzieciach, rzadko o polityce, a najczęściej o historii. Pan Piotr zadaje wiele pytań. Nie na wszystkie znam odpowiedź, ale to nie problem. Będziemy jeszcze długo jeździć ze sobą. Dowiem się i odpowiem. Czasem myślę, że jeszcze trochę, a instruktor jazdy stanie się moją najlepszą przyjaciółką. Z żadną nie spotykam się tak często i tak dużo nie rozmawiam jak z nim.

A w szkole prawie koniec roku

Idę szkolnym korytarzem. Słyszę szybkie kroki za plecami. To Wojtek.

– Proszę pani, czy mogę już sprzedać podręcznik do historii?

– Oczywiście. Przecież z historią wszystko w porządku. A jak z innymi przedmiotami?

– Też zaliczyłem!

– Gratuluję! Jak to się stało?

– Po prostu wzięłem się za siebie.

Idziemy chwilę w milczeniu.

– Wiesz, Wojtku..., ja też muszę wziąć się za siebie.

– No to niech się pani weźmie!

Znowu Zielona Góra

Wracamy. Siedzę z tyłu. Myślę o tym, że dzisiejszą noc przespałam spokojnie. A jeśli nawet się budziłam, to nie dlatego, że bałam się nauki jazdy. W przerwach między snami zastanawiałam się, jak powinnam jechać na poszczególnych skrzyżowaniach, kiedy mam zmieniać biegi, czy najpierw hamować, a potem wciskać sprzęgło, czy też odwrotnie. Oczywiście w mieście jeździłam tradycyjnie źle, ale coś się zmieniło. Wiem to na pewno. Wzięłam się za siebie.

30 czerwca 2013

Podstawowy kurs się skończył. Jak dotąd Teresa, Ania i ja krążymy u stóp Mount Everestu. Czasem wejdziemy wyżej. Ale odległość do szczytu jest wciąż ogromna. Kilka dni temu udało mi się założyć pierwszą

bazę, zdałam egzamin teoretyczny. Wiatr na chwilę rozgonił chmury. Miałam przez moment wrażenie, że widzę szczyt. Czuję przed tobą respekt, góro, ale już wiem, że kiedyś cię zdobędę.

28 sierpnia. Ciąg dalszy nastąpił

Nie pomogło dodatkowe jeżdżenie przez całe wakacje. Na nic ciepłe słowa i wsparcie życzliwych osób. Pierwszy atak na szczyt Mount Everestu zakończył się totalną klapą. Góra okazała się wyższa, niż myślałam. Głupi błąd i polecałam w przepaść. Siedzę teraz poobijana, liżę rany i rozpamiętuję przyczyny klęski. Znowu nie widzę wierzchołka. Ale to nic, wezmę się za siebie i zacznę wspinaczkę od nowa.

4 września

Kolejna próba zdobycia szczytu. Znowu niepowodzenie. Zdenerwowanie, którego nie umiałam opanować, wpłynęło na to, że zachowałam się niebezpiecznie. Porażka bardzo boli. Tym bardziej że nie jestem „zaszczepiona” przeciw klęskom, jak mówi mój mąż. Zawsze zdawałam egzaminy, a z taką sytuacją spotykam się pierwszy raz.

Na fotoblogu Gosi, mojej córki, przeczytałam słowa odnoszące się do jej życia: „Nic nie dzieje się bez powodu”. Zaczynam myśleć, że tak samo jest w przypadku moich niepowodzeń. Dlaczego teraz, jadąc z instruktorem, robię to spokojnie i prawidłowo, a kiedy zdaję egzamin, szaleję z nerwów i jadę niemal na oślep? Może dwa niezdane egzaminy i być może następne mają mnie czegoś nauczyć? Zastanawiam się czego. Na pewno patrzeć na znaki i dawać czytelne sygnały innym kierowcom. Najważniejsze jest jednak to, bym chciała brać za siebie odpowiedzialność za kierownicę. Dotąd robił to instruktor, dlatego po początkowym okresie przerażenia, czułam się przy nim bezpieczna. Kiedy siadam do auta z egzaminatorem, cokolwiek zrobię, idzie na moje konto. Stąd strach i nerwy. Muszę dojrzeć do tego prawa jazdy.

11 września

Tym razem jechałam jak natchniona. Przez pół godziny żadnego błędu. Egzaminatorka wiodła mnie przez wąskie uliczki, jedno- i dwukierunkowe, skomplikowane skrzyżowania, aż na granice miasta. Tam musiałam zawrócić z wykorzystaniem infrastruktury drogowej, czyli w bramie posesji. Żle się ustawiłam i cofając, tylnym kołem wjechałam na krawężnik. Pomyślałam, że to koniec egzaminu, wyjechałam więc z uliczki, nie patrząc na znaki. I okazało się, że rzeczywiście nie zdałam, ale nie z powodu krawężnika, a dlatego że później nie zatrzymałam się przed znakiem STOP. Miałam wrażenie, że egzaminatorce jest mnie żal. Znowu spadałam podczas podchodzenia do szczytu. Byłam tak blisko. Już dotykałam go ręką. Jestem tak poobijana, że nie umiem się pozbierać.

23 września 2013

Zdobyłam go!!! Jestem na szczycie mojego Mount Everestu. Zdałam egzamin. Jeszcze w to nie wierzę, ale to prawda. „Wynik egzaminu pozytywny”. Popłakałam się, kiedy egzaminator powiedział te upragnione słowa. Jestem taka szczęśliwa! Trochę niepokoi mnie przyczyna szczęścia. Cieszę się nie dlatego, że zdobyłam mój Mount Everest, a dlatego że już nie muszę się na niego wspiąć.

23 września 2014

Minął rok. Dzisiaj odwiedziła mnie Terenia, drobna blondynka spod ściany. Przyjechała ślicznym renault twingo. Mówi, że już nie boi się zawodowej przyszłości, bo dzięki temu, że ma prawo jazdy, zawsze gdzieś znajdzie pracę. Ja jeżdżę niezbyt często, ale i mnie ono się przydaje. Od czasu do czasu pomykam srebrną corsą do Kargowej albo Karszyna. Jazda samochodem nie jest co prawda moją ulubioną czynnością, ale jakoś sobie radzę. Zanim wsiądę za kierownicę, powtarzam mantrę: żeby tylko nikomu nie zrobić krzywdy i bezpiecznie wrócić do domu.

* * *

Przemierzałem pagórki sosnowego boru
poszukując żółtych i szarych gąsek
odurzony powietrzem
przesyconym zapachem żywicy
znajdowałem
grzyby i pytania bez odpowiedzi

Październik

Dałem się porwać kolorowej zamieci
buczyn w październikowym słońcu
Szedłem zapomnianą dróżką
nad strumieniem
podziwiałem bystrza przełomy
i powalone buki porośnięte
soczystą zielenią mchów
w zagubionym jarze
– podpatrywałem wsłuchiwałem się
i słowo stawało się słowem
w przezroczystości jesiennych wód

* * *

Z mgły wynurzał się starodrzew
śliw grusz jabłoni
i szereg wiśni nieco dalej
nad wszystkim górował
przydrożny klon
co rośnie w tej krainie
od ponad trzech wieków
przy drodze w stronę
pól lasu i rzeki
Po ścianie wspinał się
winogron dźwigając kiście
granatowych owoców
Bywałem tam
ale teraz nie wiem co
prawdą było a zmyśleniem
kiedy za oknem budził się
dzień
i pomieszały się obrazy
pamięci i świtu
a za bramą ogrodu
nad ścieżkami
jarów i pagórków
rozpływały się
i znikwały
ptaki
nocy i snu

Podążaj

Podążaj za niepowtarzalną
kroplą światła
która stanie się jasnością
byś mógł nazwać to
czego nie dostrzegłeś
pomiąłeś
zanim noc ułoży znaki gwiazd
i wypełni się baśń
i sen

Gierle. Czytanie zdjęcia

Niedzielne przedpołudnie. Niezapowiedziane ciepło. Ciężkie naręczka pelargonii. Tłok. Za ucho włożone banalne polecenie („proszę przynieść 1-2 stare zdjęcia”), a gdzieś przed oczami jeszcze kilka wyblakłych fotografii i opisów z *Fotoplastikonu* Jacka Dehnela.

Nasza trójka szybko rozdzieliła się, każdy miał inny zwrot wektora. Ktoś kupił jajka, jakieś dziecko przebiegło tuż obok mnie. Dwurząd kartonów wypełnionych bibelotami przyciągnął moje oczy. Niestety. Sprzedawczyni patrzy na mnie zdziwiona, gdy pytam o fotografie.

– Fotografie? Zdjęcia? – dopytuje. – Po co komuś byłyby potrzebne stare zdjęcia obcych ludzi?

Uśmiecham się tylko, zapewne wzduszam ramionami. Idę dalej. Spoglądają za mną kiczowate przedstawienia świętych, podobne do tego, które kilka miesięcy temu sama przytargałam do domu. To było ciepłe popołudnie, odstawałam rower do piwnicy. Czułam, że ktoś mnie obserwuje. W kącie korytarza stało coś na wzór obrazu starej i brudnej Matki Boskiej. Zrobiło mi się jej żal. Kilka poluzowanych i zniechęconych żarówek zwisało przed twarzą jej syna. Niewiele myśląc, zabrałam ją pod pachę i zaniosiłam do domu. Babcia stała zdziwiona.

– Było mi jej szkoda. Była samotna.

I jak to z każdą przybłądą bywa, umyłam ją, a potem ze starannością, pewnym namaszczeniem zaczęłam małą renowację. Odnotowałam jedną stratę – szyba pękła na wysokości oczu Madonny. Podejrzewam, że to był wyraz wzruszenia.

Idę dalej, mijam kolejne stragany, straganiki, krople deszczu, zdziwionych sprzedawców i bezpańskie rozmowy. Znajduję w końcu duże zdjęcie dziecka, prawdopodobnie chłopca, w wieku około czterech lat. Coś mnie w nim martwi, uwiera. I chociaż obiecuję sobie wrócić po niego na koniec, chyba jednak nie jestem gotowa na taką adopcję. Słyszę znajomy głos. Klaudiusz woła mnie i wskazuje na coś ręką. Idę w jego stronę, jednocześnie uciekając wzrokiem od dziecka. Przecież to skład z meblami, nie znajdę tu nic dla siebie – pomyślałam. A jednak. Ze starego, metalowego kosza wystaje podłużna ramka. Jest sfatygowana, uszkodzona, ale mam wrażenie, że jeszcze niedawno wisała w przytulnym salonie. Podczas gdy ja wciąż oglądam ramkę, oczy kilkudziesięciu osób skierowane są na mnie. Grono w większości wiekowe, kilka być może dwudziestolatek i Klaudiusz.

– Podoba ci się?

– Chyba je wezmę.

Tym razem nie mam wątpliwości, ale i tak szukam gdzieś znaku potwierdzenia. Kilka kobiet ze zdjęcia uśmiecha się przyjaźnie.

Jakiś czas później szukam odpowiedniego miejsca na fotografię. To wyjątkowo trudne zadanie. Nie potrafię odłożyć ich poza zasięg naszego wzroku. Tymczasowo osiadają na biurku, głaszczą ich liście konwalii, za koksownik służy kubek herbaty. Wydaje mi się, że dobrze ich ugościłam. Wymieniamy spojrzenia.

Trzeba będzie ich tu zameldować na stałe.

Jest ponad sto osób. Gubię się, licząc nierówne rzędy, w pół schowane twarze. A oni przecież się nie ruszają, nie zmieniają miejsc, nie zagadują mnie. Jedyne patrzą.

To chyba zima. Wydaje się, że na dachu budynku stojącego za nimi leży śnieg. Podobnie na ziemi. A jednak kilka osób ma na sobie jedynie koszule i kamizelki, lekkie sweterki. Wykonanie tego zdjęcia musiało być wydarzeniem. W końcu, jak głosi wyraźny napis u dołu fotografii, był to srebrny jubileusz gildii rolniczej w Gierle.

Uderza mnie płynąca z tego zdjęcia szczerłość. Uwielbiam panią w piątym rzędzie za spojrzenie w prawo. Jest tak szeroko uśmiechnięta, że trudno tego nie odwzajemnić; prawie zamknęła oczy, a jednak wyraźnie widać, że patrzy w konkretny punkt, gdzieś po prawej stronie. Rozbłysła uśmiechem w tym samym momencie, co lampa fotografa. Zastygła. Kogo tam zobaczyłaś? Próbuję zajrzeć bezskutecznie za obiektyw. Mężczyzna na końcu rzędu wygląda tak, jakby z trudem powstrzymywał śmiech. Zaciął usta i uwydatnił się mu podbródek, ale oczy śmieją się do rozpuku. Czy to on jest adresatem ponadczasowego uśmiechu?

Mam wrażenie, że w pierwszym rzędzie widzę moją babcie. Ona lekko podnosi brwi ze zdziwienia, że ją poznałam. Przecież tak bardzo nie lubi rzucać się w oczy. Jest na pierwszym planie, skromnie spłótna dłonie na małej torbeczce, którą złożyła na kolanach. Spod czarnego płaszcza wystaje szara spódnica, którą często nosi w domu.

Obserwujemy się, jak gdybym to ja była fotografem. Chociaż od wykonania zdjęcia minęło sześćdziesiąt jeden lat i z pewnością ci ludzie już odeszli, to dla mnie wcale nie umarli, co więcej, nawet się nie narodzili. Istnieją, a ja mogę tego doświadczyć. Możemy na siebie popatrzeć, zadawać pytania. Opisać się.

Czwórka uśmiechniętych księży. Nie wiedzą, co zrobić z rękoma, trzymają nieporadnie kapelusze. Jeden się nieco garbi.



Kobieta w jasnym, dwurzędowym płaszczu. Młoda kobieta o nieschludnie spiętych włosach. Poważne kobiety po prawej stronie. Wyraźnie starsze. Kobieta w pierwszym rzędzie z niesamowitą fryzurą. Starszy mężczyzna całkiem po prawej stronie. Siedzi zwrócony w inną stronę niż wszyscy. Lekko odstaje od reszty zgromadzonych. Ma czapkę. Kolejna młoda kobieta blisko centralnej części zdjęcia. Białe kolczyki, kołnierzyk, ładnie upięte włosy. Jest wyraźnie szczęśliwa. Grupa młodych mężczyzn w ostatnim rzędzie o łagodnych, lekko rozmytych twarzach.

Żałuję, że lewa strona fotografii straciła na ostrości. Ciekawe, czy próbowano z tego powodu reklamować usługi zakładu Foto Dries. Zastanawia mnie też, czy ktokolwiek, kto na tym zdjęciu wyszedł niekorzystnie, miał w posiadaniu właśnie tę odbitkę. Może wisiła w domu pani, która lekko wychyla się zza głowy księdza? A może u kobiety z trzeciego rzędu skutecznie zastoniętej przez koleżanki? Kto przede mną trzymał w rękach panoramiczne zdjęcie członków gildii rolniczej? W towarzystwie jakich uczuć zostało one powieszona na ścianie? Kim byli dla siebie ci ludzie, jak się pozdrawiali na co dzień? Czy ktoś zapisał coś na odwrocie? Nie wiem. Nie chcę naruszyć struktury ramy. Z tyłu została ona dokładnie zaklejona i zabita dwudziestoma gwoździkami. Być może powinnam to sprawdzić. Z drugiej jednak strony boję się, że w ten sposób obedrę artefakt z niewinności, wedrę się w głąb mimo niemego sprzeciwu, a poznanie tajemnicy będzie skutkowało wygnaniem z Gierle.

Wróciłam do Zielonej Góry. Jedna trzecia kopy żelaznych gwoździków leży na szklanym spodku. Na rewersie fotografii żadnego śladu, kreski ani kropki. Klaudiusz delikatnie reperuje ramę. Herbata paruje. Jest piątkowy wieczór.



Nie chciałam

nie chciałam być aktorką
nie taki miałam plan na przyszłość

wciągnął mnie podstępnie
teatr
osobliwości
osobistości
osobowości naprzemiennie

w roli głównej ja
każda z nas
z kwestią wyuczoną na pamięć
i odrobiną improwizacji na wszelki wypadek
stoimy na scenie w blasku ramp
odgrywając wymyślny monodram

zawsze inna mimika i poczucie humoru
tożsamości nietożsame
w jednym ciele
coraz bardziej zmęczonym

walczymy z czasem
żadna nie odpuszcza
na drzwiach niezmiennie karteczka
zaraz wracam

10 maja 2016

Kiedyś wrócimy do...

tej przestrzeni która była tylko nasza
nocnej enklawy na krańcu rzeczywistości
magii unoszącej się w oparach cynamonu

multimedialny furor poeticus
i ja

otoczona wirtualnym snem
oddawałam się tobie w całości
nie czekając na świt
nie marząc o jutrze

27 lutego 2017

Apertura wciąż patrzy

– Zadrzyj kieckę, Lola-Paola, no! Daj się macnać, idiotko, przecież nie będę się nakręcał na sucho! Wypnij dupsko, a nie te swoje wary-giganty z twarzy, coś sobie jakimis kwasiskami faszerowała! – proponował on.

– Ej, wyluzuj bejbiku, słitfocie sobie strzelam okazji. Jakaś taka jestem dzisiaj medialna, czuję celebrycki feeling, muszę się pokazać holistycznie-demonicznie na Instalmamie i Fejsruku. Kaprysa mam takiego wyszukanego, o! – odpowiedziała ona.

Męski głos zaryczał straszliwie niczym wieprz przed drzwiami rzeźni i dalej nadawał swoje:

– Chodź na seksi karuzelę do tatusia, bo ci nowe tipsy powyrywam i ten push-up wydłubię spod bluzki-intruzki! A jak będziesz grzecznutka malutka, to ci dam kasiorkę na lateksowe wdzianko z szopa erotycznego. No, ogarnij myślenie i zobacz, że to uczciwy deal, filozofko!

– Ty, wielkie dzięki za te twoje koszmarnie przebieranki seksosozopowe! Znowu mam robić przez parę godzin za wiewiórkę albo pingwina i to na dodatek w wydaniu chińskim?! Ani mi się śni, głupolku-matołku! Słitfociuję się właśnie, mam akurat moment urody osobistej powalającej. Odsuń się ode mnie, bo mi tło zapaskudzasz sobą niestylowo!

I lejdi dzióbki zaczęła robić krzywaśne, oczy wybałuszać portretowo, piersi wypinać ku dłoni ze smartfonem wycelowanym. Słitaśne focie powstawały hurtowo epokowo, gdy naraz głos męski wrzasnął jak opętany:

– Daj wreszcie dupy, kretynko! Czego w tym zdaniu nie rozumiesz?! Nie wiesz, gdzie ci dupsko wyrosło? Zapytaj może wujka Google'a o ten szczegół anatomiczny, jak cię nachodzą wątpliwości, ale to może potem. Teraz to się po prostu wypnij i odstaw tę całą szopkę, jaka to jesteś napalona, jaka z ciebie gorąca kocica – fikcyjna dziewczica. Emocji potrzebuję, rozumiesz?! – mężczyzna zawiesił dramatycznie głos i chwycił dziewczynę mocno za biodra. Pokręcił nimi nieudolnie, gdy Lola-Paola zmarszczyła niezadowolona nos zatapetowany:

– Przestań mnie ugniatać, misiu, bo mi się słitfocia zwarzy od tych twoich dansingów z moimi biodrami! O, ble, mam fazę na autorzyganie! Sam zobacz, jak debilnie wyszłam – o, tutaj... – Dziewczyna pokazała chłopakowi kilka ujęć na ekranie, a ten nawet nie patrząc, wzruszył ramionami.

– Daj mi... no daj! Nie bądź taka, co? Ile jeszcze mam cię prosić, samico egoistko? – mruczał jej do ucha, próbując się przytulić choćby do wierzgających pleców małolaty. Ta jednak jakby w ogóle nie zauważała jego wzrastającego podniecenia, jakby nie słyszała wypowiedzianych przez niego słów.

– Jeszcze dzisiaj nie określiłam swego statusu w sieci, muszę zmienić focię profilową, bo ta wisi w necie już od wczorajszego wieczorka i średniowieczem to zajężdża, co bejbiku? Dałabym tę, gdzie mrugam oczkiem i taka jestem glamourowa, ale z tyłu widać twoje zarosty i odrosty, a to psuje mi całokształt atmosferyki – dziewczczyna zamyśliła się wyraźnie, aż jej przewody mózgowo dymyły, a trybiki trzeszczały. – Ej, tyyyyyy chamiieeeee! – ryknęła nagle, uderzając jednocześnie chłopaka smartfonem w głowę. Głowa pozostała na miejscu, ale smartfon zamienił się w smartzłom i rozleciał na kilkanaście fragmentów odpadów elektronicznych. – Zrobiłeś to, co?! Właśnie to zrobiłeś?! – pytała go, ale zgoła tylko retorycznie, bo przecież

czuła, a to, co czuła, było jednocześnie odpowiedzią. – Jak mogłeś, wale jeden, jak mogłeś?! – Rozpłakała się z bezsilności, gdy on już zapinał spodnie i wprowadzał na twarz element tak dobrze jej znanego, wystudiowanego głębokiego znużenia.

– Zamknij dziób, Lola-Paola, już po krzyku! Nie chciałaś po dobroci, to wzięłem z zaskoczenia. Nie rób tu szofa na schodach, bo cię sąsiedzi oblecą. A tego byś pewnie nie chciała, śmierdzisz przecież teraz grzechem i upadkiem. Lafiryndowatość z ciebie aż bucha, jak świeży pot, unikaj więc widzów i przypadkowych gapiów. Rozumiemy się?! – Mężczyzna spojrzał groźnie na dziewczynę, ale ona usiadła na ziemi i skuliła się jak embrion. – Beczymorda! – zawyrokował, przyglądając się z wyraźnym obrzydzeniem jej drgającym od tłumionego łkania ramionom. – Jak tylko dowiem się, że komuś o tym naszym gorącym numerku powiedziałaś, jesteś skończona na mieście, notujesz w rozumku? Pilnuj języka, bo ci kwasem nasikam, no... – zakończył pogróżki i szybkim krokiem oddalił się z miejsca zdarzenia. Poszedł gdzieś przed siebie, byle dalej. A dalej byli upaleni koledzy i imprezka odstresówka.

Wizjer zamrugał metalową powieką; ujęcie panoramiczne klatki schodowej w mieście P.

Zastraszona, płacząca cicho dziewczyna jeszcze długo siedziała na schodach. Smarowała bardzo długo w bardzo krótką spódniczkę, a płynący kilkoma potokami makijaż wycierała w rękawy swojej niegdyś białej, pikowanej kurteczki. Już nie myślała, by utwalić chwilę w postaci ślitfoci, zresztą to bardziej byłaby „bitterfocia”. Ostatecznie wszystkie mniej lub bardziej udane focie ulotniły się bezpowrotnie w momencie rozczłonkowania smartfona na nanocząstki. Nie analizowała dłużej swojego wizerunku, teraz dla odmiany analizowała swoje odczucia. Badala je nagle odkrytymi czułkami wrażliwości. Emocje o różnym natężeniu układały się w niej warstwami, przybliżały się do niej i oddalały, nie pozwalając na jałowość doznań. Czuła się poniżona, upodlona, znieważona, zgwałcona.... Zgwałcona?! Tak, ostrożnie obracała na języku to kolczaste, nieprzyjemne słowo: gwałt. G-W-A-Ł-T! Ona i gwałt, ona i zgwałcenie, ona i on oraz to słowo między nimi. Teraz i na zawsze.

Judasz w drzwiach upewnia się: tak, to ona.

Siedziała jak sparaliżowana, wciąż na tym samym schodku klatki schodowej. Od czasu do czasu mijają ją szybko jakiś mieszkaniak kamienicy, ale nie odzywał się ani jednym słowem. Częstośwał ją co najwyżej gorzkimi landrynkami obojętności. Pewnie uważano ją za jakąś nieletnią alkoholicką lub narkomankę, a takie najlepiej zostawić w spokoju, bo utyłane są całe w problemach. No, więc siedziała i taplała się w swoim postkoitalnym sosiku. Gdy zabrakło powierzchni spódnicy na te jej galaretowate smarki, przecierała czerwony nos pasmami chemicznie rudych włosów.

I wtedy nagle drzwi mieszkania, przy których siedziała, otworzyły się gwałtownie, ktoś z nich wyskoczył. Nikt nic nie widział, nikt nic nie wie. Mężczyzna to był, a może kobieta... Nie, to facet... Zakrył jej usta dłonią, szarpnął za rękę, pociągnął za sobą w głąb mieszkania. Nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał. Nawet tego, jak ona długo potem krzyczała, jak rozpaczliwie prosiła o litość, jak zastaniała posiniaczonymi, podrapanymi dłońmi swoje drobne piersi i dziecięce majtki z Misiem Puchatkiem. Nikt nie słyszał, jak on charczał w finale i ile tych finałów było. Nikt z sąsiadów nie usłyszał, wata w uszach i oczy przyspawane do serialu w telewizji. Jak on się nazywał? „Barwy zbrodni”, „M jak morderstwo” czy „Czas odoru”? Rozczłonkowane ciało, schowane do zamrażalki, zawinięte w dywan i przechowywane w tapczanie czy wywiezione nocą do lasu w bagażniku auta i zakopane? Jaka była ostatnia jej myśl przed śmiercią, naprawdę bolało?

Przeziernik w drzwiach mieszkania rzuca na siatkówkę mojego oka kolejne wizje. Rzuca niefrasobliwie, od niechcenia, bez uczucia empatii. Głodny widziadeł i mamideł tykam wszystko jak sztucznie tuczona gęś, aż swoje mózgowie trzeszczą mi od nadmiaru kalorycznych obrazków.

Nie, dość! Odrywam chciwie obrazów oko od wizjera, odwracam się do ściany i z całej siły uderzam w nią głową. Tak na maksa. Raz, drugi, trzeci... Dzwoni i dudni, pulsuje. Czwarty i piąty... Coś mruczy groźnie, coś błyska pod powiekami... Szósty... Lekkie zamroczenie... Cholernie boli! Ale tak jest dobrze... Tak musi boleć...

Osuwam się po ścianie na podłogę. Przez chwilę każda myśl w mojej głowie jest tylko konturem, pustką obrysowaną w setki kształtów, ale po pewnym czasie zaczynam odnajdywać się w realiach tu i teraz. Już nie widzę rozczłonkowanych kawałków dziewczyny, którą zabiłem. Moja zamrażalka z wyobraźni nie przechowuje fragmentów jej ciała, nie ma go także w domowym tapczanie i w bagażniku samochodu. Nie czuję wokół siebie trupiego odoru, ani nie odczuwam przymusu bezustannego czyszczenia ryżową szczotką plam zaschniętej krwi, której nie ma w moim mieszkaniu. Makabryczne urojenie wrzuciłem do kompostownika gnijących, bezużytecznych myśli i zatrzasnąłem z hukiem pokrywę nad cuchnącą breją. Oddycham głęboko i liczę do stu. Wyobrażenie fermentuje, przerabiam je na neutralny granulat mózgowy. Tłumaczę sobie, że dziewczyna wciąż siedzi bezpiecznie na schodach przed moimi drzwiami i pewnie smarka już w desperacji w podarte rajstopy. Może i jest zgwałcona przez swojego sponsora, ale żyje. Choć w tej chwili wolałaby umrzeć. Tak, to byłoby ciekawe dla jej przyjaciółek z Fejsruka – nowy status osobisty: osoba okresowo martwa.

Dopiero po chwili ośmielam się spojrzeć przez wizjer. Dziewczyna zniknęła.

Niestety, nie zabrała ze sobą wszystkiego. Zostawiła mi swoją historię, a to bardzo nieporęczny prezent. Rozpycha się w ludzkim umyśle, zajmuje za dużo miejsca. I jeszcze inni próbują się do niego dorwać, by rozplątać wstążeczki i zedrzeć ozdobny papier.

Tak było właśnie dwa dni później, próbowali i próbowali. Dzwonili i dzwonili. A kto by inny, jak nie policjanci? Zobaczyłem ich przez judasza, ale nie otworzyłem drzwi mieszkania. Chętnie by mnie wykończyli tysiącem podchwytliwych pytań i jeszcze dorwali się do neutralnego granulatu mózgowego, zamieniając go w materiał dowodowy. Ze świadka gwałtu stałbym się głównym podejrzanym. Z człowieka z imieniem i nazwiskiem przeobraziłbym się w odcisk linii papilarnych i materiał biologiczny DNA. Odtąd wszystko, co bym powiedział, mogłoby zostać użyte do wsadzenia mnie za kratki.

Przykucnąłem za drzwiami, powstrzymując nawet regularne oddychanie. Po pięciu minutach dzwonienia i pukania dali sobie wreszcie spokój. Długo siedziałem na ziemi bez ruchu, ale już nie wrócili. Ani tego dnia, ani nigdy więcej. Pewnie zapłakana lolitka była za mało przekonująca w roli ofiary. Pewnie uznali, że sama dała, bo przecież chciała. Policyjne notatniki zamknięte, sprawa załatwiona, statystyki poprawione. I tylko mała płacze po nocach, ale oni już tego przecież nie słyszą.

Ja też nie chcę tego słyszeć, ale słyszę i widzę. Historia dziewczyny zaklinowała się tuż pod moimi powiekami i uwiera jak ziarno piasku w oku. Siadam na tapczanie i zastanawiam się, czy ona w nim już się rozkłada, otwieram drzwiczki zamrażalki i boję się sięgnąć po bryłę zimnych żeberek, z niepokojem otwieram bagażnik auta, by włożyć do niego zakupy spożywcze. A owszem, to w zasadzie nie jest historia tej dziewczyny, ale moja własna wizja, lecz jej realność wciąż mnie zaskakuje. Niby wiem, że to wszystko sobie tylko wyobraziłem, ale nie ukrywam, że odczułbym wielką ulgę, gdybym znów ujrzał ją przez wizjer w drzwiach. Tym razem mógłbym jej pomóc uwolnić się od nachalnego, napalonego mężczyzny. Może nie zdołałby jej zgwałcić. Prawie słyszę jej szept, penetrujący wnętrza mojego ucha, jej dziecięcy głosik z kapryśnym i naburmuszonym: „Pomożesz mi? Obiecaj!”. No to obiecuję.

Wciąż jej szukam przez panoramiczną dziurę w drzwiach, wciąż jej wyglądam. Codziennie odślaniam powiekę judasza z nadzieją, że ją zobaczę. Zamiast niej majaczy mi przed załzawionym od zmęczenia okiem zniekształcona klatka schodowa. Czasami przeżywam moment całkowitej dezorientacji, nie wiem już, czy to ja spoglądam przez wizjer na świat, czy to świat podgląda mnie. Szklana błona judasza, choć chroni moją egzystencjalną intymność, jednocześnie jest przepuszczalna, pozwala na przepływy pomiędzy częstkami prywatności a atomami zewnętrżności. Byt mój i Loli-Paoli wymieszały się w szajkerze atmosfery miasta, przeniknęły z bolesnym sykiem i stopiły się w niepokojącą jedność. Spoglądam każdego dnia przez przeziernik i zastanawiam się, co stało się ze sfiataśną nastolatką o zasmarkanych włosach i rajstopach. Patrzę przez otwór w drzwiach i w jakiś dziwny sposób wydaje mi się, że spoglądam przez otwór jej bole-

snej, kielkującej kobiecości. Przecieram irchową szmatką, owiniętą wokół palca oko wizjera, by wyraźniej dostrzec kontury jej szczupłego, wciąż jeszcze mleczno-dziecięcego ciała. Rumienię się przy tej czynności, choć wykonywałem ją wcześniej tysiące razy i nigdy nie wywoływała we mnie takiego niepokoju. Dotąd judasz był tylko użytecznym narzędziem podglądania rzeczywistości zdrzwiowej, a teraz stał się tunelem do historii ukrytej w damskiej macicy lub pępowiną łączącą mnie z niezwykłym zdarzeniem.

Namacalne życie poza drzwiami mieszkania zawsze mnie przerażało. Zlizywać smaki egzystencji, dotykać prawdziwych, spoconych ludzi, wdychać spaliny samochodów i drogie perfumy Chanel No.5? Nie, wolałem badać rzeczywistość przez tego optycznego pośrednika. Dzięki niemu, przebywając w bezpiecznym, ciepłym mieszkaniu – tonie, łączyłem się pępowiną metalowej tuby z zewnętrznym światem. Każde spojrzenie przez wizjer było więc niejako kolejnymi narodzinami dla świata, a każde zasłonięcie obiektywu wizjera – powrotem do wnętrza intymnego matecznika.

Mój osobisty szpieg w drzwiach był dla mnie wyszukany, eleganckim monoklem, który przymierzałem do oka, ilekroć chciałem zobaczyć dane zjawisko społeczne dokładniej, mikroskopowo ogniskując wzrok na prawie niewidocznych didaskaliach. Z góry obiecywał mi rozrywkę. Przez wizjer widziałem już wiele wojen. Najczęściej sąsiedzkich, bratobójczych, mających za zadanie atak psychiczny i fizyczny, który ostatecznie okazywał się najczęściej chemicznym: zwyczajnie śmierdziało. Gdy stronom walczącym w sporach sąsiedzkich brakowało w końcu mniej lub bardziej sensowych argumentów, zawsze mogły posłużyć się argumentem bezsensownym i cuchnącym: kupą na wycieracze. Przeżyłem już mnóstwo walk: międzysąsiedzkie bitwy kałowe, moczowe i powstałe z połączenia tych dwóch rodzajów – wojny kałowo-moczowe. Niektóre z nich miały charakter międzygatunkowy: odchody ludzkie walczyły na zapachy i konsystencję z odchodami zwierzęcymi, kocimi lub psimi. Co ciekawe, na ogół czworonogi nie brały bezpośrednio udziału w tych walkach na zapachy. Odchody były przez strony walczące podbierane spod zwierzęcych pup, a potem rozsmarowywane na klatkach schodowych, w piwnicach czy na strychach. Zaanektowany fekaliami teren stawał jest rejonem ciężkich walk strategicznych i psychologicznych z rodzaju: kto kogo dłużej przetrzyma. Osoba, która nie mogła już znieść przykrego odoru i specyficznego wyglądu poligonu sąsiedzkiej psychozy, z odrazą chwytła za wiadro i szmatę, by w pokorze pucować zaskorupałe narzędzia walki. Niektóre tak silnie wnikały w podłoże, że zamiast ryżowej szczotki przydałby się bardziej hebel do zeszkrobywania kolejnych warstw wydalin.

Przez wizjer widywałem cwanych akwizytorów z magicznymi ściereczkami lub odkurzaczami, przypominającymi uzbrojone postacie rodem z filmu *Star Wars* oraz ankieterki w szpilkach i mini, które wymachiwały długopisami jak oszczepem, próbując dostać się do wnętrza istoty szarej mojego mózgu. Przez judasza obserwowałem kominiarzy z kserówkami kalendarzy w dłoniach (jednocześnie próbując prawą ręką odszukać w spodniach ten wiecznie odpadający guzik na wieczyste szczęście) oraz tych wszystkich pracowników administracji, którzy od zawsze lepią się do drzwi mieszkań niczym landrynki do dziecięcej dłoni. Przez wyziernik oglądałem zniecierpliwionych listonoszy z krzywymi kręgosłupami, którzy dębali niedyskretnie w nosie i facetów od gazu/prądu/wody, którzy starali się władować do mojego mieszkania zawsze akurat wówczas, gdy ja w pośpiechu z niego wychodziłem. Nie brakowało i tych wszystkich mieszkaniowych powsinóg, złachanych wędrowców, odwiecznych zbieraczy suchego chleba dla koni, alkoholików i życiowych performerów, którzy mniej lub bardziej rytmicznie kiwali się przed moim sztucznym, szklanym okiem drzwi wejściowych. Spoglądałem na tych zbieraczy złomu, makulatury i dobrych słów, ale rzadko zasilałem ich kolekcję odpadków. Dostrzegałem uczestników zbiórek pieniędzy na leczenie chorych dzieci, którzy podjeżdżali pod mój blok najnowszymi modelami samochodów z salonów i ludzi – powiedzmy sobie, fragmentarycznych, którym brakowało ręki lub nogi, a czasami kombinacji obu tych kończyn. Ci zwykle na nic nie zbierali, chcieli tylko koniecznie dostać ode mnie „buzi”. I dostali, ale po buzi. Pod moimi drzwiami pojawiały się procesje poszukiwaczy darmowego seksu, ekshibicjonistów odzianych tylko w długie płaszcze

oraz paranoików i oszołomów, którzy przebywali na przepustce ze szpitala psychiatrycznego, tymczasowo wyrwijąc się spod władzy białego kaftana, wiązanego troczkami na plecach i pasem w kroczu. Judasz pokazywał mi zastępy żebraczek i zawodowych dziadów proszalnych, którzy gotowi byli zedrzyć ze mnie ostatnią całą parę gaci. Przeziernik wpuszczał do moich źrenic obrazy wrózek, cyganek i prorokiń, które koniecznie chciały dostać w swoje szpony moje dalsze losy, wtoczyć do mieszkania zakurzoną, szklaną kulę, a na stole rozłożyć zatłuszczone, brudne karty. Przy moich drzwiach stawały wszelkiej maści zakutane babinki i wiedźmy, którym spod spódnicy wystawała końcówka latającej miotły. Te ostatnie aż drżały z emocji na całym ciele, gdy te ich wibrujące miotki wyczyniały harce pod długimi kieckami. Judasz zdradzał mi istnienie za drzwiami świata kobiet w permanentnej, urojonej ciąży, które jeszcze przed porodem zbierały pieniądze na pieluchy, i złodziejskich prestidigitatorów, którzy zręcznie manewrując palcami, chętnie by mnie okradli z wszelkich postaci gotówki.

Jednej tylko postaci nie chciał mi ponownie pokazać – Loli-Paoli. Nie mignął mi w oku wizjera nawet fragment jej zasmarkanej spódniczki, nie zauważyłem śladu zabłoconego trampka. Choć tkwiem przy wizjerze dzień i noc, nie mogłem jej odnaleźć. Schudłem, zapadłem się na twarzy, wciąż wgniezione w wizjer oko okropnie mnie bolało, ale ja wciąż patrolowałem źrenicą klatkę schodową. Jadłem coś szybko z okiem wbitym w judasza, spałem tylko po dwie, trzy godziny i sikałem do pięciolitrowej butelki po wodzie. Nadaremno, nastolatka zniknęła razem ze swoimi problemami. Czasami zastanawiałem się, czy robi sobie jeszcze te swoje siftofocie, czy wystawia w internecie kacze dzióbki.

– Ty zarośnięty, niemyty dziadu, spieprzaj spod tych drzwi, dobrze? – wściekły głos żony nagle sprowadził mnie z hukiem na ziemię. – Wychodzę z chałupy, więc przestań może psychologować, co?

– A coś ty taka wściekła, macica ci się przegrzała, czy co? – odpowiedziałem jej w podobnym, „ciepłym” tonie. – Druciki połączenia z grzecznością ci się rozmontowały, łącze z uprzejmością skorodowało?

– Nie pajacuj Einsteinem, durniu! Nastroju dzisiaj nie mam na te twoje mężowskie paplanie! Zamiast gapić się przez dziurę w drzwiach, lepiej byś do jakiejś pracy poszedł, kasiorę wyniuchał i w pyszczku na tacy mi przyniósł. Czemu ja za ciebie wyszłam, ułomku? Inni mężowie to żonom kupują furi, komóry i inne pierdoły, a od ciebie nie dostaję nawet drobnych na bilet autobusowy. Cały tydzień to ja muszę gibać do pracy, by zarobić w tym swoim szopie chociaż na zjeżdżałą szminkę z bazaru czy bluzkę sto procent poliester, wykonaną przez biedne, małe rączki z Bangladeszu. A mąż primadonna ma humor tylko przy drzwiach siedzieć i przez wizjer popatrywać. Czego ty szukasz przez szkiełko tego kretyńskiego judasza? Bo chyba nie pracy...

Nie przerywałem jej, niech się wyżłoci, jak sobie zostawi jakieś złogi nienawiści w organizmie, to jeszcze jej to, nie daj losie, osiądzie na wątrobie i trafi ją jakieś choróbsko. Tyle się teraz słyszy o tych wszystkich rakach i atakach autoimmunologicznych. Komórki ludzkiego ciała powstają przeciwko sobie i maszerują na śmiertelny bóg.

– Nienawidzę cię! – krzyknęła jeszcze w temacie i trzasnęła drzwiami tak mocno, że dźwięk ten dotarł z pewnością do jądra Ziemi.

Z ulgą powitałem kojącą, babską nieobecność, kształtną pustkę, która po niej została. Wreszcie byłem w ulubionym towarzystwie samego siebie, a oko wizjera typało ku mnie znacząco. Mamiło mnie bezręcznym spojrzeniem, błyskiem pożądlivosti w układzie soczewek. Dałem się opętać emocjom, które pieściły wypustki moich neuronów. Z głębokim westchnieniem przypadłem do przeziernika. Odsunąłem przesłonkę, wkręciłem wzrok w soczewkę, przestałem oddychać. Minutę, dwie... Ale nie przestałem patrzeć.

Była tam. Tak, to na pewno ona! Podobna sylwetka, chemicznie rude włosy, krótka spódniczka, tym razem już wyprana ze smarków. Tylko ta wykrzywiona gniewem twarz... Dlaczego Lola-Paola jest taka wściekła?

Zaczęła walić pięścią w drzwi, nie oszczędzała nawet wizjera i przez jeden straszliwy moment bałem się nawet, że go rozwali. Przetnie sobie słuczonym szkłem dłoń, a potem zobaczę przez pustą dziurę w drzwiach tylko krew, wszędzie ślady krwi. W wypatroszonym oczodole wizjera pojawi się czerwona kropla,

która spłynie po drzwiach prosto pod moje stopy. A potem będzie już wszędzie – na podłodze, dłoniach, klamkach. Znowu ciało będzie musiało być poćwiartowane... Uderzenia siekiery, ten odgłos rozłupywanych kości, zapach śmierci... Zamrażalnik, tapczan albo bagażnik samochodu...

– No otwórz, matole! Ile jeszcze mam tu czekać?! – Dziewczyna wciąż próbowała stratować drzwi wejściowe, tym razem przy pomocy kopniaków i uderzeń torebką. – Szybciej, on tu jest, zaraz mnie znowu dopadnie! Przecież obiecałeś mi pomoc, jeśli wrócę! Chcesz, by ten bydlak ponownie mnie zgwałcił?! Naprawdę chcesz to znowu oglądać?!

Znow?! Skąd ona wie, że widziałem ten gwałt? Przecież nie mogła tego wiedzieć, nie zauważyła oka, ukrytego za tarczą wizjera. Raczej słitała fotki, marszczyła brewki, wydymała usteczka, gwiazdorzyła, nawet gwałt zauważyła dopiero wówczas, gdy już było po wszystkim. Bystrością nie grzeszyła, ciałem i owszem.

Gwałtownie otworzyłem drzwi. Żuła gumę, patrzyła pogardliwie.

– Nienawidzę cię! – przywitała mnie zdaniem rzuconym wcześniej na pożegnanie. Przepchnęła się bokiem przy moim lewym ramieniu i rzuciła w eter niedbale: – Smartfona se gdzieś tu zostawiłam, a seksi feeling poczułam. Będę się słitać z taką jedną Pipolką. Idziemy do galerii na szopinga, tak trochę się rozejrzeć i przyszpanić. Rozerwać się muszę.

Nie wiem, skąd wziętem jakąkolwiek stanowczość w głosie:

– Nigdzie nie idziesz, Lola-Paola! Tym razem zostajesz w domu! Słitfocić możesz przecież też w naszym pieprzonym mieszkaniu!

Prychnęła ironicznie, wzruszyła ramionami.

– Fantazjujesz na mój temat, oblechu! Nie zatrzymasz mnie na tyłku przed telewizorkiem! Może jeszcze razem z tobą mam godzinami gapić się przez ten kretyński wizjer? To, że jestem twoją żoną, nie oznacza, że możesz mi wydawać rozkazy! Halo, halo, tu nie salon sado-maso, nie bawimy się w pana i niewolnika! No więc, tego, wychodzę! – Lola-Paola chwyciła smartfona z szafki przed lustrem w przedpokoju i wymaszerowała z mieszkania. Choć bardzo starałem się nie dostrzec triumfu w jej oczach, oczywiście go zobaczyłem.

„Obiecałeś! Obiecuj! Obiecuj!” – nienawidziłem tego słowa we wszystkich jego odmianach i czasach. Żona prowadziła mnie na nim jak na smyczy z kagańcem i kolczatką. Po co dałem się tak osaczyć tej zaryczanej smarkuli, którą zamknęli parę lat temu w areszcie? Wcześniej byłem całkiem zadowolony ze swojego życia. Stary kawaler, stary człowiek, doświadczony klawisz. Miałem jej pilnować, gdy zatrzymali ją za jakąś kradzież na czterdzieści osiem godzin. Długo wyła jak kojot, gdy podchodziłem pod drzwi celi i spoglądałem przez oko wizjera. Miała podarte rajstopy, rozmazany makijaż i zasmarkaną spódniczkę. Gdy wyczuła, że ktoś przygląda się jej przez więziennego judasza, krzyczała coś o pomyłce. O jakimś chłopaku, słitaśnych fotkach i gwałcie na klatce schodowej. Niewiele z tego wówczas rozumiałem. Widziałem już takie podrzędne artystki ulicy, co to udawały dziewice po setnym chłopaku, bo uważały, że wówczas licznik ich dziewictwa ulega cudownemu wyzerowaniu. Nie wierzyłem w ani jedno jej słowo, ale fajnie wyglądała, gdy obserwowałem ją przez przeziernik. Najwyraźniej czuła mój wzrok, bo wypinała tyłek, wydymała usta i mrugała zalotnie oczkiem. Zupełnie jakby pozowała do fotek. Oczywiście słitaśnych. Głupi byłem, zauroczyła mnie trzpiotka, omotała wzrokowo, przywiązała wizjerowo. Areszt jej przedłużono, to i ja dłużej na nią patrzyłem. Odtąd stałem się bardziej podglądaczem niż klawiszem. Otwór w drzwiach w celi mnie hipnotyzował i przyzywał do siebie.

Gdy wyprowadzałem ją na rozprawę, splunęła mi w twarz. Coś niespodziewanie mocno uderzyło mnie w policzek, więc odruchowo wyciągnąłem rękę. W ostatniej chwili złapałem wyplutą przez nią kulkę papieru. Gdy parę godzin później odwiązałem ją, wciąż wilgotną od jej śliny, w więziennej toalecie, zauważyłem, że mała bestyjka napisała mi swój numer telefonu. Zadzwoniłem do niej, ale nie tak od razu. Odczekałem na prawomocny wyrok. Sąd ją uniewinnił, nic nie ukradła, nikt jej nie zgwałcił na klatce schodowej. Co ciekawe, nie wydawała się zdziwiona moim telefonem po kilku miesiącach od ostatniej rozprawy. Zgodziła

się na spotkanie, byliśmy w galerii handlowej. Gadała coś o tym, że jest sierotką i w zasadzie nie ma gdzie mieszkać. Nawet nie wiedziałem, kiedy kupiłem jej nowiutkiego smartfona i zaprosiłem na stałe do swego mieszkania. Nie ucieszyła się z prezentu, nie rzuciła się na szyję. Wówczas zrozumiałem, że się w niej beznadziejnie zakochałem. Umawiałem się z nią na kolejne randki. Kupowałem sobie jej uczucia nowymi gadżetami. Po roku znajomości, gdy tylko skończyła oficjalnie osiemnaście lat, nazywałem ją żoną, a ona mnie głupolkiem-matołkiem. Cóż, nawet nie zauważyła, że wyszła za mnie za mąż. No tak, małżeńskiego seksu też wydawała się nie dostrzegać. Gdy ja nieporadnie zarumieniony i onieśmielony próbowałem dotknąć pomarszczoną dłońią jej aksamitnego ciała, wołała strzelać sobie w łóżku te swoje sliffoce. Zaraz też wysyłała je do koleżanek i wstawiała na portale społecznościowe, namawiając znajomych, by je lajkowali i tagowali, bo przecież „Obiecali!”. Wciąż wychodziła na te swoje relaksy. Że niby zmęczona, że niby padnięta po pracy w tym swoim mięsny szopie. To wówczas mój nałóg podglądania świata przez wizjer przybrał na sile. Zamiast jednak przestrzeni swojej klatki schodowej widziałem przez judasza wydarzenia, które rzekomo zaistniały w pełnym fikcji życiu Loli-Paoli: przygodny seks, areszty i foteczki. Moje ego podgryzała chorobliwa zazdrość. Musiałem rzucić pracę klawisza, by mieć czas na śledzenie nierzeczywistości po drugiej stronie judasza. Nastoletnia żona śmiała mi się prosto w twarz, a ja bałem się, że kiedyś stracę nad sobą panowanie. Dręczyły mnie krwawe wizje.

Nagle znów słyszę łomot do drzwi. Ech, to pewnie żona ponownie zapomniała czegoś z mieszkania... Nie mam już siły, by spojrzeć przez dziurę judasza. A ten nie zamierza mi tego darować. I zwyczajowo, jak to Judasz – zdrazca, świnia jedna! Otwieram drzwi.

– Ręce-do-góry-bo-strzelam! – Młody policjant rzuca w moim kierunku zdanie z prędkością karabinu maszynowego, a drugi zapina mi w tym czasie kajdanki na nadgarstkach. – Jest pan oskarżony o zabójstwo żony, Loli-Paoli. Nasz wydział dochodzeniowo-śledczy obiecał sobie, że w końcu pana dorwie!

Opowiadanie zdobyło I nagrodę w XVIII Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Eugeniusza Paukszty „Małe ojczyzny – pogranicze kultur i regionów”.



Schizein

Watta wstała dziś wcześniej rano
Schowała w kieszeni białą tabletkę
I głośno popiła wodą

Watta zaczęła śnić dziś wcześniej rano
Po policzeniu baranów
Które wierzą na słowo

Upita kranówką
by nabrać koloru
Pomalowała usta na bordowo
upudrowała policzek

Odczytuje Hamleta
z zasłyszanych słów

Rosa

Słoneczniki w kątach
nie chcą zdradzić gdzie ukrywa się słońce
puszczają porozumiewawczo płatki
że prędzej zginą niż przemówią

Rose jak obłąkana gada do nich krzyczy
nie puszcza do nikogo płatków oka też nie
choć

Rose nie lubi kwiatów
lubi słońce
lubi twarze
czasem śmieje się do lustra

a potem głośno płacze

Cytryniarka

Lubiła oglądać swoje dłonie w skośnym lusterku
nad skrzynką cytryn w osiedlowym warzywniaku
bo wybierała je starannie

interesowały ją tylko cytryny
i sól
w proporcji jedna sztuka do jednego kilograma

dla zabawy z namaszczeniem przesuwała po nich palcami
(kiedy miała długie paznokcie sprawiało jej to jeszcze większą frajdę)
rytualnie podawała je ekspedientce gestem pełnym godności
uśmiechając się uroczo do niej i do jej głupkowatych adoratorów
tak żeby się podroczyć
wychodząc rzucała miłe do widzenia

jaka miła dziewczyna – myśleli
do czasu aż poczęstowała ich lemoniadą

Rok nieprzystępny

Juliette nie popełni już na sobie
żadnych jawnych przestępstw

w kieszeni ukrywa pistolet
na sercu kajdanki (ustalono że są i nałożone i zdjęte)
wszystkie jej trzy różne profile
w kartotece ujednolicono do jednego

Juliette nie współpracuje już z podsłuchem
nie słucha rytmicznie mówiących zwierzchników
z głównego centrum dowodzenia

zmieniono jej tożsamość
Juliette tożsama jest z metalem pistoletu
co zapewnia jej stuprocentową skuteczność

strzela wyłącznie na dystans

w razie potrzeby wyprze się wszystkiego
zaświadczy
że to przecież nie ona

Wyprawa na koniec świata

Jestem święcie przekonany, że gdyby zrobić sondę wśród mieszkańców gminy Lubsko, zadając im pytanie, gdzie leżą Janowice, większość nie miałaby pojęcia o lokalizacji tego przysiółka. O takich wsiach mówi się przeważnie: dziury zabite dechami, ptaki tam zawracają lub – bardziej wulgarnie – psy tam przyrodzenia-
mi (mówiąc delikatnie) wodę piją. Gdy dostałem od naczelnego zlecenie na reportaż o tej miejscowości, kojarzyłem, że leży gdzieś koło Lutolu, jednak pomyliłem ją z Malwicami, w których też nigdy nie byłem. W atlasie samochodowym wydanym przez warszawski GeoCenter w roku 1994 miejscowości o takiej nazwie koło Lutolu nie znalazłem.

Po drodze do celu swojej podróży zachodzę na piwo do sklepu w Lutolu, by zasięgnąć języka i spytać o dalszą drogę. W Janowicach zwanych niegdyś Janówką nie ma sklepu. Nie ma też sołtysa, gdyż administracyjnie przysiółek podlega pod sołectwo w Lutolu, więc może być problem, by z kimś porozmawiać, zwłaszcza że moja fizjonomia raczej nie wzbudza zaufania.

– A gdzie się tam pan wybiera? – pyta jeden z mężczyzn kończący pić piwo, gdy mówię mu o celu swojej podróży. – Toż to jest już koniec świata. Tam drogą się kończy.

Po chwili dosiada się do mnie inny mężczyzna.

– Tam teraz tylko pięć obejść zostało. Kiedyś było znacznie więcej. Pięć domów, a trzy wyznania, bo są katolicy, świadkowie Jehowy i prawosławni, Białorusin, gdzieś w Żarach pracuje, ponoć nauczyciel.

Sołtys Lutolu Teresa Rałowiec, która mieszka w tej wsi od 1975 roku, pamięta, że kiedyś gospodarstw w Janowicach było więcej.

– Od czasów powojennych z tego, co się orientuję, w Janowicach rozebrano osiem gospodarstw. Najwięcej na ten temat mógłby powiedzieć mieszkający na końcu osady Benedykt Malinowski. On mieszka tam najdłużej, dom odziedziczył po rodzicach. Pozostali mieszkańcy Janowic osiedlili się tam znacznie później.

– Za boiskiem skręć w lewo jakieś półtora kilometra i będzie Janówka – nawet nie zauważyłem, jak z moim rozmówcą przeszliśmy na ty. I jak tu nie stwierdzić, że alkohol zbliża ludzi. – Tam taki drogowskaz zielony będzie.

Rozleniwiony październikowym słońcem i wypitym piwem powoli podnoszę się z ławki. Robotę trzeba zrobić, a dzień coraz krótszy. Idę w kierunku, który wskazał mi znajomy spod sklepu. Dochodzę do boiska, na rozstajnych drogach widzę drogowskaz z napisem Janowice 2,7. Miało być półtora klocka – myślę wkurzony. Postanawiam liczyć kroki, jednak wkrótce od tej czynności odrywa mnie telefon. Idę połą drogą wzdłuż nieskoszonych pól kukurydzy. Jeśli w Janówce jest pięć domów, to szansa złapania stopa jest niemal równa strzelenia szóstki w totolotka. Po minięciu kilku zakrętów i upływie niemal pół godziny widzę w oddali budynki po prawej stronie drogi.

Zanim wszedłem do osady, drogę przebiegło mi stado kóz. Chciałem zrobić im zdjęcie, jednak okazały się za szybkie. Wita mnie drewniana tablica z wyrzeźbioną dawną nazwą wsi Janówka. Na podwórku przed pierwszym domem nie ma nikogo, w obawie przed psami postanawiam nie wchodzić. Przed drugim

domem stoi kobieta w średnim wieku. Gdy pytam, czy mogłaby ze mną zamienić kilka zdań, gdyż piszę artykuł o tej miejscowości, odpowiada, że nie ma czasu i odsyła mnie do sąsiadki mieszkającej dom dalej, która jest członkiem rady sołeckiej. Po chwili pod jej dom podjeżdża duże terenowe auto, dwaj mężczyźni w myśliwskich strojach wyciągają z niego motocykl.

– A ten pan tutejszy? – pyta starszy z charakterystycznym zabużańskim akcentem kobietę stojącą przed domem.

– A co? Nietutejsi potrzebują paszportu, by tu przebywać? Czy mają zakaz wstępu? – odpowiadam wyzywająco pytaniem na pytanie wkurzany, że nie mogę złapać języka.

– A czemu zaraz zakaz, panie? Tak tylko spytałem – odpowiada mężczyzna zmieszany.

Po lewej stronie drogi znajduje się tablica przystanku autobusowego. Przy niej trzy drewniane toporne ławeczki. Jednak żaden autobus liniowy nigdy tu nie dotarł, kursują jedynie te dowożące dzieci do szkół. Nie ma też wody, więc mieszkańcy zdani są na przyłącza z przydomowych studni, o gazie czy kanalizacji nawet nie ma co wspominać. Szerokopasmowy światłowód też Janowice ominął.

W trzecim domu mieszka Małgorzata Michałkiewicz, która reprezentuje przysiółek w radzie sołeckiej Lutolu. Podchodzę do płotu i przekrzykując szczekające psy, wołam krzątającego się na podwórku młodzieńca, od którego dowiaduję się, że ciocia pracuje w szkole i do domu przyjeżdża tylko na weekendy, a on za wiele mi też nie może powiedzieć, gdyż mieszka na co dzień w Zielonej Górze.

Ruszam dalej, w oddali po lewej stronie widzę jeszcze dwa domy. Podchodzę do pierwszego, gruntownie odremontowanego, w oczy bije wschodnia ornamentyka. Tu zapewne mieszka ów Białorusin, o którym słyszałem pod sklepem w Lutolu. Dzwonię raz i drugi, czekam pięć minut, nikt nie otwiera. Został mi jeszcze ostatni dom, to zapewne dom Bońka – jak mówią o Benedykcie Malinowskim. Od niego mógłbym się zapewne dużo dowiedzieć. Też echo. Dochodzę do końca osady, piaszczysta droga zmienia się w leśny dukt i znika w lesie. Karłowate sosny wzerają się zakolami w piaszczyste pole. Pora wracać, za jakieś pół godziny będę pod sklepem w Lutolu.



Nie mam szalika

Nie mam szalika, kochany,
a idzie zima.

Nie mam szalika, kochany – powtarzam – marznę od środka.

Masz ten zielony – mówisz – masz ten... czerwony... i ten brązowy... – mówisz
i milkniesz,
a ja marznę jeszcze bardziej w cieniu twoich słów.

Nie mam szalika, kochany – powtarzam – jest mi zimno.

Masz ten... – mówisz – masz ich dużo, w szafie – mówisz
i milkniesz,
a ja nie czuję już stóp.

Nie mam szalika, kochany – powtarzam... nie mam...

Masz ten... – mówisz – jeśli nie masz, kup sobie nowy – mówisz
i milkniesz,
a ja mam sine usta.

Nie mogę przecież kupić twoich rąk.

Dziki ptak

Ptakiem wolnym
ptakiem byłam
ptakiem dzikim
pięknym w swej dzikości

Najpierw zamknięto mnie w klatce
karmiono ziarnem
najpierw ze spodka
potem z dłoni

Przez metalowe pręty
patrzyły na mnie niebieskie oczy
niebo – myślałam
i próbując rozprostować skrzydła
chciałam znów wzlecieć do tego błękitu
skrzydła uderzały o metalowe pręty
bolały

Potem zaczęły wypadać pióra
zanurzałam je w zielonym atramencie
i myślałam – las

Na białej powierzchni kartki wyrastał las
przez chwilę słyszałam jego szelest
i swoją uśpioną dzikość
ale ogień zniszczył mój las
ręce które sypały ziarno do mojej klatki
wznieciły ogień

Wtedy wyrwałam sobie pozostałe pióra
i wylałam zielony atrament

Już więcej nie podpalisz lasu!

Krzyczały resztki mojej dzikości

Na końcu obcięto mi skrzydła
i wtedy zobaczyłam
że klatka jest otwarta

Tylko po co?

Zmartwychwstanie

A kiedy z ostatnim tchnieniem
etylowego oddechu
krzyknąłeś
Eli Eli lama sabachthani
pozszywałam twe krwawiące rany nicią słów
obmyłam twoje udreżone ciało lśniąca
między nimi bielą
namaściłam wonnościami dłoni
zabalsamowałam solą łez
okryłam całunem tkanym o świcie z przędzy Arachne
i czekałam
czekałam na twoje zmartwychwstanie
a kiedy dnia trzeciego otworzyłeś oczy
przeraziła mnie ich pustka pozostała
po uśmierconej miłości

Smak samotności

Jestem głodna
zapach parującej zupy przelewa się żółcią
do żołądka

Jestem głodna
ale jak tu jeść kiedy
obok puste miejsce przy stole wciąż czeka

Jestem głodna
lecz zwlekam patrząc
obrażonym wzrokiem na nieruchomą łyżkę

Jestem głodna
wytrzymam jeszcze chwilę trwającą
czternaście stopni po schodach

Ja naprawdę jestem głodna
Słyszysz?
Przyjdziesz?
Nie?

Już ostygła...
zimna...
tak smakuje samotność

Daria Wolanin

Wielkie otwarcie

Należało upamiętnić ten moment. Wszyscy wyszli, aby uwiecznić go na zdjęciu. Stoją niczym kukiełki – ustawione, zastygłe. Nawet swobodna postawa chłopca wydaje się wyreżyserowana. Szprotawski rynek znieruchomiał. 1924 rok. Obrazek niczym z filmu *Kochaj albo rzuć*. Zamiast traktora – samochód, zamiast telewizora – no cóż... Cała Cukiernia i Kawiarnia Oskara Franka. Na twarzach bohaterów rysuje się zadowolenie i duma. Udawana naturalność zachęca przyszłych klientów do odwiedzenia nowo powstałego miejsca.

Zastanawiające jest tylko jedno. Czy mieli oni świadomość istnienia dziewiątego statysty? Baczneho obserwatora, który zdziwiony widowiskiem na dole postanowił zaspokoić swoją ciekawość? Może i mieszkańca kamienicy, który znużony po wielomiesięcznych remontach w końcu może otworzyć okno. Koniec z hukiem, stukaniem i dudnieniem. Można odetchnąć spokojnie. Nie, na dole kolejne przedstawienie.



Nieznajoma dziewczyna

Pałęm papierosa, strącając co jakiś czas popiół na kostkę brukową. Siedziałem nad czarną kawą w kawiarni Rosa, mieszczącej się przy ulicy Żeromskiego, w samym centrum miasta. Promienie czerwcowego słońca pieściły moją twarz.

Tydzień temu zostałem skreślony z listy studentów Wydziału Humanistycznego miejscowego uniwersytetu. Kończyły mi się pieniądze od rodziców, a za dwa tygodnie przypadał termin opłacenia czynszu. Musiałem jak najszybciej zdobyć pieniądze na utrzymanie, chcąc nadal mieszkać w tym mieście.

W tamtym momencie myślałem jednak tylko o tym, jak przyjemna jest pogoda i jak bardzo smakuje mi papieros wraz z kawą w samo południe.

Odwrociłem głowę i zatrzymałem wzrok na twarzy jednej z kelnerek. Miała kruczoczarne włosy zaczesane do tyłu i przypominała mi kogoś. Byłem przekonany, że widziałem ją już wcześniej. Może na uczelni, lub gdzieś w klubie. Starąłem sobie to przypomnieć. Wtem ktoś podszedł do mojego stolika.

– Może pan użyczyć mi telefonu? – powiedziała do mnie nieznajoma dziewczyna.

Obrzuciłem ją wzrokiem zaskoczony tą propozycją. Była mniej więcej w moim wieku, może kilka lat starsza. Miała owalną twarz i kręcone blond włosy zaczesane na boki. Jej oczy były dziwnego, nieokreślonego koloru. Przypominały kota, inteligentnego, ale zarazem zdradzieckiego i przebiegłego. Nie wzbudziły mojego zaufania. Chyba to odkryła, bo w tym samym momencie uśmiechnęła się.

– Chcę tylko zadzwonić do znajomego. Okradziono mnie na dworcu i nie mam jak się z nim skontaktować, a nie znam nikogo w tym mieście – dodała.

Jeszcze raz przyjrzałem się jej postaci. Zauważyłem, że ma na sobie długi, beżowy płaszcz, zupełnie nie na miejscu o tej porze roku. Nie miała też ze sobą żadnych bagaży ani torebki.

– Proszę usiąść – odparłem, wskazując ręką miejsce naprzeciwko.

Zrobiła to z gracją i lekką niepewnością. Po chwili nachyliła się na stolikiem, na którym spoczęły jej łokcie.

– Może na początek napije się pani czegoś? – zaproponowałem.

– Nie, chcę tylko zadzwonić – odparła.

Wyciągnąłem telefon i podałem jej go do ręki. Szybko wystukała znany sobie dobrze numer na klawiaturze i zastygła w oczekiwaniu. Obserwowałem to w milczeniu i wielkim zainteresowaniu. Dawno nikt nie prosił mnie o pożyczanie telefonu, a szczególnie dość interesująca kobieta.

– Gdzie on może być? – powiedziała na głos.

Domyśliłem się, że nie może się zadzwonić do swojego znajomego. Próbowwała jeszcze kilka razy, a ja w tym czasie spaliłem papierosa i wypięm kawę. Na jej twarzy odmalowało się zwiępienie.

– Może ma pani ochotę coś zjeść? Może w tym czasie znajomy odezwie się? – zapytałem.

Wtopiła swój wzrok we mnie, jakby zobaczyła mnie po raz pierwszy. Nie czułem się zbyt pewnie, choć nie miałem ku temu przesłanek.

– Tutaj czy gdzie indziej? – odparła.

- Niedaleko, z chęcią tam panią zaprowadzę.
- Dobrze, ale żeby nie było zbyt daleko – podsumowała.

Wszedłem do środka kawiarni i uregulowałem rachunek. Obserwowałem przez oszklone drzwi, jak stoi na zewnątrz, prezentując się dość komicznie w jesiennym, długim płaszczu ze swoimi rozwichrzonymi, bujnymi włosami.

Podszedłem do niej, a ona złapała mnie pod ramię. Poprowadziłem ją w kierunku pomnika Bachusa, a później skręciliśmy w dół ulicy Kupieckiej, która była o tej porze dość zatłoczona. Przemykaliśmy się pomiędzy spacerującymi, wciąż trzymając się blisko siebie.

W końcu znaleźliśmy się w wąskim przejściu pomiędzy kamienicami. Przemierzyliśmy je i znaleźliśmy się na parkingu przy Filharmonii. Obok betonowej ściany jednego z budynków stała od zawsze czerwona budka z jedzeniem.

Nie pytając jej, zamówiłem dwie zapiekanki z podwójnym serem i butelkę coli. Wiedziałem, że to jest najlepsze danie w tym miejscu.

Usiedliśmy na plastikowych krzesłach, pod prowizorycznym daszkiem, zrobionym z niewiadomego pochodzenia blachy. Jadła z ochotą, rzucając mi co jakiś czas ciekawskie spojrzenie. Nie odzywałem się, choć miałem na myśli chyba milion pytań.

W końcu nie wytrzymałem i gdy pochłonęła ostatni kęs, odezwałem się.

– Jak pani ma na imię, jeśli można wiedzieć?

Obrzuciła mnie nieufnym spojrzeniem, jakby miało to bardzo duże znaczenie.

– Juliette, przez dwa „t” – odparła, wrzucając papierową serwetkę do kosza na śmieci.

– Naprawdę? To dość niespotykane – powiedziałem zaskoczony. – Jest pani może Francuzką?

W tym momencie wstała i rozejrzała się po okolicy, ze zdziwieniem na twarzy, typowym dla osoby, która jest pierwszy raz w obcym mieście.

– Moja matka jest Francuzką. Urodziłam się tam – powiedziała z wyraźną nutą niechęci. – Mogę jeszcze raz zadzwonić?

Bez komentarza oddałem jej swój telefon. Poczułem do niej nagłą sympatię i ciekawość. Może spowodowało to francuskie imię, które równie dobrze mogło być zwykłym kłamstwem, a może coś innego, czego nie mogłem jeszcze określić. Wiedziałem tylko, że chciałem spędzić z nią jeszcze trochę czasu. Choć kilka godzin.

Po chwili z satysfakcją stwierdziłem, że nadal nie może skontaktować się ze swoim tajemniczym znajomym. Poczułem, że mogę wykonać kolejny ruch.

– Juliette – zacząłem, wymawiając z satysfakcją jej imię, po raz pierwszy zwracając się na „ty”. – Czy nie masz ochoty towarzyszyć mi w niedalekim spacerze?

Stała blisko mnie i zamknęła oczy. Nie wiedziałem, co robi. Wyglądało, jakby zaczęła się modlić lub medytować. Ułożyła ręce na swojej głowie i przez kilka minut stała tak w milczeniu. W końcu otworzyła szeroko oczy i powiedziała krótko:

– Tak, nie mam innych planów.

Poszliśmy w górę, w kierunku kościoła Matki Boskiej, trafiając w końcu na ulicę Jedności. Trzymała mnie pod rękę, jakby była moją narzeczoną lub daleką kuzynką. Skręciliśmy w lewo i trafiliśmy na sklep z antykami, znajdujący się przy ulicy Reja.

Tydzień temu u właściciela tego sklepu zostawiłem kilka rzeczy do wyceny, które udało mi się kiedyś przywieźć ze strychu domu należącego do moich dziadków. Odebrałem czterysta złotych, z których się ucieszyłem. Pozwalały mi przynajmniej na dwa tygodnie życia, ale wciąż musiałem myśleć o podjęciu pracy. Inaczej będę musiał opuścić to miasto, które coraz bardziej mi się podobało.

Postanowiłem, że zabiorę ją do Palmiarni. Kręciła z zaprzeczeniem głową, mówiła coś o pociągu, policji, telefonie, znajomym, ale w końcu zgodziła się.

Siedzieliśmy na leżakach, rozstawionych na wzgórzach, skąd mieliśmy piękny widok na winnicę i rozległą panoramę miasta. Spodobało jej się to. Pytała mnie o każdy budynek, a ja z radością jej odpowiadałem, zdając się na swoją wiedzę i wyobraźnię.

Tak zastał nas zmierzch. Poczulem na ciele chłód, a ona jeszcze bardziej otuliła się tym okropnym płaszczem. Wpatrywaliśmy się w piękny zachód słońca, myśląc o tym, co zrobić dalej.

Łapałem ją za rękę i postanowiłem zabrać do siebie. Przeszliśmy przez ulicę Kupiecką i skierowaliśmy się w lewo. Przecieliśmy zaniedbany plac Matejki, a na jego końcu skręciliśmy w jedną z bram.

Stanęła w ciemności przed drzwiami, a ja zdenerwowany nie mogłem odnaleźć włącznika.

– Tutaj mieszkasz? – spytała, jakby nie mogła w to uwierzyć.

Zapaliłem żarówkę, ale nie odpowiedziałem. Poprowadziłem ją do wnętrza i schodami na pierwsze piętro, pod numer szesnaście.

Weszliśmy do mieszkania, które miało jeden duży pokój, połączony z kuchnią i małą oddzielną łazienką. Ściany były białe, a w środku tylko kilka mebli. Stare biurko, na którym stała maszyna do pisania, wysoka lampa, szafa z lustrem zamontowanym na zewnątrz i materac do spania.

Bez słowa położyła się, nie zdejmując płaszcza. Po chwili zrobiłem to samo, czując jej oddech i zapach. Zamknęła oczy i zaczęła nucić jakąś piosenkę, którą chciałem odgadnąć, ale nie udawało mi się to. Śmiała się ze mnie. Szybko zasnęliśmy, trzymając się za ręce.

Obudziła mnie następnego dnia już przed szóstą rano. Wstała wcześniej i zrobiła jajecznicę. Wciąż była w płaszczu. Powiedziała, że musi już iść. Nalegałem, żeby jeszcze została. Uparła się jednak i stwierdziła, że dłużej tu nie zostanie.

Zapisałem jej na skrawku serwetki swój numer. Z portfela wyciągnąłem dwieście złotych i wręczyłem, mówiąc, że to na bilet. Schowała pieniądze do kieszeni płaszcza i podziękowała.

Powiedziała, że się odezwie i wyszła. Juliette.

Opowiadanie otrzymało nominację do nagrody w konkursie na tekst literacki o tematyce zielonogórskiej Towarzystwa Miłośników Zielonej Góry „Winnica”.



Czuwanie

Nie mogę zasnąć
bez Ciebie,
Twoje fotografie na
prześcieradle,
ich zapach
próbuję rozmazać
papierosowym dymem,
zaglądam
do miasta książek
i szukam intymnego
dialogu,
lecz kończę zaledwie
na atrapach słów.

Gaszę papierosa,
gaszę światło
i staram się zwinąć
w bezmyślność,
wstaję,
nie mogę zasnąć
bez Ciebie.

Kocham cię tak jak potrafię

kocham Cię tak
jak kochać potrafię

cienie w pokoju z martwym światłem
ingerencja ulicznych strażników
wewnątrz i zewnątrz
hartowanie serca

niewyraźne postacie na szarych ścianach
kolaż odzwierciedleń i przypomnień
magnes odczuć
moc nieświadomości

muzyka na niemych ustach kobiety
stocznie bólu i tęsknoty
zewnątrz i wewnątrz
kolaż namiętności

siła pragnień

krzyczę
na szerokość gardła

czuję
na objętość zakwitania

płaczę
na głębokość wilgoci

czasem diabły
a czasem anioły tańczą na suficie
kocham Cię tak
jak kochać potrafię

(wiersze pochodzą z tomiku *Partes Corporis, Anima Fragmenta...*, który ukaże się w grudniu 2017 r.)

W drodze za Dalnię. 1945

Tak się zagadaliśmy z panem M., że w pewnej chwili straciłem rozeznanie, gdzie jesteśmy. Wszystko wokół było jednakowe. I zagajniki, i nieurodzajne pagórki, i niebo nad nami zewsząd majowo błękitne. Niby to jeszcze moje strony, mazowieckie, a jednak zabłąkałem się jakoś w mojej głowie i zupełnie nie wiedziałem, gdzie jesteśmy.

Ale nie wiedzieć, gdzie się jest, to zawsze szaleńcza przygoda, wiadomo. Kiedyś nawet nie wiedziałem, w jakim jestem... państwie! I musiałem w Górach Ardenach rozpytać w karczmie, czy to jeszcze Francja, czy Belgia, czy może już Księstwo Luksemburg! Są jednak pewne granice szaleństwa. Tym bardziej u siebie, we własnym kraju. Granice niewidzialne, tak zwanego dobrego smaku, kiedy się należy opamiętać w całym zawirowaniu podróży, w prześmiesznej błazenadzie zwanej życiem, i wylądować na twardej ziemi.

Szczęśliwie na czas w sukurs mi przyszła daleka postać. Daleka i mała jak przecinek. Ktoś ledwo widoczny, ot, taka migawka w Kosmosie, niewiele więcej. I poprosiłem pana M., by na nią skierować nasze siwki.

Stary człowiek, który stał z grabiami na skraju pola, był ubogo ubrany. Samodziałowe ubranie wisiało na nim szarawo i smutno, powojennie. Na nosie miał kościane okulary, najwyraźniej pęknięte nad nosem, bo gęsto przewiązane były tam brudną dratwą. W całej swej ubogiej posturze i odzieniu ów ktoś bardziej przypominał stracha na wróble niż ludzką istotę. Może w istocie był strachem? A może człowiekiem przydrożnym, których kiedyś było wielu? Stali na rozstajach i za mały grosz albo zdrowaśkę za ich dusze bezbłędnie wskazywali kierunek. Kto wie, może stary człowiek był jednym z ostatnich takich ludzi?

Postanowiłem spytać go o drogę. O drogę na Dalnię, za dalniejskie pola i jeszcze dalej. I jeszcze dalej. W stronę Königsbergu. Bo za Dalnię to już jeden krok, rzut beretem w ten inny, lepszy świat. Za Dalnię od zawsze kończyły się wszystko znajome i tam jakby urywała się kula ziemiska i była przepaść w zasobniejszy, jak się jeszcze przed końcem świata zdawało, ni to polski, ni pruski kraj. Świat niepokojący, graniczny. I lepszy niż ten, z którego się wyruszyło. Graniczny świat jest zawsze lepszy niż nasz własny. Nikt nie wie dlaczego. O drogę w taki świat go spytałem.

Starzec najpierw obejrzał mnie mocno zaciekawiony. Potem przeniósł wzrok na nasz wóz cyrkowy. Otaksował go dokładnie, pokiwał głową z uznaniem, że – fiu, fiu! – bardzo mu się podoba. A potem znowu spojrzął na mnie i sękatym palcem pokazał ścianę drzew.

– To są lasy poczynające się od górki, zwanej Rusnową, do Lisich Jam – powiedział. – Dalej trzeba do Studzianki. Po czym, za Studzianką, bżami wzdłuż Lipin do granicy Strzałkowa. Calutki czas, ma się rozumieć, jadąc drogą wiodącą od strony Drogiszek, nie inaczej. A kiedy po kwadransie z okładem mijać będziecie leśną kapliczkę, z której stare wiatry dawno wywiały Frasobliwego, to ani chybi będzie to już tuż tuż. Ta granica. Znaczy się, przed wojną to było tam, ale dziś?... – Starszy pan tylko wzruszył ramionami. – Tylko trzeba tam dotrzeć przed nocą, bo inaczej zblądziecie.

Nie będąc do końca przekonany, czy wszystko dobrze rozumiałem i zapamiętałem, zdawkowym uchyleniem kapelusza podziękowałem staruszkowi i kazałem ruszać.

– Stara kapliczka! – zawołał jeszcze za nami. – Z sosnowego pnia! I pusta! To jeszcze powinno być tam! I rzeczywiście, przydrożny człowiek miał rację. Za kapliczką był zakręt. Piaszczysto wnikał w ciemny bór. I tam trzeba było wjechać. O ile ktoś się nie bał. A myśmy się przecież nie bali. Bo kto by się bał, przeżywszy taką wojnę jak nasza? Kto by się jeszcze czegokolwiek potrafił przestraszyć?! Pan M. tylko rażno spał siwki i wjechaliśmy. Zazieleniło się nad głowami leśną ciemnością. Wilgotne powietrze dotknęło naszych twarzy. Zewsząd zapachniało żywicznie, grzybowo i tajemniczo. Ciemne gałęzie i tylko chrzęst chrustu pod kołami, jak w baśni zza siedmiu gór. Wjechaliśmy w baśń i od razu wszystko stało się jasne. Tak się wkracza w nieznane. W prawdziwe nieznane. Najprawdziwsze. Tak się wkracza w baśń, prawdziwszą niż życie.

– Ale tu straszno... – szepnęła mi za plecami Anielka. – I tak ciekawie. Jak u braci Grimm.

– Teraz już tak będzie zawsze – odszepnąłem jej z mrugnięciem oka.

Bór kończył się na skraju jakiejś wsi. Jej zabudowania różniły się od tych sprzed boru, czyli mazowieckich. Nie były już drewniane, kryte strzechą i podparte byle czym, ale ceglane, szachulcowe i na kamiennej podmurówce. Zabudowania, że ho ho! A niebo owe domostwa drapały skośnymi dachami ze starannie ułożonej dachówki. I już na pierwszy rzut oka było jasne, że borem wjechaliśmy do Prus.

Patrzyłem na mijane zasobne siedliska i taka mi myśl świtała w głowie, że oto po wielu latach znów jestem w Niemczech. Poczułem, jak znów zaczyna mnie otaczać ten systematyczny i przewidywalny świat. Ten świat, w którym zawsze dwa plus dwa znaczyło cztery i w żaden sposób nie mogło być inaczej. Tylko że teraz... Z tym jednakże obecnie wyjątkiem, że dziś to już nie miały być Niemcy, które dobrze znałem, ale Polska. Taka Polska, której, o dziwo, znać jeszcze nie mogłem. Przedziwne wrażenie. Być w jednym państwie, a zarazem w innym.

Wrażenie owo było tym dziwniejsze, że jadąc wzdłuż wsi, nie spotkaliśmy żywej duszy. Nawet byle kura nie zagdakała, nawet pies z kulawą nogą nie zaszczekał. Pusto tu jak po epidemii. Niemców wypędzono w diabły, a nikt ze starej Polski nie kwapił się z osiedlaniem. Pozostały zabudowania, obejścia, obojętne i niewinne z natury. Bo czy można taką, dajmy na to, stodołę postawić w stan oskarżenia za komory gazowe? Albo oziminę, zasianą jeszcze niemiecką ręką, a teraz rosnącą majowo, osądzić i skazać za warszawskie getto? Nijak nie można, a nawet nie wolno. Nie wolno sądzić przedmiotów za ludzkie grzechy. Zły człowiek wywołał tę wojnę, a potem drugi zły człowiek pogmatwał, zamącił brudnym paluchem na mapie granice i oto teraz znaleźliśmy się razem w tym dziwnym miejscu. I nie bardzo wiemy – ta stodoła, ta ozimina i my, ludzie – co dalej. Jak się odnaleźć? Jak na nowo opowiedzieć sobie świat? Żeby wszystko wróciło w dawne, nowe kontury, przeistoczyło się w zarysy życia potocznie zwanego normalnym. Takie myśli wierciły się w mojej głowie, gdy mijaliśmy kolejne, nieme i bezładne siedliska.

Na nocleg postanowiliśmy się zatrzymać w pierwszym z brzegu zabudowaniu. W okazałym gospodarstwie, z domem pięcioizbowym, oborą murowaną, stodołą, że we dwa konie można by zawrócić, maneżem nieporzdzewiałym i studnią na dwadzieścia kuf! A i jeszcze warzywniak, i okazały kawałek sadu, i gołębnik. Wszystko pogrodzone jak się należy. Sztachety wzmocnione kowalską robotą. Brama i furtki na żelaznych zawiasach. Wszędzie zamki na klucz, a wszystkie klucze schludnym rzędem na haczykach w kuchni tuż przy wejściu. Wydawało się, że jeszcze drżą, jakby ktoś je tam zawiesił pięć sekund temu, a przecież od wyzwolenia to zaraz będzie czwarty miesiąc. Ależ gospodarstwo! Mucha nie siada. Tylko że wszystko tu jakież takie... – pomyślałem sobie. – Wszystko tu na wskroś nie nasze, obce, zimne, niemieckie.

Nie mogąc w nocy zasnąć, rozmyślałem. Może właśnie gdzieś tu albo na innym skrawku tak zwanych Ziemi Odzyskanych w czyjejś głowie, podobnie jak w mojej, powstaje dziwny mętlik. A w mętliku tym uparcie zaczyna krążyć nowe słowo: „poniemiecki”? Żeby nazwać dom, maszynę, aparat czy jakiś inny sprzęt, które zrządzenie historii daje nam w ręce. I zaczyna rodzić się w tym słowie „poniemiecki” jakaś bolesna sprzeczność, która nigdy już nie będzie dawała spokoju. Że coś jest lepsze, solidniejsze, lepiej pomyślane niż polskie. Lepsze, bo niemieckie. A zarazem gorsze, fałszywe, agresywne, bo... niemieckie. Pomyślałem sobie, że powiedzmy,

za jakieś dwadzieścia lat stolarz spod Płocka będzie wsuwał deskę w starą heblarkę Kruppa i nadziwić się nie będzie mógł, że bez ostrzeżenia ciągle szlifuje, że ganc pomada! A jednocześnie, jak go kto zapyta, co to za maszyna, co tak pięknie hebluje, machał będzie ręką, że to takie tam, poniemieckie gównno!... Albo dzwon w kościele w Strzegowie. Ktoś pojechał aż za Soldau, czyli Działdowo, na szaber. Zdjął z pierwszego lepszego ewangelickiego kościoła dzwon, otulił słomą i furmanką przywiózł do Strzegowa, zawiesił i po dziś dzień dzwoni jak ta lala. Ale przecież, gdyby to był dzwon rodzimy, odlany z naszych żelazek z duszą, móżdżerzy, kluczy i wszelkiej mosiężnej drobnicy, dzwoniłby o całe niebo piękniej, prawda? Bo po polsku. A tak, to ten, co dzwoni, owszem, dzwoni dobrze, prawidłowo i punktualnie, ale przecież nikt mu nigdy nie zapomni, że jest poniemiecki. I zawsze będzie podejrzany. A jak za pięćdziesiąt lat podczas procesji urwie mu się serce i o mały włos kogoś nie zabije, wszystko stanie się jasne. Serce się urwało i upadło dwa kroki od dziewczynki sypiącej kwiatkami! Przypadek? Wcale nie. Co się dziwisz, to przecież... poniemiecki dzwon. Ale dlaczego tak się przyczepiłem do tej poniemieckości? A to co na wskroś polskie to niby jakieś lepsze?

Nazajutrz jechaliśmy z panem M. dalej. Brzóska samosiejki, pola, zagajniki. Majowy świat gdzieś pod Nidzią. Pan M. powoził, a do mnie powoli dochodziło coś bardzo ważnego. Kimże właściwie jestem, żeby tak o tym wszystkim niemieckim, poniemieckim myśleć? Skoro wszystko już dawno się poplątało. Bo na przykład mój własny życiorys. Groch z kapustą, jakiś mętnawy amalgamat, a nie prawdziwe życie. Urodziłem się w Elblągu, kilka przecznic od domu, w którym mieszkała matka Angeli Merkel. Mój dziadek, który przed wojną skończył w Berlinie szkołę budowlaną, tak samo dobrze mówił po polsku, jak i po niemiecku. A swojej młodszej córce, urodzonej na Mazowszu, dał na imię Berta. Kim właściwie był? Kim się wewnątrz czuł, skoro ledwo skończyła się wojna, natychmiast osiedlił się w Szczecinie, o którym w czterdziestym piątym roku nie do końca było wiadomo, czy będzie w granicach Polski. Czego tam tak naprawdę szukał? A ja? A ja się wychowałem na Mazowszu, a potem wyjechałem na długo do Francji. Czasem łapię się na tym, że znając ten język, myślę po francusku. W „słodkiej” Francji spotkałem kobietę, która jest matką mojego syna. Mój syn jest Francuzem i mieszka w Prowansji. Ale zanim dorósł i zanim rozstałem się z jego matką, w ciągu dziesięciu lat przeprowadziliśmy się osiem razy! Najpierw był Kraków, potem Myślenice, potem kemping w Taradeau, następnie La Motte-en-Champsaur w Alpach, potem Płońsk, Warszawa, Falenica i znowu wylądowałem w Płońsku. Teraz pytam siebie: do czego mam tęsknić, gdzie ma mnie ciągnąć, gdzie gnać? Gdzie właściwie jest moja mała ojczyzna? A to duża to... która? A na dodatek przez piętnaście lat byłem księdzem, a potem już nie byłem. I co z tym wszystkim zrobić? Przecież jestem za jednym zamachem poniemiecki, pofrancuski, pokapłański i popolski... Zatraciłem tożsamość. Jestem nikim.

– O czym pan tak długo milczy, panie Rysiu? – nagle zagadnął mnie pan M.

– Dobre pytanie, panie M. ...Wie pan, tak sobie rozmyślam o Dalni.

– Ale Dalnia to już dawno za nami – zdziwił się pan M.

– Jest pan pewien?

– Na sto procent.

– A może krążymy w kółko i zaraz za zakrętem, o, za tym, znowu będzie Dalnia?

Pan M. popatrzył na mnie dziwnie, spiął konie i pojechaliśmy dalej. Pojechaliśmy dalej. I tak sobie jedziemy do dziś.

Opowiadanie zdobyło wyróżnienie w XVIII Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Eugeniusza Paukszty „Mała ojczyzna – pogranicze kultur i regionów”.

Kobieta

Wstaje regularnie z pościeli
Podnosi się ze snu
Zazwyczaj przed siódmą
Potem w łazience kilkanaście chwil
W kuchni kawa chleb na korytarzu płaszc
Otwiera szufladę z kobiecymi drobiazgami
Szuka małej kartki w torebce
W lustrze przygląda się sobie
Szuka klucza przed wyjściem
Obiecała przynieść książki
Więc nie odwleka
Po chwili wraca jak zamacona
Sprawdza czy wyłączyła żelazko
I gaz pod czajnikiem
Po raz kolejny zamyka drzwi
Sprawdza godzinę
Ktoś pyta jaki jest dzień
Więc jest czwartek
Buty są beżowe i błyszczące
Oczy szare torebka w ręce
Ale kiedyś to się skończy

Koncert

W cieniu rozkwitłych bzów ptasi koncert
Popisy fioletów zmieszanych z zapachem
Amoniak widać i słysząc pustkę
Kubły opróżnione ze śmieci
Na bruku od rana dźwięczą
Czekają na nowe dostawy w torbach z folii
Ludzie postarają się
Przyniosą kartony gwiazd resztki chleba
Opróżnione butelki i lży tu znajdą schronienie
W pobliżu ktoś szamocze się w niepewności
Patrzy w strachu na swoją najciemniejszą noc
Wychudłe cienie przemykają chyłkiem
Chrapliwe głosy grają niezły koncert
W zaułkach ginie wczorajsza świeżość
Poorana twarz ubrana w łachman
Gra o następny dzień zetlałej euforii
Tej samej śpiewki jak wczoraj
Aby tylko coś zasiłło konto lub dłoń
Monety dzwonią w odprowadzanych koszykach
Wtedy nachalnie przed marketem wyciąga ręce
Po okruch ludzkiej dobroci
Podnosi z zapałem po męsku
Niedopalony papieros rzucony w pośpiechu
Wtapia się w liście bzów w zaułku
Swoim ukłonem chce wygrać ludzką naiwność

Wiersz

Dni poukładane
No prawie
Reszta skrzętnie schowana
Dobrotliwie zamilkła

Odpuścili wspomnienia
Przypomnienia złych godzin
Straciły swoją moc
Nawet nogi to wiedzą

I drzewa są na miejscu
Wróciły z dalekiej podróży
Nie zaginęły w porywach wiatru
Żeby jeszcze kwitnąć jak te drzewa

Jeszcze nie

Była nieufna
Ale życie przyjmowała z uporem
Wszystkie rozczarowania i kruchości
Miała taką kobiecą siłę
Pielęgnowała swój sen
Stół i chwile ciszy
Odgarniała niepokój z twarzy dziecka
Jak natrętne muchy
Robiła wszystko co się dało
By zachować spokój na twarzy
I trochę piękna w kwiatach
Koszule bluzki i obrusy
Wypierała z trosk brudów i plam
Próbowała z wielu pozorów
Układać każdy dzień przed sobą

Była cieniem nocy
Zmieniona w niewidzialną łzę
Dotknięta wszędobylskim losem
Poturbowana krzywymi spojrzeniami
Od świtu rozpałała domowe ognisko
By chociaż jedna iskierka
W mroku dodawała otuchy

A twarz miał anioła

Bogumił Dobrowolski jak co niedzielę w południe stał na ambonie, głosząc kazanie do wiernych. Był proboszczem w parafii Anioły od niedawna, ale prostym obyciem i ludzkim podejściem do człowieka zdążył już sobie zjednać przychylność parafian. Za kołnierz nie wylewał, z pomocą duchową przychodził. Jajami i kurakami nie gardził. Żartował, śpiewał, nie tylko zresztą pobożnie, a i zakląć chyba umiał. Swojski ksiądz, mówili ludzie. A przy tym urodny był jak mało który. Wiejskie panny, oblewając się rumieńcem na jego widok, chichotały po kątach i wyobrażały sobie nie wiadomo co. Ale Bogumił stronił od bab. „Bóg, honor i... wystarczy” – zwykł mawiać w takich sytuacjach, żegnając się znakiem krzyża i całując swój sygnet. Co do ojczyzny Bogumił vel Gotlieb miał mieszane uczucia, tak jak mieszana była jego polsko-niemiecka krew.

„Jaki on piękny” – pomyślała Anastazja, obserwując spod kościelnych drzwi proporcjonalną sylwetkę księdza, malującego dłonią w powietrzu pobożne ruchy. Wiosenne światło słoneczne, przedzierające się zza chmur, raz po raz wpadało przez wypolerowane szyby, otaczając go aurą blasku niczym świętego. „Jak anioł” – wyszeptła zawstydzona. Kościół był pełen ludzi. Wielki Tydzień. To jedyny czas w roku, no może poza Wigilią, kiedy każdy porządny katolik we wsi czuł obowiązek pójścia na spotkanie z Najwyższym. Nie żeby normalnie nie chodzili, chodzili, ale bardziej z tradycji niż z głębokiej wiary. I ta właśnie tradycja nakazywała rokrocznie innej rodzinie zaslachtować prosiaka. Na odkupienie grzechów, na ofiarę, na stół proboszcza. W tym roku Bogu ducha winny, młody świniak Grzelaka, wójtowego szwagra, w Wielki Czwartek pożegnał się z życiem.

– Uczniowie nie wykradli ciała Jezusa, jak to twierdzili wówczas przeciwnicy Zmartwychwstania. A niejedni twierdzą tak do dzisiaj. – Ksiądz zrobił przerwę, świdrując wzrokiem środkowe rzędy ławek.

Pierwszych rzędów wolał nie ruszać, a w ostatnich siedzieli najmniej znaczący mieszkańcy Aniołów.

– Religijni ignoranci! – grzmiał dalej z ambony. – Gdyby tak było, ludzie od początku wielką czcią otoczyliby Jego grób! Grób, gdzie spoczywał ich Mistrz i Nauczyciel. A tak się nie stało! Gdyby uczniowie wykradli ciało Jezusa i On by nie zmartwychwstał, żaden z Jego uczniów nie byłby na tyle głupi, aby ginąć za głoszenie nauki, która się nie sprawdziła. Jezus zmartwychwstał, czy się komuś to podoba, czy nie – zakończył podniesionym głosem.

„Jaki mądry” – zachwyciła się w myślach Anastazja.

– I jeszcze jedno, zanim rozejdziecie się do domów. – Tu ksiądz wyraźnie już spuścił z tonu. – Dlaczego Jezus, po zmartwychwstaniu, najpierw ukazał się kobietom? Ano dlatego, że chciał, by wieść rozeszła się jak najszybciej. – Uśmiechnął się, zadowolony ze swojego dowcipu. – Moje kwiatuszki, idźcie i gościście dobrą nowinę!

Anastazja doprawiła gotujący się rosół. Ksiądz Bogumił lubił gorącą zupę z wielkimi tłustymi okami. To dobry podkład pod wieczorną wódeczkę po całym tygodniu postu. Tym razem to jedna z kaczek starej Maciaszkiowej dostąpiła zaszczytu przerobienia jej na niedzielny obiad. Gospożą na plebanii była Anastazja. Pracowała od dwóch lat, zaczęła jeszcze za starego księdza, steranego życiem, ale pocziwego

Macieja. Stary przyjął Anastazję na służbę kilka lat po wojnie, choć na tych terenach wojna nie zakończyła się w dniu ogłoszenia niemieckiej kapitulacji. Tu ludzie mieli swoją państwowo-prywatną wojnę, swoje wiedzieli i swojego dochodzili. To jednak tu właśnie Anastazja znalazła dach nad głową, pracę, dobre słowo i odrobinę współczucia. „Tu muszą żyć dobrzy ludzie” – pomyślała, stojąc przed drogowskazem „Anioły 9 km”. Właściwie chyba nigdzie nie mogło być gorzej niż we własnym domu, na zapadłej rosyjskiej wsi, włózionej między lasy i mokradła. „Zapomnianej przez Boga” – mówiła jej matka. Na początku wojny, gdy Nastka miała 8 lat, bandyci ograbili jej wieś, zabrali cały inwentarz, chałupę puścili z dymem, ojca i braci powiesili. Zamieszkała z matką w stodole, jadła raz na kilka dni. Matka nie trzeźwiała. Wódkę dostawała, sprzedając swoje ciało i ciało kilkuletniej córki. Dziewczynka nie miała dokąd pójść, nie знаła innych krewnych. Nie miała też odwagi na ucieczkę w nieznane i nie chciała zostawić matki samej. Waląca się stodoła, jedna sukienka, wychudzony pies... I wiara, ogromna wiara, bez żadnych zresztą podstaw, że kiedyś to się skończy.

Zanim się skończyło, były jeszcze choroby, potworny głód i zbiorowy gwałt żołnierzy wyzwalaających wieś. Matka wyzwolenia nie doczekała, zabiła ją wódka.

– Smacznego, księżę proboszczu – powiedziała w zamyśleniu Anastazja, kładąc na stół talerz parującego wywaru.

– Bóg zapłać – usłyszała.

„Vergelt's Gott” – pomyślał w duchu Gotlieb.

– Włodzimierz! Włodzimierz!! Nigdy go nie ma, jak jest potrzebny – niezadowolony ksiądz mruknął do siebie.

– Jestem Wasza Wielbność, ogród sprzątałem. – Ukłonił się, choć nie przesadnie, garbaty mężczyzna w średnim wieku, a pod nosem rzekł: – Władimir. Tak trudno zapamiętać?

Raczej małowówny, stroniący od ludzi, nie wzbudzał sympatii, bardziej litość. Krępy, brzydki, z odróżającą szramą na policzku.

Ksiądz, przywykły już do wydawania mu poleceń, powiedział oschle:

– Idę do kościoła. Wódkę schłodzić, mięso z komory wyciągnąć, drzewo do kozy przygotować. Przyjdą dziś wójt, Grzelak i Józef Maciaszczyk. A Anastazja niech się uwinie z kolacją, nie wypada, by goście czekali.

– Wójt, Grzelak i stary Maciaszczyk? Przecież to grozi trzecią wojną światową! – nie pohamował się Władimir.

– O radę cię nie pytam, mówię, co masz robić – odparł ksiądz i łagodniej już dodał: – Plan mam. Zmartwychwstanie było, jest okazja, by ich pogodzić.

– Proszę księdza... prośba taka... Jak już ze wszystkim się obrobię, pojechałbym na kilka dni do siebie? Święta są... – bardziej zapytał, niż poprosił Władimir.

– A skąd ty właściwie jesteś, Włodzimierzu? – zagadnął proboszcz.

– Urodziłem się i wychowałem we wsi Miłosna. Kilkadziesiąt kilometrów stąd – odparł.

Chciał coś jeszcze dodać, ale ksiądz, odwracając się na pięcie, rzekł w powietrze:

– Dobra, dobra, jedź.

„Trzecia wojna światowa?” Głupek! Trzeba wiedzieć, jak się ukladać – ksiądz zaśmiał się do siebie.

– Anastazjo, mówiłem ci, że chcę pojechać do siostry. Chciałbym zdążyć dziś przed nocą – powiedział Władimir, wchodząc do kuchni.

Położył na stole mięsiwa i kiełbasy z czwartkowego świniobicia. Dziewczyna myła naczynia po niedzielnym obiedzie, spojrzała na stół pytającym wzrokiem.

– Goście będą na kolacji. Podobno... sami ważni. Zrób, co tam umiesz najlepiej, podaj im, o nic nie pytaj. I... I zarygluj drzwi do swojej komórki.

Zawahał się chwilę. Spojrzał na Anastazję. Drobnej budowy, ze śladami dawnych odmrożeń na rękach, włosy splecione w warkocz. Już nie dziewczyna, a jeszcze nie kobieta. Taka jakaś nijaka. „Tylko te oczy, ogromne i ufne. Jak łania” – zaskoczył siebie tym odkryciem Władimir. Rzeka do Anastazji:

– Jechać już muszę. Zarygluj.

– Jakie frykasy – zachwycał się wójt. – Ależ z ciebie kuchareczka!

– Wielebny ksiądz to musi mieć z tobą dobrze – wycedził przez zęby Grzelak, a w jego głosie słychać było trudno skrywaną dwuznaczność.

Ręka zawisła mu w powietrzu, tuż nad poślądkiem odwróconej Anastazji. Syknął z bólu. Żelazny uścisk wójtowej dłoni i ledwie słyszalny świst: „Idiota” powstrzymały Grzelaka od dalszych sprośności. Ksiądz nie spostrzegł niczego. A może nie chciał.

– Anastazjo, gotujesz wybornie – zwrócił się wójt do dziewczyny, a do księdza zagadnął: – Chyba się należy jakaś premia, za takie delicje?

– Może być. No to na drugą nóżkę! – odparł wesoło proboszcz.

Anastazja pomyślała: „Dobry ten pleban. Dobry. Mądry. Ładniutki. Szkoda go na księdza”.

– Dziękuję – powiedziała cicho i ledwie dostrzegalnie uśmiechnęła się do wójta.

– Boh trojcu lubit – wójt, trzymając kieliszek w górze, oddał uśmiech Anastazji.

Grzelak ryknął:

– Oby nam się!

– Co to jes, do jasny cholery? – stary Maciaszczyk nie krył zdziwienia połączonego z oburzeniem. Stał w drzwiach kuchennych i żądał wyjaśnienia. – Po co mie ksiundz tu spraszal?

Ksiądz wstał od stołu, wziął głęboki oddech.

– Wojna się już skończyła, panie Józefie. Chrystus zmartwychwstał, wódki się trzeba napić, pogodzić.

– Z kolaborantym i sabotażystom pić nie bede! – Stary spojrzał na wójta i jego zięcia, a w oczach miał pioruny.

– Ty! stary... – Grzelak ruszył od stołu. Nie dokończył, przytrzymany przez teścia.

– Zawrzyj mordę! – usłyszał.

Wódka z przewróconej butelki cienką strużką lała się po stole. Ksiądz wziął do ręki butelkę.

– A do mnie coś macie? – zapytał wolno i głośno starego.

– Do wos nii mom – odrzekł Józef.

Pioruny w oczach na chwilę ustąpiły miejsca radosnemu błyskowi, pojawiającemu się nieodmiennie na widok wyciąganej ku staremu flaszki. Józef wytarł gębę rękawem przyciasnej nieco i mocno nadwyrężonej marynarki.

– Zdrowie wasze w gardło nasze! – Stuknął się szklanką z księdzem. Przechylił raz. Strzepnął na podłogę.

– Rombie.

– Chłopy – powiedział ksiądz, jedną ręką sięgając po kolejną butelkę, drugą ręką zapraszając starego do stołu – słuchajcie, co wam chcę powiedzieć. Wojny już nie ma, ale koniec świata bliski. I będzie tym bliższy i boleśniejszy, im więcej będzie w ludziach waśni, niezgody i zawiści. Bóg to wszystko widzi, przykro mu, że to, co w zamiarze miało być jego obrazem i podobieństwem, jest obrazą i fuszerką! I to my, ludzie, wszystkim sknociliśmy. Bóg stworzył nas i dał nam instrukcję, jak żyć.

– Boga nie ma. – Józef pociągnął nosem, polykając gile.

– Twoja wola, twój wybór. Zrobisz, co uważasz. Ale mówię ci, ja wierzę i paru w tej wsi także – powiedział ksiądz, patrząc na wójta i Grzelaka, do Józefa. – Bolało cię, jak syn ziemię sprzeniewierzył? Bolało, jak córka się puszczała z Niemcami? Bolało, jak brat zdradził? – Ksiądz nie czekał na odpowiedź. – I naszego Ojca też boli.

„Ki czort, wszystko wi” – zamyślił się Józef.

– Ano, boleć musiało – odparł stary, nalewając sobie następną kolejkę.

– No widzisz, Bóg przekazał nam wszystkie nakazy i zakazy. Dziesięć. Nie za dużo, jak na tak skomplikowany świat. Ale wystarczy. Problem w tym, że człowiek wie lepiej, jak żyć. Wydaje mu się. I ma gdzieś te Boże Prawa. Adam i Ewa chcieli dorównać Bogu. Naród wybrany wiedział lepiej, jak dojść do ziemi obiecanej. Piąt sądził, że robi dobrze. Każdy z nas grzeszy. Ja też.

Troje par oczu podniosło się znad szklanic.

– Tak, ja też. Znam te dziesięć przykazań na pamięć, a i tak je wykonuję po swojemu. A przecież Bóg dał je nam, by był ład, porządek i harmonia w świecie. My zaś buntujemy się, przeczmy. Nie postępujemy prostolinijnie. I to się kiedyś musi skończyć jakimś wyładowaniem. Jak ktoś cię będzie oszukiwał, kłamał ci w żywe oczy, wciskał kit, a ty wiesz jak było, to co mu w końcu powiesz? – spytał wójta.

– Basta! – odparł szybko wójt.

– A ja w ryj bym walił – dodał hardo Grzelak. – A propos ryja... – zarechotał – chluśniem, bo uśniem!

Cztery szklanki poszły zgodnie w górę.

– No właśnie. Bóg po ryju nie wali, przeciwnie, wciąż nas kocha, wciąż nam ufa, wciąż wierzy w naszą dobrą wolę. Wciąż ofiaruje swoją miłość i czeka, kiedy zostanie odwzajemniona. Pokazuje jak żyć, zawiera przymierze, poświęca swojego Syna, czego potrzeba nam jeszcze?

Cisza. Anastazja stojąca za drzwiami wstrzymała oddech. Brzęknęło szkło, Grzelak cicho beknął:

– No dobra, a ten gniew Boży i to całe piekło, co to nimi księżde straszą z ambony?

– Gniew Boży to jedno, a piekło to drugie – odparł ksiądz. – Grzelak, co się dzieje, jak wypijesz za dużo wódki? Dobra, nie mów mi. Twój organizm broni się i reaguje na złe, obce dla niego substancje. Ze światem jest tak samo. I jak napisał kiedyś ktoś mądry: „Torsje, które targają światem, ludzie poczytują za Bożą zemstę”. A Boży gniew, Grzelak, nie istnieje. To tylko reakcja świata, jak robimy coś w poprzek.

Grzelak wyglądał, jakby rozumiał.

– A co ksiądz sądzi o piekle, też nie istnieje? – ożywił się wójt.

– Z piekłem sprawa jest jeszcze prostsza. Polej no, wójcie – rozkręcił się ksiądz.

– Jezus zmartwychwstał, czy ktoś wierzy, czy nie. I przyjdzie zrobić porządek. Zniszczy zło i niesprawiedliwość rozlane przez wieki po całym świecie. Rozliczy każdego z tego, ile zła wyrządził. Albo kiedy miał coś zrobić, a nie zrobił. Z każdego kłamstwa i każdego grzechu. Wszystko to wpływa na nasz świat i sami sobie wydajemy wyrok – oznajmił ksiądz.

– To jest to piekło czy go ni ma? – zainteresował się Józef.

– Założmy, że nie ma. Śmierć, dół, piach, kropka. Po problemie. A co jeśli jest? Wyobraź sobie, że jest. Nie diabły, nie kotły, nie widły, nie ognie piekielne. Piekło to przede wszystkim ogromny wstyd. Piekło to żal, smutek, ciemność, zimno. To ból. To brak bliskich, brak miłości i to nie przez pięćdziesiąt czy siedemdziesiąt lat jak tu, na ziemi. Przez nieskończoną wieczność. I nic z tym nie możesz zrobić. Umiesz to sobie, chłopie, wyobrazić? – Ksiądz spojrział na Józefa.

– Ano. – Stary spuścił wzrok i dodał cicho: – Dupa cierpie.

– No to chłopy, moja misja zakończona, mogę się uczciwie napić. – Ksiądz zatarł ręce. – Jak to mówią: spotkałiśmy się, żeby się napić, wypijmy zatem za spotkanie.

– A tyn kuniec świata, co to od niego ksiundz zaczon? – przypomniał sobie Józef.

– A jakbym ci na początku powiedział, że jak się z wójtami pogodzisz, to wtedy do nieba pójdziesz, to byś został? – odparował ksiądz.

– Nii – usłyszał.

Anastazja zaryglowała drzwi komórki. Zdjęła z włosów chustkę, rozpuściła warkocz, umyła się, włożyła koszulę nocną. Naciągnęła kołdrę na brodę. Noc była zimna. „Czy mogłam coś więcej zrobić dla mamy? Kiedy straciła wiarę, gdy wyrzuciła na śmietnik swoją godność... Wybacz, mamó, jeśli nie zrobiłam wszystkiego, by

cię uratować” – łzy napłynęły do oczu. „Ojcie nasz, który jesteś w niebie...” – zaczęła modlitwę Anastazja. Z kuchni słychać było porykiwania, toasty, szuranie krzesłami. Bratnia kalinka mieszała się ze swoim rozmarnym, a polskie pąki białych róż rozkwitały na przemian z radzieckimi jabłoniemi i gruszami. „Może i Władimir miał rację z tymi drzwiami? No właśnie, pewno jest już u siostry. Nigdy o niej nie mówił. Zresztą on w ogóle niewiele mówi. Nie, z kwiatkami rozmawia. Grządki piełi, coś tam czasem naprawi, do miasteczka pojedzie. Ale jakiś taki niezyciowy. Nieobyty. Niemłody już, a kobiety nie ma. Tylko która by go chciała. Garb i szrama. Żeby czasem choć co zagadnął. Ale nie, mruk jeden. Zresztą, co mi do niego” – pomyślała.

Trzech pijanych kumpli, z pieśnią na ustach, podtrzymując się wzajemnie, opuszczało dom proboszcza.

– Anastazjo. Anastazjo! – Dziewczynę obudziło pukanie do drzwi.

Księżyc stał wysoko.

„Co się dzieje? Która to godzina?” – w głowie kłębiły się myśli. Wsunęła się głębiej pod kołdrę.

– Anastazjo, otwórz.

Cisza.

– Anastazjo otwórz, błagam cię.

Poznała głos księdza. „Co on tu robi w środku nocy?” – Anastazja poczuła się nieswojo.

– Dziewczyno, błagam cię, otwórz, potrzebuję pomocy – powiedział głośno ksiądz lekko zniecierpliwionym, lecz wciąż proszącym tonem.

Anastazja zarzuciła podomkę, odsunęła rygiel. W bladej żółtawym świetle gołej żarówki wiszącej na drucie w przedsiönku zobaczyła Bogumiła Dobrowolskiego. Ledwo stał na nogach. Oparł się o framugę. Zachwiał. Czerwony, spocony, nienaturalnie podekscytowany.

– Co się księdzu stało? – spytała z troską, ale i ze strachem w głosie.

– Wyspowiadać się muszę – wysapał. – Ty bez grzechu jesteś i święta taka jak anioł. Od-mó-wisz zblą-ka-nej duuszcy? – zapytał.

Anastazja ścisnęła poły podomki i przesunęła się, robiąc miejsce księdzu. Bogumił wtoczył się do komórki, stanął w rozkroku. Zwisiał ręce i głowę. Chwilę balansował ciałem. Uzyskawszy równowagę, zaczął mówić. Ciężko, niewyraźnie, ale jeszcze dość przytomnie.

– Powiedz mi, jak to jest? Godzę ludzi, żenię ich, spowiadam. Zawierają mi swoje tajemnice. Obcy ludzie. Zupełnie obcy. Ufają. Szanują. Do domu zapraszają... – Wziął głęboki oddech. – Obcy. A matka moja... – zaczął bełkotać, z trudem utrzymując spadające powieki.

Anastazja stała nieruchomo.

– Ojciec... tfu... ojczym... Polaczek! Jeb twoju mać... Oooficer pułku strzeelców konnych... Matka za niego wyszła. Po śmierci ojca. Mały byłem. Nie chciała być sama. Łał mnie. Łał. Za byle co. Nienawidził nas, Niemców. Znęcał się. W mundurze chodził. Elegancik. Zęby szczyrzył. Bił mnie codziennie. Szpicrutą. Nie wiem, za co tak nas nienawidził. Codziennie modliłem się, żeby zdechł. Nic nie rozumiesz? – Zachwiał się na nogach, ruszając w stronę Anastazji. – Matka też nie rozumiała. „Um Gottes willen, Gottlieb, co ty wygadujesz?!” – mówiła. Nie wierzyła mi. Zła była, że wdzięczny nie jestem. Że go nie kocham. Przecież wszyscy go szanowali! Jemu wierzyła. I choć życzyłem mu śmierci, Bóg mi świadkiem, że to był wypadek. Tobie pierwszej to mówię. A matka mnie wyгнаła. „Zmarnowałeś mi życie, synu...” i takie tam. No i co tak patrzysz? – wycedził w twarz Anastazji.

Wyciągnął z kieszeni marynarki niedokończoną flaszkę. Wychylił do końca, rozbił o ziemię.

– Proszę, niech ksiądz już idzie, porozmawiamy jutro – powiedziała Anastazja najdelikatniej, jak potrafiła.

Widząc, że nie ruszył się, sama postanowiła wyjść. Złapał ją boleśnie za ramię.

– Wysłuchasz mnie do końca! Patrzycie tylko tymi swoimi wielkimi oczami, a jak człowiek potrzebuje, by go wysłuchać, to się dupą odwracacie. Suki jedne. – Nie puszczał ręki, zwolnił uścisk. – Żadnego z was pożytku. Ale jak wy czegoś chcecie od chłopa, to wiecie, co zrobić. – Cisnął Anastazję na łóżko.

Jego twarz nie była twarzą anioła. Miał twarz wszystkich mężczyzn, którzy zgwałcili ją tamtego dnia, radośnie wyzwalając wieś. I śmierział tak samo, kiedy jego brudna ręka zakryła dziewczynie usta.

Wstawał już dzień, gdy Anastazja z trudem wydostała się spod bezwładnego cielska plebana. Nie pamiętała, co robiła, gdzie była, jak minął cały dzień. Wieczorem wróciła do komórki. Posprzątała rozbite szkło, starła wymiociny z podłogi. Zaryglowała drzwi, podstawiła pod nie komódkę. Zasnęła, trzymając w jednej ręce różaniec, w drugiej nóż kuchenny.

– Będziesz musiała odejść. Zanim wezmą mnie na języki – powiedział ksiądz, nie podnosząc wzroku znad rosółu.

Anastazja milczała, dotykając ledwie co widocznego brzuszka. Odwróciła się bez słowa, poszła do komórki i do starej papierowej walizki spakowała cały swój dobytek.

Ksiądz stanął w drzwiach.

– Nie wiem, czy to jest moje dziecko, czy nie, ale weź to. – Zdjął z palca rodowy pierścień. – Po dziadku. Sprzedasz go, powinno ci wystarczyć na kilka miesięcy.

Anastazja spostrzegła na palcu księdza niewielkie ciemne znamię schowane wcześniej pod sygnetem.

– Nie trzeba – powiedziała cicho i wyszła z pokoju.

Szła dumnie przez podwórko, ale tzy same cisnęły się do oczu. Minęła bramę plebanii.

– Anastazjo, poczekaj! – zawołał za dziewczyną Władimir.

Podszedł i powiedział:

– Nie mam wiele do zaoferowania. Stary dom po rodzicach. Mogę wyremontować. Jest też ogród i sad. Pracę znajdę, stolarz potrzebny jest wszędzie. Damy radę. Jeśli oczywiście zechcesz...

Anastazja stała, nie mówiąc nic. Władimir wyjął walizkę z jej ręki, otarł policzki brudną chusteczką. Chwył jej dłoń i poszli przed siebie.

W Wigilię Świąt Bożego Narodzenia, we wsi Miłosna, przyszedł na świat śliczny chłopczyk, Aleksy. Poród odebrała siostra Władimira. Anastazja, tuląc kwilący tobolek, zanuciła:

– Gdy śliczna Panna Syna kołysała...

– Kołysankę mu jaką zaśpiewaj. – Władimir z ciekawością pomieszaną ze strachem zbliżył się do łóżka Anastazji. Przysiadł na zydłu.

– Nie znam żadnej kołysanki. Nie pamiętam... – powiedziała ze wstydem Anastazja.

Władimir pogładził ją po głowie ze zrozumieniem.

Dwa lata później Aleksy znalazł pod choinką drewnianego ptaszka z ruchomymi skrzydełkami. Podszedł do Władimira, objął go mocno za szyję, pogładził rączką po policzku i powiedział:

– Kocham cię, tatusiu.

Na jego małym paluszku widniało znamię.

Władimir pomyślał: „Biedny duchowny”.

– Kocham cię, synku – przytulił małego.

Łza wdzięczności spłynęła Władimirowi po twarzy.

Opowiadanie zdobyło wyróżnienie w XVIII Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Eugeniusza Paukszty „Małe ojczyzny – pogranicze kultur i regionów”.

Czwarty wymiar

Jak opal wprawiony
do klejnotu wspomnień
promieniuje dawne ciepło
z tamtych dni

Układają się cienie
na twarzy

Biegnący czas
ciemność z obrazów
Rembrandta
Spojrzenie zanurza się
w głębinach

Tylko bielinki
przenoszą światło
z kwiatka na kwiatek

Żalą się cienie
osamotnienia

Zieleń spada do zieleni
jak deszcz
na poziomie ciszy

Łamią się mosty
znikąd donikąd

Rozstanie

Pod krokami
wygnanych z raju
ława drży

W sercach lód
w oczach nóż
na ustach kłamstwo

Niepokój i chaos
przed burzą
burzy wszystko

Cień

Zatrzymałam się jeszcze
pod cieniem którego już nie ma

Nawet popiół nie pozostał
w rzece zapomnienia

Tylko we mnie
korzenie z krwioobiegiem
poplątane

Fale

Niczym karty w księdze
strona po stronie
układają się fale
na piaszczystym brzegu

Fala za falą
słowo za słowem
do wiersza

V okovech času

przekład z czeskiego: Władysław Kłepka

Rower dla syna

reportaż

Z dużego zdjęcia z lipca 1939 ustawionego przy Krakowskim Przedmieściu 64 w Lublinie uśmiecha się sześćdziesięcioletni Henio Żytomirski. Dzieci wysyłają do niego listy, jak Alina: „Patrząc na Twoje zdjęcie, czuję szczęście kogoś, kto po raz pierwszy doświadczył jazdy na rowerze. Byłeś dzielny! To dla mnie impuls, aby się zastanowić, który dzień mojego życia mogłabym nazwać najszcześniejszym... W jakimś sensie stałeś się moim natchnieniem do poszukiwania sensu życia. Dziękuję Ci!”.

– Życie trzeba szanować i ludzi w tym życiu – daje mi radę pan Władysław Kwiatkowski z Lublina. Urodził się w 1930. – Świat jest piękny, a życie jakie jest piękne! Jak pani wspomniałem, jak dostałem kawałek chleba za okupacji posmarowanego dżemem z buraków, taka marmolada, jaka to była pycha! – dodaje. Pan Władysław jest na emeryturze i w kieszeni nosi cukierki: – O, takie maleńkie! – Pokazuje mi. Rozdaje je dzieciom. – Dałbym ci, niuniu, cukiereczka, ale nie wiem, czy mama by pozwoliła – mawia, a mi wyjaśnia: – O! Ale nigdy nie daję dziecku ot tak, ad hoc, tylko najpierw pytam mamę, a najczęściej to się dzieje w poradniach lekarskich.

Emerytowanym lekarzem ortopedą jest pan Henryk. Niedawno, w kolejce do lekarza rodzinnego zagaiła go kobieta: – O, doktor Kitliński! Ja znam pana od ponad pięćdziesięciu lat, bo pan leczył moje dziecko.

Pan Henryk mieszka w dzielnicy Dziesiąta w Lublinie i tu rozmawiamy. Jedno z pierwszych jego wspomnień z dzieciństwa zabiera nas na ulicę Dolną Panny Marii, przy której jako trzylatek oglądał wojnę z pola kapusty. O wojnie mówi więc: – No za rzeką za Czerniejówką, za Bronowicami był Majdanek.

– Obóz Majdanek dochodził do samej jezdni – dodaje pan Władysław. – Jeździłem tamtędy, rowerem.

To był używany rower. Wyjaśnia: – Ojciec chciał mi zrobić przyjemność i gdzieś wydybał u znajomego stary rower. Pani nawet nie słyszała o takim czymś, koła były drewniane, obręcze wykonane z drzewa, bo teraz, wie pani, że opona założona jest na metalowej obręczy, a przedtem to były obręcze wykonane z drzewa, szprychy normalne, wszystko, tyle że obręcz była drewniana, no więc właśnie na takich drewnianych obręczach był ten rower, ojciec go wyszykował. Pamiętam nazwę tego roweru, „Zawadzki”, taka firma była, produkowała te rowery.

Historia Henia

Rower musiał kupić mu ojciec. Neta Żytomirska jest pewna: – To już był rower dla dużego chłopca.

Pani Neta jest kuzynką Henia i przywiozła do Lublina kolekcję fotografii. Na jednym ze zdjęć portret rodziców Henia. Na kolejnym Henio ma rok, bujną czuprynę i mądre oczy. Jest na rękach u ojca Samuela (Szmuela). Samuel się uśmiecha. Był nauczycielem hebrajskiego, to i te okulary, w okrągłych oprawkach na zdjęciu, bardzo mu pasują. „Białik, Czernichowski” – pan Samuel wyliczał nazwiska żydowskich i hebrajskich poetów i pisarzy. „Frug, Percec...” – podsuwał uczniom lektury. Wierzył w urzeczywistnienie marzeń żydostwa w diasporze. Był idealistą-pionierem, który – jak pamięta Noach Szingarten, jego uczeń – torował uczniom drogę do wyzwolenia i samodzielności narodu żydowskiego na własnej ojczyźnie. Prawdy dodawał

mu czarny włos, który górował nad wysokim czołem. Podobno uśmiechał się, psotliwie, w kącikach ust, co pamięta pan Noach: – To tworzyło wrażenie cudownej syntezy dojrzałości i dziecięcej psotliwości.

Samuel miał jednego syna. Urządził mu pokój w ich mieszkaniu przy Szewskiej 3. Było to mieszkanie, gdzie dzieci były kochane, tak je pamięta Esther Rechtman, wówczas kilkulatka, która bawiła się z Heniem. Jej matkę Samuel uczył hebrajskiego. Esther z rodziną wyjechała przed wojną do Palestyny. Po Ester Heniowi została wspólna fotografia. Ona ubrała wtedy paltko, on na zdjęciu ma krótkie spodenki. Mogło to być jesienią albo wczesną wiosną. Oboje na krzesła, uśmiechają się szeroko.

W mieszkaniu było wiele książek i biurko. Samuel czytał zwykle w milczeniu, prawdopodobnie, nieraz na głos, po hebrajsku. Był zdeklarowanym syjonistą. Planował wyjazd do Palestyny. W 1937 na dworcu żegnał się z bratem Leonem. Powiedział: „Do zobaczenia”.

Piątego lipca 1939 roku była środa. Musiało być ładnie. Syn Szmuela ubrał podkoszulek z kołnierzem i krótkie spodnie. Przy schodkach przy wejściu do gmachu Banku Gospodarstwa Krajowego przy Krakowskim Przedmieściu zrobiono mu zdjęcie. W kadrze nie zmieścił się rower: – Na dwóch kółkach – podkreśla Neta. – Henio był przygotowany, że pójdzie do pierwszej klasy żydowskiej szkoły „Tarbut”.

Henio miał sześć lat, kiedy wybuchła wojna.

Historia pana Władysława

– Proszę panią, popłoch niesamowity – wspomina pan Kwiatkowski. W trzydziestym dziewiątym miał dziewięć lat. Był przygotowany na wypadek wojny. Instrukcji udzieliła mu matka, która z przedwojennego szkolenia wróciła z instrukcją zachowania na wypadek wybuchu bomb z gazem trującym. „Jak się przed tym ustrzec?”, powtarzała. „No więc maska gazowa”, tłumaczyła. „A gdyby zabrakło masek?”, spytała. Instruktor poradził, żeby użyć mokrej szmaty. Spytała zaciekawiona: „A jak nie będzie wody, to co zrobić?”. I rzuciła bez namysłu: „Ale można się zmusić i nasikać na tę szmatę”. Usłyszała: „Dobrze pani to wykombinowała”. Jednak jak wiele pytań by nie zadała, pierwszy nalot i tak by ją zaskoczył. Jej syn pamięta: – Myśmy stali na ulicy i gapili się na te samoloty. Jęk samolotów, wie pani, jak one były obciążone bombami, to te silniki mocno pracowały, warkot był straszny. Później gwizd tych bomb, wybuch, to były makabryczne sceny, no i proszę panią, taki był pierwszy dzień nalotu tego niemieckiego w trzydziestym dziewiątym i tak to się zaczęło.

Głównym celem była Lubelska Wytwórnia Samolotów (dawne zakłady E. Plage i T. Laśkiewicz) przy ulicy Fabrycznej. Dwie bomby spadły na ulicę Wspólną i zabiły dwie osoby, jak pamięta pan Władysław: – Chodzili to oglądać, ja nie. Ten następny nalot, to już gdzie popadło rzucali bomby, ojciec z mamą podjęli decyzję – dodaje. Powiedziała do męża: „Opuszczamy Lublin”. Zarzucili na plecy tobołki i ruszyli na Lubartów. Słyszeli o niemieckich samolotach nurkujących nad główną drogą i Niemcach strzelających z karabinów maszynowych do uciekających. Poszli opłotkami. – Wie pani, jak to się ciężko szło? – mówi dziś syn.

Historia doktora Henryka

Henryk leżał w kapuście i się nie ruszał. – Wydawało mi się, tak teraz myślę, że widzę bombardowanie, lecą bomby, wybuch na Krakowskim.

Przed wojną z Bychawskiej, gdzie mieszkał, uciekł z rodzicami do znajomych na Dolną Panny Marii. Niedaleko łąk i ogrodów warzywnych, z których patrzył na ulicę Bernardyńską z zabudowaniami szkoły Vettera, gdzie osadzono jego stryja. Wybuchy, o których mówi, to prawie na pewno bombardowanie z 9 września 1939.

Historia pana Władysława – ciąg dalszy

Kwiatkowsy wędrowali jakiś tydzień. Wreszcie matka nie wytrzymała: „Wiesz co, Olek?! – rzuciła. – Ani zjeść, ani się umyć, to żadne życie. Mnie jest wszystko jedno, wracamy do domu”.

Historia Henia – ciąg dalszy

Szmuel pojechał do Lwowa po papiery zezwalające na wyjazd. Wrócił po kilku miesiącach, z niczym. Sklep jego żony w lutym 1940 został zarekwirowany: „Wraz z towarami i urządzeniami” – żaliła się Sara teściowi. Teść, Froim Żytomirski też miał sklep. Musiała bywać tam Estera, przyjaciółka ich wnuka, która zabrała do Palestyny wspomnienie oczu dziadka Henia, jasnych i kochających, którymi spoglądała zza lady sklepu papierniczego przy Nowej 17. Dziadkowie Henia mieszkali przy Lubartowskiej 22. Nieruchomość miała dwupiętrowy front i dwie oficyny: dwupiętrową i parterową.

Historia doktora Henryka – ciąg dalszy

Na podwórku przy Bychawskiej 5 stała ubikacja, wspólna dla wszystkich lokatorów. Suterenej zajmowała handlarza. Gospodarze mieszkali wyżej i rzadko rozmawiali z lokatorami. W kamienicy mieszkał jeszcze dla przykładu reżyser teatru kukielkowego, z którego córką, kiedy Henryk podrósł, bawił się w chowanego. Przypnie po latach, że to jego pierwsza miłość. Żonę wypatrzył jednak dopiero na zajęciach z anatomii patologicznej, gdzie w auli zamiast patrzeć na sekcję zwłok, wodził wzrokiem po półkolu studentów i razem z kolegą wybierał co ładniejsze dziewczyny. Wypatrzył Marię, a kiedy bliżej się poznali, musiał opowiedzieć jej o domu rodzinnym: – Ja w 1940 roku miałem cztery lata, więc moje wspomnienie i moje widzenie tamtejszych czasów jest obrazowe, jakiś czarno-biały obraz, więc ja niewiele mogę pamiętać. Kiedy mój ojciec został maszynistą, został skierowany do Lublina i w trzydziestym siódmym myśmy przyjechali tutaj, i zamieszkaliśmy na Bychawskiej 5, po sąsiedzku była bożnica. No, pamiętam z tej bożnicy, w piątek wychodzili Żydzi. Pamiętam byli brodaci, pejsaci, byli w chałatach, a okoliczne dzieci zbierały na Nowej Drodze, bo kiedyś ta ulica Świerczewskiego, później Piłsudskiego to była „Nowa Droga” – wyjaśniał małżonce, dla której nazwa ulicy mogła jeszcze nic nie mówić, bo do Lublina przyjechała dopiero po wojnie. Słuchała więc, jak mówił mąż: – To była Nowa Droga i tam był oset, i te owoce ostu wrzucały tym Żydom w brodę, tak pamiętam Żyda z tamtego czasu, właściwie z później nie mam wspomnień – mówi Henryk, który urodził się w Chełmie. Miał rok, kiedy przez pracę ojca przeprowadzili się do Lublina. Zamieszkali w pobliżu dworca kolejowego. W domu pachniało rosołem. Zajmowali pokój z kuchnią na drugim piętrze. Okna wychodziły na podwórko, gdzie bawiły się dzieci, nieraz głośno (jak to dzieci!), co złościło Annę „od gospodarzy”.

Historia Henia – ciąg dalszy

Henio musiał być żywym dzieckiem. „Ooo, znowu tu cicho” – mawiał dziadek Froim, po wyjściu z ich domu wnuka.

Kuzynka Neta Żytomirska pisze o Heniu: „Był pełen energii i błyskotliwy”.

Pewnie po ojcu. Samuel przed wojną pracował jako nauczyciel w kilku szkołach. Wykładał historię i literaturę. Henio skończył przedszkole i miał iść do szkoły od września 1939. Możliwe, że w Bychawie. Jego ojciec zakładał tam Szkołę Powszechną „Tarbut”. Być może również był jej dyrektorem. Henio również dobrze mógł zostać uczniem szkoły przy Zamojskiej 21 w Lublinie, gdzie uczył jego ojciec.

11 grudnia 1939 Niemcy zamknęły wszystkie szkoły żydowskie. Była wojna. Dziadek Froim napisał 20 grudnia 1939 na kartce pocztowej: „[...] Jesteśmy dzięki Bogu zdrowi [...]”. Kartkę wysłał na amerykański adres ich kuzynki Leny Hechtman (Mamzy).

Na kolejnej kartce pocztowej Froim zapewniał syna Leona będącego w Palestynie: „[...] Cała nasza rodzina Szmulka, Soni i Warszawska – zdrowi”.

Pisał pięć dni po ogłoszeniu godziny milicyjnej dla ludności żydowskiej pomiędzy dziewiętnastą a piątą rano w marcu 1940 roku. Podkreślił: „Staraj się o certyfikaty dla całej naszej rodziny [...]”.

Dwa dni później Samuel został zatrudniony jako pracownik biurowy w Wydziale Emigracyjnym Judenratu. Zapewne nie przejął się mocno, kiedy następnego dnia usłyszał o reglamentacji artykułów spożywczych na osobę.

Miał certyfikat zezwalający na wyjazd i zaczął starania, aby go wykorzystać. Żona Sara też była pewna wyjazdu: „Staraj się o certyfikaty dla rodziców i sióstr” – napisała na kartce do Leona. Teraz jeszcze musiała stworzyć jadłospis z artykułów spożywczych na osobę, które przydzielono: 350 gramów chleba dziennie oraz dwóch kilogramów mąki, kilograma soli, 300 gramów cukru i dwóch pudełek zapalek miesięcznie. Żydom nie przysługiwał cukier.

Historia pana Władysława – ciąg dalszy

– Wie pani, to, co było na kartki przydzielane, to mizerota – wspomina Kwiatkowski. – Ten okres początku okupacji ciężki był, trudno było z tą żywnością. Mieszkańcy się ratowali, żeby jakąś żywność zdobyć. Gdzie są Abramowice, to pani wie? Tam był taki właściciel ziemski...

Płacił kobałką ziemniaków za pomoc przy wykopkach. Przy ziemniakach robiła jego matka. Chodziła z synem. Kiedyś powiedział na polu: „Jak mama wykupiła wędlinę, to nigdy nam nie dała”. Przechwalał się (jak to dziecko!) smakiem „schabowych”: – To taka gruba była wędlina, jak to się nazywało? Jak sobie przypomnę, to pani powiem, w każdym razie mama nam nie dała, bo cięta na plastry, w jajku i bułce obtaczała i mieliśmy kotlety na obiad. – Uśmiechnął się. Musiał być głodny. Rozwodził się dalej: – Rodzice mówili, że chleb, który przydzielali nam na kartki, to z mąki łączonej, mąka żytnia, nieraz pszenna z mąką ze zmielonych żołądzi, taka mieszanka była, i z tego był pieczony chleb, pani sobie nawet nie wyobraża, jaki on był pyszny! – powtarzał i głąskał się po brzuchu. Któregoś razu na polu usłyszała go znajoma matki i powiedziała do pani Kwiatkowskiej: „Słuchaj, nieraz byś przysłała” – zapraszała i zaoferowała chleb z pieca.

Kwiatkowska najpierw jeździła sama, potem jej syn – rowerem.

Historia Henia – ciąg dalszy

Samuel był pewny, że wyjadą najpóźniej za trzy miesiące. Pisał o tym 6 maja 1940 w liście do brata, i dodał: „[...] Rodzice i rodzeństwo również chcą jechać. Czy nie można dla nich coś uczynić? [...]”. List wysłał za pośrednictwem mieszkającego w Wilnie Meira Hochberga (brata narzeczonej Leona).

Froim dopisał: „[...] Ja, Mama, Sonia, Estera, Rachela, Sara, Józef, Heniuś, Abramek i warszawska rodzina jesteśmy zdrowi i z wiarą [...]”.

Niespełna pół roku później Samuel dalej był w Lublinie i narzekał na warunki bytowe. Napisał do Judenratu wiadomość z prośbą o przyznanie mu stałego uposażenia miesięcznego: „[...] znajduję się obecnie w bardzo rozpaczliwej sytuacji materialnej”.

Pisał Froim w styczniu 1941 roku do Leona: „[...] Szmulek pracuje na swojej posiadzie bezpłatnie, Sara zajmuje się gospodarstwem, a Heniuś bardzo udany chłopiec i uczy się b. chętnie”.

Kiedy w marcu 1941 prosił o paczkę żywnością kuzynkę z USA, nie mógł wiedzieć, że niespełna tydzień później miał wejść zakaz wysyłania listów za granicę bez odpowiedniej zgody. Nie wiedział też, że wraz z utworzeniem 24 marca 1941 getta w Lublinie Żydzi zostaną zmuszeni zostawić swoje mieszkania i przenieść się do getta. Podobnie było w drugą stronę, w granicach getta mieszkali Polacy i też musieli się wynieść. Przy Szewskiej 3 do mieszkania Żytomirskich wprowadziła się rodzina Józefy Paciorkowej. Zostawili mieszkanie przy Kowalskiej 11. Pani Józefa zapamiętała mieszkania pożydowskie, które przejmowały grozą: opuszczone w pośpiechu, rozpoczęte gotowanie skromnego obiadu, gdzie indziej szklanka niedopitej herbaty lub łózka niepościelone.

Żytomirski zamieszkali przy Kowalskiej 11. Froim przestał wysyłać listy. 10 listopada zmarł na tyfus. Miał 68 lat. Przed śmiercią powiedział, żeby pochowano go przy bramie cementarnej, aby jako pierwszy mógł zobaczyć wyzwolenie Lublina, na które przyszłoby mu czekać jeszcze trzy lata.

Historia pana Władysława – ciąg dalszy

– Taka scena [z 1944 roku]: od strony Zamościa wjeżdżały czołgi i myśmy na tym skrzyżowaniu stali, wychodzi ruski, wyciąga taką torbę papierową pełną cukierków, po drodze chyba trafili na fabrykę cukierków,

i dzieciakom garściami rzuca te cukierki, a dziewczynkom w tak zwany „podódek”, sukienkę nastawiały i w te sukienki im narzucał, one cukierki przytulały do siebie. No proszę panią, natomiast tutaj, „Nowa Droga”, bo tak żeśmy nazywali, to proszę panią, ile było sprzętu narozwalanego? Otóż Niemcy próbowali strzelać do tych czołgów, ale ruscy odpowiedzieli ogniem, i te samochody, i ten sprzęt wojskowy rozwalony leżał na prawo, tu na tym placu, i ile koni nabytych, bo Niemcy uciekali, czy mieli dorozki, furmanki, wszystko ładowali i uciekali w kierunku Warszawy, a ruscy ich młócili, tak że, proszę panią, to była masakra, później tego uprzątnać nie można było. Długi czas ta droga z prawej i lewej strony ulicy zawalona była sprzętem, tam chodzili ludzie, wybierali co lepsze rzeczy, później zorganizowali ekipę, która zaczęła porządkować Lublin.

Historia doktora Henryka – ciąg dalszy

– Zamek był ogrodzony wielkimi drutami – dodaje Maria Twaróg, studentka, którą pan Henryk jako student Kitliński wypatrzył na zajęciach z anatomii. – Do Bramy Grodzkiej się nie wchodziło, była zagrodzona i to był przejazd dla więzienia, to było straszne więzienie na Zamku. Widziałam budynek, kraty w oknach, ciągle jeździły samochody. – Wraca pamięcią do szkolnych lat, kiedy po wojnie mieszkała w internacie na Starym Mieście z oknami na korytarzu wychodzącymi na Zamek: – Zamek było widać i pole, tam były pola zwyczajne. Ostatnim budynkiem była ta kamienica, gdzie był zakon Kanoniczek, i szkoła, to wszystko było widać z góry, no to tam, a tam nie. – Pokazuje na Błonia. – Nic nie było, żadnego domu, zupełnie – mówi o terenie historycznej dzielnicy żydowskiej na Podzamczu, która od 1941 znalazła się w granicach getta.

– Miałem sześć lat, jak zaczęły się represje w stosunku do Żydów, więc gdzieś taki mam obraz czarno-biały, że matka mnie wzięła do getta – wspomina Kitliński. Widzi, że wchodzi z matką przez Bramę Krakowską. Mieszkanie jest ciemne. – Tak jak ja to dzisiaj widzę, brudne – wyjaśnia. Matka kupuje tam prymus, kuchenkę spirytusową: – To taka maszynka naftowo-spirytusowa, którą się rozgrzewa. I na tym się gotuje, trudno to wytłumaczyć – mówi. – Rozgrzewało się palnik spirytusem, naftę się pompowało i to był palnik, i stąd pamiętam to getto, i właściwie więcej nic.

Historia Henia – ciąg dalszy

W nocy z 16 na 17 marca 1942 roku obudziło ich światło. Pierwszy wyjrzał Samuel (zapewne) i zobaczył, że chwilę po północy zapaliły się lampy w dzielnicy żydowskiej. Potem było pukanie do bram. I rozkaz, że trzeba się pakować. Tamtej nocy rozpoczęła się „Akcja Reinhardt”, w ramach której przystąpiono do likwidacji lubelskiego getta. Nad ranem 17 marca pierwszy transport Żydów z lubelskiego Umschlagplatzu został wysłany do obozu zagłady w Bełżcu. Dziennie w zaplombowanych wagonach wywożono około 1400 osób, w jednym z transportów najprawdopodobniej babcię Henia i siostry Samuela. Nazwisko Samuela Żytomirskiego napisane odręcznie znalazło się na liście posiadaczy J-Ausweisów i przebywał on na terenie drugiego getta w Lublinie. Szmuel został urzędnikiem pocztowym w getcie. 27 maja 1942 roku napisał do brata: „[...] Ja z Heniusiem jesteśmy razem [...]”.

Dalej mogło być tak: Henio wraz z grupą trzech tysięcy osób 9 listopada 1942 roku został przetransportowany na Majdanek.

Jest kilka wersji następnych zdarzeń. Poszedł od razu do komory gazowej? Mogło być inaczej: wcześniej zaprzyjaźnił się z dziećmi na Majdanku, może z Haliną Grynsztejn. Halina przyjechała w transporcie z warszawskiego getta, a kiedyś mogła mu powiedzieć o pierwszych chwilach w obozie: – Taka byłam szczęśliwa, że mama miała rację, że jednak weszliśmy do łaźni, nie do komory gazowej i tak chciałam mamę objąć, pocałować, wyrazić jej swe uznanie, że jest taka mądra, że zawsze wszystko wie, co mówi... Ale mamy nie było. Mama nie weszła, oglądałam się coraz bardziej zaniepokojona, coraz bardziej przerażona, patrzyłam co chwila na drzwi. Myślałam, może za chwilę, że może zaraz wejdzie, ale nie wchodziła, nie było jej. Bałam się zapytać nawet. Bałam się myśleć. [...] wreszcie doszłam do bratowej i spytałam: „Gdzie jest mama?” Opuściła głowę i powiedziała cicho: „Nie ma mamy”...

Była tam też Janina Buczek. Rok starsza od Henia, deportowana na Majdanek w ramach akcji pacyfikacyjno-wysiedleńczej. Któregoś popołudnia opowiedziała mu (to możliwe): – Ojca z nami nie było. Była mama z dziećmi, z nami. Kiedyś zobaczyliśmy ojca, z drugiego pola, podszedł niedaleko drutów. Mama go pierwsza zobaczyła, pokazała go nam. Zaczęła machać, wołać... On nas nie poznał! Jak strasznie musieliśmy wyglądać? Nie poznał nas! Dopiero mama podniosła w górę Manusia, mojego brata, i po nim, po dziecku, poznał, że to my jesteśmy.

Historia pana Władysława – ciąg dalszy

– Wie pani, z Żelaznej na Długą jechałem i zaraz po lewej stronie obóz na Majdanku – powiedział do gospodyni, kiedy przyjechał za pierwszym razem. W mieszkaniu pachniało chlebem. Na stole – mleko, słonina i masło zawinięte w liść chrzanowy. Szykowała to wszystko dla chłopca gospodyni, za każdym razem kiedy przyjeżdżał. Jeździł drogą na Głusk, regularnie, raz na tydzień, raz na dwa, czasem rzadziej. Kiedyś zaczynał od pytania: „Co u pani?” „Jak zdrowie?” Albo: „Czy wszyscy zdrowi?”

Ona pytała o jego matkę: „Czy wszystko w rodzinie w najlepszym porządku?”

Potem zaczął pytać o wojnę i mówić, też o wojnie: – Proszę panią, to jest całkiem znowuż inna historia – zaczął. – Rzecz zaczęła się już za czasów okupacji. To byli starsi koledzy, którzy byli w AK, ale ja się wśród nich obracałem. No, jeden z nich to Jasio Busiewicz, i ja się do niego przyczepiłem, bo mnie ciekawiło radio. I powiada, żebym ja mu pomógł montować te „bebisy”. Jeden jedyny sklep ze sprzętem radiowym, proszę pani, był na Krakowskim, na rogu Placu Litewskiego i Krakowskiego Przedmieścia – dodał. Kupował tam lampy. Aż Niemcy sklep zamknęli. Więcej: okupanci wydali nakaz oddania prywatnych radioodbiorników do depozytu. – Ale wielu ludzi nie oddało i, proszę panią, z tych odbiorników można wyjmować lampy i na bazie tego starego sprzętu można montować te „bebisy” – dodał, nie wiedział wówczas, że swoją przyszłość zwiąże z branżą telekomunikacyjną i radiową. Mówi mi dziś: – Rzecz zaczęła się za czasów okupacji, kiedy prowadziliśmy nasłuchy angielskiej stacji BBC i wtedy ta stacja drogą opisową podała schemat, jak można montować radyjo do odbioru tejże stacji, i takie radyjka montowaliśmy dla znajomych.

9 czerwca 1942 roku w programie radiowym BBC generał Sikorski powiedział o eksterminacji Żydów. Cztery miesiące później, 9 listopada 1942 miała miejsce ostateczna likwidacja getta na Majdanie Tatarskim. Około 3000 osób zostało przetransportowanych do obozu na Majdanku. Kobiety, starcy oraz dzieci poszły prosto do komory gazowej.

Historia Henia – ciąg dalszy

Prawdopodobnie Henio nie zdążył zaprzyjaźnić się z dziećmi na Majdanku. I trafił prosto po przybyciu do komory gazowej. Na pewno: po 27 maja 1942 roku Samuel ani słowem nie napisał o synu. Henio musiał już nie żyć. Gdyba pani Neta: – W liście z 19 marca 1943 roku Szmuel Żytomirski pisał już tylko o sobie. To oznacza, że w tym czasie jego jedyny syn Henio już nie żył. Jak to się stało? Nie wiem.

Historia pana Władysława – ciąg dalszy

– Wie pani, jechałem i zaraz po lewej stronie obóz na Majdanku, dochodził do samej jezdni – opowiada dziś pan Władysław. – Obóz był dosłownie piętnaście metrów od drogi, już były ogrodzenia, druty obozu, no proszę panią, proszę sobie wyobrazić, że póki na wieżyczkach, tych strażniczych byli Niemcy, było w porządku, można było jechać wzdłuż, ale później jak trzeba było otworzyć dodatkowy front na zachodzie, to czynnych Niemców, wie pani, wysyłali na front, żeby walczyli, natomiast obsadzali te wieżyczki i mieli pilnować tych więźniów „Kałmyki”, tak żeśmy ich nazywali, a to byli Ukraińcy, Łotysze, Litwini, takie jednostki pomocnicze, Niemcy ich werbowali i, wie pani, oni tu pełnili służby.

Zdziwił się kiedyś przed gospodynią: – Jak oni się posługiwali procą?! – powiedział. Gospodyni zawijała masło w liść chrzanowy, a on dalej: – Otóż ja pierwszy raz ich widziałem z procą, nie wiem, czy pani wie, na terenie kopalni kamienia – wyjaśnił, a po latach mi mówi: – Obóz na Majdanku powstał później. Ale jeńców i Żydów pierwszych przywozili tutaj, na teren dawnego lotniska Plage-Laśkiewiczza, tutaj przetrzymywali tych więźniów, dopiero tymi więźniami budowano obóz na Majdanku, całe grupy tam chodziły i budowały te baraki, więc proszę panią, potrzeba było kamienia, więc tutaj, na Łęczyńskiej była kopalnia tego kamienia.

Przed gospodynią nie miał już tajemnic: – I proszę panią, pilnowali tych więźniów te „Kałmyki”. Ponieważ myśmy tam z cioteczynym bratem podrzucali nieraz chleb, trochę kartofli, to podchodziliśmy tam. Jak kopalnia w dole, to oni siedzieli na górze i jak zobaczył, że któryś Żyd źle pracuje albo odpoczywa, to wyciągał tę procę, a ta proca to była o tak, taki długi sznurek albo rzemyczek skórzany...

Kiedy miotali z niej kamieniami, młody Kwiatkowski patrzył uważnie i widział, jak strażnicy trzymają końce sznurka w jednej ręce i kręcą nim coraz mocniej. Gdy sznurek nabierał odpowiedniej prędkości, strażnik wypuszczał z ręki jeden koniec, uwalniając kamień, który wypadał ze sznurka. Pamiętał każdy szczegół, dlatego przed gospodynią starał się nic nie pominąć: – I z odległości dwudziestu-trzydziestu metrów on cholera trafiał w głowę tego tam na dole, pierwszy raz widziałem w życiu taką procę. I jak walnął w głowę, przewracał się facet, no i proszę panią, tych „Kałmyków” posadzili na tych wieżyczkach strażniczych, im się cholernie nudziło...

Przeraził się, kiedy zobaczył, jak strażnicy z wieży mierzyli w kierunku furmanek przejeżdżających ulicą przy obozie. Kiedyś padł strzał, tuż przed nim, aż się zadymiło. Gdy się obrócił, zobaczył, jak strażnik celował w jego stronę. – No to przyśpieszyłem – opowiadał. – No i przejechałem tą drogą – skończył. I wtedy wpadł w ryk. – Wie pani, torbę na pasku mama mi uszyła – szlochał dalej, gdy wrzucił ćwiartkę chleba do torby. – A chleb, wie pani – patrzy na mnie kilkadziesiąt lat później – oni piekli tej średnicy. – Pokazuje mi. – O taki duży, ćwiartka spora była.

Tamtego dnia nie wracał obok obozu: „Jak będę wracał i ten z wieżyczki zobaczy, że mam coś na ramieniu, to zacznie strzelać”, przeszło mu przez myśl. Skręcił rowerem przy parku i wjechał na ulicę Bychawską.

Historia doktora Henryka – ciąg dalszy

Ulica Bychawska stała głównie czynszowymi kamienicami. Mieszkały tu głównie rodziny robotnicze. Józef Kitliński, kiedy się tu wprowadzał, przedstawił się wszystkim sąsiadom jako maszynista z papierem ukończonego kursu maszynistów kolejowych w Radomiu. Za okupacji, pana Józefa praca ściągnęła do Chełma. Jego syn zabrał tam wspomnienia z dzieciństwa w Lublinie, jak chwile spędzone z ich lokatorką, za czasów wojny. Po latach nawet imienia jej sobie nie przypomina, mówi tylko, że pamięta „sceny łózkowe”, jak leżał obok, a ona mu czytała. – Być może dzięki niej zapałałem miłością do książek – wspomina, kiedy rozmawiamy w niewielkim pokoju wypełnionym książkami. – Czytała mi *Ogniem i mieczem* – dodaje. Została przy Bychawskiej, kiedy Kitlińscy wyjeżdżali do Chełma. Wprowadzili się do domu kolejowego dziadka. Dziadek też pracował na kolei. Dom dziadka stał przy torach linii kolejowej Lublin-Chełm. Po drugiej stronie była parowozownia, a w dali obóz niemiecki dla jeńców rosyjskich. Pokój z kuchnią dziadka musiał zmieścić całą rodzinę z Lublina.

Historia Samuela – ciąg dalszy bez Henia

„Nie piszę nic o położeniu obecnem naszym, bo z pewnością i tak o tem wiecie” – poinformował Agencję Żydowską w Istambule w liście z 19 marca 1943 roku.

Mieszkał przy ulicy Drobnej 7. Ulica Drobna mieściła się na terenie obozu Sportplatz na Wieniawie. Prawdopodobnie był jednym z żydowskich więźniów, którzy budowali stadion sportowy SS. Agencja Żydowska w Istambule przesyłała paczki do Europy oraz organizowała pomoc dla Żydów w opuszczeniu krajów

będących pod okupacją. Samuel w liście (list podpisał imieniem „Mieczysław”) podziękował za otrzymaną dwa dni wcześniej paczkę żywnościową.

Historia doktora Henryka – ciąg dalszy

Dziadek hodował w komórce króliki. – Które żeśmy wtedy jedli. – Henryk Kitliński wraca pamięcią na podwórko w Chełmie. Widzi gęś, która chodziła krok w krok za jego matką. Gęś, jak gęś, dużo gęgała, a jeszcze mocniej na widok pani Kitlińskiej, której na podwórku na krok nie odstępowała. Musiały się polubić, bo gęś za każdym razem odprowadzała i wybiegała naprzeciw pani Kitlińskiej, kiedy ta wracała. Raz gęś nie wyszła pani naprzeciw. Kitlińska wpadła w panikę i wybiegała na tory za gęsią. Usłyszała: „Pani Kitlińska, gęś ukradł Ślżzak”.

Na widok gęsih piór, które wiatr unosił nad parkingiem pociągów, gdzie przyjeżdżają niemieckie Bauzugi, i pociągi z rannymi żołnierzami, niemal się popłakała. Uspokoić chciał ją komendant pociągu: „Chwilę” – powiedział. Potem przyszedł Niemiec. Zapewniał: „My oddamy”.

Gęś trzymał na tacy i powtarzał za przedmówcą: „Nie Niemiec, tylko Ślżzak”. Potem wskazał palcem winnego i zaprowadził go pod okno domu kolejowego, żeby z okna pani Kitlińska zobaczyła, jak ukarany „Ślżzak” za karę przystępował do wykonania ćwiczeń musztry.

Historia pana Władysława – ciąg dalszy

– Cholera, policja niemiecka! – Kwiatkowski na Bychawskiej niemal zleciał z roweru. Za rogiem gestapo robiło kipsisz. Pyrali jakąś furmankę, i kobiecą chustę. „Halt!”, krzyknął Niemiec na Kwiatkowskiego. Złapał za kierownicę roweru i szarpnął na tyle mocno, że Kwiatkowski spadł z roweru. Wtedy chłopak zobaczył buty niemieckie: ciężkie, okute, skórzane, a obok nich torbę (myślał o matce, która ją uszyła). Zauważył, że pasek się urwał i mleko się lało, i kiedy uprzejmą prośbą chciał torbę odzyskać, dostał kopniaka. – I tutaj ta blizna, jak pani widzi. – Pokazuje mi. – Uderzyłem o coś metalowego, to mi się rozcięło – wspomina. Krew tamował dłonią. „Raus!”, przerwał mu Niemiec i kazał zniknąć mu z jego oczu. Kwiatkowski chciał zniknąć, ale nie mógł się ruszyć. Dopiero po drugim „Raus!” Niemca cudem zerwał się na nogi. – Powoli, idę na tą Bychawską – opowiada.

Historia doktora Henryka – ciąg dalszy

Do mieszkania przy Bychawskiej 5 pani Kitlińska zaglądała raz w tygodniu, nieraz dwa. Przyjeżdżała z Chełma, kłaniała się „Janowej”, przekupce, u której jej syn zarobił pierwsze pieniądze. Janowa sprzedawała słoiki na targu, a młody Kitliński pomagał jej w rozładunku towaru. Za zarobione grosze chodził do kina Wenus. – To była jakaś kulturalna część życia tam i był teatr kukielkowy – wspomina po latach mieszkańców Bychawskiej 5.

Historia pana Władysława – ciąg dalszy

– Idą tą Bychawską dalej, no i tak dowlokłem się do Pawiej – wspomina pan Władysław. – Wszedłem do rzeki, bo tam płynię Czerniejówka, obmyłem się z krwi, kawałek poszedłem Wspólną, na Żelazną. Matka struchlała: „Co się stało?”, spytała. Zrobiła mu okład z rumianku. – Co najmniej z tydzień nie mogłem chodzić, tak mnie bolało, no ale tutaj mama mi coś przyłożyła, podwiązała tak dookoła, taką wstążeczkę i to się zablizniło, i tak do tej pory zostało – mówi. – Tak wspominał ten czas okupacji.

W 1943 miał trzynaście lat i słyisał o rozstrzeliwaniach na Majdanku. – A wie pani, co było najbardziej perfidne? – Patrzy na mnie. – Że tam były głośniki, gdzie wzywali na apel, to w czasie, kiedy to rozstrzeliwanie było, to puszczali muzykę, więc te głośniki ryczały niesamowicie, i na tle tej muzyki słyysać było serie z karabinów maszynowych. Bo to, co było w komorach, to o tym nikt nie wiedział, to później myśmy się dowiedzieli – dodaje.

Na Żelazną smród z Majdanka przynosił wiatr z południa. Piece krematoryjne nie przerabiały. – Więc były pobudowane takie boksy, na wierzch były ułożone szyny na tych boksach, na to układano ciała zabitych i pod spodem palono, i to się paliło – opowiada pan Henryk swoim wnukom. – I ten smród się przedostawał, to naprawdę się wydawało, że to powietrze jest tłuste – dodaje, ale wnukom trudno pojąć opowieść: „Dziadziu, co ty opowiadasz? Jaka to jest odległość? Cztery kilometry?“, pytają zdziwione, co komentuje przede mną: – No co ja im będę tłumaczył, ja to wszystko przeżyłem. No i proszę panią, nikt na to poradzić nie mógł. Dopiero kiedy powstały te nowe fronty na wschodzie i Niemcy dostali łupnia, no to w pewnym sensie ograniczyli to mordowanie na Majdanku, ale do pewnego momentu...

Historia Samuela – ciąg dalszy

„[...] obecnie nie jestem w stanie powiedzieć niczego o naszej rodzinie. Nie wiem, gdzie się teraz znajdują. Robię wszystko, co w mojej nocy, aby się o nich czegoś dowiedzieć”, napisał Samuel 6 stycznia 1944 roku do biura Agencji Żydowskiej w Istambule. „Przed 4 tygodniami zostali zapakowani i wysłani do obozu na Majdanku. Większość z nich już nie żyje, ale czy jeszcze ktoś gdzieś żyje?...”

Historia doktora Henryka – ciąg dalszy

– No za rzeką za Czerniejówką, za Bronowicami był Majdanek, czy ja coś z tego pamiętam, chyba niewiele, i chyba nie zdawałem sobie z tego sprawy – mówi pan Henryk. Wyzwolenie zastało go w Chełmie. Wspomina: – Było tam bardzo niebezpiecznie, ponieważ później, jak się zaczęły sowieckie naloty, strasznie bombardowali to miejsce, w końcu ten nasz dom, ten dom naszego dziadka wysadzono, i tę elektrownię i parowozownię, i te tory, ja pamiętam, że się bardzo bałem.

Rolety w oknach zamiast szyb, przy mocniejszym podmuchu wiatru fruwały na pół pokoju. Nie wytrzymali i przenieśli się w sandomierskie. Drugi raz doświadczyli wyzwolenia. Rosjanie skradli ojcu brzytwę, Henrykowi kredki. Być może były potrzebne do jakichś map sztabowych – gdybał w drodze do Lublina. Wisłę przekroczyli na promie, dalej jechali „okazją”. Kiedy zatrzymał się samochód z Rosjanami, uradowane miny Kitlińskich szybko zrzedły: przez brązową koszulę, którą nosił ojciec. Rosjanin wziął go za hitlerowca i kazał rozstrzelać. Matka chwyciła syna za rękę i wybiegała przed męża. Błagała, że on Polak, nie Niemiec. – I jakoś nam się udało tych ruskich ubłagać czy przekonać, że jesteśmy Polakami – dodaje pan Henryk.

„Trzeba iść torem nie szosą” – mąż Kitliński spojrzął na żonę. W Wilkołazie wsiedli w pociąg do Lublina, ale dalej, przez wysadzony most znów musieli iść pieszo, na Bychawską.

Drzwi otworzyła im Żydówka. Jak dobrze zapamięta Henryk, była koleżanką ze szkoły jego ojca, z Koprzywnicy, którą Kitlińscy zdecydowali się w czasie wojny ukryć. Henryk ma takie wspomnienie, że kiedy z Koprzywnicy chcieli się wydostać, wsiedli na prom, tak to pamięta, i mówi: – Dziadek nas odwiózł furmanką do Wisły. Wisłę żeśmy pokonywali promem. Prom, bo tam był prom, nie było mostu, i tam po drugiej stronie był Tarnobrzeg, z tego Tarnobrzega pociągiem do Rozwadowa, i z tego Rozwadowa do Lublina, i jakoś widzę ją [mówi o tej Żydówce] w pewnym momencie w pociągu, jedzie moja matka, ja i ta kobieta – wspomina osobę, która po wojnie stała w drzwiach ich mieszkania. Jeszcze lepiej pamięta, że nie chciała wpuścić Kitlińskich i że zostali bez mieszkania.

Powiedziała Żydówka: „Miałam ciężkie warunki”.

– Nie wiem, w czterdziestym drugim czy trzecim rodzice zamknęli ją w tym mieszkaniu i od czasu do czasu – wyjaśnia – nie wiem jak często, moja matka albo ojciec zawozili jej jedzenie, chyba wyrzucali jej te kupy, nie wiem, jakim sposobem, w każdym razie kamienica nie wiedziała o tym.

Jej łóżko stało w kuchni i ona tam była ukrywana. W mieszkaniu spędziła dwa, może trzy lata.

Historia Samuela

Samuel też się ukrywał. Potrzebował wsparcia finansowego. Napisał do biura Agencji Żydowskiej: „Możecie sobie wyobrazić, jak się czuję teraz, kiedy jestem sam w tym ciężkim położeniu. [...] W chwili obecnej moim największym celem jest to, aby to wszystko szczęśliwie przeżyć i dowiedzieć się czegoś o naszej nieszczęśliwej rodzinie [...]”. List ma datę 6 stycznia 1944 roku. Samuel napisał go na maszynie, w języku niemieckim i podpisał imieniem „Mieczysław”.

Samuel nic więcej nie napisał.

PS

– Niemcy, uciekając, starali się jeszcze w ostatniej chwili zatrzeć ślady – wspomina pan Kwiatkowski. – I sporo ludzi zostało zamordowanych, a na ostatek już nie wyrabiali w tych komorach, to, proszę panią, na takich słupkach ustawiali stare podwozia samochodów, bo kiedyś samochód ciężarowy miał taką ramę, i wykorzystywali te ramy ze starych samochodów, żeby układać na nich ciała i pod spodem palili. W ten sposób, w ostatnich miesiącach ucieczki Niemców, nasiliły się te egzekucje na Majdanku. No to prawie dzień i noc słysząc była tą strzelaninę.

Żydówka przy Bychawskiej 5 mieszała czarne myśli. Musiała opanować strach. Kiedy czuła zagrożenie z zewnątrz, chowała się w szafie, przedwojennej. Trzydrzwiowej, z lustrem po środku. I otwierała parasol. – Być może tam było na tyle miejsca?! – gdyba Henryk Kitliński. – I ona tam była ukryta, jakiś czas, i ja sobie wyobrażam, pamiętam tę „scenę łózkową” z nią, jak mi czyta, zdaje mi się, że byliśmy też i razem.

Nocował z rodzicami w pokoju, oni na jednym łóżku, on naprzeciw. – Ale później mojego ojca szybko przeniesiono do Chełma i myśmy się przenieśli. Jak żeśmy przyjechali do Lublina, okazało się, że zajmuje nasze mieszkanie, tu zaczynają się kłopoty.

Żydówka nie chciała się wyprowadzić. Ojciec Kitliński nie wytrzymał. Musiał ją wyprosić, a potem jej wysłuchać, kiedy z półpiętra groziła mu najróżniejszymi przykrościami. Powiedział Kitliński pod nosem: „Przetrwiała dzięki mojej żonie”.

Wreszcie zniknęła mu z oczu. – No i później więcej nas nie nachodziła, chyba zrozumiała, że powinna być wdzięczna moim rodzicom – opowiada pan Henryk, który po wojnie wrócił na Bychawską.

Na poczcie obok wiatr unosił druki pocztowe. – Znam tylko te okolice tutaj, właśnie Bychawskiej. Ponieważ mój ojciec był maszynistą, więc gdzieś tam z Ziem Zachodnich przywiózł mi rower. Była to sensacja wśród okolicznych dzieci, wszystkie okazały się moimi bliskimi kolegami, wszyscy chcieli ze mną jeździć, bardzo mnie lubili, i pamiętam, że właśnie ojciec uczył mnie jeździć na tym targu, po południu był pusty... Taki trochę większy niż dziecięcy i tam uczyłem się jeździć na rowerze.

Reportaż powstał przede wszystkim na podstawie wspomnień przeprowadzonych i zarejestrowanych przez autorkę pracy konkursowej w ramach Programu Historia Mówiona realizowanego w Ośrodku „Brama Grodzka – Teatr NN” w Lublinie. Były to rozmowy z Marią Kitlińską i Henrykiem Kitlińskim z 7 sierpnia 2017 oraz Władysławem Kwiatkowskim z 3 lutego 2017.

Ponadto: *Henio Żytomirski*, <http://teatrn.pl> [dostęp: 25.08.2017]; M. Grudzińska, *Elementarz z Majdanka*, „Zeszyty Szkolne” 2003 nr 4, s. 109.

Praca zdobyła III nagrodę w XVIII Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Eugeniusza Paukszty „Małe ojczyzny – pogranicze kultur i regionów”.

* * *

Po jakiej stronie jestem
Po tej samej co liść kamień żebrak
Błask na kałuży ptaki na parapecie
Dzieci rano spieszące do szkoły
Rzecz cała by w tym wytrwać
Zanim drzewa słowa będą skreślane
Klucz nie otworzy drzwi do domu
Nie trzeba mi nawet tego udowadniać

W drodze do piekła

„...rzadko się zdarza jakiś cud”*

Tym razem się zdarzył.

Lucjusz – Lutek – został w porę zawrócony. W pierwszym momencie nie zakodował przez kogo i jak. Dopiero po czasie, jak zaczął w detalach rozpamiętywać, przy dźwiękach – choć trudno nazywać to dźwiękami – dołującej muzyki gotyckiej zawijasy swojego żywota, zaczęły wracać obrazki z tego mrocznego miejsca, które tylko Przybyszewski albo Witkacy potrafiłby odmalować słowem oddającym w pełni jego właściwości i przesycenie wonią śmierci.

Wie tylko, że nigdy by tu nie przybył, nie usiadł, nie czekał, gdyby nie matka. Przekląć już ją miał, kolejny – tysięczny albo i więcej – raz, gdy nagle wzrok jego zderzył się z pełnymi zmęczenia, a zarazem niewysłowionego ciepła, oczyma starej kobiety. Stała nad nim, wciąż leżącym na kamiennej połaci nasypu kolejowego, dobrotliwie wpatrując się w jego twarz. Przerażoną, zdominowaną rozkojarzonym spojrzeniem, dygotem warg i mięśni pod szarzejącą skórą policzków, dobywającą mniej lub bardziej artykułowane dźwięki o ucieczce z tego miejsca. Plótno od rzeczy, jednak o wysiłku jakimkolwiek mowy nie było. Kiedy jazgot oddalającego się pociągu był już tylko szumem-poszumem, pozwolił się podnieść staruszce. I wstyd go w tym momencie ogarnął, że zamiast on pomagać, sam był w potrzebie. Chciał jej od razu, jak tylko na nogach stanął, wykrzyknąć swój ból, tę smutną o matce pieśń, ale jakaś siła – ta moralność wszelką niemoralność wewnątrz zabijająca – powstrzymała go. Bo jakże to, syczała, czy szeptała, o mamusi źle? W dodatku do obcej baby? Od razu też przywołał myśli do dyscypliny, bo jak tak o starowinie myśleć jak o obcej babie, skoro ona – nie musiała przecież – przed wkroczeniem na ścieżkę do piekła wiodącą ustrzegła! Przeprosić by trzeba, pomyślało mu się, ale słowa przez krtań przejść nie chciały. Bo niby czemu miałyby przechodzić, skoro złe słowo nie padło, a jedynie pomyślane zostało. Jeszcze tylko zdołał grzecznie uspokoić zaniepokojoną, szczerze zatroskaną staruszkę, że nic się nie stało, tylko przez przypadek upadł w tym akurat miejscu i wdzięczny jest, że ona o tej porze – na styku nocy z dniem – akurat się w tym miejscu znalazła i od nieszczęścia uchroniła. Już zdawał sobie sprawę, że tragedią nazwać to powinien, lecz nagle nieopisany strach wzbraniał mu tego.

Szykował się do odejścia, gdy poczuł szarpnięcie za rękaw poszarpanej koszuli. Widocznie, skonstatował z miejsca, coś z tego pociągu musiało mnie zahaczyć? Uścisk suchej dłoni – powleczonej przezroczyście jak pergamin skórą – staruszki sprawił, że zatrzymał się niczym rażony piorunem, sparaliżowany albo powstrzymany krzykiem mamusi. A staruszka przecież szeptu nawet z siebie nie wydała. Przez ułamek sekundy wzięła ją za wiedźmę, w której istnienie od dziecka nie wierzył, albo czarodziejkę dokonującą cudów. Jednak z urody, dziwnie nie dającej się określić, nie pasowała ani do jednej, ani do drugiej. Mimo to dostrzegł w niej coś magicznego, chociażby z uwagi na nagłe pojawienie się w tym miejscu i o tej porze dnia, na dodatek w takim momencie jego życia. Od razu też pomyślał o świętych albo ich wysłannikach,

* Cytat z tekstu Leszka Pietrowiaka *Zobacz jak pięknie*.

w których nie wierzył, a czcił ze strachu, albo nawet w znak Najwyższego, wiarę w którego porzucił jeszcze przed utratą tejże w świętych, z jeszcze większego strachu.

Dał się odtąd prowadzić starszce w milczeniu. Obojętny na to, kto wiezie i dokąd. Byle jak najdalej. W krainę zapomnienia, w istnienie której też wierzyć przestał. Milczał i dał się prowadzić jak jagnię na rzeź – swoją krowę wcześniej starszka na pastwisko zaprowadziła – myśląc jedynie, niech się dzieje, co chce albo: co ma być, to i będzie. Plotło się w jego siwiejącej głowie wersami ze skrycie słuchanych piosenek, na co mamusia rzadko pozwalała, bo trzeba było sobie zasłużyć. Chciał zapytać, dokąd mnie wieszysz, wybawicielko, ale nagle uzmysłowił sobie, że mimo chłodu, nadciągających mroźnych poranków, jest tak bosko, niezmiernie, nienaturalnie spokojnie, że droga mogłaby nie mieć końca. Bo początek już poznał.

Może nie całkiem. Nie mógł przecież pamiętać momentu narodzin, jedynie go sobie wyobrażał w chwilach szczególnej udręki, ani sikania w pieluchy, przewijania, otrzymywania razów na gołe dupsko warząchwia przez wkurzoną za zafajdaną pieluchę mamusię. Bo tetrowa, nieliczna, z trudem zdobyta i często prac trzeba było! A pomocy znikąd, bo mamusia sama była od początku. Tatuś zrobił jedynie, co chciał, czy co należało, a potem słuch wszelki po nim zaginął. Mamusia spokój miała do momentu, kiedy krągłości we wsi i w rodzinie dostrzegać zaczęto i komentować poczęto. Rodzina pobożna była. Dziadek, a ojciec mamusi, przy kościele się udzielał, każdej zimy, w czas kolędy, starego radcę saniami od wsi do wsi woził, a na koniec całkiem pijanego od wódek kolorowych, najlepszych, na spirytusie przednim robionych, na plebanię zawoził i w ręce opiekuńczej gospodyni – matki dzieciom proboszczowym – oddawał. Babcia w każdy odpust z gęsiną i dopiero co odchowanymi kogutkami do radcy pędziła, najlepsze osetki masła podtykała i gęsie szyjki faszerowane podrobami na proboszczowski stół zносиła, byle tylko ksiądz dobrodziej – po rękach przy byle okazji całowany – mógł przed biskupem hojnością parafian błysnąć. Na pochwalenie ochoty raczej nie miał, majestat radcowski nie pozwalał na zniżanie się do pochwał dla pospólstwa. Tego też pamiętać nie mógł, ale z opowieści babcinych i dziadkowych znał. Ukradkiem przekazywanych, bo mamusia spotkań zabroniła.

Powód miała. Jak tylko brzuch wydatny ciężarem dla rodziny się stał, matka z ojcem jej, a dziadkami jego, zdecydowali o pozbyciu się kłopotu. Obyło się wprawdzie bez łez, ale kłopot – mamusia – znalazł się w wielkim kłopotcie, dom rodzinny porzucił i nienawiść wielką do dziadków jego budować w sobie począł. Ten moment uwił sobie już gniazdo w jego pamięci. Ta samotność pod nieobecność mamusi, zmuszonej zarabiać na kromkę byle czym posmarowanego chleba, stopniowo przeradzała się w niepojętą dlań nienawiść ze strony kobiety. Każdego dnia siedział sam w pokoju zamkniętym na klucz, oczekując na jej powrót. Pierwsze, czego zaczął się po jakimś czasie domagać, to JEŚĆ. Raz i drugi coś odwarknęła, ale za kolejnym dopominaniem zamiast „zaczekaj, aż w piecu rozpalę i zupę przygrzeję” było plaśnięcie z otwartej ręki w twarz. Rozryczał się. Liczył na jakąś rekompensatę, niechby zwyczajne „no, uspokój się, nie rycz, widzisz, że jestem wykończona”, ale nie. Zamiast tego, „przestań wyć!”, „cholery zaraz przez ciebie dostanę, rozwydrzony bachorze!”, z czasem mamusia uzupełniała repertuar wyrażań mających go uspokoić, które w rzeczywistości wzmagaly jego rozżalenie, poczucie niemocy i stawania się niepotrzebnym.

Odporniał się z wiekiem. Pojąć jednak nie mógł, dlaczego nie wolno mu wychodzić z domu. Tym bardziej że przez okno widywał dzieciarnię biegającą po podwórku, ulicy, trawniku, grających w coś przypominającego piłkę chłopców, ładne dziewczynki budzące w nim irracjonalny lęk – każda istota w sukience, sukieneczce to murowane lanie – a on spętany wiedzą, że nie wolno, bo tam tylko zagrożenie i siedlisko zła. Do czasu. Siedząc raz pewnego przy okiennym parapecie, lekko uchyliwszy zasłonę, dostrzegł na spowitym słonecznymi promieniami placu dzieci grające w klasy. Lecz o tym dowiedział się później. Coś sprawiło, że postanowił do nich dołączyć. Impuls niewytłumaczalny nakazał zapomnieć o rozkazach mamusi – „pod żadnym pozorem nie wolno ci wychodzić” – odwaga otworzyła okno, jakoś wcześniej nie przyszło mu to do głowy, po czym wyskoczył z parteru na trawnik. Zdumiony, że istnieje tak cudowny świat. Jeszcze bardziej zaskoczony zaskoczeniem dzieci z podwórka jego niespodziewanym zjawieniem się.

– A ty kto? – usłyszał od jednej z dziewczynek.
– Nikodem, ale mamusia nazywa mnie Lutek – ledwie wyszeptał.
– Jaki Lutek? – Dziewczynka wciąż dopytywała i dostrzegła w jej oczach coś więcej niż zdumienie.
– Lutek-srutek – zaczął dziwnie, jakby w tonie naigrywania się, towarzyszący dziewczynce chłopiec.
– Jestem stąd. – Wskazał na otwarte okno, przez które właśnie się wydostał.
– Nigdy cię tu nie widziałam?
– Ale jestem.
– Jest od tej kobiety, co dzieciaka zamyka przed światem – stanowczo jął wyjaśniać towarzyszący dziewczynce chłopiec.

Dopiero wiele dni później Lutek dowiedział się, że chłopiec miał na imię Tymoteusz. Póki co cieszył się, że mógł z dopiero co poznanymi dziećmi pobawić się w zupełnie obcą grę. Grę w klasy. W dorosłości książkę pod takim samym tytułem przeczytał w tajemnicy przed mamusią i długo przez nią zasnąć nie mógł. Teraz grał. Rozegrał się, rozbawił, aż całkiem zapomniał, że nie wolno. Zapomniał do czasu, kiedy przypomniała mu mamusia. Zjawiła się tuż obok skaczącego w kratkach zniecka, szarpnęła za ucho i ku przerażeniu nowo poznanych towarzyszy zabawy powlokła do domu.

Od tego momentu utwierdzał się w przekonaniu, że mamusia nie może być jego mamusią. Bo gdyby była, toby nie sprząła na kwaśne jabłko, nie byłoby tak, że zamiast siedzieć, musiał leżeć, że majtki kleiły się do obitego korbaczem tyłka, a jemu nie wolno było przy tym wydać nawet jęku żalu, krzty płaczu i łez. Musiał przełykać ból, nakarmić się nim do syta przed snem, co dopadł go uwięzionego tłumieniem buntu na chłodnej podłodze. Mamusia odtąd nie życzyła sobie, by „taki nicpoń, niecnota, bękart spod psiego ogona” wylegiwał się jak jakiś basza w jej łóżku. Nie musiała tego mówić. Sam postanowił, że nie będzie z nią więcej spał. Postanowił też, że od tej pory będzie jej nienawidził. Pielęgnował w sobie po dziecięcemu to uczucie do momentu pójścia pierwszy raz do szkoły. Bał się tego dnia. Tym bardziej, że córka sąsiadki z naprzeciwka, piętnastoletnia, z dużymi piersiami i rozłożysta w biodrach, po skończonej podstawówce, nastraszyła go, że jak tylko zrobi w szkole coś nie tak, to coś mu odetną. Na przykład rękę albo głowę i to na żywcą. Przez kilka nocy nie sypiał z tego powodu. W dzień pójścia do szkoły zapomniał więc mamusi wszystko, co złe, bolesne i wstrętne, a uczepił się jej ręki niczym owoc łopianu wełnianego swetra. Robił wszystko, by nie zorientowała się w jego lęku, ale nie udało się. Matczyne „co się tak trzęsiesz jak jakaś galareta” sprawiło, że był wściekły nie tyle na nią, ile na siebie za to, że nie potrafił ukryć strachu. Chciał w jej oczach wyjść na takiego, który niczego się nie boi. Ostatecznie mamusia w tym pomogła. Jej „zachowujesz się jak ciamajda, takie ciepłe kluchy, a przecież masz mi wstydu nie przynosić, tylko same piątki” sprawiło, że zapomniał o lęku, zastępując go dziecięcym postanowieniem – na fundamencie buntu stawianym – że jeszcze ona zobaczy na co go stać. LUTEK BĘDZIE NAJLEPSZY – załęgło się pod czarną czupryną i niemal wypływało z równie czarnych oczu, niemal szelmowskiego spojrzenia, jeszcze nie w pełni zdającego sobie sprawę z rozsiewanego uroku.

Nie bardzo wiedział, co to są najlepsze stopnie i jak się je zdobywa, ale po pierwszym klapsie na tyłek od nauczycielki kontrolującej kaligrafię – zaczęta od literki „m” duże i małe, jak początek słowa mama, wszak, jak podkreślała pani, mama jest w życiu każdego z nas najważniejsza – postanowił ćwiczyć sztukę pięknego pisania do perfekcji. Aż do pierwszej piątki. Wtedy mamusia stwierdziła, zeszyt wieczorem przeglądając i już nie tarmosząc za uszy, że „pierwsze koty za płoty i teraz tylko tak trzymać”. A trzymać nie było łatwo. W klasie była Ulka, szybko nazwana kujonką, potrafiąca rozplakać się w głos w przypadku, gdy ktoś otrzymywał lepsze od niej stopnie. I była też faworytką nauczycielki, co Lutek szybko zmiarkował. Już nie tylko mamusi postanowił dowieść bycia najlepszym w klasie, ale i pani nauczycielce, że samo chwalenie koleżanki nie postawi jej na najwyższym pułapie podium. Nie pozwalał na moment usnąć ambicji, tym bardziej że mamusia obiecała kupić pod choinkę, na dużego Mikołaja, łyżwy do jazdy figurowej. Jeszcze uważniej czuwał, by nie dać się wyprzedzić Ulce. Udało się i nie zarazem. Okazało się na wywiadówce, że poszli z Ulką łeb w łeb. Przekonany,

że jest jak w niebie, cudownie, że mamusia wróci z rozświetlonym licem, widział siebie szalejącego na lodowej płycie zamarniętego stawu nieopodal domu. Za wcześniej. Mamusia wróciła w miarę usatysfakcjonowana, lecz nie na tyle, by pędzić do geesowskiego żelaznego i kupić stojące od tygodni na wystawie łyżwy. Ośmielił się zapytać – „dlaczego nie?”. Odpowiedzią było trzykrotne walnięcie w głowę i wytarganie za czuprynę, spuenteowane szorstkim: „a co ty myślisz, że uczysz się dla zysku?”. A zaraz potem cała tyrada: „Ja w twoim wieku nawet pomarzyć o szkole nie mogłam! Ty, nie dość, że możesz, niemal na siłę do szkoły jesteś posyłany, a mógłbyś na przykład do lasu chrust zbierać na opał, czy inne gałęzie, to jeszcze marzą ci się nagrody? Masz się tak uczyć, żeby wstydu nie przynosić. Więcej lania niż żarcia będzie, jak stopnie nie takie będą. I zapamiętaj sobie, zakuty łbie, ty udreko nasza, że nagrodę sam sobie wyuczysz. Jak już będziesz zarabiał”. Chciał jeszcze zaryzykować, poprosić, może na kolana paść, mamusię po rękach wycierać – w końcu często bez powodu kazała się po rękach całować – w nadziei, że skruszy jej zdecydowanie, skłoni do pójścia do sklepu ukochanego i kupi wielkie marzenie. Nie stało się tak ze strachu.

Przeboleł zamordowanie marzenia o posiadaniu łyżew figurówek. Zdecydował pod pierzyną, że sam kiedyś kupi sobie takie, jakie mają mistrzowie, szczególnie mistrzyni Rita Trapanese, którą widział na obrazku w kolorowej gazecie mamusi i raz w telewizji u sąsiadki, kiedy poszedł z mamusią oglądać teatr sensacji, a właściwie mamusia poszła, a jego wzięta, sama nie wiedząc po co. Po czasie doszedł do wniosku, że jedynie po to, by pochwalić się przed sąsiadką – wiedząc, że ta rozniesie wieść po całej okolicy i jeszcze dalej – jakiego to ma zdolnego syna. I na dodatek bardzo przystojnego. Syneczką w obejściu z innymi, obcymi go nazywając. Miał ochotę zaprzeczyć tej udawanej słodyczy, lecz jedno dyskretne spojrzenie mamusi powodowało topnienie wszelkich przejawów niesubordynacji względem rzeczonoego przez kobietę stwierdzenia.

Pewnego wieczoru, po kolejnej wywiadówce z sukcesami i bez obietnic nagrody – tym bardziej nadziei – wpadł na pomysł zaproponowania mamusi, by przynajmniej raz w tygodniu mógł – na przykład po lekcjach w sobotę – pójść do kolegów pobawić się w wojnę.

- Wszyscy – przekonywał – się bawią, bo wszyscy oglądają serial o pancernych.
- Ty nie musisz – harda odpowiedź pozbawiała go części złudzeń.
- Dzięki temu – usiłował grać przebiegłego – lepiej można nauczyć się historii.
- A jeszcze lepiej z porządnych książek – obstawała przy swoim mamusia.
- To będę mógł czy nie?

Spodziewał się kolejnej szarży szorstkiego języka na pętany lękiem zmysł słuchu, a tu zaskoczenie totalne. Mamusia myślała. Myślała i przesywała palącym spojrzeniem zamiary syna. Stracił pod wpływem tego spojrzenia resztki nadziei. Tymczasem usłyszał nieoczekiwane: „idź, tylko przed zmrokiem masz mi wrócić, a na szóstą pojedziemy do kościoła, na mszę”. Nie zbuntował się, choć mszy nie znosił. Raniła go od pierwszego wejścia do świątyni wyczuwalna, choć nieprecyzowana nieszczerłość, pewien niedefiniowalny dłań fałsz w brzmieniu księżowskich głosów i niewiara ogólna w coś, czego nie widać, dotknąć się nie da, dyskutować tym bardziej, bo niezrozumiałym dogmatem spowite, a na to wszystko słowa mamusi, „jest jak jest i zero dyskusji na ten temat”. Toteż chodząc bezmyślnie na lekcje katechezy przygotowujące do przyjęcia Pierwszej Komunii, starał się przebrnąć przez nie bezproblematycznie, bezrefleksyjnie, być typowym katolikiem, odklepać nakazane modlitwy i zwroty z pamięci, byle zrobić, czego oczekują – mamusia i proboszcz – po czym mieć święty spokój. Swoje myśleć, czynić, jak każą. Na razie. Bo i tu obiecał sobie, że jak dorośnie, nikt nigdy w przybytkach bożych go nie ujrzy. Chyba, że jako turystę w obiektach zagranicznych, podziwianych w gazetach, albumach i dopiero co nabytym przez mamusię telewizorze, otwieranym każdego dnia tylko na dziennik telewizyjny i ewentualnie film dozwolony dla niego. Czasem, w niedzielne popołudnie, pozwalała popatrzyć na jakiś przyrodniczy bądź podróźniczy, niejednokrotnie i w nich dopatrując się niebezpiecznych treści dla duchowości młodego człowieka.

Leżąc pewnego wieczoru na swojej kanapie, doszedł Lutek do wniosku, że coś się w jego relacji z mamusią zmieniło. Bał się jej jak dotąd, ale nie odczuwał tego tak często fizycznie. Mniej tłukła o byle głupstwo – jak

choćby za pięciominutowe spóźnienie po zabawie w pancernych z chłopakami z klasy – coraz mniej pretensji miała o stopnie, stale oscylujące na najwyższych pułapach, jakby mniej go zauważała i kontrolowała. Nie bardzo też wiedział – dobrze to czy źle? Bezpiecznie czy raczej cisza przed burzą? Nie było też sprawdzania zeszytów. Zauważył tylko, że gdy udawał brak zainteresowania jej poczynaniami, ona dyskretnie obserwowała jego gesty i czyny. Czuł, że szpieguje, nie wiedział tylko w jakim celu. Postanowił być czujnym. I gdy już całkiem doszedł do wniosku, że mamusia skończyła proces wychowania go po swojemu, uznając, że się dzieło dokonało, przyszedł czas na poważną rozmowę.

W pierwszej chwili struchlał. Pomyślał, że został zdemaskowany. Jak nic, konstatował, rozszyfrowała mnie. Ukrywał się z tym swoim dojrzewaniem, a właściwie z dolegliwościami temu towarzyszącymi, jak tylko mógł. Oglądał się, jak mamusi nie było, mierzył sobie rosnącego i zarastającego czymś w rodzaju afro, masował i odkrywał uroki masturbacji, aż w końcu doznał olśnienia, szoku niemalże, rozkoszy wypływającej z masowanej części ciała. Przeżywszy ten moment, popadł jednocześnie w panikę. Przypomniał sobie o grzechach. Konieczności spowiadania się. Kolejna fala strachu sprawiała opadanie tego, co tak często mu stawało, niemal po każdej myśli o tym i masturbowaniu się – słowo poznał na godzinie wychowawczej z chłopcami, prowadzonej przez wychowawcę – bo jak tu z księdzem o takich sprawach? A co będzie, jak przypadkiem mamusia się dowie? Tajemnica spowiedzi to jedno, a mamusine z proboszczem układy to całkiem inna rzecz. Szczególnie bał się, gdy wypływała z niego rozkosz w środku nocy i nie mógł nijak nad tym zapanować. Czuł nadchodzącą erupcję, ale sen odpuszczał, jak już było po wszystkim i z lekkością trzeba było wczesnym rankiem przed mamusimym wzrokiem uciekać, bo mogłaby za coś takiego zabić. Kiedy więc siadał naprzeciwko niej z duszą na ramieniu, gotów przyjąć najsurowszą tyradę dla uszu i razy za mamine odkrycie jego huraganu hormonalnego, spodziewał się wszystkiego najgorszego. Z zamkniętymi oczami czekał na uderzenie biczem bożego.

Jeszcze większe było jego zdumienie wymieszane ze zdenerwowaniem, gdy oczekiwane nie następowało. Mamusia, wygodnie usadowiwszy się w bujanym fotelu, zagaіła głosem do swego rutynowego niepodobnym:

– Szkołę niebawem kończysz, zatem o przyszłości pomyśleć trzeba.

– Jeszcze mam czas – odrzekł szczerze.

– Gównu, a nie czas. Skoro jesteś niezdecydowany jak... – tu się powstrzymała gwałtownie, a Lutek od razu wyczuł, że chciała nawiązać do ojca, którego nigdy nie widział, nie miał, a o którym od jakiegoś czasu w cytatach między wierszami słyszał. – Nieważne, to ja zdecydowałam.

– Wolałbym...

Widocznie nie było mu dane myśleć samodzielnie. Tym bardziej wolę jakąś wyrażać, a już broń Boże własne zdanie wypowiadać. Mamusine spojrzenie skierowało jego myśli na właściwe tory.

– Wyobrazić sobie mogę i zgodzić się na to tym bardziej nie mogę. Kilka dni z rzędu o niczym innym nie myślę, tylko o tym, byś w życiu miał jak najlepiej. W każdym razie lepiej ode mnie. Byś nie musiał wstawać o czwartej rano, tyrać po dziesięć godzin za żarcie ledwie w nędznym garnku się mieszczące i mieszkać o... – tu powiodła pełnym żalu spojrzeniem po niepomietających ostatniego, jakiegokolwiek, malowania ścianach.

Nie mógł nie przyznać matce racji. Owszem, będę klepali, ale nie bardzo cierpiał z tego powodu, bo prawie wszyscy mieli tak samo albo jeszcze gorzej. Plan wyjścia z tej sytuacji obmyślił przez lata sam. Nie zamierzał w jego tajniki wtajemniczać mamusi. W tym momencie uznał, że jeśli nie uczyni tego teraz, to potem może być za późno albo całkiem niemożliwym. Próbował się sprzeciwić. Wyrazić własną opinię. Jednak siła chrząknięcia matczynego spowodowała, że zamilkł w tej kwestii. Za to rozwinęła się mamusia.

– Już ci powiedziałam, że długo o tym myślałam. Doszłam do wniosku, i to będzie najlepsze rozwiązanie, że pójdziesz do technikum chemicznego. Zdasz egzamin bez trudu. Z matematyki jesteś dobry, z chemii jeszcze lepszy, z nauczycielem rozmawiałam i rację mi przyznał. – Chyba zauważyła po minie syna, że pragnąłby coś rzec. – Nie próbuj się ze mną nie zgadzać, bo jeszcze jestem twoją matką i w pysk możesz za pyskowanie zarobić. Chyba nie chcesz takiego wstydu przed kolegami? Zatem technikum chemiczne

będzie spełnieniem twoich marzeń. – „Chyba twoich”, pomyślał i znów się zląkł, że myśli usłyszanyymi być mogą, bo mamusia wnikać w sam rdzeń mózgu potrafi. – Czasy teraz takie, że chemia ma przyszłość. W rolnictwie, w produkcji zabawek, do jedzenia na potęgę tego świństwa dodają, nawet sportowcy chemii potrzebują, czytałam, to wiem. Zatem, chłopcze drogi – jak dawno tego nie słyszał, chyba nigdy – nie ma co kombinować, tylko o przyszłości na serio myśleć. I co ty na to?

– O ogólniaku myślałem – odważył się w końcu nieśmiało.

– Po co?

– Żeby na przyszłość archeologiem albo dziennikarzem być.

– Dziennikarzem?! I kłamać jak ci wszyscy w tych radiach i telewizorach? Albo w ziemi grzebać jak te nornice, co nam do góry nogami ogród przeryły? Mowijcie mi! Technikum chemiczne i już!

Po czym wstała, otrzepała sukienkę i zaczęła krzątać się koło westfalki. Lutek kolejny raz poczuł smak przegranej w starciu z mamusią. Siedział jeszcze czas jakiś za stołem. Rozważał, obmyślał, kalkulował, jak tu w tych uwitych przez rodzicielkę planach wyjść na swoje, furtkę ucieczki znaleźć, i żadna myśl nastrój poprawiająca w głowie się nie rodziła. Zaczął się zmuszać do oswojenia się z planem mamusi. Pod osłoną nocy, nie mogąc zasnąć i dwukrotnie doprowadziwszy się do wytrysku w dopiero co kupione prezerwatywy – które stara kioskarka sprzedawała dzieciakom jako baloniki do nadmuchiwania i biegania z nimi po okolicy jako zabawką – zaczął godzić się z wizją kreślonej przez matkę przyszłości. Pocięsał się, że wytrzyma do osiemnastki. A jak już będę mieć dowód w kieszeni, konstatował podekscytowany podnieceniem i perspektywą zostania sławnym dziennikarzem albo pisarzem, to się jej postawię i na swoim... postawię! Przed zaśnięciem o jednym jeszcze zdążył pomarzyć, żeby tak raz wreszcie zdobyć się na odwagę postawienia weta zdaniu mamusi. Czemu to tak jest, dziwił się, że koledzy i koleżanki – wiele razy słyszał i widywał – mówią do rodziców, co chcą. Buntują się, pyskują, a jemu nie wolno, bo zaraz w mordę albo pas idzie w ruch. Myślał nawet o ucieczce z domu. Na jakiś czas. Żeby ją ukarać. Ale pora była nieodpowiednia, bo gdy wpadł na pomysł, akurat zaczęła się zima. Bał się też srogiej kary w przypadku powrotu, bo taki z ucieczki zakładał. Przykładem był dla niego Jerzyk, kolega z klasy, który opowiadał wszystkim, że to najlepsza metoda na zmiękczenie starych, żeby ci wpierdalali z ręki. Uciekasz z chaty, oni się martwią, nie wracasz, nie wracasz, a jak już masz pewność, że jak nie wrócisz za chwilę, to oni wykorkują, umrą znaczy się, to wracasz. I wtedy oni na paluszkach, zagłaskaliby cię na śmierć, to też przerażane, ale masz spokój. Nie fikną ci, nie sprzeciwiają się, bo zaraz pomyślą, że znów możesz spierdolić. Słuchał Jerzyka, choć drażniło go jego słownictwo. Nie lubił przeklinać i wstydem napawało go używanie takiego języka przez innych, szczególnie gardził – dosłownie – kobietami przeklinającymi. Mamusia, choć surowa jak tatar i szorstka niczym skała granitowa, wulgaryzmów nie używała. Emocje, nawet najgorsze, wyrażała całą paletą słów ostrych, lecz nie wulgarnych.

Poszedł ostatecznie do technikum chemicznego. Od pierwszych lekcji uznał, że nie była to bajka, w jakiej chciał się znaleźć. Liczył, że będzie mógł zamieszkać w internacie. Dojazdy trzydzieści kilometrów w jedną stronę miały być argumentem za. Nie udało się, bo i tu mamusia znalazła rozwiązanie. Budziła go na pierwszy kurs autobusu do miasta, kiedy akurat wychodziła na pierwszą zmianę do piekarni. Dodawała niemal każdego dnia, że „drogę dojazdu możesz wykorzystać na naukę, przygotowanie do sprawdzianów, a w domu tylko lekcje do odrobienia ci zostaną”. Kolejny raz zabrakło mu argumentów na zabicie mamusinych przemyśleń. Coraz dobitniej odkrywał jej praktyczność, szanowanie każdej sekundy, każdego grosza, każdej rzeczy, wszystko musiało być wykorzystane do kresu, nic nie mogło tutaj pójść na marne, nawet suchy chleb i ziemniaki ugotowane poprzedniego dnia, a niedojedzone. Im głębiej w nastolactwie się zanurzał, tym bardziej to jej poukładanie go drażniło. Miał ochotę codziennie jej to wykrzyzczyć, jednak odwagi nie starczało, topniała wraz z jej pojawieniem się w pobliżu. Starczyło, że była, stawała, nie musiała nic mówić. Przez to wszystko, ten pętający wszelką wolę brak odwagi, nie potrafił zbyt długo patrzeć w swe lustrzane odbicie. Raz nawet złamasem siebie nazwał, takim jakby półszepem o rumieniec wstydu przyprawiającym.

Przedsiomek do ucieczki z piekła rodzinnego zaczął budować w momencie poznania Irminy. To ona wypatrzyła go w zatłoczonym porannym autobusie. Podeszła, przedstawiła się, oznajmiła bezpardonowo – co w pierwszej chwili sparaliżowało wszystkie jego członki, układ mowy i nerwowy, bo jakby na moment wzrok stracił olśniony jej urodą i opętany tembrem głosu, zbliżonym do głosu słynnej aktorki sprzed pokoleń, o której w jeszcze słynniejszym songu śpiewali panowie z uwielbianego przez mamusię zespołu – że musiała go poznać, bo od wielu tygodni spać przez niego nie może i jeśli nie umówi się z nią do kina, na lody czy na cokolwiek, to ona się po prostu zabije, albo coś gorszego sobie zrobi i będzie ją miał na sumieniu. W pierwszej chwili uznał jej zachowanie za niestosowne, ale z każdą minutą rozmowy – w zasadzie słuchania jej dźwięcznego trajkotania, plecenia o niczym albo słodzenia mu o jego uśmiechu, kolorze oczu i szafowych włosach jak u Hendrixa, a gdy wyraziła zachwyt jego kształtnymi pośladkami, niemal spłonął ze wstydu – czuł, że zaczyna brać go w jasyr. Kiedy dopadła go następnego dnia, nie miał już wątpliwości, iż emocje nie dające zmrużyć oka przez całą noc to nic innego jak zakochanie. Czytał o miłości wiele, wiersze pisał i poematy rymowane, kolekcjonował fotografie rozebranych modelek z tygodników, onanizował się z regularnością grania hejnału z wieży mariackiej, ale jeszcze nigdy nie zdarzyło mu się, by nawet po zamknięciu powiek widzieć w detalach czyjąś postać. A z Irmimą zaczął tak mieć przez cały czas. Zapomniał się nawet uczyć. Zwłaszcza, jak wtajemniczyła go w sztukę całowania aż do pierwszej krwi i ciał obmacywania w miejscach, do których dotąd z wyobraźnią nie zdołał dotrzeć.

Coś, co nazywał miłością aż po grób, trwało do półrocza. Do czasu, aż mamusia wybrała się na wywiadówkę – w tym czasie przez Irminę nauczył się rodzicielki nie zauważać, jakby o niej zapomniawszy – i dostrzegła w stopniach przez syna otrzymywanych wielką dysharmonię w stosunku do tego, co było wcześniej. Na dodatek wychowawca poinformował – zdaniem Lutka było to świństwo, zwyczajne ubeckie donosicielstwo, niegodne pedagoga, lecz o tym odczuciu mamusi nie śmiał zameldować – iż dostrzegł w zachowaniu syna pewne zawirowania uczuciowe i być może to one sprawiły... Mamusia nie czekała na dalsze wyjaśnienia. Zjawiwszy się w domu, Lutek na wszelki wypadek leżał na swojej kanapie i udawał zasypiającego, niemal siłą wywlekła go z łóżka i kazała sobie opowiadać. Nie wyjawiała, o czym, ale z wyrazu spojrzenia wiedział, że chodziło o Irminę. Nie zamierzał, nie chciał wyjawiać swych uczuciowych sekretów, lecz mamusia w przenikliwości zadawania pytań nie miała sobie równych, była lepsza od niejednego esbeka czy czekisty, swego się dowiedziała. Na tyle skutecznie, że nazajutrz zjawiła się u matki dziewczyny i... od tego czasu Lutek Irminy już nie widywał. Różnymi kanałami próbował dowiedzieć się o jej losie czegokolwiek, lecz bezskutecznie. Ktoś mu nawet doniósł, że podobno wystąpiła do szkoły z internatem prowadzonej przez siostry zakonne i nic poza tym. Cierpiał. Był zdesperowany. Myśl o samobójstwie uczepliła się duszy niczym rzep, nienawiść do mamusi urosła do rozmiaru zikkuratu, ale o nic nie pytał. Raz spróbował, delikatnie, zaraz jednak zarobił w twarz z otwartej ręki i usłyszał, że „to zwyczajna lafirynda była, i ani słowa na ten temat więcej!”. I nie było. Było za to wielomiesięczne cierpienie, pogrążanie się w milczeniu, oddalanie od świata, ludzi, mamusi przede wszystkim, a wszystko ukryte pod płaszczem udawanego zainteresowania. Mamusia nad wszystkim przeszła do porządku dziennego. Częściej niż dotychczas kontrolowała każdy krok. Czuwała, by chwili wolnego czasu nie miała. Wszystko w ciągu dnia było zagospodarowane, od otworzenia oczu do zamknięcia ich w środku nocy. Sama przez to się wycieńczała.

Postanowiła, że Lutek skończy technikum i pójdzie na studia. Chciał na jakieś humanistyczne, lecz nim pomyślał, ona wymarzyła sobie politechniczne, inżynierskie przynajmniej, „zawód jakiś dobrze płatny będziesz mieć, a ja przez to lżej, bo wreszcie do garnka zaczniesz dokładać i jakiś remont w tej ruinie się zrobi”. Kończąc frazę, omiotła zmęczonym coraz bardziej spojrzeniem jeszcze bardziej zniszczony upływem czasu i niedostatkami pokój. Wrzało w nim w środku, choć wiedział, już na tyle siebie znał, że choćby nie wiadomo gdzie chciał uciec na studia, to mamusia i tak sprowadzi go ku sobie jak najbliżej. Rozważał nawet celowe niezdanie egzaminu wstępnego. Szybko jednak myśł porzucił, bo mimo wszystko pod stertą

beznadziei tliła się ledwie isierka nadziei, a nuż uda się spod mamusinych skrzydeł wyrwać, bo na przykład plan zajęć będzie zmuszał do zamieszkania w akademiku.

Kiedy Lutek zdał egzaminy wstępne pomyślnie, nawet punkty za pochodzenie robotnicze dostał, wtedy mamusia wpadła na – jej zdaniem genialny – pomysł, że przecież syn może studiować zaocznie.

– Tak się nie da – usiłował jeszcze bronić się przyszły student.

– Synku – stanowczo, jak zwykle, odparła mamusia – jak się chce, to się wszystko da. Jutro z samego rana jedziemy do stosownych władz na tej politechnice, pogadam z kim trzeba i jak trzeba, a od października zacznieš zaocznie.

Potem jeszcze wyłożyła synowi cały pakiet korzyści z tego wynikających: „Nie dość, że i tak inżynierem zostaniesz, to jeszcze sporo pieniędzy zarobisz, bo robotę na piekarni ci już ustawiłam. Będiesz zarabiał, ja będę oszczędzała i nim się obejrzysz, postawimy nowy dom. To znaczy ja postawię, ty w razie konieczności tylko pomożesz”. Po takim oświadczeniu Lutek był bliski targnięcia się na życie. Kolejny raz pojąć nie umiał, dlaczego nie postawił się matka? Tej głupiej decyzji? I jak zwykle, po analizie w samotności okolonej ciemnościami, zwyciężyły skrupuły, to wychowanie każące szanować mamusię i każdą jej decyzję, ten irracjonalny lęk, że za zlekceważenie matczynej woli spotka go kara od losu – nie chciał nazywać tego boską – wreszcie, że mamusi gniew może w przyszłości obrócić się przeciwko niemu, bo może się okazać, iż w jakimś momencie życia bez mamusi ani rusz, kroku nie poczyni. Nie wiedział co, lecz czuł, że z mamusią łączy go jakaś siła większa i głębsza niż odczuwalny strach. Toteż jeździł na te studia w każdą sobotę i niedzielę, czasem rzadziej, w tygodniu pracował na zmiany – najlepiej było w nocy, bo wtedy szedł z książkami i projektami na zmianę i mógł w przerwach się uczyć, gdy inni popijali bimbler albo najtańsze sikaczki – i coraz bardziej godził się z darami losu pichconymi przez mamusią przemysłowość.

Ciągnęło go jednocześnie do kobiet. W czasie nocnych zmian zdarzało mu się, że jedna z nich, Irena bez nazwiska, choć mężatka i dziećmi obarczona, zaciągała go między pryzmę worków z mąką i bez gry wstępnej sięgała po zawartość jego rozporka, wyciągając z niej następnie, ile się dało. Nie miał oporów przed seksualnym wyzyskiem z jej strony. Lękał się tylko, co będzie, gdy przypadkiem o wszystkim dowie się mamusia albo jak zdarzy się ciąża – tu Irena uspokajała, że w razie wpadki wszystko idzie na konto starego, męża, z którym i tak musi co rano, albo przed wyjściem na nockę, bo chłop swego się dopomina, a ona też nie z drewna – i zostanie przez rodzicielkę zbesztany i sponiewierany na oczach całej piekarni?! Zimnym potem oblewał się na samą myśl o takiej ewentualności. Marzył przy tym wszystkim o jakiejś stałej narzeczonej. Rozglądał się za kandydatką na taką w czasie jazu na uczelnię, na przystankach, przed kinami i wejściami kawiarnianymi – bo mamusia odliczone na podróż kwoty tylko dawała i gotowe kanapki do torby, ewentualnie termos z herbatą słodzoną, bo cukier krzepi, jak zapewniali ją w reklamie – lecz cud miłości się nie zdarzał do końca studiów. Liczył jeszcze, że po dyplomie, w czasie oblewania z kolegami, pozna jakąś..., ale mamusia w porę o podsumowaniu jego nauki pomyślała. Sama, dla nich dwojga, urządziła niewystawną kolację z winem, kawą, tortem z bitą śmietaną i truskawkami – akurat obrodziły w przydomowym ogrodzie – i kupnem prawdziwych dzinsów w upadającym przedsiębiorstwie eksportu wewnętrznego. Ucieszył się nawet, bo zawsze o oryginalnych „wranglach” marzył, lecz nad wszystkimi drobnymi przyjemnościami górowało marzenie o kobiecie na stałe.

Leżąc pewnej nocy między workami z mąką, po uwalniającym z napięcia i męczącym zarazem seksie z Ireną, przypomniało mu się powiedzenie jakiegoś starego profesora, że to, czego szukamy uporczywie, przychodzi najczęściej wtedy, kiedy odpuszczamy starzygnowani. Postanowił zerwać z nią. Wiedział, że szybko znajdzie u innego pocieszenie i nie będzie robiła awantur, bo miejscowość niewielka, od razu mogłyby się wydać jej sprawki niewiernej żony. Tym bardziej że wszyscy w piekarni i okolicy wiedzieli, że mąż Irenki trochę porywczym bywa, zwłaszcza po kielichu, przywalić z byle powodu potrafi i w razie wpadki mógłby nieźle uszkodzić. Lutek bólu nie znosił. Zbyt często zadawała mu go w różnej postaci mamusia.

Rezygnacja ze związku z Ireną nie oznaczała dlań rezygnacji z marzeń o prawdziwej miłości zakończonej nałożeniem obrączek, niekoniecznie przed księdzem. Zdecydował o zaniechaniu poszukiwań na siłę, choć kuśiły go ogłoszenia w gazetach i na portalach randkowych rozuczuchalającego się pod tym względem internetu. Żeby kupić komputer, musiał oszukiwać mamusię na wypłacie. Bał się, że wpadnie, ale mamusia miała do niego dość zaufania, by nie przetrząsać portfela. Wierzyła na słowo, jakoby wpływająca na konto kwota jest wszystkim, co zarobił, to i mógł płacić swój skromny rachunek za komputer trzymany w piwnicy, dokąd nie zachodziła, uczulona na stęchliznę i z obawy przed gryzoniami. Stale jej odtąd powtarzał, że w piwnicy roi się od myszy i szczurów.

Kilka lat minęło nim Lutkowi, przypadkiem, w czasie pobytu u dermatologa – dostał przypadkowego uczulenia na pyłki mączne – przytrafił się kolejny cud miłości. Początkowo zbyt sprawę, ale przy kolejnej wizycie nie mógł już oderwać wzroku od młodziutki, ledwie po maturze, zalotnej brunetki pracującej w przychodni w charakterze rejestratorki wizyt. Czuł, nie zastanawiając się skąd to wrażenie, że i jej wpadł w oko. Z walącym jak pneumatyczny młot sercem postanowił zaryzykować:

– Może jakaś kawa po wizycie?

– Owszem. – Spodziewał się kluczenia, wykrętów, a tu takie miłe zaskoczenie. – Ale dopiero za dwie godziny.

Nie bacząc na pomstowania ze strony mamusi z powodu spóźnionego powrotu, zdecydował się na randkę. Nieznajoma okazała się Gosią, w której z każdą minutą, po każdym łyku kawy, kęsku torciku czekoladowego i wypowiedzianym miękkim i czułym głosem słowie, zakochiwał się coraz bardziej, bez pamięci, tracąc poczucie czasu i rzeczywistości. Po pocałunku na do widzenia – tak musi smakować raj! – był pewien, że to jest ten stan, w którym musi – oboje muszą! – wytrwać do stanięcia na ślubnym kobiercu. Wracał do domu – to nic, przewidywał, że mamusia będzie wściekła, opierdoli, może nawet po pysku wytrząska swoim zwyczajem matki z dawnego wychowu – w przekonaniu, że wszystko mu będzie wybaczone po oświadczeniu:

– Chyba znalazłem tę jedną jedyną!

– To znaczy? – Mamusia nie odrywała wzroku od drutów, na których dziergała ciepłe skarpety dla niego.

– Gosia. Tak ma na imię.

– Każdy ma jakieś imię.

– To jest wyjątkowe, bo jego nosicielka będzie moją żoną, a twoją synową.

– Kto ci tak powiedział?

– Serce.

– Wobec tego tak ci się tylko wydaje.

– Ale... – O skończeniu myśli, obrony, nie było mowy.

– Już dawno przestałeś być szczeniakiem. Nauczyłam cię tego. Tak się nie szuka materiału na żonę. Przyjdzie pora, to razem czegoś poszukamy. – Lutek chciał oprotestować matczynej punkt widzenia. – Nie przerywaj mi! I posłuchaj. To wszystko, przy jednej kawusi i ciasteczku, zauroczeniu biustem i spojrzaniem kocicy, jest tylko złudzeniem miłości. Mnie najpierw trzeba było się poradzić. A teraz najedz się, umyj i kładź się spać. Nic tak dobrze nie działa na zapomnienie jak zdrowy sen. Rano trzeba do pracy wstać.

– Ale ja ją Kocham!

– A ja ciebie.

Chciał się jeszcze bronić. Złość zmieszana ze wstydem zalewała resztki rozsądku. Czuł, że za moment straci panowanie nad sobą, lecz wyobraźnia – resztki jej dobywające się z trudem na wierzch góry wściekłości – zmusiły go do zapanowania nad sobą. Mamusia tymczasem roztoczyła przed nim wizję życia w samotności, bez grosza przy duszy, „bo przecież wszystko, co mi oddajesz, pakuję w budowę domu, żebyśmy przyszłość spokojną mieli, a ja starość, na jaką chyba sobie zasłużyłam, no i konto w banku też jest na mnie, więc co poczniesz sam”,

z niczym, czym mógłby pannie zaimponować, wreszcie przeraziła wizją, w której na pierwszym miejscu jest ona – MATKA – „a nie jakaś siksa, co przyjdzie na gotowe, a potem i tak cię z torbami i w skarpetkach tylko puści”. Na koniec tyrady usłyszał jeszcze: „tak więc, Lutku, po moim trupie, to znaczy nic z tego!”.

Pierwsza randka z Gosią okazała się ostatnią. Odtąd całkowicie zamknął się w sobie. Nie zastanawiał się, dlaczego i tym razem uległ i poległ. Wychodził do pracy, wracał, jadł obiad, siadał do komputera – w nowym domu, zbudowanym z jego zarobków, miał swój pokój na poddaszu, sam tak wybrał, byle z dale od mamusinych modlitw, które na starość klepała od świtu do nocy na głos – czytał gazetę, czasem książkę przyniesioną przez mamusię z biblioteki, najczęściej romansidło historyczne i gnuśniał. Czuł to z początku, lecz w miarę upływu miesięcy, lat, obojętniał. Do tego stopnia, że wychodząc do pracy, czy wracając, nie żegnał się zwyczajowym „zostańcie z Bogiem” i nie witał „niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”, czego co jakiś czas wyrażnie dopominała się mamusia. Dostrzegł tylko, że i ona zwolna gasła. Chudła i szarzała na twarzy, ale udawał – złoścąc się na siebie, złośliwością podszytą obojętnością – że tego nie zauważa. Celowo o całe godziny przedłużał pobyt w piekarni, byle tylko nie usłyszeć jej ewentualnych narzekań. Całkowicie głuchego udął, kiedy wreszcie po którejś z nocnych zmian oznajmiła ledwie słyszalnym szeptem, „chyba umieram”. Oszołomiony – zalem zmieszany z radością – odburknął, tak mu się zdawało, „no i dobrze”, po czym pognął do siebie i uderzył w płacz. Lęgnąca się na dnie świadomości wizja, niedopuszczana na pierwszy plan, napawała lękiem, rodziła mechanizm obronny polegający na wypieraniu. Kochał mamusię i nienawidził zarazem. Żyć obok i z nią nie chciał, lecz osobno nie umiał, nie wyobrażał sobie. Dotarło doń wreszcie, że oprócz mamusi nie skupił wokół siebie nikogo innego i miał pewność, czyją to było winą.

W środku nocy, gdy jęczenie pogrążającej się w bólu jakby ustawało, a słychać było jedynie charczenie – zmęczenie, zszedł po cichu na dół. Mamusia spała. Uznał, że to albo ulga w cierpieniu, albo spokój przed najgorszym. Najczarniejsze myśli zdominowały jego głowę, gdy tak stał wpatrzony w otuloną pełnym spokojem twarz śpiącej. Te myśli nie do ogarnięcia wypędziły go tuż przed spotkaniem nocy z dniem na zewnątrz, w ten jeszcze chłód zamierzający przeistoczyć się w ciepły poranek. Pognać przed siebie. Uciec jak najdalej i nie wiedzieć po co – tylko taka myśl była mu kierunkowskazem, GPS-em doprowadzającym wprost na tory kolejowe, gdzie usiadł i czekał – bezmyślnie – na przyjazd pierwszego składu ekspresowego, który miał zmieść z tego świata całe jego życie upchnięte misternie w ciężar już nie do udźwignięcia.

Dopiero upijając kolejny łyk kawy zbożowej, ciepłej, uzmysłowił sobie, że trafił nie do tego świata, do którego uciekał, że spowiadał się nie tej osobie, której powinien, a czego przez lata nie robił, okłamując matkę, że klęka co miesiąc przy konfesjonale. Staruszka nadal o nic nie pytała. Milczała. W jej spojrzeniu odczytywał coś w rodzaju zrozumienia – może współczucia – dla sytuacji, w jakiej się znalazł. A może, kalkulował naprędce, wszystko to mi się zdaje, bo tego właśnie pragnę? Wstał od stołu. Podziękował i bez zbędnych słów wracał do... Aż bał się wymówić to, czego się spodziewał, może nawet oczekiwał?

W drodze do domu – który piekłem często zwał – zdziwił się, że uciekł aż tyle kilometrów. Gdy dotarł przed drzwi, słońce mocno grzało w kark promieniami ostatnich dni lata. Po drodze zdążył opracować plan przygotowania do skromnego – po co iść w koszty? – pogrzebu. Wszedł do środka. Który to już raz w jego pięćdziesięcioletnim życiu strach mieszał się z nadzieją? Odważył się po długim wahaniu nacisnąć klamkę u drzwi wiodących do pokoju mamusi, by usłyszeć tak samo od lat brzmiące: NARESZCIE.

Nie usłyszał. Zdawszy sobie sprawę, że to nie sen, nie złudzenie, a mamusia naprawdę milczy milczeniem nieodwracalnym, usiadł na sofce i nie rozpakował się. Pierwsze i jedyne, co przyszło mu do głowy, to dyktowane obawą pytanie – co zrobić z nieoczekiwanie darowaną przez los wolnością?

Opowiadanie nagrodzone II miejscem w Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. E. Paukszty „Małe ojczyzny – pogranicze kultur i regionów”.

Bogumiła Różewicz

Pamięci Janusza Koniusza

Zamknięta ostatnia kartka księgi Poety
ucichły kroki
Już nie porozmawiamy na alei Niepodległości
wiosna przebrała się w czerni
w hołdzie kładzie ostatni kwiat



Janusz Koniusz (1934-2017)

Wspomnienie o pisarzu – prywatnie i literacko

W drugiej połowie lat 80. ubiegłego wieku rozpocząłem studia na polonistyce w zielonogórskiej WSP, gdzie udzielałem się dziennikarsko w redakcjach pisma „Faktor” i akademickiego radiowęzła (Akademickie Studio Radiowe „Maczek”, potem „WySPa”) oraz pisarsko w Klubie Literackim Lubuskiego Towarzystwa Kultury i w Grupie Działań Artystycznych „Budowa II”. Spotkania literackie w LTK pozwoliły mi osobiście poznać wielu zielonogórskich literatów, w tym pioniera lubuskiego piśmiennictwa Janusza Koniusza, ówczesnego redaktora naczelnego „Nadodrza”. To w tym właśnie piśmie, organie LTK, wielu rozpoczęło swoją karierę literacką przeważnie od publikacji wiersza. Nie inaczej było w przypadku większości członków Klubu Literackiego LTK, któremu prezesował Jerzy Przybecki, a opiekował się merytorycznie Czesław Sobkowiak. To wówczas miałem możliwość poznać Janusza Koniusza, tego wielkiego Koniusza, o którym wcześniej tylko czytałem, słyszałem i którego wizerunek kojarzyłem, znając jego portrety z okładek książek.

Kiedy wydałem, jeszcze w trakcie studiów, drugi tomik wierszy, otrzymałem propozycję od Janusza Koniusza wstąpienia do Związku Literatów Polskich. W 1992 r. zostałem przyjęty do ZLP. „Nadodrza” już nie istniało, ale Koniusz wraz z Gustawem Łapszyńskim prowadzili kolejne czasopisma – „Głos z Regionów”, potem „Zachód”. Poprzez moją obecność, a potem działalność w oddziale zielonogórskim ZLP miałem możliwość bliższego poznania Koniusza. Pracowałem wówczas w szkole i zapraszałem go na tzw. pogadanki, czyli spotkania z młodzieżą. Pan Janusz lubił opowiadać o swoich związkach ze znanymi

pisarzami, autorami szkolnych lektur. Dzięki jego opowieściom tacy pisarze jak Nałkowska, Borowski, Przyboś, Broniewski, Andrzejewski, Iwaszkiewicz, Wańkowicz, Ważyk przestawali być li tylko nazwiskami znanymi z okładek lektur; uczniowie chętnie poznawali interesujące historie z ich życia, ciekawie przekazywane, dzięki czemu postacie te stawały się im bliższe, prawdziwe... Koniusz miał dar oratorski. Potrafił pięknie i bardzo plastycznie, emocjonalnie opowiadać, chciał się go słuchać, umiał intrygować i zachwycić słuchaczy.

To właśnie te spotkania w szkole, na zebraniach związkowych, na wieczorach autorskich i imprezach literackich zbliżyły nas. Ponieważ mieszkałem tylko przecnicę dalej, Koniusz, wychodząc na spacer z psem do pobliskiego Parku Tysiąclecia, odwiedzał mnie. A ponieważ bardzo interesowała mnie historia regionu i powstania miejscowego życia literackiego, które Koniusz współtworzył, mieliśmy wspólne tematy. Z czasem zakres tematyczny naszych spotkań rozszerzał się, ewoluował. Dużo rozmawialiśmy o historii chrześcijaństwa, o Parandowskim, Kosidowskim, samej Biblii. Wiele utworów poetyckich Koniusza oscyluje wokół tematów religijnych, biblijnych, nawiązuje do mitów i symboliki świata judeochrześcijańskiego. Wystarczy spojrzeć na tytuły jego tomów poetyckich – *Z Kaina i Aba, Ład i chaos, Pierworodny grzech słowa, Moje stworzenie świata, Po wyjściu z arki* czy ostatni zbiór *Na własne podobieństwo*.

W 1995 r. postanowiłem zbierać materiały do monografii o życiu środowisk twórczych na Ziemi Lubuskiej. Bardzo pomocni w tej kwerendzie i zbieractwie okazali się Janusz Koniusz i Alfred Siatecki,

do którego przychodziłem, kiedy mieszkał jeszcze w wieżowcu na Kaczym Dole. Opowieści Koniusza nagrywałem na taśmy magnetofonowe i później wykorzystywałem wywiady z nim w mojej dysertacji, tworząc cykl wspomnień pionierów lubuskiej literatury.

Jeździliśmy wspólnie do Warszawy, czy to na zjazd Związku Literatów Polskich, czy też na Warszawską Jesień Poezji. To wówczas poznałem Piotra Kuncewicza, Aleksandra Nawrockiego, Bohdana Urbankowskiego, Adama Lizkowskiego czy Jana Pawła Gawlika, z którym raz dzieliłmy pokój. W trakcie jednej z powrotnych podróży, kiedy wiedziałem już, że nie otrzymam dotacji z miejskich funduszy na wydanie mojej monografii o lubuskim środowisku literackim, Koniusz podrzucił mi pomysł, abym nie zniechęcał się i pisał swoją pracę dalej, a zamiast wydania jej drukiem, zasugerował, abym złożył ją w formie doktoratu. Jak wspominał – sam miał taką możliwość napisania pracy doktorskiej o znanym malarzu zielonogórskim z okresu baroku Tadeuszu Koniczu. W 1960 r. powstał jego esej *Taddeo Polacco z Zielonej Góry* z reprodukcjami malarskimi. Na jego bazie Koniusz mógł napisać dysertację, gdyż temat ten był mało wówczas zbadany. Posłuchałem mojego mentora i krótko po tej podróży spotkałem się z prof. Jackiem Łukasiewiczem, który gościł w Zielonej Górze na sesji mickiewiczowskiej. Profesora znałem z konkursu poetyckiego w Lubinie, gdzie był jurorem, a ja otrzymałem nagrodę. Temat zaintrygował profesora i zaproponował otwarcie przewodu. Ponieważ jednak nie mógł być promotorem z uwagi na dużą liczbę doktorantów, których prowadził, poprosił, abym pisał pracę pod kierunkiem prof. dr hab. Joanny Pyszny, specjalizującej się w twórczości Marka Hłaski. A tego znał przecież Koniusz. W ten sposób pan Janusz stał się ojcem chrzestnym mojego doktoratu na Uniwersytecie Wrocławskim.

Nie byłem pierwszym doktorantem prof. Pyszny, ale byłem pierwszym, który obronił pomyślnie pracę. To dodawało dumy. Wiele razy podczas spotkań z prof. Pyszny rozmawialiśmy o Koniuszu, a z Koniuszem o pani profesor, która bardzo interesowała się naszym środowiskiem i literaturą

tworzoną w regionie lubuskim. Z naszym regionem kojarzyła właśnie Koniusza, Waškiewiczza, Trziszkę, Papuszę. Żałuję jednak, że Koniusz nie brał udziału w obronie mojej pracy, choć wiem, że bardzo chciał. Przyczyny, głównie finansowo-organizacyjne stanęły wówczas na przeszkodzie. Dziś wydają się one błaha, ale nie wtedy, kiedy cały rok przebywałem na urlopie zdrowotnym, a moja matka doznała udaru mózgu, a później jeszcze połamano ją.

Podczas naszych licznych spotkań namawiałem Koniusza do spisania swoich wspomnień ze spotkań ze znanymi pisarzami. Wcześniej takie książki napisali Bronisław Suzanowicz i Zenon Łukasiewicz, a przecież nie znali tej elity polskich pisarzy, którą znał Koniusz. I udało się. Najpierw wyszedł zbiór opowieści *Kamień z serca*, a cztery lata później *Wiązania pamięci*. Choć i tak nie wszystkich pisarzy ze swoich wspomnień uwiecznił na kartach książek, czego można tylko żałować, gdyż zawsze barwnie o każdym opowiadał.

Tak się złożyło, że ostatni wieczór autorski Koniusza, na którym promował on swój ostatni tomik wierszy *Na własne podobieństwo*, miałem zaszczyt prowadzić. Myślę, że ten zbiorek był w pewien sposób pożegnaniem się poety z tym światem, a przynajmniej przeczcuciem nieuchronnego. Głęboka czerń okładki, jakby żałobna, biblijne motywy na okładce i wewnątrz tomu pochodzące z inkunabułu *Liber chronicarum* Hartmanna Schedla, średniowiecznego humanisty, historyka, podróżnika i lekarza z Norymbergii, potęgowały ten nastrój. Ilustracje z dzieła Schedla doskonale współgrają z tematyką wierszy poety, ulubionymi motywami mitologicznymi, religijnymi, eschatologicznymi, soteriologicznymi. Koniusz pozostał na podobieństwo ojca i dziadka górnikiem słowa, przez lata rzeźbił w nim, szlifował, wygładzał niemal jak węgielni gład:

i jak górnik
zagłębił się w niezgłębioną geologię kopalni
w majestat węgla
by w trójcy świętej ognia
na jeden oddech
ożyć

Koniusz bawił się słowem i żył słowem, przekształcał słowo w poezję, kroił je, rozczłonkował i zaglądał do wnętrza, aby wydobyć z niego więcej, niż ono samo sobą określało. Przez niemal całe życie doskonalił warsztat (pisał już w siódmej klasie podstawówki, a mając niecałe 16 lat, wygrał swój pierwszy konkurs na wiersz zorganizowany przez redakcję „Górnika”), doprecyzowywał każdy utwór, skracał go, minimalizował, aby za pomocą jak najmniejszej liczby słów wydobyć jak najwięcej ich znaczeń i przekazać maksimum treści¹. Świadczy o tym m.in. wiersz *Napis na murze*:

Ziemia zapadnie się w ziemię
woda się utopi
ogień w ogniu spłonie
proch się w proch rozsypie

O wcześniejszym tomiku *Nic nie było* z 2003 r., liczącego ponad 120 tekstów, mającego podobny wydźwięk co ostatni, Konrad Wojtyła pisał, że jest to „materialny dowód tego, co było dla autora endemiczne, co zrosło się z nim przez lata w jedną, nierozzerwalną osobowość na poziomie wierszy. Tom to obszerny, w zasadzie »pośmiertny«, a co za tym idzie, trudny do jednoznacznych eksplikacji [...]. Poeta brodzi w smudze cienia, rozlicza się z przeszłością. Przegląda się w lustrze minionej epoki, dostrzegając zarazem niepokojący kryzys wiary, wartości, kultury. Ten wybór wierszy [...] jest w zasadzie dopełnieniem, twórczości Koniusza. Takie literackie pogrzebanie za życia”².

Z kolei o całości twórczości poetyckiej autora *Tempa krążenia* Małgorzata Mikołaj-

czak napisała: „u Koniusza, który swoje liryczne światoodczucie lokalizuje w »łożysku słów«, istotny jest aspekt »exegimonomentalny« i refleksja nad możliwością (czy raczej niemożliwością) trwania – refleksja pesymistyczna, gdyż nawet ocalenie w słowie nie niesie pocieszenia”³. W wierszu *Ocalenie* poeta bowiem skonstatował: „Za chwilę mnie nie będzie/ Nikt tego nie zauważy”.

Co istotne, przez cały czas pracy literackiej towarzyszył Koniuszowi syndrom „papierowych trzewików”, jakie zakładano do pochówku ubogim⁴. Pisarz często powracał do tematu ojca⁵, który zginął w kopalni (podobnie jak dziadek i stryj), do traumatycznych przeżyć z dzieciństwa naznaczonego wojną i okupacją oraz robotniczą biedą i głodem, do mitycznego fatum wiszącego nad losem górniczych rodzin⁶. O dramatycznych doświadczeniach, które były wszechobecne w jego pisarstwie, wspomniała M. Mikołajczak: „Śmierć ojca to, w sensie dosłownym i przenośnym, pierwsza przyczyna poezji Koniusza. Sięgnięcie po pióro poeta tłumaczy po latach pragnieniem uniknięcia tragicznego losu, wymknięcia się fatalizmowi górniczych doświadczeń”⁷.

Ostatni wydany za życia poety tomik jest osobistym przeglądem jego życia, wspomnieniem dzieciństwa, lat młodości, przywołaniem matki, ojca, rodzinnego domu, szkolnych i studenckich lat nauki, często sparafrazowanych i ukazanych na tle antycznych, mitycznych lub parabolicznych wydarzeń i ponadczasowych przesłań. Bogata wyobraźnia liryczna i wyszukane obrazowanie przy minimalnej lub delikatnej metaforyce a zwykle silnej i dobitnej puencie – to cechy warsztatowe Koniusza. Ostat-

- 1 Por. *Trwanie w dialogu. O twórczych pasjach z Januszem Koniuszem rozmawia Emilia Ćwilińska*, [w:] *Janusz Koniusz. W 70. rocznicę urodzin*, wstęp C. Sobkowiak, Zielona Góra 2003, s. 27-28.
- 2 K. Wojtyła, *Jakbym kulę ziemską obracał w palcach*, „Pro Libris” 2004, nr 2, s. 104 i 106.
- 3 M. Mikołajczak, *Słowo wstępne*, [w:] *Od słowa do słowa. Antologia poezji lubuskiej 2001-2006*, pod red. tejże, Zielona Góra 2006, s. 10.
- 4 Zob. J. Koniusz, *Spalony gołąb*, [w:] tegoż, *Wiązania pamięci*, Zielona Góra 1998, s. 37.
- 5 Zob. tenże, *Portret*, [w:] tegoż, *Dialog w domu. Opowiadania*, Poznań 1969, s. 23-31.
- 6 Por. *Trwanie w dialogu...*, s. 24.
- 7 M. Mikołajczak, „*Papierowe trzewiki*”. *Trop autobiograficzny w poezji Janusza Koniusza*, [w:] *Miejsce i tożsamość. Literatura lubuska w perspektywie poetyki przestrzeni i antropologii*, pod red. M. Mikołajczak, K. Gieby i M. Sobczak, Zielona Góra 2013, s. 348.

nia, szósta część zbiorku to również bardzo intymna i refleksyjna wypowiedź człowieka, który żegna się, który szykuje się do odejścia, który czeka na ostateczność. W wierszu *Krzyk* podmiot stwierdza: „Chciałem swoją starość/ Na śmierć/ zakrzyczyć”.

Z kolei w wierszu *Prośba do ciała* mówi otwarcie:

Bądź męzne moje ciało o trzech wymiarach
gdy po dziesięciu plagach egipskich
dopadnie cię zewsząd
czwarty wymiar

Odejdź z podniesioną głową
i równym korkiem
jak na paradzie

W postwoiu do tomiku *Na własne podobieństwo* Joanna Wawryk napisała, że to „*Summa* poezji Janusza Koniusza [...] Koniusz jest wierny wypracowanej przez lata poetyce, dąży do kondensacji znaczeń, swoistej jednorodności struktury i wyczyszczenia środków wyrazu ze wszystkiego, co zbędne czy jałowe. Ostrze metafory ma być precyzyjnie jak skalpel, bez zgrzytów i wahań w efekcie końcowym, poprzedzonym trudem i zmaganiem się z materia słowa [...]. Cyzeluje [poeta] najdrobniejsze elementy utworu [...] zbliżając do doskonałości, do *id e a l e n e g o* wiersza”⁸.

Niezwykle trudno – pamiętam – prowadziło mi się ostatnie spotkanie autorskie z Koniuszem – wolałem, kiedy opowiadał o swojej przeszłości, o Zagłębiu Dąbrowskim, Sosnowcu, Nivce, Trójką Trzech Cesarzy, emigracji na Ziemię Zachodnią, początkach swojego osiedlenia w Sulechowie, potem w Zielonej Górze i pracy społecznikowskiej w Lubuskim Towarzystwie Kultury, działalności organizacyjnej w Związku Literatów Polskich, pracy dziennikarskiej w „Nadodrzcu”, bowiem mówienie o jego ostatnich wierszach niedowołanie pociągało ocieranie się o trudny temat starości, przemijania i śmierci. Teraz wydaje mi się, że Koniusz świadomie przygotowywał siebie i swoje otoczenie do tego mo-

mentu, niemal jak Leonard Cohen swoją pożegnalną płytą *You want it Darker*, triumfalnie oznajmiając: „I’m ready, my Lord”.

W utworze *Moja ojczyzna* autor wyznaje:

z chorągwią na znak starości opuszczoną do połowy
masztu

z ciągłym brakiem powietrza [...]
moje ciało stało się całą moją ojczyzną
której granic nikt nie broni
przed nieustannym szturmem bakterii

Nie inaczej brzmi skarga w liryku *Powrót do embrionu*:

Spełnia się prorocтво
wygłoszone w każdym języku
o odejściu w tę stronę ziemi
skąd nikt nie powrócił [...]
w milczeniu dogasa moje ciało
poza którym nic nie istnieje [...]

Wzięty w krzyżowy ogień śmierci
kurczę się
jak embrion

W niezwykle pięknie i mądrze napisanym postwoiu J. Wawryk napisała: „Starość to los prawie do konany i żadna filozofia sprawy tej nie zmieni. Poeta jest szczery. [...] wskazuje na egalitaryzm śmierci. Nie ma wyjątku. Z Heideggerowską mądrością, że człowiek jest bytem -ku-śmierci, nie ma potrzeby się kłócić, tylko można męźnie przyjąć przesądzone już los. Nie ma pocieszenia, żadnego *non omnis moriar*. Zostaje czekanie na kres w »ojczyźnie ciała«. Walka o [...] jeden wiersz, który by unieśmiertelnił poetę, przechodzi w przekonanie, że ostatecznym wierszem jest zapis śmierci”⁹. Stąd w tekście o wymownym tytule *Akt zgonu* poeta wyznaje:

Pozostanie po mnie tylko
akt zgonu [...]

8 J. Wawryk, *Księga powrotu*, [w:] J. Koniusz, *Na własne podobieństwo*, Zielona Góra 2014, s. 111.

9 Tamże, s. 115.

mój jedyny wiersz
w którym każde słowo
będzie ostateczne
jak życie
i śmierć

W zamykającym tom wierszu *Ty* autor powiada, że każde życie jest wyjątkowe, jednorazowe, incydentalne i niepowtarzalne, jak owo „stworzenie świata”. Na końcu tego życia, zamykającego człowieczą wędrówkę stoi zawsze śmierć. Ona wieńczy ziemską drogę i jak dodaje Wawryk – „jest zawsze drogą powrotną, prowadzi nie donikąd, lecz do siebie, swoich najgłębiej skrywanych przeczuc i absolutnej pewności – pewności śmierci. Koło się zamyka”¹⁰. To było swoiste credo Koniusza – poety, pisarza, dziennikarza, animatora i działacza kultury, pioniera lubuskiego ruchu literackiego, dodajmy – autora szesnastu zbiorów wierszy, czterech tomów

opowiadań, dwóch opowieści wspomnieniowych, dziewięciu słuchowisk radiowych i trzech szkiców historycznych, z którymi dwa były jego współautorstwa. Do tego dochodzi w jego biografii opracowanie redakcyjne czterech tomów pamiętników i wspomnień osadników z cyklu *Mój dom nad Odrą*, kilku tomów z serii lubuskich podań, legend i baśni, zbioru reportaży o Ziemi Lubuskiej, a także kilku antologii poetyckich autorów Środkowego Nadodrza.

Poeta pracował nad siedemnastym tomem poezji. Dzięki pomocy córki Donaty wiersze te zostaną zebrane i wydane pośmiertnie. Marzy mi się tablica na elewacji domu przy alei Niepodległości, gdzie całe życie mieszkał Koniusz i gościł wiele sław i znakomitości świata literatury; marzy mi się ulica jego imienia, a wreszcie marzy mi się pomnik pioniera lubuskiej literatury – pierwszy w Zielonej Górze pomnik miejscowego pisarza. Na to z pewnością Koniusz nie tyle sobie zasłużył, co przede wszystkim zapracował.



10 Tamże, s. 116.

Eugeniusz Kurzawa

Filozof w głębi pokoju



w głębi
pokoju
dwupiętrowego mieszkania na prostej filozof
jan kurowicki szuka
książki szpera w papierach stoję w drzwiach
patrzę na poetę ale na pierwszym planie widzę
futrynę drzwi boże myślę (dziesięć lat temu z hakiem)
choć obaj nie wierzymy w ów byt
przecież on ma już pięćdziesiąt lat na szczęście
ja dopiero czterdzieści

i tak już został
przed oczyma ów widok z futryną
poetą i zatrzymanym na poddaszu czasem

3-4 grudnia 2005, godz. 0.00

W środę, 11 października 2017 r. – dokładnie w swoje urodziny – zmarł w wieku 74 lat profesor Jan Kurowicki. Został pochowany 21 października na cmentarzu komunalnym w Cieplicach.

Prof. zw. dr hab. Jan Kurowicki był wybitnym polskim filozofem, poetą, pisarzem i nauczycielem akademickim, krytykiem literackim, eseistą, dramatopisarzem oraz naukowcem i humanistą. Urodził się 11 października 1943 r. w Baranowiczach. Ukończył Wydział Filozoficzny na Uniwersytecie Warszawskim. W 1969 r. na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Wrocławskiego uzyskał stopień doktora za rozprawę *Literatura XX w. w perspektywie antropologii filozoficznej*. W 1974 r. został doktorem habilitowanym za rozprawę *Próba społecznej charakterystyki poznania* obronioną na Wydziale Filozoficzno-Historycznym Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu (recenzenci: prof. prof. Zdzisław Cackowski, Jerzy Kmita, Leszek Nowak). Od 1983 r. był profesorem nadzwyczajnym za monografię pt. *Miraże świadomości estetycznej*. Jego ostatnia praca akademicka związana była z katedrą Nauk Społecznych Akademii Ekonomicznej im. Oskara Langego we Wrocławiu na Wydziale Gospodarki Regionalnej i Turystyki w Jeleniej Górze. Wcześniej wykładał m.in. na Uniwersytecie Zielonogórskim i Uniwersytecie Szczecińskim.

Od 6 lutego 2010 r. przewodniczył Sądowni Koleżeńskiemu Polskiego Towarzystwa Hegla i Marksa.

W filozofii zajmował się estetyką i filozofią kultury. Jako poeta zadebiutował we wrocławskiej „Agorze” w 1964 r., a jako krytyk w 1966 we „Współczesności”. Członek ZLP od 1970 r., ostatnie kilkanaście lat był członkiem oddziału zielonogórskiego ZLP.

Był promotorem 12 rozpraw doktorskich z zakresu estetyki, filozofii kultury i epistemologii oraz recenzentem ponad 40 rozpraw doktorskich i 5 prac habilitacyjnych.

Drukował swe utwory, recenzje, eseje i szkice we wszystkich najważniejszych polskich periodykach literackich i humanistycznych, trudno je tutaj wszystkie wymienić. Były to z pewnością liczące się pisma kulturalne kraju, m.in. „Twórczość”, „Miesięcznik Literacki”, „Odra”, „Kontrasty”, „Student”, „Nadodrzie”, „Fakty i myśli”, „Poezja”, „Kultura”, „Sprawy i Ludzie”, w ostatniej dekadzie regularnie publikował w gdańskim „Autografie”, a także w wydaniach internetowych.

Zainteresowania Jana Kurowickiego krążyły wokół szeroko rozumianej literatury i twórczości artystycznej. Był autorem wielu książek eseistycznych, m.in.: *Człowiek i sytuacje ludzkie* [eseje] (1970), *Próba społecznej charakterystyki poznania* [monografia] (1973), *Skryte przejścia wartości* [eseje] (1975), *Dzień powszedni wyobraźni* [szkice] (1966), *Regiony wielkich i małych iluzji* [szkice] (1976), *Poznanie a społeczeństwo* [monografia] (1977), *Wyprawa w krainę oczywistości* [monografia] (1978), *Bez stałego adresu* [eseje] (1980), *Miraże świadomości estetycznej* [monografia] (1981), *Artysta jako arcydzieło* [felietony i szkice] (1983), *Biurokracizm i władza* (1983), *Odchylenia* [felietony] (1986), *Okolice humanistyki i polityki* [szkice] (1987), *Literatura w społeczeństwie* [szkice] (1987), *Ironia pojęć zasadniczych* [szkice] (1990), *Piękno i poznanie* [monografia] (1993), *Normalność jako sen idioty* [eseje] (1994), *Igraszki ze świętym spokojem. Eseje i czytanki* (1995), *Idealna Biblioteka* [szkice] (1996), *Kultura jako źródło piękna* (1997), *Naczynia osobności. O zjawiskach poezji lubuskiej – przegląd stroniczy* [felietony i szkice] (1998), *Fotografia jako zjawisko estetyczne* [eseje] (1999), *Piękno jako wyraz dystansu. Wykład estetyki z perspektywy filozofii kultury* (2000), *Pochwała dystansu. Eseje i czytanki o Salonie Kul-*

tury i codzienności (2000), *Figury wyobraźni XX wieku. Wykłady o literaturze z perspektywy filozofii kultury* (2000), *Przewodnik po arcydziełach i nie tylko* [eseje] (2001), *Wartości estetyczne fotografii* [wstęp] (2002), *Odkrywanie codzienności* (2004), *Dlaczego ozdoba zdobi* (2006) czy *O pożytku ze zła wspólnego* (2015).

Ponadto ważne są Jego książki poetyckie: *Przy-powieści* (1974), *Sytuacje* (1977), *Zwierzenia ma-łego sceptyka* (1980), *Bajka na dobranoc* (1992), *Każdy* (1993), *Historie i obrazy* (1995), *Bajki mi-łosne z kobietami* (1996; wyd. drugie zmienione, 1999), *Pozagrobowe życie sensu* (1996), *Wielka-noc Jednej Nocy* (1998), *Widok na koniec świata* (2002), *Kaprysy nie tylko miłosne* (2003), *Zepsuta bajka* (2007), *W poranku słonecznej rosy* (2009), *Momenty prozaiczne* (2013), *Nieszczęlny konkretny* (2013), *Migotanie osobności* (2014).

Ze sztuk teatralnych: *Czarownice* [wspólnie z Wiesławem Hejno] (1971) i *Pan Kepler raczej umie-rać* [monodram] (1997).

Otrzymał m.in.: Nagrodę Kulturalną Wrocławia (1978), Zielonogórskiego Czarta Kulturalnego (1998), Lubuski Wawrzyn Literacki (1999) i Nagrodę Kulturalną Prezydenta Zielonej Góry (1999). 20 kwietnia 2006 w Domu Literatury w Warszawie otrzymał nagrodę UNESCO w dziedzinie krytyki literackiej za całokształt pracy twórczej.

Rok temu minister kultury przyznał prof. Kurowickiemu Medal Gloria Artis – za zasługi dla kultury polskiej; pisarz odmówił przyjęcia i odesłał medal ministrowi.

Z okazji 70. rocznicy urodzin jego uczniowie przygotowali księgę jubileuszową dedykowaną Profesorowi Janowi Kurowickiemu (red. Tadeusz Borys i Adam Płachciak) pt. *Kultura jako problem filozofii*.

Cokolwiek by jeszcze napisać o twórczości Janka, jakiegokolwiek wymienić kolejne Jego dzieła, wszystko to będzie banałem. Zgromadził bowiem ogromny i wszechstronny, a przede wszystkim wybitny dorobek. Żał się z Nim żegnać...

Po prostu przyjemność bycia razem

O środowisku literackim Gorzowa i Zielonej Góry, latach 70. i pasji czytelniczej z Krystyną Kamińską rozmawia Mirosława Szott



Pochodzi Pani z Łodzi. Tam skończyła Pani studia uniwersyteckie i obroniła doktorat. Jaką była Pani studentką? Gdyby nie literatura, to jaką ścieżkę wybrałaby Krystyna Kamińska?

Kończyłam szkołę średnią, gdy żywa jeszcze była trauma wojny i dlatego wtedy ceniono się fach, czyli taką umiejętność, która będzie przydatna w każdych okolicznościach. Z drugiej strony już zaczęła się nowoczesność, technika, nauka. Bardzo modna była chemia, bo podobno wtedy stał na niej świat. Łódź była dumna z nowej specjalności: chemii spożywczej, czyli jak wtedy się uważało, takiej bardziej damskiej odmiany tej nauki. Naprawdę niewiele brakowało, a wylądowałabym na tym kierunku, bo całkiem

dobrze radziłam sobie z przedmiotami ścisłymi. Za jeden z największych swoich sukcesów życiowych uważam piątkę na maturze z matematyki. Na szczęście przyjechał do nas wujek chemik, wtedy dyrektor wielkiej fabryki chemicznej w Szczecinie-Podjuchach i powiedział, że nie ma damskiej i męskiej chemii, bo każda jest równie śmierdząca. W ten sposób szala decyzji przechyliła się na stronę mojej mamy, która czytała bardzo dużo książek i mnie też zaraziła literaturą. Stąd piątka na maturze także z języka polskiego. Na egzamin wstępny poszłam ze świadomością, że powinnam jeszcze się pouczyć, a wtedy egzaminy miały charakter konkursu. Zdałam za pierwszym podejściem. Jaką byłam studentką? Już nie tą z piątkami ze szkoły średniej, bo wtedy na polonistyce dominowała olbrzymia lista lektur. Na pewno wszystkich nie przeczytałam. Natomiast nigdy nie żałowałam, że nie zostałam chemiczką, choć przyznam, że ciągle imponują mi koleżanki z tytułem inżyniera chemii, których sporo pracowało kiedyś w Stilonie.

Od lat 70. pisze Pani rozdział swojego życia na Środkowym Nadodrzu? Dlaczego akurat tu?

Los tak chciał i jeden pan. Na pewno nie żałuję miejsca do życia.

W latach 1974-1979 pracowała Pani w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Zielonej Górze. Rodzi się wówczas zielonogórskie środowisko studenckie, wychodzi pierwszy numer „Faktora” (1975). Jakie wspomnienia zostały z tamtego okresu?

Rozpoczęłam pracę w 1974 r., w którym dotychczasowa Szkoła Nauczycielska zyskała status

Wyższej Szkoły Pedagogicznej z uprawnieniami do nadawania tytułu magistra. Wiedzieliśmy, że rozpoczynamy historię humanistycznego szkolnictwa wyższego. Wyższa Szkoła Inżynierska już istniała, ale dla nas, pedagogów, naprawdę nie była tak ważna. Do WSP przyszli wtedy zdolni i samodzielni młodzi ludzie. Dziś nawet się dziwię, dlaczego nie jechali do Wrocławia lub Poznania, a pozostawali w Zielonej Górze. Moim zasadniczym przedmiotem była literatura XIX wieku. Pamiętam, że przeczytanie utworów musiałam ostro egzekwować, ale dyskusje o nich potem były niezwykle ciekawe. Pyta Pani o „Faktora” i inne studenckie sukcesy tego okresu. Wiedziałam o „Faktorze”, ale wydaje mi się, że studentom nie było potrzebne błogosławieństwo wykładowców. Oni się szczyli uznaniem w kraju, ale do współpracy nas nie dopuszczali. Nie przypominam sobie żadnej rozmowy o studenckich sukcesach w gronie pracowników. Dziś sama się dziwię, że wtedy istniała taka bariera.

W 1994 r. założyła Pani z Ireneuszem Szmidtem Wydawnictwo Artystyczno-Graficzne „Arsenał”. Jaką rolę odegrało ono w historii środowiska?

Wcześniej, bo w 1979 r., dwa dni po egzaminie doktorskim, odeszłam z uczelni i rozpoczęłam pracę w redakcji tworzonego wówczas pisma „Ziemia Gorzowska”. I nigdy nie żałowałam tej decyzji. Zdecydowanie bardziej odpowiadała mi żywa, dziennikarska praca z ludźmi niż drażnienie przeszłości. Teraz, po latach, znów mam wielką przyjemność we wnikaniu w czasy odległe, obserwowaniu przemian, spotykaniu literackich „znajomych”. Ale pewnie także dlatego, że bardzo zmieniała się dziennikarska profesja. Obawiam się, że nie umiałabym pracować w takim pośpiechu i w takiej agresywności, jakiej wymaga obecne dziennikarstwo.

Wydawnictwo założyliśmy z mężem w 1994 r., gdy samodzielność była nie tylko możliwa, ale i frapująca. Najpierw wydawaliśmy gazety lokalne i miesięcznik „Arsenał”, od 1999 r. zamieniony na rocznik, potem tylko książki. „Arsenał” był pierwszym gorzowskim pismem poświęconym wyłącznie kulturze. Nagle okazało się, że kultury w naszym mieście jest

całkiem dużo, co dla nas nie było odkryciem, a dla mieszkańców miasta sporym. Nigdy nie narzekaliśmy na brak tematów. Byliśmy też pierwszym w Gorzowie wydawnictwem, które podkreślało potrzebę i wagę pracy nad książką. Po 1990 r. powstało wiele drukarni, które drukowały, co kto chciał. Dużo pracy włożyliśmy w uświadomienie początkującym autorom, że nie wystarczy zanieść wiersze do drukarni, aby powstała książka, że jej jakość zależy nie tylko od autora, ale od procesu pracy nad jej redakcją tak merytoryczną, jak i techniczną. W „Arsenale” wydaliśmy 99 książek. Teraz wydajemy je w serii „Biblioteki Pegaza Lubuskiego”, już blisko 90. Były także inne, myślę więc, że w spółce z mężem pracowaliśmy nad ponad 200 książkami.

Jest Pani jedną z najbardziej czynnych kobiet działających w lubuskim środowisku literackim. Systematycznie recenzuje Pani książki w audycji Czesława Markiewicza w Radiu Zachód, pisze Pani dla portalu EchoGorzowa. Poza tym redaguje Pani almanachy, antologie, tomiki poetyckie, monografie. Czy nazwałaby się Pani pasjonatką lubuskiej literatury?

Czytanie książek to sama przyjemność, dzielenie się swoimi o nich refleksjami to już przywilej, z którego chętnie korzystam. Zarówno w radiu, jak i w internecie zajmuję się nie tylko literaturą, ale książkami tematycznie związanymi z Gorzowem i regionem. Za mojego przewodnika po historii i społeczeństwie regionu uznaję Zbigniewa Czarnucha, niestrudzonego regionalistę. Jego książki, opowieści, a przede wszystkim niezliczone wycieczki po polskiej i niemieckiej stronie dały mi wiedzę i świadomość przemian. A literaturę lubuską, głównie tę z północy, znam, bo czytam wszystko, co się u nas ukazuje. Znam wszystkich autorów, co bardzo ułatwia lekturę i zaciekawia, jakie nowe pomysły przynosi kolejna książka. Na pewno znaczący wpływ na te kontakty ma mój mąż, który jest prezesem gorzowskiego oddziału Związku Literatów Polskich i hołubi autorów wszelkich prób literackich.

W powojennej historii regionu to często Gorzów tracił wpływy na rzecz Zielonej Góry

(np. 1950 r.). Zobaczmy same początki – to na południu powstaje Lubuskie Towarzystwo Kultury, zaczyna funkcjonować „Nadodrże”. Teraz jakby więcej inicjatyw przejęła północ. Jak ocenia Pani współczesną relację między środowiskiem literackim Zielonej Góry i Gorzowa? Czy możemy wyzwolić się od opozycji podrzędność – nadrzędność? A może w ogóle tego już nie ma między nami?

Od połowy XIX wieku Gorzów był miastem przemysłu, a Zielona Góra miastem winnic. Po utworzeniu województwa zielonogórskiego w 1950 r. w jego stolicy rozwijała się siedziba administracji. U nas byli robotnicy, w Zielonej – urzędnicy. Zrozumiałe więc, że u was rodziły się inicjatywy kulturalne. Po powołaniu u was uczelni wyższych rozdźwięk się pogłębiał. Na szczęście na nas też oddziaływaliście. U nas była Akademia Wychowania Fizycznego, później Państwowa Wyższa Szkoła Zawodowa, dziś już Akademia Jakuba z Paradyża. Ten proces ciągle trwa, a po degradacji podstawowej siły Gorzowa, czyli przemysłu, szale trudne będą do wyrównania. Jeśli chodzi o literaturę, porównania są mało precyzyjne, bo na jej miejsce pracują indywidualności. Gdzie ich więcej? Nie wiem. Obecnie wiele zależy od promocji, reklamy, a na braki w tym zakresie narzekamy wszyscy.

Czy wierzy Pani w powstanie czasopisma integrującego środowisko lubuskie? Czy jest takie czasopismo potrzebne?

Nie wierzę w siłę integrującą środowisko, która będzie miała wpływ na poziom dokonań literackich. Podobnie jak nie ma na to wpływu przynależność do związków twórczych. Środowisko rozumiem raczej jako miejsce kontaktów towarzyskich, rodzenie się przyjaźni, wzajemne wspieranie inicjatyw organizacyjnych, inspiracji. Po prostu przyjemność bycia razem. A w przypadku związków twórczych dochodzi jeszcze tylko akceptacja jakości dokonań. W Gorzowie okazją do takich kontaktów są promocje kwartalnika „Pegaz Lubuski”. Samo ukazywanie się tego pisma od blisko 15 lat daje autorom możliwość publikacji swoich utworów. Obawiam

się, że geograficzna odległość 100 kilometrów, z pozoru niewielka, jest jednak przeszkodą w stałych kontaktach zielonogórsko-gorzowskich. Dobrze więc, że wytworzyły się dwa ośrodki, a przyjacielska postawa obu szefów eliminuje ewentualne rozbieżności.

Czym jest dla Pani działalność krytycznoliteracka? Jaki jest jej sens?

Nie mogę nazywać tego, co robię, działalnością krytycznoliteracką, bo nie kieruję się żadną teorią krytyczną. Moje felietony radiowe lub omówienia w internecie i w „Pegazie Lubuskim” nazywam po prostu opowieściami o książkach. W każdym z tych mediów są nieco inne, w radiu najkrótsze, w internecie najdłuższe, choć swojej oceny nigdy nie zmieniam. Staram się informować o różnych książkach tematycznie lub miejscem zamieszkania autora związanych z Gorzowem i północną częścią województwa lubuskiego. A ukazuje się ich dużo. Problem polega na tym, że większość nie jest kierowana do sprzedaży w księgarniach, bo są wydane przy udziale funduszy unijnych wykluczających korzyści finansowe. Ale można je dostać u wydawcy. Każdy może być wydawcą, jednak dystrybucja to już sztuka. Taka sytuacja wymusiła moje miejsce: opowiadam o książkach, zawsze (w internecie) informując, jak można do niej dotrzeć lub jak ja do niej dotarłam. Mam życzliwe echa moich poszukiwań i ocen.

Co dla Krystyny Kamińskiej jest wyznacznikiem dobrej literatury?

To trudne pytanie. Zazwyczaj czytam te książki literackie, o których już coś wiem, lub mam zaufanie do autora. Niestety, taka selekcja eliminuje przyjemność odkrywania czegoś nowego, ciekawego. Jednak za dużo jest książek na rynku, aby liczyć na odkrycie, działając po omacku. Dla mnie wyznacznikiem dobrej literatury jest to, czy uwierzę w świat przedstawiony przez autora. Nie chodzi tu wyłącznie o realizm: czy uwierzę w jego fantasmagorie, w kreacje jego bohaterów, w język itp. Żeby książka była dobra, muszę w nią wejść. A gdy coś mnie odrzuca – po prostu nie wchodzi.

Jak reaguje Pani na książki grafomańskie (których nie brakuje)? Czy uważa Pani, że lepiej je przemilczeć czy próbować „nawracać” autora?

Nawrócić autora się nie da. Tak myślę. Ma on pełne prawo być wiernym sobie. Nawet gdy pracuję nad ostateczną formą książki, gdy pokazuję autorowi, co mi się nie podoba, zawsze jemu zostawiam ostatnie zdanie. To on bierze odpowiedzialność za treść i formę utworu literackiego. Wiele książek po-

wstaje ze względów terapeutycznych. Przyznam, że one często mnie wzruszają, bo choć nieudolne, niosą jakąś prawdę. Dlatego namawiam do spisywania wspomnień w pierwszej osobie lub w trzeciej. Wszystko jedno. Lubię takie „domowe” książki. Bardzo mnie przeraża ilość tłumaczonych złych książek, bo to forma ich akceptacji. Pewnie jednak nic w tym względzie nie zmienię. Mam tylko jedno wyjście: odkładam i nie polecam.



Marlena Berdys

Sprawozdanie z konferencji „Wartości językowe i kulturowe obecne w czasopiśmiennictwie polskim do roku 1989”

25 maja na terenie Biblioteki Uniwersytetu Zielonogórskiego odbyła się konferencja językoznawcza „Wartości językowe i kulturowe obecne w czasopiśmiennictwie polskim do roku 1989”. Problematyka poruszona podczas tegorocznych obrad krążyła wokół poszerzenia i uporządkowania wiedzy na temat wartości w prasie polskiej na gruncie językoznawczym i kulturowym. Pomysłodawcą i organizatorem konferencji była Pracownia Badań nad Wartościami w Języku i Kulturze działająca w Instytucie Języka Polskiego Uniwersytetu Zielonogórskiego. Obrady otworzył rektor UZ prof. dr hab. Wojciech Strzyżewski, głos zabral także dziekan Wydziału Humanistycznego prof. UZ dr hab. Sławomir Kufel i dyrektor Instytutu Filologii Polskiej prof. UZ dr hab. Marzanna Uzdzička. Prelegenci z sześciu ośrodków naukowych (Białystok, Częstochowa, Lublin, Opole, Wrocław, Zielona Góra) rozważali pojęcie wartości w różnych kontekstach.

Pod uwagę były brane takie czasopisma: „Monitor”, „Przegląd Sportowy”, „Moja Przyjaciółka”, „Kontrasty”, „Magazyn Rodzinny”, „Tygodnik Powszechny”, „Ateneum Kapłańskie”. Problematyka tegorocznych obrad została zbadana pod wieloma kątami, z uwzględnieniem podziału na wartość i antywartość. Przeciwstawienie to poruszone zostało w kilku referatach, m.in. podczas przemówienia dr hab. Violetty Jaros, która mówiła o wartościach społecznych w „Monitorze” i językowych sposobach wprowadzania ich w teksty, czy też podczas wystąpienia dr hab. Anastazji Seul. Wygłosiła ona referat pt. „Świat wartości czy antywartości? (na podstawie czasopisma »Polonistyka« w latach 1948-1956)”. Referat mgr. Marka Barona pt. „Wartości społeczno-

-moralne w czasopiśmie »Ateneum Kapłańskie« (na przykładzie artykułów ks. Stefana Wyszyńskiego z lat 1932-1939)” również krążył wokół problematyki wartości i antywartości. Prelegentka z Wrocławia, dr hab. Małgorzata Dawidziak-Kładoczna omówiła istotę wartości i antywartości w czasopiśmie „Monitor”, wymieniła sposoby wartościowania oraz chwytów językowe występujące w tym periodyku.

Interesującym wystąpieniem był referat mgr. Roberta Dudzińskiego – opisywał postać Jamesa Bonda. Przedstawił sylwetkę bohatera kina akcji, która na świecie została przyjęta bardzo entuzjastycznie, jednak – jak wykazał prelegent – w Polsce, za sprawą panującej propagandy, próbowano Bondowi odebrać nieco z jego fenomenu. Referat „Grafomania, antykomunistyczna propaganda czy rozrywkowe widowisko? Cykl o Jamesie Bondzie w prasie polskiej lat 60.” był według mnie jednym z bardziej interesujących wystąpień podczas konferencji. Dudziński z lekkością przedstawił szereg argumentów wskazujących na próbę manipulacji odbiorcą oraz wykorzystywanie propagandy.

Wielu referentów skupiło się na trudności definicyjnej samego pojęcia „wartość”. Szczególną uwagę na problemowość definicyjną zwrócił mgr Łukasz Kempa, który wygłosił referat pt. „Odkrycia, czyli jak daleko jesteśmy za nauką? Wartości poznawcze w »Magazynie Polskim«”. Bardzo ważne było znaczenie, iż pojęcie omawiane na obradach należy postrzegać wielokontekstowo. Inne ujęcie wartości przedstawiła mgr Anna Ast, która skupiła się na wskazaniu ważności omawianego zagadnienia na płaszczyźnie sportowej. Omówiła ona wartości społeczne i kulturowe obecne w „Przeglądzie Sportowym”.

Konkretne wartościowanie przejawiające się w zmianie kontekstów używania leksemu przedstawiła dr hab. Joanna Gorzelana, która rozprawiła nad zmianami znaczeniowymi leksemu „parafianin” i „parafianka” w epoce oświecenia. Bazą materiałową wykorzystaną przez referentkę było czasopismo „Monitor”. Prelegentka przedstawiła ewolucję pojęciową dwóch derywatów na podstawie definicji słownikowych oraz konkretnych przykładach z „Monitora”. Zmianom znaczeniowym poświęcono więcej uwagi – dr Magdalena Idzikowska przedstawiła rodzinę jako wartość w „Magazynie Rodzinnym”. Referentka pod uwagę wzięła aspekty psychologiczne i społeczne oraz metaforyczne ujęcie rodziny. Podczas dyskusji wysnute zostały bardzo interesujące wnioski – lata 80. przedstawiały rodzinę jako wartość nadrzędną, pozytywną, cieszącą się uznaniem, co zestawione zostało ze współczesnym ujęciem. Nasunęło to pytania dotyczące zmiany znaczenia rodziny jako wartości. Również dr Katarzyna Sokołowska z Białegostoku zaprezentowała szereg zmian, jakie zaszły w polskim czasopiśmiennictwie – zwróciła uwagę na zmiany kulturalne oraz społeczne. Omówiła walkę wokół wartości związanych z ekologią, którą zauważyć można w czasopismach „Turniej Reporterów 74” oraz „Kontrasty”. Prof. Katarzyna Węgorowska przedstawiła natomiast model kobiety na łamach czasopisma „Moja Przyjaciółka” (nr 12/1939). Przeanalizowane zostały artykuły, ale również (co bardzo ciekawe) reklamy, które przedstawiały ówczesną kobietę jako zaangażowaną patriotycznie intelektualistkę, otwartą na nowe doświadczenia, pragnącą pogłębiać wiedzę na tematy związane z medycyną, kinem czy podróżami,

ale także zainteresowaną obozami sportowymi oraz robotkami ręcznymi.

Nie zabrakło również odniesień do mistrzów pióra – referat pt. „Wartości humanistyczne i estetyczne na łamach paryskiej »Kultury«” wygłosiła mgr Ewelina Górka. Referentka bardzo ciekawie przedstawiła artykuły z lat 50., m.in. Miłozza, Gombrowicza czy Dąbrowskiego, stawiając tym samym pytanie, czy i w jakim zakresie wartości stały się istotne. Odniesienia do przedmiotu literatury, sztuki, poezji czy polityki pozwoliły na szerokie rozpatrywanie wartości humanistycznych i estetycznych.

Dr Monika Kaczor z Zielonej Góry w interesujący sposób podjęła dyskusję nad wartością, jaką jest dialog. Na przykładzie „Tygodnika Powszechnego” z roku 1989 przedstawiła pojęcie dialogu jako wartość społeczno-kulturową. Tematyka referatu krążyła wokół oceny moralnej celów dialogu, zaś sam dialog został usytuowany w różnych kontekstach, co pozwoliło na ukazanie szerokiej definicyjności tego pojęcia.

Wielokontekstowe pojmowanie istoty wartości pozwoliło referentom umiejscowić to pojęcie na wielu płaszczyznach. Z tego powodu konferencja była bardzo ożywiona, a różnorodne podejmowanie problematyki sprzyjało dyskusjom. Prof. UZ dr hab. Katarzyna Węgorowska trafnie zauważyła, że „ilu referentów, tyle wartości” – każdy z prelegentów zaprezentował inne spojrzenia na omawiany temat. Podczas debatowania zrodziło się kilka interesujących pytań, choćby to, czy współcześnie dobrze rozpatrujemy wartości socjalistyczne. To, jak i inne pytania podsunęły nowe pomysły na organizację kolejnej konferencji o wartościach. Miejmy nadzieję, że tak ciekawie jak tegoroczna.



Projekt: Garbowski

Dwa lata temu w marcu 2015 r. spotkałam się pierwszy raz z dwiema zdolnymi uczennicami (obecnie studentki) I Liceum Ogólnokształcącego im. Edwarda Dembowskiego w Zielonej Górze. Były to Adrianna Machalica i Natalia Szymańska. Jak się znalazłyśmy? Współpracę Pracowni Badań nad Literaturą Regionalną i szkoły zaproponowała pani Bożena Sicińska, jedna z najbardziej zaangażowanych polonistek w okolicy. Osobowość energetyczna i twórcza. Już wcześniej zdarzało nam się bywać w I LO z miniwykładami, zajęciami (prof. Małgorzata Mikołajczak zdradzała młodzieży, jak interpretować twórczość Zbigniewa Herberta, zachęcałyśmy też do badań noworegionalnych).

Tym razem na warsztat wzięłyśmy (z lekkim ryzykiem) niewydaną do tej pory książkę Romana Garbowskiego pt. *Gniazdo sikorek*. Jest to historia przejmująca, bolesna, ale jednocześnie pełna poczucia humoru i dystansu do siebie. No i najważniejsze – pisana lekko, jakby wojna była jedynie złym snem, który na szczęście się skończył.

Nasza współpraca trwała zaledwie trzy miesiące (tak naprawdę myślę, że dopiero się zaczęła). Za-

owocowała licznymi rozmowami (które nagrywał Janusz Łastowiecki) z autorem. Zdarzało się nawet, że chodziliśmy po tych spotkaniach na przypadkowe wykłady z filozofii. Spontaniczność i otwartość wiele dały tym literackim poszukiwaniom.

Spotkanie podsumowujące zorganizowane w szkole z udziałem Romana Garbowskiego odbyło się 2 czerwca 2015 roku. Najważniejszym naszym celem było uruchomienie jego historii, przybliżenie jej szerszemu gronu i wykorzystanie potencjału interpersonalnego pana Romana (nawiązał z młodzieżą świetny kontakt). Być może udało nam się przekonać licealistów (bo Ada i Natalia wiedziały o tym wcześniej), że badania literackie to fascynujące i empiryczne doświadczenie, praca na żywym ciele literatury, a także „ratownictwo” pamięci. I jeśli zaproszony jest do tego autor, to trudno odseparować się od tematu. Ale czy to konieczne?

Poniżej prezentuję tekst napisany przez Adrianę i Natalię, który jest jakby trailerem opowieści. Już niebawem wydane zostanie *Gniazdo sikorek*. Czekamy.



Adrianna Machalica, Natalia Szymańska

Kresowianin na Ziemi Lubuskiej

Studium przypadku na podstawie życia i twórczości Romana Garbowskiego

Roman Garbowski, polski aktor urodzony w 1935 r. w Budkach Borowskich (wioska na Wołyniu), jest autorem powieści *Gniazdo sikorek*. Przybliżyła w niej los Kresowian, którzy w wyniku II wojny światowej zostali zesłani do Kazachstanu, a po sześciu latach powrócili na Ziemię Zachodnie (tzw. Ziemię Odyskane), do Polski Ludowej. Skąd pomysł na książkę? – zapytałyśmy niedawno Romana Garbowskiego. Czy może o sobie powiedzieć, że jest pisarzem? Przyznał, że nigdy nie określiłby się tym mianem. Pisarstwo jest dla niego naturalną kolejną rzeczą, jakimś twórczym „przymusem”, chęcią podzielenia się indywidualną historią oraz wpisania jej w wielką Historię. Ponadto przyznał, że jedną z przyczyn sięgnięcia po pióro była porada psychiatry. Traumatyczne sny odeszły, kiedy zaczął przelewać na papier wspomnienia.

Nasze badania wpisują się w projekt „historii ratowniczej” Ewy Domańskiej, ukazują historię zaangażowaną, egzystencjalną, bo – parafrazując słowa Piotra Filipkowskiego – „próbujemy rozpoznać nie tylko człowieka w historii, ale też historię w człowieku”¹. Przyświeca nam nie tylko chęć odkrywania, przywracania i udostępniania zapomnianych fragmentów przeszłości, ale też pokazywania afirmatywnej strony trudnych doświadczeń.

Książka dzieli się wyraźnie na dwie części. Pierwsza dotyczy pamięci Kresów i tematów przesiedleńczych, opowiada o nieszczęśliwym miejscu zesłania – *locus fatalis*. Druga poświęcona jest budowaniu życia na nowo w powojennej Polsce, zadomowieniu się w Szczecinie, a później w Zielonej Górze. Wydaje się, że autor ocenia obydwa miejsca (Kresy Wschodnie i Ziemię Zachodnie) bardzo dobrze, nie waloryzując, które było lepsze i które uważa za swój dom. W rozmowie przyznał jednak, że był moment, kiedy

chciał wrócić w utracone miejsce, odnaleźć wciąż żywą we wspomnieniach skromną, leśną chatkę na Kresach.

W przypadku *Gniazda sikorek* można z pewnością mówić o kategorii literackiego miejsca autobiograficznego, którą zaproponowała Małgorzata Czermińska². Badaczka wyróżnia sześć typów miejsc autobiograficznych: obserwowane, wspomniane, wyobrażone, przesunięte, wybrane i dotknięte. W książce Garbowskiego występują trzy z nich. Miejsce wspomniane (związane z genealogią) to miejsce utracone wskutek ucieczki lub wygnania, głównie z przyczyn politycznych, historycznych – są to dla autora Kresy Wschodnie. Natomiast Ziemię Zachodnie można nazwać miejscem obserwowanym, miejscem stałym, gdyż są obecnym miejscem zamieszkania i służą jako tło aktualnych wydarzeń, perypetii życiowych. Są także miejscem przesuniętym, czyli tym, które stało się dla autora „drugą ojczyzną”. Kresy Wschodnie jako miejsce wspomniane są arkadią dzieciństwa. Ich opisy wyrażają bliskość natury, harmonijny rytm życia spójny z cyklami przyrody. Charakterystyczny zapach lasu i ciepło rodzinne są dominantą wspomnieniową Kresów.

Choć perspektywy niemiecka i polska po wojnie były antagonistyczne, konieczność przesiedlenia połączyła obydwa narody. Czy Garbowski jest pisarzem lubuskim czy kresowym? Na to pytanie spróbujemy znaleźć odpowiedź.

Historia i historie w *Gnieździe sikorek*

Fabuła rozpoczyna się od obrazu Wołynia, który po wojnie polsko-bolszewickiej znalazł się częściowo w granicach państwa rosyjskiego. Mieszkający tam ludzie zostali uznani za obywateli rosyjskich, a przekroczenie granicy groziło rozstrzelaniem. Jednak rodzice autora – Rozalia i Władysław – zdecydowali się na ucieczkę. Szczęśliwie udało im się dostać na polską stronę, gdzie osiedlili się niedaleko wioski Netreba. Tam też urodził się Roman Garbowski, chłopak o delikatnej dziewczęcej urodzie i ponadprzeciętnej wrażliwości. Autor podkreśla, że pamięta

1 E. Domańska, *Historia ratownicza*, „Teksty Drugie” 2014, nr 5, s. 19.

2 M. Czermińska, *Miejsca autobiograficzne. Propozycja w ramach geopoetyki*, „Teksty Drugie” 2011, nr 5, s. 183-200.

swoje wczesne lata zaskakująco dobrze, opowiada o poczuciu bezpieczeństwa, beztróskim czasie, który niespodziewanie się zakończył, gdy pewnej jesiennej nocy 1939 r. zbudziły go dziwne odgłosy dudnienia. Rozpoczęła się wojna. Trzy dni po urodzinach książkowego małego „beksy” – dokładnie 20 września – zapukali do ich skromnej leśniczówki dwaj mężczyźni w cywilu. Rozmawiając ze sobą po rosyjsku, czekali na gospodarza. Gdy wrócił, okazali mu dokumenty i kazali się spakować. Było to ostatnie spotkanie Romana z ojcem. W nadziei, że to nieporozumienie, rodzina starała się żyć normalnie, ale w lutym 1940 rozpoczęły się masowe wywózki ludności polskiej na Syberię. Po nich także przyszli z rozkazem udania się na dworzec kolejowy, z którego mieli być zabrani w „bezpieczne miejsce”. Tak rozpoczęła się trudna, miesięczna podróż pociągiem w nieznaną. W przesywającym chłodziu, hałasie, w brudnych, niehigienicznych wagonach. Wytrzymali zimno dzięki kożuchom, czapkom i rękawicom, które przezorna matka wzięła ze sobą. W drodze Rozalia Garbowska uświadomiła sobie, że mąż kupił je trzy dni przed aresztowaniem, twierdząc, że trafił na okazję. Porządkował także dokumenty, musiał więc spodziewać się, co nastąpi. Ludzie w pociągu często kłócili się, wielu pojękiwało i w pozycji embrionalnej kiwali się, usiłując uspokoić skołataną nerwy. Słychać było zarówno żarliwe modlitwy, jak i nieskładne płątaniny słów, wyrażające żal do Boga i lęk przed jutrem. Było jak w ulu, do tego wyraźny stukot kół i gwizdy lokomotywy. W miarę jak pociąg wjeżdżał w głąb Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich, mróz coraz bardziej dokuczał pasażerom. Wielu chorowało, co kończyło się śmiercią. Najczęściej umierały dzieci.



Nie było czasu na pochówek, strażnicy wpadali do wagonu, by wyciągnąć ciała i w miejscach oddalonych od stacji wyrzucali je w śnieg. Nie oglądając się, jak zwłoki znikają w głębokiej zaspie, szybko wskakiwali do ruszającego pociągu. Gdy umierały matki, wyrzucano także dzieci, które nie miałyby szansy na przeżycie. Wiadomość o zbliżającym się końcu podróży przyjęto z ulgą, pakowano tobołki i oczekiwano przyjazdu na stację. Po dotarciu zapakowano ich w ciężarówkę i za brezentową zasłoną ruszyli w kolejną drogę w nieznaną.

Zatrzymali się pod murowanym budynkiem, nad drzwiami wisiała tablica z napisem „Kulturnyj Centr”, odbywała się w nim akademie z okazji 1 maja. Gdy zakończyły się występy, przesiedleńcy mogli wejść do budynku, ogrzać się i coś zjeść. Był to jednak tylko kilkudniowy przystanek. Po nim mieli udać się w miejsce, gdzie zamieszkają i będą pracować. Część ludzi zabrano saniami, a rodzina Rozalii Garbowskiej wsiadła na wóz drabiniasty. Zawieziono ich do stolarni, którą mieli wysprzątać i przygotować na powrót pracowników. Zapach żywicy obudził w autorze wspomnienie ojca. Jednak po kilku dniach musieli ruszyć dalej. Kolejnym miejscem zamieszkania był dom głuchoniemego małżeństwa Czarnousowych. Dzieci szybko nawiązały dobre relacje i obie rodziny były dla siebie wsparciem. Większość Rosjan traktowała Polaków przyjaźnie, wyjątkami były osoby na wysokich stanowiskach, które pogardzały zesłańcami.

Gdy przyszło lato, przewieziono Polaków do drewnianej szopy. Warunki były trudne:

W czasie wykonywania jakiegokolwiek pracy, zesłańcy dostawali jeden posiłek dziennie, składający się z zupy i regulaminowej porcji chleba. [...] Zaczęła się głodówka. By przeżyć, sprzedawano to, co jeszcze zostało z rzeczy przywiezionych z Polski. Zbierano grzyby, borówki, jeżyny i poziomki. Z wymienionego ubrania na mąkę gotowano na rozpalonym przed szopą palenisku zacierkę lub smażyono placki.

Mijał dzień za dniem, Rozalia znalazła zatrudnienie, pracowały także dzieci. Warunki często się jednak zmieniały, zależało to od wydarzeń politycz-

nych w Polsce i na świecie. Nagle wielu deportowanych straciło pracę, także matka autora. Udało jej się znaleźć nowe zajęcie dzięki sąsiadowi, którego zięć pilnie szukał pracownika. Wtedy przeprowadzili się do Kazachstanu. Matka dostała pracę sprzątaczkę w internacie, później została kierowniczką w internatowej kuchni. Była to praca tymczasowa, którą miała możliwość dostać na stałe, pod warunkiem że przyjmie rosyjskie obywatelstwo i zapisze się do partii, co wzbudzało w niej odrazę. Odmówiła. Dostali nowe lokum, mieli zamieszkać z inną polską rodziną. Jak się okazało, przetrwali wcześniej razem podróż pociągami. Wszystko zaczęło się układać. Najmłodszy syn zajął się wypasem świń i krów, jego brat Janek dostał się do szkoły mechanicznej, a Bolek dorabiał, naprawiając buty. Jednak gdy Rozalia Garbowska po raz kolejny odmówiła przyjęcia nowego obywatelstwa, dumnie zapewniając, że jej ojczyzna jeszcze się odbuduje, została zwolniona. Znowu zaczął się głód, bracia łapali nawet stepowe gryzonie, z których gotowali zupę. Trzeba też było kraść. Mogli jednak liczyć na wsparcie Kazachów, którzy w większości byli przyjaźnie nastawieni. Autor zaprzyjaźnił się z kazachską rodziną, bawił się z dziećmi i gościł u nich na obiadach. Rodzin na zesłaniu nie ominęły jednak jeszcze inne nieszczęścia. Pewnej jesieni wszyscy bracia zachorowali na tyfus, który dziesiątkował ludność kazachskiej wioski, którą zamieszkiwali. Matka zmęczona malarią oraz niepewnością jutra schudła i osłabła. Żarliwie modliła się o powrót synów do zdrowia. Wyzdrowieli, choć wydawało się to niemożliwe.

Przesiedlenie i losy na „Ziemiach Odzyskanych”

Każdy pragnął powrócić do ojczyzny. Przesiedlenie na Ziemię Zachodnie okazało się niezwykle istotnym momentem w biografii autora, stanowiło niejako punkt zwrotny, było też siłą przyspieszającą dorastanie chłopca. Nieświadome i niewinne dziecko stawało się powoli młodzieńcem rozumiejącym cierpienie, tęsknotę i śmierć.

Z początku Rozalia Garbowska i jej dzieci nie wiedzieli, że udają się na Ziemię Zachodnie. Kiedy ich o tym poinformowano, pojawił się lęk, a zarazem

nadzieja na lepszą przyszłość. Optymizm zaczął ogarniać wszystkich opuszczających Związek Radziecki, przestano odczuwać strach, w końcu można było normalnie porozmawiać, a nawet zjeść. Kiedy pasażerowie pociągu dotarli już do pierwszej stacji w Polsce, nie mogli opanować wzruszenia. Przez ostatnie lata powrót do utraconego kraju wydawał się nierealny. Roman Garbowski nie krył podekscytowania, jednak nie czuł tego, co odczuwała np. jego matka. Nie rozumiał, co ludzie tak naprawdę widzieli w tym powrocie. Dla niego było to po prostu nowe, ciekawe miejsce.

Szczególnym momentem dla rodziny Garbowski był przyjazd do Szczecina i wprowadzenie się do nowego mieszkania. Pomimo że zajmowało je niemieckie małżeństwo, obydwie rodziny bardzo się ze sobą żyły. Rozalii Garbowskiej ułatwiło to start w nowym miejscu, a chłopcom dało poczucie bezpieczeństwa. Rodzina w końcu uświadomiła sobie, że jest w domu. Nareszcie mieli własny kąt. I choć czuli smutek z powodu odebrania dachu nad głową starszym ludziom, którzy spędzili prawie całe życie w tym mieszkaniu, to jednak byli gotowi działać i zmienić swój los na lepsze. Garbowski od razu poczuł się jak w domu. Być może ze względu na swój wiek nie odczuwał aż tak ogromnej tęsknoty za Kresami Wschodnimi. Choć czuł się tam szczęśliwy, równie dobrze wspomina osiedlenie się na Ziemiach Zachodnich. Tym bardziej że jako dziecku łatwiej było mu się zaaklimatyzować. Zaczął chodzić do szkoły, miał pewność, że zdobędzie jakieś wykształcenie, co zaprocentuje w przyszłości. Z łatwością poznawał nowych kolegów. Jednym z nich był Hans (nazywany Jankiem). Obaj chłopcy byli bardzo pracowici



i już w tak młodym wieku mieli pomysł na siebie i na to, żeby pomagać innym. Ich przyjaźń była bardzo barwna. Nie było jednak łatwo odnaleźć się w nowej sytuacji. Mimo że Rozalia Garbowska wraz z dziećmi otrzymali dom, to jednak trzeba go było jakoś urządzić, a przede wszystkim utrzymać. Poza tym rodzina Romana Garbowskiego miała tylko jednego dorosłego, więc trudno było wykarmić wszystkich domowników. „Sybiracy” mieli dość duży problem z przystosowaniem się do społeczeństwa. Wyglądali inaczej niż mieszkający tam ludzie, mieli inne nawyki, a przede wszystkim byli inaczej traktowani:

Stołówkę dla przybyłych z Syberii zesańcom, urządzono w Szkole Podstawowej nr 16 na Gumieńcach. W porze obiadowej ogromna rzesza wygłodniałych obdartusów zapełniała szkolną stołówkę. Stopniowo *Sybiracy* – jak ich nazywano, byli coraz lepiej ubrani. Jedząc regularnie, odzyskiwali normalny wygląd.

Podczas wojny i zesłania odebrano ludziom prawie wszystko. Roman, który przed wojną ukończył pierwszą klasę, miał początkowo pewne trudności z odnalezieniem się w szkole. Ludzie, zwłaszcza młodzi, stracili swoją tożsamość. Większość nie pamiętała nawet polskich kołęd. Dorosłym też nie było łatwo normalnie funkcjonować. W wielu rodzinach brakowało mężczyzn. Pomimo zakończenia wojny ludzie cały czas się bali. Większość osób czuła się niepewnie w nowym miejscu. Może nie musieli się już obawiać o życie, ale rodziły się w nich nowe pytania: jak będzie wyglądała przyszłość? Czy damy sobie radę? Jak utrzymać rodzinę? Dlatego też cieszyły ich drobne



rzeczy, takie jak przystrajanie choinki w święta. Choinki, której większość nie miała już od bardzo dawna.

Wojna to zło, którego nie da się opisać. Ocaleni mieli tę trudność, że oprócz poradzenia sobie w nowym miejscu, z nowymi warunkami, musieli jeszcze zmagać się z piętnem odcisniętym na psychice. Większość nie dawała sobie rady, śniły im się koszmary, nie mogli się wyzbyć nawyków nabytych podczas wojny. Rozalii Garbowskiej przede wszystkim zależało na tym, aby jej synowie znów wrócili do normalnego stanu:

Na zesłaniu cieszył się każdym upolowanym zwierzęciem – powiedział Janek.

– A teraz rozpfakał się nad losem jednego zająca – dodał Bolek.

– Zmienił się wasz brat. Człowieka zmieniają warunki, w których żyje.

Stojąc między nimi, objęła ich ramionami.

Roman Garbowski próbował różnych prac. Od najmłodszych lat pomagał rodzinie, pracując w czasie wakacji. Jednym z ważniejszych miejsc pracy była Techniczna Obsługa Rolnictwa (stanowisko: technik gwarancji).

Od tego czasu, gdy Roman zjawiał się w hali produkcyjnej, był witany serdecznie, poklepywano go po ramieniu. Dziękowano mu, że upomniał się na zebraniu o premię dla pracowników fizycznych.

Duży wpływ na Romana Garbowskiego miała praca w rozgłośni radiowej, gdzie poznał ciekawych ludzi. Praca ta jednak przysporzyła mu później wielu problemów. Garbowski był niezależny i głośno wypowiadał swoje zdanie, nie respektował obowiązującej cenzury. Przesłuchiwano go, czy należy do jakiejś organizacji, czy bierze czynny udział w życiu politycznym. Garbowski interesował się także wieloma artystycznymi dziedzinami (np. teatr i film). Od najmłodszych lat wykazywał talent plastyczny. Zgłosił się więc do Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych. Szkoła mu się podobała i bardzo chciał się rozwijać. Rozalia Garbowska, która była opiekuńczą matką, martwiła się o to, jak chłopak

poradzi sobie w tej szkole. Nie można zaprzeczyć, że Roman Garbowski niejednokrotnie przysporzył jej wielu trosk. Marzeniem Rozalii Garbowskiej było, aby syn został lekarzem. Wybrał jednak zawód reżysera filmowego. Warunkiem przyjęcia na ten kierunek był dyplom ukończenia dowolnej wyższej szkoły artystycznej. Wybrał wydział operatorski.

Do zdawania do szkoły teatralnej popchnęły Garbowskiego zajęcia, na których poprawiał wadę wymowy. Musiał uczęszczać na te ćwiczenia, aby zostać później nauczycielem. Spotkał tam profesora żywego słowa.

Zafascynowany teatrem z pasją grał w Zespole Dramatycznym przy Łódzkim Domu Kultury. Po zagraniu roli Jakuba, w *Głupim Jakubie* Tadeusza Rittnera, obsadzono go w roli Nauczyciela, w sztuce Michała Sebastiana *Nieznana gwiazda*.

Tak potoczyły się dalsze losy związane z teatrem. Autor trafił do Zielonej Góry z zespołem teatralnym. Poznał wtedy Halinę Lubicz, która zaproponowała mu etat w Lubuskim Teatrze. Większość życia zawodowego Roman Garbowski przepracował w tym teatrze. Z wyjątkiem trzech lat kierowania Świebodzińskim Domem Kultury oraz dwóch sezonów w teatrze gorzowskim, gdzie zagrał w sztuce Christophera Marlowe'a *Tamerlan Wielki* w reżyserii Wiesława Górskiego. Obchodził dwudziestopięciolecie pracy na scenie. Niewątpliwie dużym sukcesem było zagranie w filmie Romana Polańskiego *Pianista*.

* * *

Motyw gniazda sikorek pojawia się dopiero w finale opowieści. Z jednej strony może być metaforą

czegoś kruchego, co można zniszczyć w jednej chwili, a z drugiej strony niezwykle trwałe – miłości. Dwadzieścia lat po przejściu na emeryturę Roman Garbowski z małżonką Janiną zdecydowali się na kupno działki ogrodowej. Na drzewach zamocowali budki dla ptaków, które szybko znalazły mieszkańców. Jedyne domek dla sikorek, na jabłoni, długo czekał pusty. W końcu zadomowiła się tam para sikorek wraz z pisklętami. Rozalia Garbowska, już w sędziwym wieku, lubiła siadać na ławeczce pod jednym z drzew i wstuchiwać się w śpiew ptaków. Drzewo nazywano nawet „babcynym”. Rozalia mając prawie sto lat, odeszła na zawsze. Wyszło też wtedy drzewo, bo i po co – jak stwierdza autor – miałyby daremnie rodzić owoce. Janina i Roman wciąż słuchali „ptasiego radia”, dopóki niespodziewanie nie ucichło przez burzę, która uchylając drzwiczki domku, doprowadziła do wypadnięcia gniazda. Małżeństwo znalazło jego fragmenty wśród kwiatów jabłoni. Rozalia i Roman Garbowski bardzo przeżyli tragedię sikorek, dostrzegając w niej podobieństwo do losu rodzin doświadczonych przez II wojnę światową.

Roman Garbowski – człowiek Kresów Wschodnich czy „Ziem Odzyskanych”? Każde z tych miejsc uważa za swoją ojczyznę. Kresy – dom dzieciństwa, „Ziemie Odzyskane” – miejsce wkraczania w dorosłość, samorozwoju, poszukiwania swojej ścieżki. Zdaje się, że nie można jednoznacznie odpowiedzieć na wyżej postawione pytanie. Zresztą – jak pokazuje fabuła *Gniazda sikorek* – najważniejsze okazuje się to, aby nawet w ekstremalnych warunkach, zmiennych okolicznościach historii być człowiekiem, który ma wyznaczony cel i jest gotowy walczyć o wartości.

Początki baśni lubuskiej (cz. 1)

Pojęcie i kryterium lubuskości, tak istotne dla określenia granic regionu, jest ważne przy omawianiu zagadnień literackich, zwłaszcza w odniesieniu do genezy baśni regionalnej i jej twórców. Dzisiejsze województwo lubuskie, utworzone w styczniu 1999 r. w wyniku reformy administracyjnej kraju, to w zasadzie większość dawnego województwa zielonogórskiego, istniejącego w latach 1950-1975 oraz wyodrębnionych z niego dwóch województw – zielonogórskiego i gorzowskiego, które funkcjonowały w latach 1975-1998. Pamiętać też należy, że obecne województwo lubuskie zajmuje swoim obszarem tereny wcześniej należące do pięciu krain historycznych – Dolnego Śląska (m.in. Zielona Góra, Nowa Sól, Żagań, Sława, Krosno Odrzańskie, Bytom Odrzański, Kożuchów, Szprotawa), Nowej Marchii Brandenburskiej (m.in. Gorzów, Kostrzyn, Sulęcín, Słubice, Strzelce Krajeńskie, Rzepin, Torzym), Łużyc Dolnych (m.in. Żary, Gubin, Trzebiel, Jasień), Wielkopolski (m.in. Świebodzin, Międzyrzecz, Wschowa, Sulechów, Babimost, Kargowa, Zbąszynek) i geograficznej Ziemi Lubuskiej (choć większość tej ziemi dziś leży po stronie niemieckiej wraz z historycznym grodem Lubuszem, niem. Lebus – dawną stolicą diecezji lubuskiej utworzonej w 1133 r.).

Jak wiadomo, historyczna Ziemia Lubuska obejmowała na przestrzeni wieków tereny za Odrą w okolicach miasta Lubusz (Lebus), natomiast po obecnej polskiej stronie jej zasięg był ograniczony linią Kostrzyn – Sulęcín – nieco powyżej Gubina.

Gorzów, Międzyrzecz, Świebodzin – należały do Wielkopolski, natomiast Zielona Góra, Żagań, Nowa Sól – do Śląska [...]¹.

Eugeniusz Paukszta, niestrudzony orędownik lubuskiego piśmiennictwa, w Ziemi Lubuskiej upatrywał – podobnie jak Długosz – początek państwa polskiego i narodziny jego potęgi; państwo to już jako kraj chrześcijański stawiało zbrojny opór Niemcom i Czechom:

Na Ziemi Lubuskiej zaczyna się oficjalna, pisana historia Polski. Mnich saski Widukind zanotował, że Mieszko I, książę Polan, zaskoczony napadem Wichmana i Redarów, został przez nich rozbity. Dzieje nie zawsze bywają łakome dla każdej zresztą ze stron. Bo oto niedługo tenże Mieszko utwali już swoje władanie nad Ziemią Lubuską po obu stronach Odry, a Bolesław Chrobry jeszcze bardziej poszerzy na zachód swoje dziedziny².

Trudno precyzyjnie określić, na jaki czas przypada początek baśni i innych utworów, które powstawały tu przez wieki, przechowywane w tradycji ustnej, a potem spisanej przez miejscową ludność. Czy było to jeszcze w XVIII czy XIX wieku, czy też później? W przekazie ustnym zachowały się baśnie ludności polskiej zamieszkującej pogranicze polsko-niemieckie albo mniejszości polskiej, która mieszkała już w Cesarstwie Niemieckim, Republice Weimarskiej, a potem III Rzeszy. Już w wieku XIX Niemcy mieszkający

1 S. Kufel, *Lubuska tożsamość*, „Pro Libris” 2001, nr 1, s. 7.

2 E. Paukszta, *Wstęp*, [w:] *Odzyskane gniazda. Proza i poezja o Ziemi Lubuskiej*, Poznań 1963, s. 7.

na terenie dzisiejszego województwa lubuskiego wydawali liczne zbiory baśni i legend, związanych z tym rejonem.

Po II wojnie światowej polscy osadnicy zajmujący te ziemie, często w wyniku przymusu przesiedleńczego lub po prostu z potrzeby migracji za chlebem i przygodą „na dzikim zachodzie”, do czego nawiązywały też tubą propagandową władze komunistyczne, próbowali szukać związków i korzeni z nową dla nich ziemią, traktowaną jak *terra incognita*. Napływający tu ludzie zaczęli więc tworzyć własną tożsamość, przenosząc do niej motywy z porzuconych domów i regionalnych ojczyzn. Władze zaś pozorowały ogólnonarodowy nastrój triumfu, tworząc mit o znalezieniu się Polski w obozie zwycięzców, a co za tym idzie – o sprawiedliwości dziejowej i powrocie do Macierzy Ziemi Zachodnich i Północnych.

Dopiero koniec II wojny światowej odmienił wszystko. W granicach Polski nagle znalazły się tereny od XIII-XIV wieku należące do obszaru kultury niemieckiej, którą Piastowie śląscy bardzo szybko przyjęli i uznali za swoją. [...] Rok 1945 oznaczał dla Śląska, Pomorza, Warmii i Mazur zupełnie nową jakość. Najpierw była to jakość pustki. Mieszkający tu Niemcy uciekli lub zostali wywiezieni, a autochtoni, poza nielicznymi wyjątkami, traktowani byli co najmniej podejrzliwie. Pojawili się za to ludzie nowi, których kataklizm II wojny pozbawił dorobku całego życia, pozbawił ich też ojczyzny. Takie losy wypisane były na twarzach przybyszów ziem utraconych – Polesia, Wołyń, Podola. Co łączyło ich z nowym miejscem? Stempel w dowodzie i przejęte po niemieckich gospodarzach budynki?

Ów mit zwycięzców szybko władze PRL-owskie przekuły w mit piastowski w odniesieniu do „zwróconych” Ziemi, określanych mianem Odzyskanych. Już

w 1950 r. nieduże, powiatowe miasteczko z wielkimi aspiracjami stało się miastem wojewódzkim, co zdecydowało o jego szybkim rozwoju społecznym, gospodarczym, administracyjnym, naukowym i kulturalnym. W Zielonej Górze tuż po wojnie osiedlił się Alfons Bogaczyk (1905-1986) z Leszna, który od 1945 r. był dyrektorem poniemieckich zakładów graficznych przy pl. Pocztowym (dawniej pl. Lenina), a następnie od 1945 r. miał w mieście pierwszą księgarnię i płatną wypożyczalnię książek „Dom Słowa Polskiego” przy ul. Żeromskiego (przetrwiała do 1948 r.). Bogaczyk prowadził później księgarnię SW „Czytelnik” przejętą następnie przez PP „Dom Książki”. Do emerytury pracował zaś w PUPiK „Ruch”⁴. Niewątpliwie Bogaczyk był jednym z pierwszych animatorów życia kulturalnego w mieście – z jego inicjatywy w 1946 r. goszczono np. znanego aktora Ludwika Solskiego, organizował święta Winobrania, był w końcu inspiratorem powstania utworów literackich związanych z miastem i regionem. Drugą postacią, zainspirowaną przez Bogaczyka do odszukiwania utworów epickich związanych z regionem lubuskim, był Zygmunt Rutkowski, ówczesny pracownik Archiwum Państwowego, a potem prezes oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego, który tłumaczył teksty niemieckich baśni i legend odnajdywanych w kalendarzach i okolicznościowych periodykach. Napisał też zbiór *Ze świata baśni, legend i podań ludowych*, które niestety, nie zostały wydane. Trzecią osobą szukającą związków nie tylko historycznych Zielonej Góry i regionu z przeszłością staropolską i słowiańską był księgarz Kazimierz Malicki, który od 1948 r. prowadził księgarnię, a później był szefem oddziału „Książki i Wiedzy”, a od 1950 r. dyrektorem „Domu Książki Polskiej”⁵. Był też autorem pierwszej wydanej w Zielonej Górze książki z baśniami.

Jak twierdzi pionier i nestor lubuskiego życia literackiego, Janusz Koniusz, redaktor wydań szeregu lubuskich baśni, podań i legend, osadnicy przybyli na

3 S. Kufel, *Lubuska...*, s. 7-8.

4 Zob. A. Bogaczyk, *W służbie polskiego słowa*, [w:] *Mój dom nad Odrą. Pamiętniki i wspomnienia mieszkańców Ziemi Lubuskiej*, Zielona Góra 1971, s. 210-236; G. Chmielewski, *Alfons Bogaczyk (1905-1986). Drukarz, księgarz i wydawca*, [w:] *Znani zielonogórzanie XIX i XX wieku*, pod red. H. Szczegóły, Zielona Góra 1999, cz. 2, s. 42-45.

5 Zob. K. Malicki, *Droga do księgarstwa*, [w:] *Mój dom nad Odrą...*, s. 201-209.

Ziemie Zachodnie, często jak on z nakazem pracy, zmuszeni byli na nieznanym sobie terenie odnajdywać tożsamość, tworzyć ją na nowo, często zaszczepiając w nią obyczaje i kulturę przywiezione z rodzinnych stron. Na tym gruncie powstawały też baśnie o tej ziemi, a więc często określane już mianem „lubuskie”. Sprzyjała temu polityczna moda lansowana przez władze w odniesieniu do terenów ponemieckich, ale też i potrzeba społeczna, bowiem nauczyciele, animatorzy działań kulturalnych, reżyserzy scenicznych przedstawień, bibliotekarze, księgarze, a z czasem i naukowcy postulowali, że chcieliby mieć „coś” swojego, własnego, regionalnego, utwory związane z ich nową małą ojczyzną⁶. Stąd przekładano i przerabiano utwory niemieckie, adaptując je do nowej rzeczywistości historycznej, zbierano też opowieści autochtonów i ludności rodzimej zamieszkałej na Pograniczu, a zebrany materiał transponowano na język literacki, w czym celowali głównie młodzi i początkujący literaci z ambicjami na kariery pisarskie. Sprzyjała im też polityka wydawnicza ówczesnych władz i społeczne zapotrzebowanie na tego typu twórczość.

Pierwsza, literacka książka wydana na Ziemi Lubuskiej to właśnie zbiór trzech baśni *O krasnoludkach, Jagusi i zaklętych rycerzach* autorstwa wspomnianego K. Malickiego z posłowiem Z. Rutkowskiego i ilustracjami Romualda Bogaczyka (1910-1980) – artysty plastyka, brata Alfonsa, który był redaktorem technicznym pozycji liczącej 78 stron i wydanej z podtytułem *Z baśni i legend lubuskich* (jej druk mógł się odbyć tylko za zezwoleniem Ministra Kultury i Sztuki i zgodą Urzędu Wydawnictw Przemysłu i Księgarstwa). Była to równocześnie pierwsza publikacja wydana przez powstałe tego samego roku Lubuskie Towarzystwo Kultury (i Redakcję Bibliotekę Lubuskiej), która *nota bene* zapoczątkowała lubuskie baśniopisarstwo⁷.

W *Posłowiu* napisanym do baśni Zygmunt Rutkowski zawarł następującą myśl historyczną i ciekawe spostrzeżenia:

Baśnie nasze sięgają swymi korzeniami głęboko w mrok starych, nieraz przedchrześcijańskich czasów. Stworzył je lud, jemu one służyły i służyć mają. Baśnie te istniały długie wieki niepisane, dopiero jakiś nieznan nam kronikarz świecki lub duchowny utrwalił je na papierze [...]. Ziemia Lubuska, część Śląska i Łużyca, a więc te tereny, z których składa się dzisiejsze województwo zielonogórskie, są niezmiernie bogate w podania, legendy, baśnie i ciekawe obrzędy ludowe. Wszystko to czaruje bogactwem folkloru i jest niezaprzeczalnym świadectwem polskości tych ziem. Baśnie, legendy i podania zaczynały obumierać na Ziemi Lubuskiej w XIX wieku, dłużej trwały jedynie tam, gdzie polskość pozostawała niewzruszona. Od zupełnego zapomnienia uratowały je wspomniane już kroniki pergaminowe i stare księgi, bądź też czasopisma starannie przechowywane w archiwach państwowych i bibliotekach⁸.

Książka wydana w rekordowym jak ówczesne czasy nakładzie 40 tys. egzemplarzy od razu cieszyła się wielkim zainteresowaniem, tym bardziej że okładka i rysunki w niej były barwne. Jej druk miał miejsce w Zielonogórskich Zakładach Graficznych, ale ilustracje offsetowe wykonano już w Zakładach Graficznych im. M. Kasprzaka w Poznaniu. Natomiast środki ze sprzedaży książki zasiliły fundusz budowy stacji przekątnikowej w Jemiołowie⁹. O tej pierwszej lubuskiej publikacji E. Paukszta napisał:

Problem rodzimej baśni ludowej nabiera jeszcze większego znaczenia przy omawianiu spraw Ziem

6 Z zapisu rozmowy z J. Koniuszem z 29 marca 2015.

7 Zob. A.K. Waśkiewicz, *Książki dla dzieci i młodzieży*, [w:] tegoż, *Lubuskie środowisko literackie. Szkice z lat 1963-2012*, Zielona Góra 2014, s. 35.

8 Z. Rutkowski, *Posłowia*, [w:] K. Malicki, *O krasnoludkach, Jagusi i zaklętych rycerzach*, Zielona Góra 1957, s. 81.

9 W książce podano, iż pieniądze pozyskane ze sprzedaży nakładu zostaną przeznaczone na Społeczny Komitet Budowy Stacji Telewizyjnej w Zielonej Górze.

Zachodnich i folkloru znajdującej się tu, polskiej ludności rodzimej. Chodzi przecież o ukazanie najbardziej typowych i charakterystycznych cech danego regionu właśnie poprzez klechdę i baśń ludową, o rodzimych cechach słowiańskich, wyseparowanych z naleciałości germańskich [...]. Albo jakie znów cechy germańskiej mitologii zostały w ciągu wieków przez polską ludność rodzimą przejęte, zasymilowane i przerobione na własną modłę psychiczną, gdzie zaś typowo niemiecki wstręt osłabia obraz rodzimej ludowości?¹⁰

Sukces wydawniczy ośmielił młodych literatów skupionych wokół LTK do pisania tego typu utworów. Stąd już dwa lata później oficyna Towarzystwa wydała zbiór dwunastu utworów *Złota dzida Bolesława Izabelli Koniusz*, z przedmową poznańskiego literata Eugeniusza Paukszty i ilustracjami Alojzy Zacharskiej (później Markola) – malarki i członkini ZPAP, która po ukończeniu Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie zamieszkała w Zielonej Górze, pracując u Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków. Książka miała zainicjować serię *Legendy lubuskie* i edytor przypisał jej numer pierwszy. Recenzentem jej był wspomniany E. Paukszta, a druk wykonały Zielonogórskie Zakłady Graficzne za zezwoleniem ministerstwa kultury.

Mniejszy co prawda nakład (8 tysięcy egzemplarzy), ale większa objętość (121 stron) pozycji Koniuszowej przyniosły wymierne efekty w postaci kolejnego triumfu wydawniczego LTK, które w wydaniu tej publikacji wsparło Towarzystwo Rozwoju Ziemi Zachodnich. Baśnie, podania i legendy powstawały teraz niemal lawinowo. LTK organizowało konkursy dla młodzieży autochtonicznej z Dąbrówki, Podmokla i Kramska na spisywanie legend, jak np. konkurs ogłoszony w „Nadodrze” w 1958 r.¹¹ W ten sposób powstała m.in. adaptacja literacka gwarowej wersji legendy o Dąbrówce. Często zdarzało się, że pisarze adaptowali opowieści miejscowej ludności,

zbierając materiały do swoich prac np. od mieszkańców Międzyrzecza (przekaz o dwóch rzekach), wsi Pieski (o przygodzie kasztelana), wsi Ługowo (opowieść o szczurołapie), Łagowa (o czarownicy, kuchciku i sielawach), okolic Sulęcina (o wojaku i diable), Pszczewa (o Jaśku, co skarbów szukał i drzewie nadziei), Podmokli Małych (o królewskiej pieczęci), Jelenina (o spotkaniu diabłów), Żagania (o rzeźbiarzu i diable oraz o domu pod barankiem), Siedliska (o sprawiedliwej lipie) czy też Lubniewic (o rybaku ze wsi Smogóry). Paukszta, który był autorem *Przedmowy* do książki Koniuszowej, napisał w niej:

Czerpiące z rodzimych pierwiastków ludowych, baśni i legenda Ziemi Lubuskiej nawiązuje częstokroć do motywów wielkopolskich zrozumiałych poprzez pamięć niedalekich powiązań terytorialnych, zabrzmii w nich nieraz nuta śląska, zwłaszcza w tekstach związanych z południową częścią krainy, nie trudno gdzieś indziej doszukać się analogii łuzyckich, zaszumi nawet kiedyś i echem wierzeń pomorskich, nadlatujących ongiś poprzez nowomarchijską granicę. Ale znajdzie się też niejeden motyw całkiem oryginalny i świeży. Zwłaszcza w baśni pochodzenie wiodącej z Międzyrzecza czy babimojszczyzny¹².

Zbigniew Pędziński natomiast, pisząc o charakterze polskiej i lubuskiej baśni w opozycji do brutalnego mitu germańskiego, skonstatował:

Baśnie lubuskie, wybrane i opracowane przez Izabellę Koniusz formułują się chyba nie przypadkiem w ideowej i moralnej opozycji do germańskiego kręgu legend i podań [...]. Mimo mieszania się w nich pierwiastków moralitetu i anegdoty humoreski nieledwie – właśnie w tych utworach uplastycznia się najpełniej polski temperament narodowy, sangwiniczno-chole-

10 E. Paukszta, *Na tropie baśni lubuskiej*, „Rocznik Lubuski” 1959, z. 1, s. 237.

11 Zob. A. Gołek, *Pokłosie konkursu*, „Nadodrze” 1958, nr 9, s. 11.

12 E. Paukszta, *Przedmowa*, [w:] I. Koniusz, *Złota dzida Bolesława*, Zielona Góra 1959, s. 6.

ryczny, prawy, krewki i lekkomyślny, niechętny do brutalnego tragizmu, życzliwy dla drugich i świata, bez zresztą nadmiernej konsekwencji w tym względzie¹³.

Z kolei Andrzej K. Waśkiewicz recenzując książkę Koniuszowej, zauważył:

Baśnie Izabelli Koniusz odbiegają nieco od tego, co tradycyjnie określamy tą nazwą. W miejsce rozległości balladowego tonu, konstrukcji polegającej na licznych nawrotach, powtórzeniach – tu mamy do czynienia ze zwartą narracją. To oczywiście wpływ współczesnej prozy i do jej lektury baśnie Koniuszowej przygotowują znakomicie¹⁴.



13 Z. Pędziński, *Baśnie nie baśnie*, „Rocznik Lubuski” 1960, z. 2, s. 331.

14 A.K. Waśkiewicz, *Książki dla dzieci i młodzieży...*, s. 35.

II Zielonogórski Slam Poetycki 2017

26 stycznia 2017 r. w galerii Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. C. Norwida odbyła się druga edycja Zielonogórskiego Slamu Poetyckiego „Noworoczne wierszowanie”. W szranki turniejowe zgłosiło się 12 osób, głównie panie, ale także dwóch poetów. Rywalizacja toczyła się w dwóch turach. Po wyeliminowaniu dziewięciorga uczestników na placu boju pozostało trio poetek, z których wyłoniono zwyciężczynię. Głosami licznie zgromadzonej publiczności złoty medal, dyplom i tytuł Mistrza Slamu przypadł Halinie Bohucie-Stapel z Wilkanowa, która otrzymała 22 głosy. Zdecydowanie pokonała ona swoje konkurentki po piórze. Drugie miejsce z 14 głosami zajęła uczennica liceum Alicja Leśniewska ze Świebodzina, a trzecie Alina Kruk z Zielonej Góry, która zdobyła trzy głosy.

Nagrody, w tym główną, jaką był tablet, wręczali wicedyrektorzy zielonogórskiej ksiąźnicy Anna Polus

i Żaneta Cierach oraz prezes oddziału Związku Literatów Polskich Eugeniusz Kurzawa.

Konkurs przyciągnął wielu znanych literatów z regionu lubuskiego, m.in. dwukrotną laureatkę Lubuskiego Wawrzynu Literackiego Beatę P. Klary i Marka Stachowiaka mieszkającego w Ciecierzycy pod Gorzowem Wlkp., Adama B. Wierzbickiego zamieszkałego pod Lubskiem czy kilka poetek z zielonogórskiego Klubu Poetyckiego „Oksymoron”, działającego przy Zielonogórskim Uniwersytecie Trzeciego Wieku.

W trakcie przerw niezbędnych na liczenie głosów o planach artystycznych na nowy sezon mówili: dr Andrzej Buck – dyrektor Biblioteki Norwida, Jolanta Pytel – szefowa Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów i E. Kurzawa z ZLP.

Organizatorami Slamu były Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. C. Norwida i oddział Związku Literatów Polskich w Zielonej Górze.



Halina Bohuta-Stąpel

(I miejsce)

* * *

żeby tak choć drugie skrzypce w twojej orkiestrze
a ty mnie wciąż
do przestawiania fortepianu

Z parapetu do nieba

Zapomnij o mnie na jedną noc
na tę jedną jedyną noc zwróć mi wolność
i daj zezwolenie na randkę
z mdławym blondasem Księżycem

Noc szamanka nad ranem
zawsze daje mu kosza
więc to ja dziś zatańczę z nim salsę

Zmarszczki skryję za wachlarzem
a łypać będę migdałowym okiem
tak zalotnie
jak te dzierlatki stojące u rogatek miasta

Spójrz blondas Księżyc
podesłał po mnie Wielki Wóz
spójrz zaparkował go tuż nad dachem naszego domu

Ważę mniej niż worek ziemniaków
więc bez trudu – hyc! z balkonu
wprost na tylne siedzenie

tylko cicho bądź proszę
nie wykręcaj nerwowo numeru 997
i nie drzyj się do słuchawki
że żona ci oszalała

Żona?
a może tylko życiodajna łupina
która kiedyś wydała twój owoc

Białe spadochrony

Smutna wiadomość –
Czuwają nad nami aniołowie
Uśmiechnięci w blaszanych zbrojach

Szczególnie kochają kobiety i dzieci
Swej miłości dają wyraz ćwicząc niewymuszoną radość
I dumnie sunąc po dymnym niebie

Cechuje ich gracja
Smukłego palca
Który dzięki dźwigni setek naprężonych mięśni
Rytmicznie kiwa na niegodziwość

A niebo jest teatrem ich cieni

Pochmurny jest każdy grzmot
i każda kropla szkarłatnej krwi

Gdy bohaterowie uchylają białych kapeluszy

Smutna wiadomość –
Czuwają nad nami aniołowie
Którzy nie potrafią latać

Smutno nam

Nie jesteśmy już dziećmi
Czasami zapominamy jak wielkim przywilejem jest
godność
wolność
mądrość
Ale to jedynie defekt starości

Żyjemy w dwóch przedziałach czasowych
Raz, kiedy rodzimy się
Dwa, kiedy umieramy
Nie wystarczy powiedzieć, że jesteśmy
pacjentami hospicjum
I wszyscy mamy określony termin ważności
Nie wystarczy powiedzieć że zamykamy się
w ramach kilku cyfr na marmurowych nagrobkach
(jeżeli Bóg i człowiek da na ów nagrobek zarobić)

Młodzi jesteśmy z wyboru
kiedy wszystkie ważne decyzje są jeszcze przed nami
Starzejemy się od doświadczenia
które cierpliwie drepcze za naszym cieniem

Wystarczy powiedzieć: Umieramy!

Bo przecież umieramy
niezależnie od naszego wieku czy doświadczenia
Robimy to ładnie lub brzydko
mądrze lub bezmyślnie

Raz w życiu dostajemy szansę aby umrzeć
godnie
mądrze
Z rozmachem!
Kiedy marnujemy tę szansę

Smutno nam

Alina Kruk

(III miejsce)

Swatka jesień

to nie wiatr strzącał liście z drzew
one same leciały ku nam
w erotycznym tańcu jesieni
wysokie trawy szumiały nad nami
gdy szliśmy ku słońcu
i sarny uciekały w popłochu
przed takim uniesieniem
a łąki świetliste ścieliły
do stóp dziewięścił
to jesień połączyła nam dłonie
i kazała sercom
nie bać się miłości

A co za dwadzieścia lat?

Za dwadzieścia lat,
gdy ptak jeszcze zaśpiewa, trawa zapachnie,
może będę cieszyła się wolnością swoją,
mądrością tych, którzy poskładali
kamienne tablice.

Za dwadzieścia lat,
jak poskładamy kamienne tablice,
nauczymy się je czytać i według nich żyć:

może jakiś dobry krawiec
zaszyje rozpruty Świat
w New York, Paryżu, Berlinie, Stambule,

odrodzi się Aleppo,
zagoją rany jego dzieci,
świątynie zabłysną dziełami sztuki,

w cieniach ulic
będzie bezpieczna cisza,
w domach miłość, wyrozumiałość
poszanowanie odmienności...

Za dwadzieścia lat,
jak poskładamy kamienne tablice,
jak jeszcze będziemy...

Stanisława Plewińska (1925–2017)



7 stycznia 2017 r. odeszła w wieku 92 lat pisarka i poetka ludowa Stanisława Plewińska, członkini Stowarzyszenia Twórców Ludowych i Związku Literatów Polskich. Urodziła się 4 sierpnia 1925 r. we wsi Złota pod Kołem, gdzie jeszcze przed wybuchem wojny ukończyła szkołę podstawową. W okresie II wojny została wywieziona na przymusowe roboty do Niemiec. Po wyzwoleniu postanowiła zamieszkać na „Ziemiach Odzyskanych”. Początkowo osiedliła się we wsi Maszewo, a następnie otrzymała 10-hektarowe gospodarstwo w Deszcznie, gdzie wraz z rodziną mieszkała do końca życia. W wolnych chwilach od pracy na roli czas umiała sobie, tworząc – malując, rzeźbiąc i pisząc wiersze. Pierwszy wiersz napisała w 1950 r. po śmierci matki, jednak na debiut prasowy czekała jeszcze ponad 20 lat. Jej talent pisarski

zauważył znany literat gorzowski i redaktor „Ziemi Gorzowskiej” Zdzisław Morawski. On to na łamach tygodnika gorzowskiego zamieścił jej wiersze. Plewińska należała już wówczas do Klubu Literackiego Gorzowskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego. Pięć lat później poetka wydała już swój pierwszy tomik wierszy *Polny kwiat* (GTS-K, Gorzów 1976). Po debiucie wydawniczym wstąpiła w 1977 r. do Stowarzyszenia Twórców Ludowych, stając się jedną z nielicznych poetek ludowych na Ziemiach Zachodnich.

W 1980 r., kiedy we wsi Przytoczna pod Gorzowem Wlkp. odbywał się III Ogólnopolski Przegląd Dorobku Kulturalnego Wsi organizowany przez STL, wydano informator o pisarzach, biorących udział w symposium *Wieś w literaturze*, w którym biogram S. Plewińskiej znalazł się obok czołowych twórców ludowych, pisarzy lubuskich i autorów podejmujących w swojej twórczości motyw wsi, takich jak np. Tadeusz Nowak, Zygmunt Trziszka, Henryk Bereza, Stanisław Srokowski i Henryk Worcell.

Drugi arkusz poetycki Plewińskiej zatytułowany *Kłosa* ukazał się w 1981 r., wydany podobnie jak pierwszy, przez Gorzowskie Towarzystwa Kultury. Dzięki tej publikacji poetka w 1985 r. została kandydatką do Związku Literatów Polskich, a jego pełnoprawną członkinią została trzy lata później, kiedy ukazał się jej trzeci, pokaźny, bo blisko stustronicowy zbiór wierszy *Mój dom wapnem malowany*, wydany przez Wydawnictwo Lubelskie w serii Biblioteka STL, promującej piśmiennictwo ludowe.

Mimo że od tego czasu poetka z Deszczna wydawniczo zamilkła na 17 lat, to jej utwory liryczne i prozatorskie, głównie wspomnienia, ukazywały się w prasie lokalnej – chłopskiej „Drodze”, „Nadodrzu”,

„Gazecie Lubuskiej”, „Rolniczej Warcie”, „Pegazie Lubuskim” oraz w antologiach poezji ludowych i gorzowskiej, np. *Wieś tworząca* (Lublin 1983), *Nauka tańca* (1985) i *Okruchy chleba* (Wrocław 1992). Należała wówczas do czołowych poetek ludowych obok Alfredy Magdziakowej, Melanii Burzyńskiej, Heleny Waligóry i Janiny Boniakowskiej.

Poetka, wciąż bardzo aktywna twórczo, mimo iż od kilkunastu lat przebywała już na rencie inwalidzkiej, została w 1998 r. członkinią Gorzowskiego Klubu Literackiego ZLP, a z chwilą utworzenia w 2004 r. oddziału gorzowskiego ZLP przeszła do niego z oddziału zielonogórskiego, w którym była niemal 20 lat. To zaowocowało ukazaniem się w 2005 r. czwartego, liczącego ponad 70 stron, zbioru poezji Plewińskiej *Przyłoty, odloty*, który wydał gorzowski Arsenał. Ostatnią książką pisarki z Deszczna była opowieść

Świat był piękny, a ludzie niezgorsi. Córka trzech matek, wydana trzy lata później także przez Arsenał. W skład książki prozatorskiej weszły: opowieść autobiograficzna oraz kilka opowiadań i nowel opartych na pamiętnikarskim zapisie i wspomnieniach, poświęconych najbliższym osobom poetki – matce, ojcu, mężowi i dzieciom.

Twórczość literacka Plewińskiej zawsze głęboko osadzona była w tradycji i kulturze ludowej, opiewała naturę i trud pracy na roli. Była to poezja czysta, charakteryzująca się autentyczną prostotą i wrażliwością, wiarą w dobroć i miłość do ojczyzno-ściwego kraju, rodzinnego domu i ludzi. Jej poezja wyrastała z osobistych przeżyć i życiowych doświadczeń, ukazując chłopskie, powszednie smutki, żale, troski i niepokoje. Często odwoływała się do wartości chrześcijańskich i moralnej obyczajowości.

Mój dom

Mój dom wapnem malowany,
wiosną zielenią go otacza,
mały ogródek kolorowy,
to mój dom pełen krzyku.
Świtem zostaje samotny,
na parę godzin ciszy,
wieczorem znów ożywa,
śmiechem i głosem muzyki.
I noc na krótko otula,
nasze gniazdko dojrzałe,
pięknie wyrosły nam kwiaty,
i owoc w sadzie wspaniały.

Szata pola

Nie należę do tych ludzi,
co wspaniałe są ich słowa,
ja należę do tych drugich,
co są prości jak ich mowa.
Przydziałam szatę pola,
z kwiatów polnych mam sukienkę,
w wietrze słucham ja melodii,
ptaki nucą mi piosenkę.
Bosą nogą idę w pole,
w czarnym polu nie ma bruku,
z chłopskim ludem idę razem,
słowa wsi dałam do druku.
Może przyda się poezja,
taka prosta z czarnej ziemi,
pachnie chlebem letnim słońcem,
lasem, wodą, łąk zielenią.

Na pożegnanie Elżbiety Mikoś

Było życie i skończyło się. Wszystkie radości, smutki, spełnienia i niespełnienia. Nie można już mówić o nadziejach ani o dniach lub latach, które przyjdą, o tym, co jeszcze uda się zrobić. Bo już nic się nie uda. Jednego zdania się nie wypowie ani nie napisze. Dzisiaj wtorek, zaledwie w niedzielę, przed południem, wykręciłem znany mi na pamięć numer telefonu do Elżbiety Mikoś, usłyszałem jej osłabły, cichy głos, a dzisiaj też przed południem dowiedziałem się, że w środku nocy (11 września) niespodziewanie zabrała ją śmierć. Nie minęła nawet doba od mojej rozmowy z nią. Ciężko po takiej wiadomości – szok i żal. Że już nic tego faktu nie odwoła. Że tak za wcześnie. Tak młodo.

Była dobrym człowiekiem, o rzadkiej dzisiaj życzliwości i chęci podawania przyjaznej ręki innym, którym los nie szczędził kłopotów. Sama trudnych doświadczeń doznała też немало. Pewnie to one zabrały jej zdrowie. Czasami mówiłem, że muszę o niej napisać prozę, bo zasługuje, co odbierała jako żart. Lubiłem jej prostolinijność, zwyczajność i szczerść wnętrza.

Mieszkała w Jabłońcu. Z okna pokoju jej domu można było zobaczyć wiekowe dęby, a dalej pola, za którymi był las, latem obfitujący w jagody. Ukończyła pedagogikę opiekuńczą i terapeutyczną w Zielonej Górze. Wiele lat pracowała w szkole w pobliskim Jasieniu (jego pejzaże wielokrotnie przedstawiała



Elżbieta Mikoś z Czesławem Sobkowiakiem na wernisazu członków grupy MARFO z Lubska w WIMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze

w swoich obrazach), gdzie ceniono jej talent w nawiązywaniu żywego kontaktu z młodzieżą, niekiedy trudną charakterologicznie. Udzielała się społecznie. Była lubiana. Pewnie pamiętają o niej pokolenia wychowanków. Po bliższym poznaniu Elżbiety Mikoś nie byłam jej pasją zdziwiona. Spełniała się w pracy właśnie z młodzieżą, co bez rozumienia jej emocji byłoby niemożliwe. Nie ma takich osób dużo. Toteż, gdy odchodzą, zostawiają pustkę. Ból i smutek. Ich duchowej wartości nagle bardzo brakuje. Ela nie obnosiła się z tym, nie epatowała własną osobą, znała miarę skromności i pokory. Jednak płaciła za tę postawę cenę. Nieuniknioną cenę.

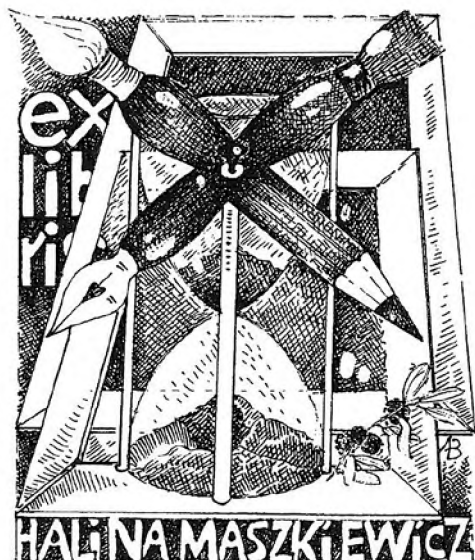
Swoje nagromadzone przemyślenia i przeżycia w pewnym momencie potrzebowała wyrazić w słowie. Wybrała poezję. Poezja pozwoliła jej nie tylko snuć opowieść o sobie, o trudnej codzienności, ale też sięgnąć w regiony wyższych znaczeń, już refleksji wyłącznie poetyckich. Pierwszym krokiem był zbiór *Wierszobranie*. Miała ambicję doskonalenia języka poetyckiego, żeby wyrazić więcej. Kilka lat temu (2011) zwróciła się do mnie o pomoc przy redagowaniu kolejnego zbioru wierszy, który został opatrzony tytułem *Przez odmiennność*. Ładnie opracowany edytorsko. Czytam teraz: „tak wciąż stoimy na życia zakręcie / jedną chwilę”. Ostatnio włączyła się w twórcze działania grupy lubskich plastyków MARFO. Efektem tego była zorganizowana w lipcu tego roku w Bibliotece Norwida wystawa malarska również pod jej poetyckim tytułem trafnie opatrzona – *Przez odmiennność*. I zanim nagle znalazła się w żarskim szpitalu, zdążyła przygotować nowy zbiór jeszcze piękniejszych i dojrzszych wierszy pt. *To zostało*. Znaczenie tego tytułu okazało się prorocze. *To zostało*, tylko to po życiu – z przemyśleń, doznań, marzeń i obserwacji dookolnego świata. Została liryka osobista, z bardzo refleksyjnym spojrzeniem na siebie jako kobietę i świat. Warto docenić prostotę językową oraz głębię jej wielu wzruszających utworów. Mam nadzieję, że odejście Elżbiety Mikoś nie stanie się przeszkodą w opublikowaniu tomiku. Wiem, że bardzo tego pragnęła nie dla siebie, bowiem jak napisała: „zmierzam/ do tego co jest zawsze/ przestrzenią i miłością”.

Czesław Sobkowiak

* * *

Pamięci Eli Mikoś

Nie chciałem uwierzyć
Lecz skreślił się czas
Osoba do której dzwonicz
Jest niedostępna albo ma
Wyłączony telefon
A ty byłaś jedno i drugie
Na zawsze już w tym samym
Wyłączona i zniknięta
Tylko drzewo kamień niebo
Zamiast ciebie ściana
Odezwał się pusty głos
Nagrany na taśmie
Któremu twoje życie i śmierć
Stało się obojętne



Halina Maszkiewicz

Jej ogród szumiał, a kwiaty pachniały w wielu polskich i zagranicznych galeriach. Malarstwo Haliny wyraża bogactwo uczuć (w portretach), łagodne i głębokie zamyślenie (w pejzażach) w obliczu błękitnego nieba i zielonych drzew, klepsydra w ekslibrisie mówi o czasie, który przeminał dobrze wykorzystany w twórczości malarskiej Haliny. Jemioła – uniwersalne lekarstwo bogini Ateny. Jaki ma związek z Haliną? Wiemy to obie...



Miłka i Witek Michorzewscy

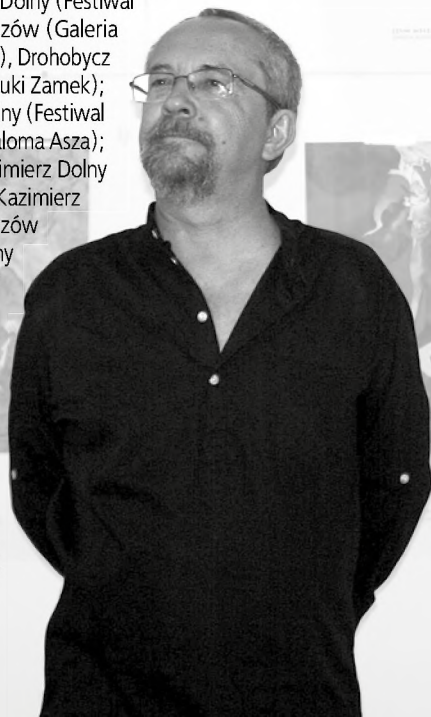
Przyjaciele graficy, obydwójce po Wydziale Sztuk Pięknych UMK w Toruniu. Wspólnie zaczęliśmy drogę życiową w Zielonej Górze. Ileż w nas było energii i pasji, wykonując zawód grafika (projekty książek, ilustracji), równocześnie ucząc się bycia razem w małżeństwie oraz wychowując dzieci. Witek – świetny plakacista, a obecnie profesor uczelni artystycznej, nigdy nie odrzucił grafiki na rzecz innych dyscyplin sztuki. Pozostała jego pasją i zawodem. Miłka – ciepła, wspańska przyjaciółka. Choroba nie pozwoliła jej w pełni się zrealizować, a szkoda. Mam w domu jej grafikę – prezent na urodziny mego syna Jacka! Patrząc na czarno-białą odbitkę mam przed oczyma Miłkę – uroczą, piękną, młodą kobietę. Do-brze, że pozostały wspomnienia...

Prezentacje

Stanisław Ożóg

Urodzony w 1952 r w Nienadówce koło Rzeszowa. W 1972 r ukończył Liceum Sztuk Plastycznych w Jarosławiu. Jako stypendysta Ministra Kultury i Sztuki studiował w latach 1972-1978 w Hochschule fur Graphik und Buchkunst w Lipsku na Wydziale Grafiki Książki. W latach 1978-1990 pracował jako kierownik artystyczny Krajowej Agencji Wydawniczej w Rzeszowie. Zajmuje się projektowaniem graficznym wydawnictw. Ilustrował bajki dla dzieci, m.in. *O krasnoludkach i o sierotce Marysi*, poezję Leśmiana, Norwida, Asnyka, Tetmajera, Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej oraz poetów współczesnych. Od 1987 r. bierze udział w Międzynarodowych Plenerach Ilustratorów, na których wykonał m.in. ilustracje do *Pana Tadeusza* A. Mickiewicza, do Biblii oraz twórczości Kochanowskiego, Słowackiego, Sienkiewicza, Fredry, Reymonta, Kraszewskiego, Miłosza. Zajmuje się również rysunkiem satyrycznym (publikował w „Gazecie Wyborczej”, „Kronice Zamojskiej”). Jego erotyki zdobią ekskluzywne kolekcje porcelany AS Cmielów oraz są stałym elementem wystroju Muzeum Porcelany jako witraże. Swoje rysunki inspirowane prozą Brunona Schulza wystawiał wielokrotnie podczas Międzynarodowego Festiwalu Brunona Schulza w Drohobyczu oraz w Lwowskiej Galerii Obrazów, w Truskawcu, jak również w Instytucie Polskim w Sofii i w Budapeszcie. Od lat wystawia swoje prace w ramach festiwalu filmowego w Kazimierzu Dolnym. Jest członkiem Kazimierskiej Konfraterni Sztuki. W latach 1990-2006 był członkiem grupy twórczej „Narol”. Urządził ponad 70 wystaw indywidualnych i pokazywał prace w kilkuset wystawach zbiorowych. Jest laureatem wielu nagród i wyróżnień.

Wystawy: 1975 – Dom Kultury w Stalowej Woli; 1980 – BWA Rzeszów; 1981 – BWA Przemyśl, BWA Krosno; 1984 – BWA Rzeszów; 1985 – Jarosław; 1993 – Opole; 1994 – BWA Zamość, BWA Rzeszów; 1997 – Rzeszów (Nationale Nederlanden), Rzeszów (Galeria 13); 1998 – Kazimierz Dolny (Kuncewiczówka); 1999 – Kazimierz Dolny (Kuncewiczówka), Rzeszów (Nissan), Rzeszów (BWA), Jarosław (Galeria Pirania); 2000 – Kraków (Galeria „Rękawka”), Kazimierz Dolny (Kuncewiczówka); 2001 – Kraków (Galeria autorska Bronisława Chromego), Kazimierz Dolny (Galeria Bohema), Rzeszów (Księgarnia Akademicka „Libra”); 2002 – BWA Rzeszów, Kazimierz Dolny (Kuncewiczówka); 2003 – Kazimierz Dolny (Galeria „Bohema”); 2004 – Nałęczów (Muzeum Bolesława Prusa), BWA Rzeszów; 2005 – Nałęczów (Muzeum Bolesława Prusa); 2006 – BWA Zamość, BWA Rzeszów; 2007 – Kazimierz Dolny (Galeria „i”); 2008 – Przeworsk (Galeria „Magnez”), Kazimierz Dolny (Dom Kultury), Drohobycz (Międzynarodowy Festiwal Schulzowski); 2009 – Kazimierz Dolny (Galeria Stodoła), Kazimierz Dolny (Galeria Letnia); 2010 – Warszawa (Klub Time Cafe), Lwów (Lwowska Galeria Obrazów), Drohobycz (Willa Jarosza), Lublin, Zielona Góra; 2011 – Sofia (Instytut Polski), Bułgaria (Warna, Szumen, Stara Zagora), Kazimierz Dolny (Festiwal Filmowy „Dwa Brzegi”), Lublin (Festiwal Bruno4ever); 2012 – Rzeszów (Galeria miejska), Kraków (JCC), Kazimierz Dolny (Festiwal Filmowy Dwa Brzegi), Drohobycz (Międzynarodowy Festiwal Brunona Schulza), Wrocław (Centrum Sztuki Zamek); 2013 – Jarosław (Galeria u Attavantich), Rzeszów BWA, Kazimierz Dolny (Festiwal Filmowy Dwa Brzegi), Lublin (Festiwal Bruno4ever), Kutno (Festiwal Szaloma Asza); 2014 – Drohobycz (Międzynarodowy Festiwal Brunona Schulza), Kazimierz Dolny (Festiwal Filmowy Dwa Brzegi), Lublin (Festiwal Bruno4ever); 2015 – Kazimierz Dolny (Galeria Stodoła), Budapeszt (Instytut Bułgarski); 2016 – Rzeszów (Muzeum Okręgowe), Truskawiec (Muzeum Biłasa), Kazimierz Dolny (Festiwal Dwa Brzegi), Lublin (Festiwal Bruno4ever), Lublin (Szeroka); 2017 – Sulejówkę (Galeria Atelier), Gorlice (Dwór Karwacjanów), Toruń (Centrum Kultury Od Nowa), Kazimierz Dolny (Kuncewiczówka), Płońsk (Centrum Kultury), Kazimierz Dolny (Festiwal Dwa Brzegi), Włodawa (Festiwal Trzech Kultur). **Nagrody w konkursie „Obraz, Grafika, Rysunek, Rzeźba Roku” organizowanym przez BWA w Rzeszowie:** 1982 – III nagroda, 1984 – II nagroda oraz nagroda BWA Rzeszów za najlepszą wystawę roku, 1985 – II nagroda, 1987 – I nagroda, 1988 – II nagroda, 1989 – I nagroda, 2000 – I nagroda. **Wystawy grupy „Narol”:** 1990 – Tomaszów Lubelski, 1994 – Warszawa, 1997 – Kazimierz, 1998 – Opole, 2002 – Rzeszów, 2004 – Sandomierz, 2006 – Narol.





Epitafium dla Andrzeja Waśkiewicza



Epitafium dla Zygmunta Kowalczuka



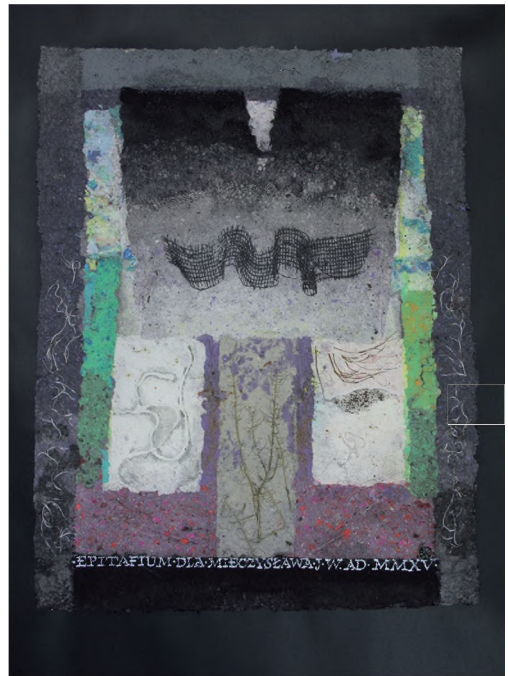
Epitafium dla Piotra Banacha



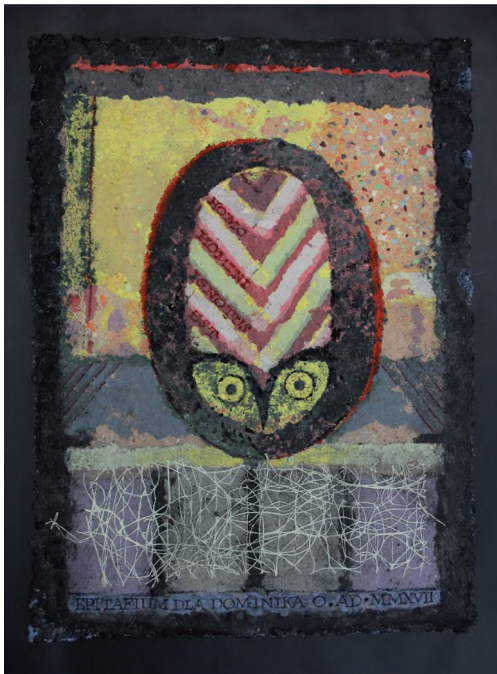
Epitafium dla Feliksa Szuty



Epitafium dla Jana Muszyńskiego



Epitafium dla Mieczysława Warszawskiego



Epitafium dla Dominika Opolskiego



Epitafium dla Janusza Koniusza



Epitafium dla Tomasza Florkowskiego



Epitafium dla Czesława Łuniewicza



Epitafium dla Agaty Buchalik-Drzyzgi



Epitafium dla Pawła Gębali



Epitafium dla Jerzego Chłodnickiego



Epitafium dla Anny Tokarskiej



Epitafium dla Joanny Szczepaniak



Epitafium dla Ireny Bierwaczonek

Prace w technice papieru czerpanego pochodzą z cyklu „Epitafia”

Wciśnięcie spustu migawki to nie wszystko

Rozmowę z fotografikiem Markiem Mizerą przeprowadziła Ewa Mielczarek

Poznałam Pana najpierw jako uzdolnionego fotografika. Później dowiedziałam się, że jest Pan posiadaczem sporej kolekcji dawnych sprzętów do fotografowania. Jak przedstawić Pana czytelnikom „Pro Libris”? Kolekcjoner, fotograf, hobbysta? Skąd się wzięła Pańska pasja? Jaki był pierwszy eksponat w kolekcji?

Myślę, że wyrażenie „miłośnik fotografii” najbardziej pasuje do opisanego mojego zainteresowania tym medium. Nigdy nie miałem cierpliwości do rysowania i malowania, a chciałem rejestrować to, co widzę wokół siebie. To miała mi dać fotografia. Najpierw zajmowałem się fotografią w jej analogowej odsłonie. Amatorsko. Pamiętam, jak kupiłem pierwszy aparat – polski druh. W drodze ze szkoły robiłem zdjęcia, w domu wyciągnąłem kliszę i byłem zdziwiony, że nic na niej nie widać. Dopiero wtedy dowiedziałem się, że wciśnięcie spustu migawki to nie wszystko. Film i odbitki trzeba wywołać, utrwalić, wysuszyć itd. Sam nie zajmowałem się tą obróbką, ale zawsze mnie to fascynowało. Dopiero aparaty automatyczne pozwoliły mi na wykonywanie pierwszych udanych zdjęć w fotolabach. Tak naprawdę pokochałem fotografię w cyfrowej postaci. Odeszły koszty materiałów, można było bezkarnie eksperymentować. Wtedy też przypominałem sobie początki, zacząłem czytać, ćwiczyć i jestem ze swoich postępów dumny.

Kolekcja aparatów powstała niejako przy okazji. Zaczęło się od prezentu – dostałem od kolegi rosyjskiego zenitha. W porównaniu z moim pierwszym



druhem, smieną, kompaktem, a nawet pierwszą cyfrowką aparat był piękny. Ciężki, dopasowany, można było kręcić pierścieniami. Zafascynowało mnie to. Zacząłem rozglądać się za innymi starymi aparatami.

Skąd pochodzą kolejne przedmioty? Jak zdobywa Pan obiekty do swojego zbioru?

W zasadzie większość z kolekcji pochodzi od znajomych i darczyńców, część z dawnych zakupów w internecie, kiedy za grosze można było kupić stare i niechciane analogowe aparaty. Wiele osób wiedząc o mojej kolekcji, dawało mi pochowane w szafach i na strychach aparaty ojców i dziadków

(swoją drogą to dziwne, bo nikt nie mówił o aparacie, który był własnością kobiety). Udało mi się raz na Allegro kupić karton starych rosyjskich aparatów za kilkadziesiąt złotych. To była niezwykła okazja. Nie do powtórzenia. W tej chwili przestałem inwestować w powiększanie kolekcji. Skupiłem się bardziej na fotografowaniu i polepszaniu sprzętu, który na co dzień używam do robienia zdjęć. Ale nadal lubię wziąć do ręki stary aparat, przymierzyć się do wizjera, pootwierać klapy, pokręcić pokrętkami, posłuchać, jak działa mechaniczny samowyzwalacz.

Proszę scharakteryzować swój zbiór. Jak go Pan nazywa?

W tej chwili zbiór składa się z ponad 200 aparatów, kilku powiększalników i bardzo wielu akcesoriów do fotografii analogowej, z których czasem nawet korzystam w fotografii cyfrowej. Większość aparatów pochodzi z 2. połowy XX wieku. Wyprodukowane w ZSRR lub DDR. Smieny, zorki, fedy, zenithy, exacty, praktici itp. Jest kilka starszych aparatów mieszkowych z początku XX wieku, trochę aparatów kompaktowych i automatycznych, polaroidów, a nawet popsute pierwsze cyfrowki. Mogę powiedzieć, że dzięki kolekcji od technicznej strony poznałem ponad 100 lat rozwoju techniki fotografowania. Wiele z eksponatów nie działa, wiele jest uszkodzonych zębem czasu, ale mimo to z przyjemnością oglądam się je i bierze do ręki. Dotyczy to szczególnie starannie wykonanych aparatów z metalowym korpusem i porządnymi obiektywami. Najbardziej lubię DDR-

-owskie aparaty Exa czy rosyjskie zorki. Sam prawie nigdy nie pracowałem w ciemni (choć ostatnio robiłem serię zdjęć kamerą otworską i musiałem pobawić się w chemika). W kolekcji mam trochę elementów tej części fotografii. Nie mogę uwierzyć w to, jak dziś łatwo robić zdjęcia. Automat nieomal sam robi zdjęcie i nawet je poprawi, często opublikuje. Zdjęcia robią wszyscy i wszędzie, znaleźć można zdjęcia wszystkiego. Dawniej każdy kadr był przemyślany, przydawał się statyw, planowanie ujęcia. Proces wywołania filmu i naświetlenia zdjęcia był jak magia. Pojawiający się na papierze fotograficznym obraz potrafił zahipnotyzować. Te chwile przybliża mi moja kolekcja i zmusza do zastanawiania się nad istotą fotografii, w której nie liczy się ilość, lecz jakość. Uczy pokory w stosunku do każdego kadru i podziwu dla pionierów tej dziedziny sztuki, którzy oprócz dobrego oka musieli być i konstruktorami, i chemikami, i takimi trochę magikami swoich czasów – zwłaszcza na początku fotografii w XIX w.

Czy kataloguje Pan swoje zbiory?

Nie kataloguję w typowy sposób posiadanych sprzętów. Natomiast o każdym posiadanym przedmiocie staram się dowiedzieć jak najwięcej: jak robiło się nim zdjęcia, kiedy był produkowany, jakich nośników używano do rejestracji obrazu. Był moment, że spisywałem posiadane sprzęty, ale zaniechałem tego. Wiedzę czerpię z książek o fotografii, ale przede wszystkim z Camerapedii – internetowej encyklopedii wiedzy o sprzęcie fotograficznym. Dużo informacji uzyskuję też ze starych podręczników fotografii



wypożyczanych z bibliotek i kilku, które posiadam w bibliotecze. Po rozpoznaniu danego modelu w sieci można znaleźć nawet instrukcję jego obsługi.

Który z eksponatów ceni Pan najbardziej?

Nie mam takiego jednego. Jest ich więcej. Bardzo lubię aparaty niemieckiej produkcji Exa, które wykonane są z wielką pieczołowitością i mają wspianiałe obiektywy firmy Carl Zeiss. Posiadam aparat stereoskopowy z dwoma obiektywami do rejestracji zdjęć trójwymiarowych. Lubię patrzeć na aparaty mieszkowe, które dziś wydają się niepraktyczne i toporne, a przypominają o początkach fotografii (Niepce, Daguerre, Talbot) czy działaniach firmy Kodak umożliwiających robienie zdjęć przez niemal każdego. Cenię aparaty rosyjskie, których manualne obiektywy z mocowaniem na gwint przez adaptery używam z lustrzanką. Gdybym miał wybrać ten jeden jedyny, to może byłby to rosyjski aparat średnioformatowy FKD z połowy XX w. Można w nim zobaczyć, jak powstaje obraz na matówce, jak ostrzy się obraz, można poczuć się jak pionier fotografii przy statywie z tkaniną na aparacie, dostrzec odwrócony widok zza obiektywu. W kolekcji nie mam cennych materialnie obiektów. Wiele jest niesprawnych, niekompletnych czy uszkodzonych. Dla mnie cenne i ważne jest ich znaczenie dla rozwoju fotografii, piękno detali, wykończenie powierzchni, obserwowanie, jak doskonalono i zmieniano poszczególne modele.

Czy miał Pan okazję prezentować swój zbiór szerszej widowni?



Kilkakrotnie prezentowałem wybrane aparaty w mojej szkole i dzieciom z kółka fotograficznego. We wrześniu tego roku, we współpracy z Biblioteką i Gimnazjum w Czerwieńsku, w ramach Europejskich Dni Dziedzictwa miałem okazję zaprezentować mieszkańcom i zaproszonym gościom kilkadziesiąt swoich fotografii i prawie wszystkie zgromadzone aparaty z kolekcji. Zarówno zdjęcia krajozobowe okolic Czerwieńska, jak i aparaty bardzo zainteresowały i dorosłych, i dzieci. Wystawa fotografii trwała ponad miesiąc, aparatów – tylko 4 dni. Największe zainteresowanie zebraną kolekcją wykazywali młodzi ludzie, dla których aparaty analogowe to już zamierzchła historia.

Tworzenie kolekcji wymaga dużych nakładów finansowych...

I właśnie dlatego zaprzestałem jej rozbudowywania. W tej chwili zbieram tylko ofiarowane przedmioty. Chętnie i z wdzięcznością przyjmę jakiegokolwiek eksponaty do mojej kolekcji, nawet niekompletne i uszkodzone – bo jak mówiłem wcześniej i one mają ducha przeszłości ukrytego w zakamarkach sprzętu. Nie kupuję nowych przedmiotów związanych z dawną fotografią, jeżeli ich nie użyję do wykonania zdjęć. Ponieważ ostatnio zainteresowałem się przez chwilę analogową fotografią otworkową, musiałem zakupić pewne elementy ciemni, chemię itp. Przez ostatnie lata wytworzył się duży rynek kolekcjonowania starych przedmiotów. Ja wolę inwestować w sprzęt do fotografowania i tam lokuję ewentualne oszczędności. W sumie do zebrania kolekcji nie przeznaczyłem wielkich środków. Większość eksponatów



to dary, a zakupione należały do najtańszych i były kupowane często jako uszkodzone lub niepełnowartościowe. Czasem z kilku takich popsutych sprzętów powstawał jeden w miarę działający.

Rozrastająca się kolekcja to satysfakcja, ale i problem z jej przechowaniem. Jak go Pan rozwiązuje?

Aparaty częściowo mam pochowane w zamkach mieszkania, częściowo eksponuję w szkole czy w zaprzyjaźnionych instytucjach. Był czas, gdy ekspozycja była na stałe w domu, ale z powodu rozrastania się nie mieściła się na przeznaczonym do tego regale. Przy okazji wystawy w Czerwieńsku zgromadziłem wszystkie sprzęty w jednym miejscu. Spakowane odpowiednio nie zajmują aż tak wiele miejsca. Mieszczą się podczas transportu w kilku dużych kartonach. Otrzymałem podczas wystawy kilka propozycji wykorzystania zebranej kolekcji do ekspozycji w kilku miejscach i tam zapewne trafią zebrane sprzęty. Najciekawszy z pomysłów dotyczył stałej wystawy w mającej powstać Izbie Pamięci. Byłoby to ciekawe rozwiązanie – izba miałaby powstać w budynku obecnego gimnazjum, a to całkiem blisko. W końcu kolekcja nie wędrowałaby z miejsca na miejsce. Czas pokaże, co się stanie.

Jakie są plany na odległą przyszłość związane z kolekcją? Czy widzi Pan szansę, aby stworzyć skansen, muzeum tego rodzaju obiektów?

Myślałem kiedyś o tym. Miejsce, gdzie można zobaczyć techniczne strony fotografii na przestrzeni

dziesięć. Dotknąć aparatów, wypróbować dawne techniki robienia zdjęć. Miejsce, gdzie można poznać nowe sprzęty, wypożyczyć obiektywy, akcesoria, gdzie można podyskutować o pomysłach, rozwiązać techniczne zagadki, a nawet poczytać o fotografii w czasopiśmie i książkach. Takie bardziej marzenie niż plany. W programie *Mam talent* nie było jeszcze fotografa, który wygrał 300 tysięcy złotych... Może kiedyś się zgłoszę i wygram, może znajdzie się sponsor-filantrop, miłośnik fotografii i zaproponuje współpracę w tworzeniu takiego miejsca. Jestem otwarty na propozycje. Gdyby dało mi to środki do życia, byłbym w stanie poświęcić się temu całkowicie, bo praca, którą się kocha, to nie praca.

Jakie marzenia posiada kolekcjoner Marek Mizero? Czy jest jakiś obiekt, o zdobyciu którego nie przestaje Pan myśleć?

W tej chwili nie rozbudowuję kolekcji z przyczyn, o których mówiłem wcześniej. Jest parę eksponatów, którymi chciałbym uzupełnić swój zbiór. Są to wypatrzone na aukcjach perełki, które wzbogaciłyby znacznie wartość historyczną mojego zbioru. Chciałbym mieć aparaty z początków fotografii z XIX w., dagerotypy, stare negatywy, np. szklane. Chciałbym zdobyć np. współczesny aparat wielkoformatowy, pierwszy aparat cyfrowy itd. Moja kolekcja mogłaby być wielokrotnie większa. Wystarczy wpisać w wyszukiwarce frazę „stare aparaty fotograficzne” i popatrzeć na ilość grafik – posiadam tylko niewielką część tego, co przez lata tworzono, by uwiecznić piękno ludzi i otaczającego ich świata.



Joanna Kapica-Curzytek

Karl Max i Mechtilde Lichnowsky: obywatele Europy

W 1860 r. w Krzyżanowicach pod Raciborzem urodził się Karl Max Fürst von Lichnowsky. Zarządzał odziedziczonym majątkiem ziemskim ze znakomitymi wynikami, ale do historii Śląska (i Europy) przeszedł przede wszystkim jako polityk i dyplomata. Jego żona, Mechtilde, pisarka i artystka, obracała się w kręgu najświetniejszych osobistości europejskiej kultury.

Niewiele osób wie, że Lichnowskich łączyło bliskie pokrewieństwo z hrabianką Karoliną Lanckorońską, uczoną i wybitną polską patriotką. Jej matką była Margaret Lichnowsky, siostra Karla Maxa. Ślub rodziców hrabiny Lanckorońskiej miał miejsce na zamku w Hradcu nad Morawicą pod Opawą, rodowej siedzibie Lichnowskich. Od początku XVII wieku aż do końca II wojny światowej ich rodzinny majątek stanowiły tereny sąsiedztwa Opawy (obecnie Republika Czeska) oraz powiatu raciborskiego (Górny Śląsk w Polsce).

Lichnowscy od pokoleń zaliczali się do elity Śląska. Członkowie rodu należeli do mecenasów światowej kultury: książę Karl Alois (1761-1814) był patronem Mozarta i Beethovena (który bywał na zamku w Hradcu nad Morawicą). To jemu Beethoven zadedykował pięć swoich utworów, m.in. słynną *Sonatę Patetyczną*, opus 13. Felix Lichnowsky (1814-1848) przyjaźnił się m.in. z Ferencem Lisztem i Zygmuntem Krasińskim.

Świetne tradycje rodzinne podtrzymał także Karl Max Lichnowsky. Wybrał karierę dyplomatyczną. Przeszedł wszystkie jej szczeble: od stanowiska tajnego radcy, attaché, aż do posady sekretarza niemieckich ambasad, m.in. w Sztokholmie, Konstantynopolu,



Bukareszcie i Wiedniu. W listopadzie 1912 r. objął urząd ambasadora Cesarstwa Niemieckiego w Londynie. Los sprawił, że był niemieckim przedstawicielem w Wielkiej Brytanii w kluczowym czasie dla historii Niemiec, Europy i całego świata: w okresie poprzedzającym wybuch I wojny światowej.

Musiał być dyplomata bardzo dobrze rozumiejącym się z brytyjskimi gospodarzami. Do dobrego tonu należało w kręgach politycznych Wielkiej Brytanii bywanie, liczyły się też prośzone obiady, a przede wszystkim – weekendy na wsi. To styl życia doskonale znany Lichnowskiemu, który sam był przecież właścicielem majątku. W wydanej w 1918 r. książce *Meine Londoner Mission (Moja londyńska misja)* wspomina życzliwe przyjęcie ze strony brytyjskiej; obie partie poprzez swoich przedstawicieli, jak pisał, „wręcz prześcigały się w uprzejmościach” wobec niego. Polityka ambasadora Lichnowskiego sprzeciwiała się zbrojnemu konfliktowi i była do ostatnich chwil przed wybuchem wojny zdecydowanie antywojenna.

Karl Max von Lichnowsky nie miał natomiast dobrego zdania o polityce zagranicznej swojego kraju, który – jak to ujął w swojej książce – „za każdym razem stawiał na złego konia”. Jako ambasador wyraźnie dystansował się od oficjalnej polityki niemieckiej, dążącej do konfliktu. Taka postawa nie była mile widziana przez niemieckich nacjonalistów, którzy potępiali jego koncyliacyjność i ostatecznie doprowadzili go do usunięcia ze stanowiska ambasadora, a później nawet z dziedzicznego stanowiska w Izbie Panów (wyższej izbie) parlamentu pruskiego w 1918 r.

Niestety, klimat zaufania pomiędzy ambasadorem Niemiec a politykami brytyjskimi nie wystarczył, aby zapobiec wybuchowi wojny. Lichnowsky stwierdza, że ograniczano mu dostęp do tajnych informacji, jak gdyby celowo utrudniając mu pełnienie obowiązków. Wyznaje, że nie był zausznikiem cesarza Wilhelma II, z przykrością też odnotowuje, że na wiele ważnych politycznych decyzji wpływały złe emocje, chora ambicja i zawiść w środowisku niemieckiej polityki.

Karl Max von Lichnowsky bardzo emocjonalnie zareagował na wybuch I wojny światowej, który zastał go w Londynie. Księżna Daisy von Pless 4 sierpnia 1914 r. zanotowała w swoich wspomnieniach: „biedny książę Lichnowsky spacerował, placząc w parku St.

Jamesa”. Potwierdza ona także, że był przeciwnikiem zbrojnej konfrontacji: „Lichnowsky upierał się, że rozpoczęcie wojny było błędem Niemiec”.

Krótko potem Lichnowsky został odwołany ze stanowiska ambasadora. W Londynie żegnano go jako sojusznika. Wyjeżdżał zdruzgotany – nie perfidią Brytyjczyków, ale cynizmem polityki rządu własnego kraju. Nie godził się z dominującym w niemieckiej polityce kultem siły militarnej i „junkierstwem”, patriarchalnym absolutyzmem. Tego nigdy nie akceptował i – jak podkreślał – na to w demokracji nie powinno się pozwalać.

Pokojowa postawa niemieckiego ambasadora w Wielkiej Brytanii została doceniona przez Brytyjczyków. Karl von Lichnowsky otrzymał po wojnie tytuł doktora honoris causa Uniwersytetu w Oxfordzie. Resztę swojego życia spędził w rodzinnym majątku na Śląsku. Rozwinął tu przemysł mleczarski oraz zainwestował w fabrykę lnu w Kuchelnej (obecnie wieś Chuchelna w Republice Czeskiej), która swego czasu była największym tego typu zakładem w Niemczech. Angażował się także w politykę lokalną, był nawet kandydatem na starostę powiatu raciborskiego. Zmarł w lutym 1928 r. w swoim majątku w Kuchelnej i tam został pochowany.

Ród Lichnowskich jako ziemskich właścicieli do dzisiaj zachował się w wyjątkowo życzliwej pamięci rodowitych mieszkańców regionu. Potomkowie tych, którzy pracowali w majątku tej rodziny, słyszeli o nich niejedną opowieść. Sama do nich należą: w dobrach Lichnowskich pracowało wielu członków mojej rodziny, m.in. mój pradziadek i babcia. W naszych rodzinnych wspomnieniach zachowało się wspomnienie Karla Maxa, wizytującego okoliczne wioski. Zastał grupę robotników rolnych, odpoczywających w upalny dzień podczas pracy w polu. Gdy na jego widok rzucili się do pracy, stanowczo zalecił dokończyć odpocznik. Z każdym pracownikiem przywitał się osobiście, podając rękę, „i to nie do pocałowania”, jak uściśla teściowa mojej ciotki.

Karl Max von Lichnowsky został też upamiętniony w literaturze popularnej. Jest epizodyczną postacią, pojawiającą się w powieści *Upadek gigantów*, pierwszym tomie bestsellerowej trylogii *Stulecie* Kena Folletta. Autor portretuje go w książce następująco: „[...]

książę Lichnowsky, w nienagannym porannym stroju i z szarym cylindrem w ręku [...]. Był przystojny, choć miał nieregularne rysy twarzy i wydatny haczykowany nos". Follett podkreśla pacyfistyczne nastawienie niemieckiego ambasadora: „Książę należał do pokojowej frakcji niemieckiego rządu. Wysłał do Berlina telegram nakłaniający do powstrzymania Austrii”. *Upadek gigantów* sprzedano w Niemczech w 600 tys. egzemplarzy, a książka aż przez 45 tygodni znajdowała się na liście bestsellerów tygodnika „Der Spiegel”.

Małżonki ambasadorów przeważnie pozostają w cieniu, ale nie żona Karla Maxa, Mechtilde (1879-1958), urodzona w Dolnej Bawarii, jako księżna von und zu Arco-Zinneberg. Była wszechstronnie utalentowana: miała talent plastyczny, grała na skrzypkach, komponowała (m.in. muzykę do przedstawień teatralnych), ale przede wszystkim – pisała: powieści, dramaty, relacje z podróży.

Mechtilde aktywnie uczestniczyła w życiu kulturalnym i intelektualnym ówczesnej Europy. Obracała się w kręgu największych znakomitości. Do jej przyjaciół należeli m.in.: Virginia Woolf, Theodor Adorno, Rainer Maria Rilke, Karl Kraus, Georg Bernard Shaw i Rudyard Kipling. Gdy Lichnowscy objęli placówkę dyplomatyczną w Wielkiej Brytanii, w ich londyńskiej rezydencji zawisły obrazy Pabla Picassa, wtedy jeszcze mało znanego malarza.

Mechtilde Lichnowsky jako pisarka zadebiutowała w 1912 r. relacją z podróży: *Götter, Könige und Tiere in Ägypten (Bogowie, królowie i zwierzęta w Egipcie)*. Pierwsza jej powieść, *Der Stimmer (Stroiciel)* ukazała się pięć lat później i od razu zwróciła na siebie uwagę językiem i formą, co pozwoliło krytykom na porównania do twórczości Jamesa Joyce’a czy Roberta Musila. Osobiście dostrzegam tu także wpływ prozy Henry’ego Jamesa. Swoimi utworami wyprzedzała czasy, w których przyszło jej żyć. Jej powieści są modernistyczne, psychologiczne (wręcz – psychoanalityczne), ekspresjonistyczne, eksperymentalne w formie i wcale niełatwe w odbiorze. Również – oryginalne w treści, bo autorka poruszała problemy płci kulturowej, relacji między płciami, sytuacji kobiety, co może wskazywać na inspirację pisarstwem Virginii Woolf. Cenię też w prozie Mechtilde Lichnowsky delikatną ironię i swoisty dystans.

Księżna Daisy von Pless w swoich pamiętnikach wspomina ją jako „najbardziej błyskotliwą gospodynię przyjęć w Londynie” oraz osobę naturalną i bezpośrednią. Słowem, Mechtilde Lichnowsky miała szerokie horyzonty i jak na owe czasy mocno postępowe poglądy – ale trzeba przy tym zauważyć, że nigdzie nie ma wzmianek o tym, by jako żona dyplomaty przekraczała jakiegokolwiek granice konwenansu czy przyzwoitości.

W Niemczech i Austrii daje się zauważyć renesans twórczości Mechtilde Lichnowsky. Jej książki są tam współcześnie wydawane. Niestety, nie widać podobnego zainteresowania ani w Republice Czeskiej, ani w Polsce. W języku czeskim ukazało się tylko parę jej opowiadań. Z informacji w katalogu Biblioteki Narodowej wynika, że po polsku opublikowano w 1936 r. tylko powieść *Delaide*. Autorka była związana z majątkiem rodziny Lichnowskich jeszcze po śmierci męża Karla Maxa, mieszkując w Kuchelnej i Opawie do 1945 r. Po odebraniu jej rodzinnych dóbr w wyniku nowych powojennych warunków wyjechała na stałe do Londynu, gdzie zmarła.

Interesujące dzieje rodu Lichnowskich w wydatny sposób wzbogacają historię Śląska oraz są pięknym, symbolicznym łącznikiem przeszłości Niemiec, Czech i Polski. Cieszy bardzo, że składa się na nią nie tylko trudna przeszłość polityczna, ale i bogata kultura prawdziwie europejskiego, a nawet światowego formatu, spod znaku dialogu i pokojowego współistnienia, co jest niekwestionowanym filarem i siłą Europy.

Bibliografia

- Der Herr der Zeiten*, Buchaktuell, Herbst 2012.
Hochberg von Pless D., *Taniec na wulkanie*, Wyd. Arcana, Kraków 2003.
Follett K., *Upadek gigantów*, Wyd. Albatros, Warszawa 2010.
Karl M., postówie do: M. Lichnowsky, *Der Stimmer*, Allitera Verlag, München 2013.
Lichnowsky K.M., *Meine Lndoner Mission 1912-1914*, Verlag von Paul Haupt, Bern 1918 (cytaty z tego źródła w tłumaczeniu własnym autorki tekstu).
Mechtilde Lichnowsky, „Marbacher Magazin” 64/1993.
Raciborzanie tysiąclecia, K. Gruchot, G. Wawoczny (red.), Wyd. Nowiny Raciborskie, Racibórz 2002.

Eberhard Hilscher



„I znowu idę ulicami, gdzie miałem swój dzieciństwo czas”. Refleksje nad świebodzińskimi wierszami Eberhardta Hilschera

Eberhard Hilscher – pisarz ze Świebodzina

Ziemia Świebodzińska była pierwszą ojczyzną Eberharda Hilschera. Ten znany i zasłużony niemiecki pisarz dzieciństwo i młodość spędził w Świebodzinie, który musiał opuścić po II wojnie światowej. Przez całe życie czuł się bardzo związany ze swym rodzinnym miastem, czego dowodem było pośmiertne przekazanie świebodzińskiemu muzeum całej literackiej spuścizny oraz bibliofilskich zbiorów¹.

Eberhard Hilscher urodził się 28 kwietnia 1927 r. w Świebodzinie, dawniej Marchii Brandenburskiej. W roku 1926 jego rodzice zbudowali przy Kutscher-

“Nun gehe ich wieder durch Straßen, in denen ich lebte als Kind.” Reflexionen zu Eberhard Hilschers Schwiebuser Gedichten

Eberhard Hilscher – der Schriftsteller aus Schwiebus

Das Schwiebuser Land war das erste Heimatland von dem deutschen Schriftsteller Eberhard Hilscher. Seine Kindheit und Jugend hat Hilscher in der Stadt Schwiebus verbracht, die er nach dem Zweiten Weltkrieg verlassen musste. Er wurde am 28 April 1927 in Schwiebus, Markt Brandenburg geboren. Sein Leben lang fühlte er sich mit dieser Stadt eng verbunden und nach dem Tode hat er dem Schwiebuser Museum seinen ganzen literarischen Nachlass und Büchersammlungen übergeben.¹ 1926 haben seine Eltern ein geräumiges Haus in der Kutschlauer Str. 44 (heute Heute Łużycka-Straße) gebaut. Der das Haus umgebende Garten wurde zu seinem ersten Spielort. Mit 7 Jahren besuchte Hilscher die Evangelische Knabenschule in Schwiebus und ab 1938 war er Schüler der Mittel- und Oberschule im Stadtpark in Schwiebus (Heute Chopin-Park). Im Jahre 1941 wurde er in der Evangelischen Friedrichskirche konfirmiert. Einen großen Einfluss übte auf den jungen Hilscher sein Vater, Lehrer und Leiter des Schwiebuser Museums, aus. Er weckte bei seinem Sohn ein Interesse an die Geschichte der Stadt und der Region. Schon als Junge hat Hilscher seine eigene Geschichte der Stadt

¹ <http://www.dziedziedz.pl/index.php?strona=12&my-id=9449> [dostęp: 16.06.2014].

¹ <http://www.dziedziedz.pl/index.php?strona=12&my-id=9449> (16.06.2014).

-Straße (dzisiejszej ulicy Łużyckiej) obszerny dom. Otaczający go ogród był miejscem pierwszych dziecięcych zabaw Hilschera. Po ukończeniu siódmego roku życia Hilscher rozpoczął naukę w ewangelickiej szkole dla chłopców, a następnie uczęszczał do mieszczącej się w Parku Miejskim szkoły średniej. W roku 1941 został konfirmowany w kościele ewangelickim Friedrichskirche. Duży wpływ na młodego Hilschera wywarł jego ojciec, nauczyciel i kierownik świebodzińskiego muzeum, który rozbudził w nim zainteresowanie historią miasta i regionu. Już jako chłopiec Hilscher napisał własną historię Świebodzina, którą określił w jednym z późniejszych wywiadów jako książkę swego serca². Kiedy pisarz skończył 17 lat, powołano go do Wehrmachtu. Lata 1945-1946 spędził w amerykańskim obozie jenieckim. Po zwolnieniu z obozu pracował w cukrowni. Od 1948 do 1952 studiował germanistykę, pedagogikę i geografię na Uniwersytecie Humboldta w Berlinie. Od roku 1956 mieszkał jako wolny pisarz i literaturoznawca w Berlinie. 30 maja 2000 został honorowym obywatelem Świebodzina. Swe rodzinne miasto odwiedzał często wraz z żoną Ute. Hilscher zmarł 7 grudnia 2005 r. w Berlinie na skutek ciężkiej choroby. Pochowany został na cmentarzu w Świebodzinie³.

Eberhard Hilscher znany był nie tylko jako pisarz, lecz także jako krytyk literacki, literaturoznawca oraz autor wielu monografii i esejów. Zainteresowania Hilschera obracały się przede wszystkim wokół postaci Tomasza Manna, Gerharda Hauptmanna, Hermanna Hesse i Arnolda Zweiga. Twórczość literacka Eberharda Hilschera obejmuje m.in. powieści *Der Morgenstern oder die vier Verwandlungen eines Mannes* (1976), *Die Weltzeituhr* (1983), *Venus bezwingt den Vulkan* (1992), opowiadanie o Karolu Darwinie *Feuerland ahoi* (1961), zbiór gawęd o sławnych ludziach *Die Entdeckung der Liebe* (1962) oraz zbiorek *Meine Schwiebuser Verwandten und das polnische Mädchen* (1994). Dwujęzyczne, polsko-niemieckie wydanie składa się z opowiadania *Meine Schwiebuser Verwandten und das polnische Mädchen* (*Moi*

Schwiebus geschrieben, die er in einem der späteren Interviews als Buch seines Herzens bezeichnete.² Mit 17 wurde Hilscher zur Wehrmacht einberufen. Die Jahre 1945-46 verbrachte er im amerikanischen Gefangenenlager. Nach seiner Entlassung arbeitete er in einer Zuckerfabrik. Von 1948 bis 1952 studierte er Germanistik, Pädagogik und Geographie an der Humboldt-Universität in Ost-Berlin. Ab 1956 lebte er als freier Schriftsteller und Literaturwissenschaftler in Berlin. Am 30 Mai 2000 wurde er Ehrenbürger der Stadt Świebodzin, die er mit seiner Frau Ute mehrmals besuchte. Am 7 Dezember 2005 starb er in Berlin an Folgen einer langen und schweren Krankheit. Er wurde auf dem Friedhof in Świebodzin beigesetzt.³

Eberhard Hilscher war nicht nur Schriftsteller sondern auch Literaturkritiker und Literaturwissenschaftler, Autor von mehreren Monografien und Essays. Hilschers Interesse galt vor allem Thomas Mann, Gerhard Hauptmann, Hermann Hesse und Arnold Zweig. Das literarische Werk von Eberhard Hilscher umfasst unter anderem Romane *Der Morgenstern oder die vier Verwandlungen eines Mannes* (1976), *Die Weltzeituhr* (1983), *Venus bezwingt den Vulkan* (1992), die Erzählung über Charles Darwin *Feuerland ahoi* (1961), die Sammlung der Geschichten über berühmte Persönlichkeiten *Die Entdeckung der Liebe* (1962) und das Sammelbändchen *Meine Schwiebuser Verwandten und das polnische Mädchen* (1994).⁴ Die zweisprachige Ausgabe setzt sich aus einer Erzählung *Meine Schwiebuser Verwandten und das polnische Mädchen* und drei Gedichten *Besuch in der Heimat*, *Selbstbildnis in Blau* und *Wiederentdeckung des Paradieses* zusammen.

Die verlorene Heimat – Schwiebus in der poetischen Erinnerung

In seiner autobiographisch gefärbten Schwiebuser Lyrik entdeckt Eberhard Hilscher die Land-

2 <http://www.dziedziedz.pl/index.php?strona=12&myid=9449> [dostęp: 16.06.2014].

3 A. Günter (red.), *Lexikon deutschsprachiger Schriftsteller von den Anfängen bis zur Gegenwart*, Leipzig 1972, s. 376.

2 <http://www.dziedziedz.pl/index.php?strona=12&myid=9449> (16.06.2014).

3 Albrecht Günter (Hrsg.): *Lexikon deutschsprachiger Schriftsteller von den Anfängen bis zur Gegenwart*. Leipzig 1972, S. 376.

4 Vgl. Hilscher, Eberhard: *Meine Schwiebuser Verwandten und das polnische Mädchen*. Świebodzin 2002.

świebodziński krewni i polska dziewczyna) oraz trzech wierszy *Besuch in der Heimat (Odwiedziny stron rodzinnych)*, *Selbstbildnis in Blau (Autoportret w błękitcie)* oraz *Wiederentdeckung des Paradieses (Ponowne odkrycie raj)*⁴.

Utracona ojczyzna – Świebodzin w pamięci poetyckiej

W zawierającej liczne motywy autobiograficzne świebodzińskiej liryce Eberhard Hilscher odkrywa ponownie krajobrazy swej małej ojczyzny. W opublikowanych w tomie *Moi świebodziński krewni i polska dziewczyna* wierszach odmalowuje słowami miasto i jego okolice. Dwa pierwsze teksty liryczne *Odwiedziny stron rodzinnych* i *Autoportret w błękitcie* powstały w roku 1966. Wiersz *Ponowne odkrycie raj* z roku 1999 jest echem podróży po Polsce, która stała się dla pisarza pretekstem, by ponownie ożywić przeszłość. Chociaż wiersze świebodzińskie nie mają istotnego znaczenia dla całokształtu twórczości Hilschera, stanowią integralną część jego literackiej spuścizny, a zarazem dowód, iż miasto Świebodzin, jak wielokrotnie podkreślał poeta, jest nierozdzielnie związane z jego biografią⁵. W *Podziękowaniu Honorowego Obywatela Miasta z 2000 roku*⁶, które ukazało się w druku jako załącznik do krótkiego opowiadania i wierszy, Hilscher wspomina spędzone w Świebodzinie lata dzieciństwa i młodości:

Chętnie przypominam sobie uroczy przydomowy ogródek moich rodziców, wtedy jeszcze położony naprzeciw łąków zbóż, przy cichej, oddalonej od ruchu ulicy; wspominam matkę grającą Chopina na pianinie, wycieczki rowerowe do pobliskich lasów, na plaże nad jeziorem Trzcinowym i jeziorem Niesłysz, zafascynowanie sportem, zabawy w Indian i chemiczne, wybuchowe eksperymenty. Codziennie spieszyłem ulicami Breite Straße (ob. ul. J. Piłsudskiego) i Glogauer Straße (ob. ul. Głogowska) do gimnazjum w Parku Miejskim, gdzie

schafften der Heimat wieder. In den im Band *Meine Schwiebuser Verwandten und das polnische Mädchen* veröffentlichten Gedichten malt er mit Worten die Stadt und ihre Umgebung. Die Entstehung der ersten zwei lyrischen Texte: *Besuch in der Heimat* und *Selbstbildnis in Blau* geht auf das Jahr 1966 zurück. Das Gedicht *Wiederentdeckung des Paradieses* aus dem Jahre 1999 ist das Echo der Polenreise des Schriftstellers, die Anlass zur Wiederbelebung der Vergangenheit gab. Obwohl Hilschers Heimatgedichte für sein Schaffen nicht kennzeichnend sind, bilden sie einen integralen Teil seines literarischen Nachlasses und geben Zeugnis davon, dass die Stadt Schwiebus, wie der Dichter selbst betonte, unlösbar mit seiner Biographie verbunden sei⁵. Im *Dank des Ehrenbürgers 2000*⁶, das als Anhang zu den Gedichten im Druck erschien, besinnt er sich auf die in Schwiebus verbrachten Kindheits- und Jugendjahre:

Gern erinnere ich mich an das anmutige Gartengrundstück meiner Eltern, damals noch gegenüber einem großen Kornfeld und in einer stillen Straße ohne Autoverkehr; an das Chopin – Klavierspiel meiner Mutter, an das Radfahren in die umliegenden Wäldern und zum Schwimmen im Rohrbach oder Nischlitzsee, an Sportbegeisterung, Indianerspiele und chemische Knalexperimente. Und täglich lief ich durch die Breite und Glogauer Straße zum Gymnasium im Stadtpark, wo ich in Latein- und Mathematikstunden oft schwitzte und ein schlechter Schüler war.⁷

Die idyllischen Bilder der Heimat, die Hilscher sich vor Augen führt, bilden aber nur eine obere Schicht seiner Erinnerung. Erst in der Schwiebuser Lyrik kommt das Verdrängte und das Unsagbare ans Licht. So werden seine Gedichte zu Medien, die „einen Moment in der Geschichte fest[halten]“⁸. Hilschers Auseinandersetzung mit der individuellen Vergangenheit, die

4 E. Hilscher, *Meine Schwiebuser Verwandten und das polnische Mädchen. Moi świebodziński krewni i polska dziewczyna*, Świebodzin 2002.

5 Por. E. Hilscher, *Meine Schwiebuser Verwandten...*

6 Tamże, s. 42.

5 Vgl. Hilscher, Eberhard: *Meine Schwiebuser Verwandten*, a. a. O.

6 Ebd. *Dank des Ehrenbürgers 2000*, S. 43.

7 Ebd. *Dank des Ehrenbürgers 2000*, S. 43.

8 Sorg, Bernard: *Das lyrische Ich. Untersuchungen zu deutsche Gedichten von Gryphius bis Benn*. Tübingen 1985, S. 1.

często pocilem się na lekcjach łaciny i matematyki, i gdzie byłem nie najlepszym uczniem⁷.

Przywoływane przez Hilschera idylliczne obrazy małej ojczyzny tworzą zewnętrzną warstwę jego wspomnień. Dopiero w świebodzińskiej liryce ujawnia się to, co zostało stłumione lub niedopowiedziane. Dzięki temu wiersze stają się swoistym medium „zatrzymującym moment w historii”⁸. Rozliczanie się z osobistą przeszłością, którą poeta z wielką wirtuozerią językową ubrał w liryczne formy, staje się przepełnionym bólem i nostalgią procesem. Słoneczne, idylliczne chwile przeplatają się z ciemnymi cieniami, beztraskie na pozór dzieciństwo przeniknięte jest strachem i okrucieństwem. Przywołane dzięki poetyckiej pamięci obrazy nie mają jednorodnej barwnej powierzchni. Bardziej przypominają składający się z przeszłości i teraźniejszości, ze snu i z traumy kolaż.

Poetycki obraz małej ojczyzny jest rozwijany przez Hilschera na wielu poziomach. Świebodzin, małe miasteczko o wiejskim charakterze symbolizuje umiejscowiony w prowincjonalnym mikrokosmosie „niszowy byt”. Mikrokosmiczna koncepcja⁹ umożliwia poecie przedstawienie rodzinnej ziemi jako „symbolicznej całości”¹⁰. Uwidacznia się przy tym centralna rola, jaką odgrywa stanowiący *imago mundi*, centrum małego świata, dom Hilschera. Mała ojczyzna przedstawiona jest również jako rajskie miejsce dzieciństwa, w którym harmonijnie połączeni są ze sobą „człowiek i krajobraz, natura i kultura”¹¹. Wypędzenie z raju dzieciństwa utożsamiane jest z wypędzeniem z ziemi rodzinnej. Trzecim poziomem poetyckiego obrazu Świebodzina jest mityzacja małej ojczyzny. Mityczne myślenie poety uwidacznia się przede wszystkim w nawiązaniach do klasycznej i biblijnej tradycji, jak również w będącym

der Dichter mit großer Sprachkunst in lyrische Formen gebracht hat, wird zu einem Prozess, in dem sich Schmerz und Nostalgie überschneiden. Sonnette, idyllische Augenblicke verweben sich mit dunklen Schatten, die scheinbare Sorglosigkeit der Kindheit ist durchsetzt von Schrecken und Grausamkeit. Die durch die poetische Erinnerung hervorgerufenen Bilder sind durch keine einheitliche Farbfläche gekennzeichnet. Sie ähneln vielmehr einer Collage, die aus Vergangenheit und Gegenwart, aus Traum und Trauma, aus dem Imaginären und aus der Geschichte besteht.

Das poetische Bild der Heimat wird von Hilscher auf mehreren Dimensionen entwickelt. Die ländlich geprägte Kleinstadt Schwiebus versinnbildlicht ein provinzielles „Nischendasein“ in einem Mikrokosmos. Das Mikrokosmos-Konzept⁹ ermöglicht dem Dichter, seine Heimat als eine „symbolische Totalität”¹⁰ darzustellen. Dabei kommt eine zentrale Rolle zum Vorschein, die Hilschers Geburtshaus als das „*imago mundi*“, das Zentrum der kleinen Welt spielt. Die Heimat erscheint auch als ein paradiestischer Kindheitsort, in dem „Mensch und Landschaft, Kultur und Natur harmonisch miteinander verbunden sind”.¹¹ Die Vertreibung aus dem Paradies der Kindheit ist mit der Vertreibung aus der Heimat gleichzusetzen. Schließlich rückt eine poetische Mythisierung der Heimat in den Vordergrund. Das mythische Denken des Dichters äußert sich vor allem in Bezügen zur klassischen und biblischen Überlieferung und in der mythischen Zeitauffassung¹², die in der temporalen Gestaltung der lyrischen Texte zum Ausdruck kommt. Aus dem mythischen Zeitkonzept ergibt sich ein dem Cassirer entnommenes Zeitgefühl, das „zwischen der subjektiven Lebensform und der objektiven Anschauung der Natur die Brücke

7 Tamże.

8 B. Sorg, *Das lyrische Ich. Untersuchungen zu deutsche Gedichten von Gryphius bis Benn*, Tübingen 1985, s. 1.

9 Por. N. Mecklenburg, *Erzählte Provinz. Regionalismus und Moderne im Roman*, Königstein 1982, s. 38-39.

10 Tamże, s. 39.

11 L.F. Helbig, *Der ungeheure Verlust: Flucht und Vertreibung in der deutschsprachigen Belletristik der Nachkriegszeit*, Wiesbaden 1996, s. 123.

9 Vgl. Mecklenburg, Norbert: *Erzählte Provinz. Regionalismus und Moderne im Roman*. Königstein 1982, S. 38-39.

10 Ebd. S. 39.

11 Helbig, Luis Ferdinand: *Der ungeheure Verlust: Flucht und Vertreibung in der deutschsprachigen Belletristik der Nachkriegszeit*. Wiesbaden 1996, S. 123.

12 Die Darstellung der Zeit in den Gedichten, gleicht der mythischen Zeitauffassung von Ernst Cassirer, nach der die Zeit zyklisch strukturiert sei. Die Zyklen können jedoch „durchaus inhaltlich verschieden ablaufen“. Vgl. Tomberg, Marcus: *Der Begriff von Mythos und Wissenschaft bei Ernst Cassirer und Kurt Hübner*. Münster 1996, S. 140.

podstawą temporalnej budowy lirycznych tekstów Hilschera mitycznym pojmowaniu czasu¹². Z mitycznej koncepcji czasu wyphywa zapożyczone od niemieckiego pisarza i myśliciela Ernesta Cassirera poczucie czasu, „przerzucające most między subiektywną formę życia a obiektywnym wyobrażeniem natury”¹³ i będące w ścisłym związku z „magicznym widzeniem świata”¹⁴ przez poetę.

Również opisywany przez poetę Świebodzin pojawia się w jego wierszach jako wielowarstwowa konstrukcja. Poetycka topografia miasta i jego okolic wskazuje na konkretną realność rodzinnej miejscowości. Dzięki głębokim doświadczeniom, łączącym Hilschera z miejscem urodzenia, Świebodzin staje się zrekonstruowanym dzięki pamięci literackiej „prywatnym miejscem wspomnień”¹⁵. Topograficzne elementy, takie jak dom rodzinny czy też rosnący przy domu błękitny świerk, odgrywają istotną rolę jako bodźce wyzwalające wspomnienia. Nawet jeśli samo miasto nie jest przeniknięte „pamięcią immanentną”¹⁶, umacnia ono wspomnienia, „zakotwicząc je mocno w ziemi i je ucieleśniając”¹⁷. Jednocześnie miasto pretenduje do miana „miejsca pamięci”¹⁸. Za wyborem takiej klasyfikacji przemawia zderzenie się przeszłości i terażniejszości w poetyckim obrazie Świebodzina oraz przedstawienie wojny jako nieprzebytej przepaści, która dzieli życie poety na dwie części, ponieważ, powtarzając za Assmann, „w miejscu pamięci historia nie jest kontynuowana, lecz zostaje mniej lub bardziej gwałtownie przerwana”¹⁹. Zniszczenie dotychczasowej tradycji i stylu ży-

schlägt”¹³ und mit einer „magische[n] Weltansicht”¹⁴ des Dichters zusammenhängt.

Auch das von Hilscher dargestellte Schwiebus erscheint in seinen Gedichten, als ein vielschichtiges Konstrukt. Die poetische Topographie der Stadt und ihrer Umgebung deutet auf die konkrete Realität des Heimatortes hin. Wegen der prägenden Erfahrungen, die den Dichter mit seiner Geburtsstadt verbinden, wird sie zu seinem „privaten Gedächtnisort”¹⁵, der in der poetischen Erinnerung rekonstruiert wird. Die topographischen Elemente, wie das Geburtshaus, oder die am Haus wachsende blaue Tanne, spielen als Erinnerungsauslöser eine gravierende Rolle. Selbst wenn der Stadt „kein immanentes Gedächtnis innewohnt”¹⁶ festigt sie die Erinnerung, indem sie „sie im Boden veranker[t], [und] sie verkörper[t]”¹⁷. Gleichzeitig etabliert sich die Stadt als Gedenkort¹⁸. Der Zusammenstoß der Vergangenheit und der Gegenwart im poetischen Bild von Schwiebus und die Versinnbildlichung des Krieges als einer unüberbrückbaren Kluft, die das Leben des Dichters in zwei Teile trennt, rechtfertigen diese Einordnung, denn, um mit Assmann zu sprechen, „Am Gedenkort ist eine bestimmte Geschichte gerade nicht weitergegangen, sondern mehr oder weniger gewaltsam abgebrochen”¹⁹. Die Vernichtung der bisherigen Tradition und Lebensweise im Schwiebuser Mikrokosmos ist endgültig und unabwendbar, und dazu durch die schicksalhafte Macht des Krieges besiegelt.

Die von Hilscher verfasste poetische Skizze der Stadt setzt sich aus polaren Kontrasten zusammen. Einerseits ist Schwiebus ein Sinnbild für Kindheit, Heimat und Beständigkeit, andererseits ist es ein Ort massiver Veränderungen und des kulturellen Wandels. Auf der Ebene der Gegenwart hat Schwiebus eine tiefe Symbolkraft als Ort der deutsch-polnischen

- 12 Przedstawienie czasu w wierszach Hilschera przypomina mityczną koncepcję czasu Ernsta Cassirera, według której czas ma formę cykliczną. Poszczególne cykle mogą jednak „przebiegać różnorodnie pod względem treściowym”. Por. M. Tomberg, *Der Begriff von Mythos und Wissenschaft bei Ernst Cassirer und Kurt Hübner*, Münster 1996, s. 140.
- 13 E. Cassirer, *Philosophie der symbolischen Formen: Zweiter Teil – Das mythische Denken*, Hamburg 2010, s. 129.
- 14 Tamże.
- 15 A. Assmann, *Erinnerungsräume. Formen und Wandlungen des kulturellen Gedächtnisses*, München 2006, s. 299.
- 16 Tamże.
- 17 Tamże.
- 18 Tamże, s. 308.
- 19 Tamże, s. 309.

- 13 Cassirer, Ernst: *Philosophie der symbolischen Formen: Zweiter Teil – Das mythische Denken*. Hamburg 2010, S. 129.
- 14 Ebd.
- 15 Assmann, Aleida: *Erinnerungsräume. Formen und Wandlungen des kulturellen Gedächtnisses*. München 2006, S. 299.
- 16 Ebd.
- 17 Ebd.
- 18 Ebd. S. 308.
- 19 Ebd. S. 309.

cia w świebodzińskim mikrokosmosie jest ostateczne i nieodwracalne, przypięczone nieuchronną mocą wojny.

Sporządzony przez Hilschera poetycki szkic miasta składa się ze skrajnych przeciwieństw. Z jednej strony Świebodzin jest symbolem dzieciństwa, ojczyzny i trwania, z drugiej strony jest miejscem istotnych zmian i przekształceń kulturowych. Na poziomie teraźniejszości Świebodzin charakteryzuje się głęboką symboliką jako miejsce polsko-niemieckiego pojednania i porozumienia, w którym narodowe antagonizmy powinny zostać zapomniane.

Świebodzińskie tematy i motywy

Osobista liryka Eberharda Hilschera jest dowodem na to, iż przepracowanie przeszłości jest procesem problematycznym. Wiersz *Odwiedziny stron rodzinnych*²⁰ stanowi połączenie mitów, snów i wspomnień. Poetycka inscenizacja rodzinnej miejscowości odbywa się na dwóch płaszczyznach, które znajdują wyraz w zaakcentowanym kontraście między świebodzińską rzeczywistością lat 60. a wspomnieniami ujawnionego podmiotu lirycznego. Wiersz otwiera opis spaceru lirycznego alter ego Hilschera przez Świebodzin lat 60. Podmiot liryczny rozpoznaje wprawdzie ulice i zaułki swej rodzinnej miejscowości, ale miasto wydaje mu się „jak karzełek małe”²¹ i dziwnie obce. Wersy „I znowu idę ulicami, gdzie miałem swój dzieciństwa czas”²² wskazują na czas mityczny, według którego ludzka egzystencja wyznaczana jest przez wiecznie powtarzający się krąg życia. Biegający cyklicznie czas stwarza możliwość przywołania własnych wspomnień. Jest to czas spojrzenia wstecz na to, co się wydarzyło lub zostało uczynione. Podobnie jak w micie wiecznego powrotu²³ krąg życia uległ zamknięciu. W teraźniejszości podmiot liryczny natrafia na ślady przeszłości. Wyblakłe niemieckie napisy i szyldy na murach świe-

Wersöhnung und Verständigung, wo nationale Antagonismen abgeschafft werden sollen.

Schwiebuser Themen und Motive

Die persönliche Lyrik von Eberhard Hilscher stellt Beweis dar, dass die Bearbeitung der Vergangenheit nicht unproblematisch ist. Das Gedicht *Besuch in der Heimat*²⁰ ist eine Montage von Mythen, Träumen und Erinnerungen. Die poetische Inszenierung der Heimatortschaft findet auf zwei Ebenen statt, die durch einen betonten Kontrast zwischen der Schwiebuser Wirklichkeit der 60er Jahre und den Erinnerungsbildern des expliziten lyrischen Ichs zum Vorschein kommen. Eröffnet wird das Gedicht mit einem Rundgang des Dichter-Ichs durchs Schwiebuser der sechziger Jahre. Das lyrische Ich erkennt zwar die Straßen und Winkel seiner Heimatstadt wieder, sie kommen ihm aber „verzerrt”²¹ und ungewohnt vor. Die Zeilen „Nun gehe ich wieder durch Straßen / in denen ich lebte als Kind”²² sind von der mythischen Zeit geprägt, in der die menschliche Existenz vom immer wiederkehrenden Kreislauf des Lebens bestimmt wird. Die zyklisch verlaufende Zeit beinhaltet die Möglichkeit, sich mit eigenen Erinnerungen zu verbinden. Es ist die Zeit der Rückschau auf das, was in der Vergangenheit passiert ist oder getan wurde. Wie im Mythos der ewigen Wiederkehr des Gleichen²³ hat sich der Lebenskreislauf geschlossen. Im Gegenwärtigen kommt das lyrische Ich auf die Spuren des Vergangenen. Verblasste deutsche Aufschriften und Schilder an Schwiebuser Hausmauern zeugen von der kulturellen Welt, die es nicht mehr gibt, und von Menschen, die sich in Schatten verwandelt haben. Das Gefühl der Entfremdung kommt in metaphorischen Bildern explizit zum Ausdruck. Unbemerkt verwandelt sich der Spaziergang des lyrischen Ichs in die mentale Rückkehr in die Stadt

20 E. Hilscher, *Wiersze*, [w:] tegoż, *Meine Schwiebuser Verwandten und das polnische Mädchen. Moi świebodziński krewni i polska dziewczyna*, Świebodzin 2002, s. 33, 35.

21 Tamże, s. 32.

22 Tamże.

23 Por. M. Eliade, *Der Mythos der ewigen Wiederkehr*, Düsseldorf 1953.

20 Hilscher, Eberhard: *Gedichte*. In: Hilscher, Eberhard: *Meine Schwiebuser Verwandten und das polnische Mädchen*. Świebodzin: Muzeum Regionalne w Świebodzinie 2002, S. 33, 35.

21 Ebd.

22 Ebd.

23 Vgl. Eliade, Mircea: *Der Mythos der ewigen Wiederkehr*. Düsseldorf 1953.

bodzińskich domów są świadectwem kultury, która odeszła i ludzi, którzy zamienili się w cienie. Uczucie wyobcowania uzewnętrznia się w metaforycznych obrazach. Spacer podmiotu lirycznego zamienia się niespostrzeżenie w mentalny powrót do miasta dzieciństwa. W powracających wspomnieniach Hilscher przywołuje swoich rodziców: „Moja mama kiwa na mnie z okna/ I szepce kilka ponagających słów”²⁴.

Zbudowane ze wspomnień rodzinne miasto okazuje się jednak miejscem zawodnym, niedającym schronienia przed nieuchronnym losem i zagładą. Idylla przekształca się w przesycony zbrodnią i okrucieństwem koszmar. Uczucie zagrożenia manifestuje się poprzez personifikację zegarów, które „coraz paniczniej biją”²⁵. Tajemniczy „On” z pierwszej strofy wiersza daje się poznać w ostatnich wersach jako Nergal²⁶ – alegoryczny obraz wojny. Poprzez zaszyfrowane zobrazowanie poetyckie wojna jest wprawdzie ukazana w sposób zawoalowany, jednakże łatwo można sobie uświadomić związane z nią niebezpieczeństwo. Nadchodzący chaos podkreślony jest przez konfrontację dwóch przeciwstawnych treściowo obrazów: podmiot liryczny ogarnia mroczne przecucie katastrofy, mającej wkrótce obrócić w gruzy rodzinny mikrokosmos, jednak ojciec „pochrapuje sobie spokojnie”²⁷. Chociaż podmiot liryczny uświadamia sobie nadchodzące zagrożenie, nie jest w stanie ostrzec rodziców, ponieważ, tak jak to bywa w koszmarze sennym, znajduje się w innym wymiarze.

W drugiej strofie podmiot liryczny daje w formie pierwszoosobowej wyraz swoim osobistym wrażeniom i odczuciom. W tym miejscu można doszukać się analogii między podmiotem lirycznym a Odysusem. Alter ego poety nie dręczy jednak tęsknota za dalekim światem, lecz tęsknota za rodzinnym

seiner Kindheit. Durch einen Akt der Erinnerung beschwört das lyrische Ich seine Eltern:

Mein Mütterchen winkt aus dem Fenster
Und flüstert ein dringliches Wort.²⁴

Die erinnerte Heimatstadt erweist sich aber als unzuverlässig und gibt keinen Schutz vor dem Verhängnis und vor dem Untergang. Die Idylle verwandelt sich in einen Alptraum, der von Gräueltat und Verbrechen durchdrungen ist. Die Personifizierung der Uhren, die „panikhaft schlagen”²⁵ veranschaulicht das Gefühl der Bedrohung. Der geheimnisvolle „Er” aus der ersten Gedichtsstrophe, entpuppt sich in den letzten Versen als Nergal²⁶, der allegorisch für den Krieg steht. Der Kriegsgott bricht in das Haus ein und kündigt die Apokalypse an. Durch die verschlüsselte Verbildlichung wird der Krieg zwar verschleiert, die mit ihm zusammenhängende Gefahr ist aber leicht zu entschlüsseln. Das kommende Chaos wird durch die Gegenüberstellung zweier inhaltlich gegensätzlicher Bilder betont: Das lyrische Ich hat eine düstere Vorahnung der Katastrophe, die den heimischen Mikrokosmos bald in Schutt und Asche legen wird, der Vater aber „schnarcht sich ruhig aus”²⁷. Obwohl das lyrische Ich sich der bevorstehenden Gefahr bewusst ist, ist es nicht imstande, seine Eltern zu warnen, weil es sich, wie im Alptraum, in einer anderen Zeitdimension befindet.

In der zweiten Strophe gibt das individuelle lyrische Subjekt seine persönlichen Empfindungen in der Ich-Form wieder. Es wird eine Parallele zwischen dem lyrischen Ich und Odysseus angedeutet. Das Dichter-Ich ist aber nicht vom Fernweh, sondern vom Heimweh getrieben. Im Gegensatz zu Odysseus, der nach einer langen Irrfahrt das sichere Heimatufer erreicht hat, muss das lyrische Ich von seiner Heimat Abschied nehmen:

24 Tamże.

25 Tamże.

26 W mitologii sumeryjsko-akkadyjskiej, babilońskiej i assyryjskiej Nergal uważany jest za boga wojny i zniszczenia, który „sprowadza klęskę i prowadzi do zwycięstwa”. I. Velikovskiy, *Welten im Zusammenstoß*, Ohne Ortsangabe, White 2005, s. 279. Por. auch F. Lenormant, *Die Magie und die Wahrsagekunst der Chaldäer*, Bremen 2012, s. 502.

27 Tamże.

24 Hilscher, Eberhardt: *Gedichte* a.a.O., S. 33.

25 Ebd.

26 Nergal gilt in der sumerisch-akkadischen, babylonischen und assyrischen Mythologie als Gott des Krieges und der Zerstörung, der „die Niederlage bringt und Sieg herbeiführt”. Velikovskiy, Immanuel: *Welten im Zusammenstoß*. Ohne Ortsangabe. White 2005, S. 279. Vgl. auch Lenormant, Francois: *Die Magie und die Wahrsagekunst der Chaldäer*. Bremen 2012, S. 502.

27 Hilscher, Eberhardt: *Gedichte*. a.a.O., S. 33, 35.

domem. W przeciwieństwie do Odyseusza, który po długiej wędrówce bezpiecznie dotarł do ojczystego brzegu, podmiot liryczny musi pożegnać się ze swymi rodzinnymi stronami:

Mnie jest jednak przeznaczone
Po dwudziestu dwu latach
Odnaleźć strony rodzinne
I od razu z nich znowu uchodzić²⁸

Z powyższych wersów można wywnioskować, iż poczucie utraty ojczyzny poprzez pozbawienie korzeni nie zostało całkowicie przezwyciężone. Znajdujący się w teraźniejszości podmiot liryczny zdaje sobie sprawę, że w swych rodzinnych stronach uważany jest teraz za obcego i że również jego dawna mała ojczyzna stała mu się obca. W ostatniej strofie wiersza ponownie wykorzystany jest kontrast między idyllicznością i lękiem. Całe piękno i ulotność ziemi rodzinnej, którą symbolizuje kwitnące w ogrodzie drzewko migdałowe, zostają złożone w ofierze zdemaskowanemu jako posłaniec wojny Nergalowi. W ostatnich wersach podmiot liryczny powraca do sfery swego „tu i teraz” i pozdrawia „wszystkich drogich zmarłych, którzy gromadnie leżą bezimiennie”²⁹.

Najważniejszym motywem wiersza *Autoportret w błękicie*³⁰ jest motyw błękitnego świerku. Tytuł wiersza wskazuje na głęboką identyfikację podmiotu lirycznego z drzewem. Przy pomocy antropomorficznych metafor drzewo otrzymało ludzkie cechy i zostało opisane na dwóch poziomach: „kiedyś” i „teraz”. Osobiste emocjonalne wspomnienia, w których świerk pojawia się jako „brat bliźniak”³¹, przyjaciel i towarzysz zabaw, wskazują na jego wyjątkowość:

Pierścienie moich lat
zrastają się z pierścieniami tej jodły
Kiedyś dotykaliśmy się głowami
Szept y leśnych nimf,
W dniach dzieciństwa podawały mi swe łapki,

Mir aber ist es bestimmt,
nach zwanzig und zwei Jahren
die Heimat zu finden und
sogleich schon zu fliehen
und gelte als Fremdling
am Ort meiner Jugend²⁸

Aus den Versen geht hervor, dass das Gefühl der Heimatverlust durch die Entwurzelung, noch nicht völlig überwunden wurde. Das sich in der Gegenwart befindende lyrische Ich ist sich bewusst, dass es nicht nur in der Heimat „als Fremdling” gilt, sondern auch dass seine Heimat ihm fremd geworden ist.

Die letzte Strophe basiert wiederum auf dem Kontrast zwischen Idyllik und Angst. Die Schönheit und Unbeständigkeit der Heimat, die ein im Garten blühender Mandelbaum symbolisiert, wird dem Nergal geopfert, der sich als Bote des Krieges offenbart. In den letzten Versen kommt das lyrische Ich wieder in sein Hier und Jetzt zurück und grüßt „alle teuren Toten, die „hier zuhauf liegen”²⁹.

Konstitutiv für das Gedicht *Selbstbildnis im Blau*³⁰ ist das Motiv der blauen Tanne. Aus dem Titel des Gedichts lässt sich entnehmen, dass der Baum für das lyrische Ich ein Identifikationsobjekt ist. Mithilfe von anthropomorphischen Metaphern wird er personifiziert und auf zwei Ebenen: „Einst” und „Jetzt” geschildert. Die persönlichen emotionsbeladene Erinnerung an den Baum als „Zwillingsbruder”³¹, Freund und Spielbegleiter verweist auf seine Einzigartigkeit:

Meine Jahresringe
Verschlingen sich mit denen der Tanne.
Wir steckten die Köpfe zusammen.
Flüstern der Dryaden;
In Kindertagen gaben sie Pfötchen,
so weich wie ein Rasierpinsel. Zapfen
kreiselten vorm Schlupfloch.³²

28 Tamże.

29 Tamże, s. 34.

30 Tamże, s. 36.

31 Tamże.

28 Ebd. S. 35.

29 Ebd. S. 35.

30 Ebd. S. 37.

31 Ebd.

32 Ebd. S. 37.

Miękkie jak pędzel do golenia. Szyszki
Wirowały przed kryjówką³²

W tym kontekście drzewo objawia się „jako dający poczucie bezpieczeństwa i łagodzący gniew pocieszyciel, któremu można się zwierzyć ze wszystkich trosk i kłopotów”³³. Ponieważ świerk jest drzewem zasadzonym w dniu narodzin podmiotu lirycznego, alter ego Hilschera uważa drzewo za istotny element swego życia. Symboliczną manifestacją arkaadyjskiego dzieciństwa są pochodzące z mitycznego kręgu driady. Ponowne, mające miejsce po upływie wielu lat spotkanie z drzewem jest dla podmiotu lirycznego głębokim przeżyciem. Wysokość świerku symbolizuje nie tylko upływ czasu, lecz również siłę i wytrwałość. W ten sposób świerk staje się „domem”³⁴, w którym podmiot liryczny pozostawił część siebie, a jednocześnie przeobraża się w mityczne drzewo życia oznaczające nieśmiertelność i odnowę³⁵. Trwanie drzewa i połączone z nim skojarzenie wieczności³⁶ pozwalają podmiotowi lirycznemu mieć nadzieję na dalsze życie w ludzkiej pamięci.

Motyw błękitnego świerku poeta wykorzystuje również w lirycznym tekście *Ponowne odkrycie rajy*³⁷. W melodyjnych pierwszych dwóch strofach przenikają się w synestezyjnym obrazie dźwięki i kolory. Takie postrzeganie rzeczywistości stanowi bazę dla wspomnień. Otoczony dźwiękami pożegnalnego walca As-Dur Chopina podmiot liryczny ponownie odnajduje swe błękitne drzewo, w którym „błękitna dusza [...] od siedemdziesięciu dwu lat pulsuje”³⁸. Odytą wspólnie z żoną podróż po Polsce zamienia się w wiersz w poetyckie ponowne odkrywanie rajy dzieciństwa. Wspomnienia kolejnych przystanków

In diesem Zusammenhang erscheint der Baum „als Tröster [...], der Besänftigung und Geborgenheit schenk[t] und bei dem man seine Sorgen lassen kann.”³³ Da die Tanne ein „Geburtsbaum“ des lyrischen Ichs ist, wird sie von ihm als Teil seines Lebens betrachtet. Die aus dem mythischen Bereich stammenden Dryaden werden dabei zu symbolischen Manifestationsformen der arkadischen Kindheit. Die Wiederbegegnung mit dem Baum, die nach vielen Jahren stattfindet, ist für das lyrische Ich ein tief greifendes Erlebnis. Die Größe der Tanne symbolisiert nicht nur die vergangene Zeit, sondern auch Kraft und Standhaftigkeit. So wird die Tanne zu einem „Zuhause”³⁴, in dem das lyrische Ich einen Teil von sich selbst gelassen hat und gleichzeitig zum mythischen Lebensbaum, der Unsterblichkeit und Erneuerung versinnbildlicht.³⁵ Die Beständigkeit des Baumes und die mit ihm assoziierte Vorstellungen von Ewigkeit³⁶ verleihen dem Dichter-Ich die Hoffnung, in der Erinnerung der Menschen weiterzuleben.

Das Motiv der blauen Tanne wird vom Dichter im Gedicht *Wiederentdeckung des Paradieses*³⁷ aufgenommen. In den melodischen ersten zwei Strophen verbinden sich synästhetisch Klänge und Farben. Diese Zusammenwahrnehmung bildet eine Basis für Erinnerungsbilder. Umgeben von Tönen des As-Dur-Abschiedswalters von Chopin findet das lyrische Ich seinen blauen Baum „in dem die Zwillingsseele [...] seit zweiundsiebzig Jahren pulsiert”³⁸ wieder. Die gemeinsame Polen-Reise, die der Dichter mit seiner Frau unternommen hat, wird im Gedicht in eine poetische Wiederentdeckung der „Naturparadiese der Kindheit“ verwandelt. Die Erinnerungen an die Stationen des Aufenthalts in Polen verweben sich mit der Sehnsucht nach der Vergangenheit, die mit

32 Tamże.

33 S. Rüter, *Friedwald: Waldbewusstsein und Bestattungskultur*, Münster 2011, s. 140.

34 Tamże, s. 144.

35 Symbolika drzewa życia pojawia się również w następujących pozycjach: M. Neuhold, *Lebensbäume: Vom Leben und Wesen der Bäume, ihrer Mythologie und Beziehung zum Menschen*, Graz 2006; J. Brosse, *Mythologie der Bäume*, Düsseldorf 2003.

36 S. Rüter, *Friedwald...*, s. 151.

37 E. Hilscher, *Wiersze*, s. 38-40.

38 Tamże, s. 38.

33 Rüter, Stefanie: *Friedwald: Waldbewusstsein und Bestattungskultur*. Münster 2011, S. 140.

34 Ebd. S. 144.

35 Die Symbolik des Lebensbaumes wird behandelt u. a. in: Neuhold, Manfred: *Lebensbäume: Vom Leben und Wesen der Bäume, ihrer Mythologie und Beziehung zum Menschen*. Graz 2006; Brosse Jacques: *Mythologie der Bäume*. Düsseldorf 2003.

36 Rüter, Stefanie, *Friedwald*, a. a. O., S. 151.

37 Hilscher, Gedichte, a. a. O., S. 39.

38 Ebd.

podróży po polskiej ziemi przeplatają się z tęsknotą za utożsamianą z dzieciństwem przeszłością. „Nowa swojskość obcości”³⁹ sprawia, iż podmiot liryczny nie odczuwa gniewu i bólu związanego z polonizacją swego rodzinnego miasta. Słowami „Być może kiedyś wrócę tu do domu z moimi książkami, rozprawami”⁴⁰ zostaje zdefiniowana rola poetyckiego alter ego Hilschera w tworzeniu nowej rzeczywistości Świebodzina.

Podsumowanie

Powyższa analiza lirycznych tekstów Hilschera pozwala stwierdzić, iż wiersze świebodzińskie są kompilacją liryki krajobrazowej i osobistej. Ujawniony podmiot liryczny, posiadający wyraźne cechy poety, używany jest przez Hilschera jako medium, dzięki któremu nie tylko przekazuje on swe nastroje i uczucia, lecz także jeszcze raz przywołuje we wspomnieniach obrazy pozostawionej ojczyzny. Reminiscencja i terażniejszość tworzą dwie płaszczyzny, na których uwidacznia się związek pomiędzy obcością i bliskością. Mityczna koncepcja czasu umożliwia rekonstrukcję przeszłości, przy czym istotną rolę odgrywa tu przyroda jako czynnik wyzwalający wspomnienia.

W liryce świebodzińskiej Eberharda Hilschera uwidacznia się dążenie poety do uczynienia z utraconej ojczyzny integralnej części historii i pamięci. Jednocześnie jego wiersze stanowią próbę mentalnego zachowania utraconego świata i pogodzenia się z utratą małej ojczyzny. Magiczne przywołanie dzieciństwa i młodości następuje poprzez obrazy, dźwięki i zapachy. Związek przeszłości z terażniejszością podkreślony jest przez opisy przyrody i krajobrazów rodzinnych stron. W ten sposób poetyckie przedstawienie Świebodzina staje się dla pisarza literackim powrotem do miasta młodości, które Hilscher porównuje z jego współczesnym obrazem. Wierszy nie można odczytywać jako skargi przeciwko nowemu porządkowi świata. Utwory ukazują przede wszystkim miłość Hilschera do rodzinnej miejscowości, do „raju”, do którego pisarz powrócił po śmierci.

39 Tamże.

40 Tamże, s. 40.

der Kindheit gleichzusetzen ist. Die „neue Vertrautheit der Fremde”³⁹ trägt dazu bei, dass das lyrische Ich keinen Ärger und keinen Schmerz über die Polonisierung seiner Heimatstadt empfindet. Mit den Worten „Vielleicht kehre ich irgendwann heim nach hier mit Büchern und Schriften”⁴⁰ wird seine Rolle in der neuen Wirklichkeit von Schwiebus definiert.

Fazit

Abschließend lässt sich feststellen, dass die Schwiebuser Gedichte als ein Zusammenspiel von Stimmungs-, Natur- und Erlebnislyrik gelten mögen. Das explizite lyrische –Ich, das deutliche Züge des Dichters trägt, wird von Hilscher als Medium benutzt, durch das er nicht nur seine Stimmungen und Empfindungen vermittelt, sondern auch die verlassene Heimat wahrhaben und noch einmal erinnern will. Die Erinnerung und die Gegenwart bilden dabei zwei poetische Ebenen, auf denen das Spannungsverhältnis zwischen der Fremde und der Nähe veranschaulicht wird. Dank der mythischen Zeitauffassung wird auch das Vergangene vergegenwärtigt, wobei die Natur als Erinnerungsauslöser eine bedeutende Rolle spielt.

In der Schwiebuser Lyrik von Eberhard Hilscher verdeutlicht sich sein Bedürfnis, die verlorene Heimat zum integrierten Teil der Geschichte und Erinnerung zu machen. Gleichzeitig ist sein Schreiben ein Versuch, das Verlassene zu bewahren und sich mit dem Heimatverlust abzufinden. Die magische Beschwörung der Kindheit und Jugend erfolgt durch Bilder, Geräusche und Düfte. Das Verhältnis zwischen Gegenwart und Vergangenheit wird durch die Natur- und Landschaftsbilder der Heimat zum Ausdruck gebracht. So wird das Schreiben über Schwiebus für den Schriftsteller zu einer literarischen Rückkehr in die Stadt seiner Jugend, die er mit ihrem heutigen Bild vergleicht. Die Gedichte formulieren keine Anklage gegen die neue Weltordnung. Sie zeigen vor allem Hilschers Liebe für den Ort seiner Geburt, für „das Paradies“ zu dem der Schriftsteller nach seinem Tode zurückgekommen ist.

Übersetzung von Authorin

39 Ebd.

40 Ebd. S. 41.

Wojciech Młynarski – prześmiewca uparty, czyli o piosenkach do czytania, a nie słuchania

Tekst niniejszy powstał z inspiracji Wojciecha Młynarskiego jako wstęp do książeczki *Jeszcze w zielone gramy* wydanej w 1988 r. przez OTO KALAMBUR we Wrocławiu, w serii „Poeta pieśniarz”, której byłem redaktorem. Ostatecznie nie znalazł się w jej składzie, ponieważ poeta napisał parę zdań od siebie. Zdecydowałem się na jego druk dzisiaj, by dać spóźniony wyraz swego poparcia i uznania dla całokształtu twórczości Wojciecha Młynarskiego.

Kiedy w październiku 1980 r. Lucjan Kydryński, pisząc przedślowie do pierwszej książki zbierającej utwory Wojciecha Młynarskiego, dziwił się, że dopiero teraz komentuje do druku autora od 20 lat występującego na estradzie, nie przypuszczał zapewne, iż jednocześnie otwiera niniejszym nową formę świadectwa obecności tego znakomitego pieśniarza. Książka, w przypadku artysty estradowego – niecodziennosc i rzadkość, była w tym przypadku nie tylko spełnieniem życzeń i oczekiwań jego publiczności, lecz również zadośćuczynieniem poecie, którego w osobie Młynarskiego w tym momencie witaliśmy.

W pejzażu rodzimej twórczości rozrywkowej, popularnej piosenki, twórczość – jaką autor *Polskiej miłości* proponuje – wyróżnia się zdecydowanie. Z jej ogólnej bylejakości i miąłkości wycina się ostro, wyraźnym konturem artystycznego poziomu i ważkością podejmowanej refleksji. Nie jest bowiem Młynarski zwykłym tekściarzem, jakich wielu, choć sam często siebie tak określa – mimo iż wcale nie śpiewa dla kameralnej widowni, z którą zwykliśmy kojarzyć tak zwaną piosenkę wysoką, ambitną. Śpiewa dla widowni masowej i to jej głównie za-

wdzięcza swą olbrzymią popularność. I rzeczywiście jest lubiany, a przynajmniej jeszcze do niedawna tak było, przede wszystkim przez tych, przed którymi śpiewa. Bo też im głównie dostarcza wzruszeń i radości, ale też tematów do przemyśleń i rozważań, w myśl zasady, jego własnej zresztą, że piosenka kabaretowa powinna prowokować do myślenia, lecz nie może go w żaden sposób zastąpić. A że ma nam do powiedzenia wiele, dowiódł nieraz i to nie zawsze z korzyścią dla siebie. Prawda bowiem w oczy kole, a naród, który sam się poniża i nie dorasta do miary, to naród, który dopomina się o szyderstwo. Lecz szyderstwo wcale nie musi być naśmiewaniem się z ludzi, może być próbą wartości i tak się najczęściej dzieje, kiedy wadzą się ze swoim narodem jednostki wybitne. Tak dzieje się również w twórczości Wojciecha Młynarskiego. To jego szyderstwo nie jest nihilistyczne, wartości unicestwiający – jest to szyderstwo prowadzone w imię wartości, czyli takie, które wstrząsa sumieniem i przywraca rzeczom właściwą miarę. Młynarski wszak nigdy nie chciał pogodzić się z twierdzeniem, lansowanym tu i ówdzie, w pewnych okresach, że bywają chwile, kiedy myślenie publiczne nie jest pożądane. Ten narodowy prześmiewca, ale i solidny uparciuch, za nic nie chciał z niego zrezygnować, nie chciał zamienić się w małą i poddać się wykpiomym przez siebie zaleceniom – „żadnych aluzji, a śmiech w narodzie, i o to jak najbardziej chodzi”.

Ten swoisty upór, który dzisiaj procentuje tak przednimi owocami, przysparzał mu często kłopotów z cenzurą. Młynarski, za cenę szerokiej obecności, pozostawał jednak wierny sobie. Satysfakcję sprawiał mu każdy wybroniony tekst, mimo tego

iz nie mógł go zaprezentować na antenie radiowej czy telewizyjnej, a tylko przed gronem wielbicieli szczęśliwców, podczas – nielicznych zresztą – recitali. Z tego samego powodu, jak sądzę, zwlekano tym bardziej z edycją książkową jego utworów.

Na szczęście mamy już chyba ten okres za sobą. Vox populi i nie tylko zdecydował, że ten, o którym Stanisław Dygat pod koniec lat 60. pisał, iż jest najbardziej interesującym pisarzem w młodej literaturze polskiej, doczekał się wreszcie książek, ze swoimi satyrycznymi wierszami. 20-tysięczny nakład tomiku *W co się bawić* z 1983 r., przygotowanego dwa lata wcześniej, rozszedł się natychmiast. Czytelnicy byli usatysfakcjonowani i zadowoleni, ale gospodarz odbywającej się dwa lata później narady wydawców nie mógł im jeszcze tej książki wybaczyć. Cóż, należy się cieszyć, że wydawcy okazali więcej zdrowego rozsądku i dobrej woli, a czas pokazał, że racja była zdecydowanie po ich stronie. Pod koniec 1985 r. wyszła książka *Róbmę swoje*, która szybko doczekała się przychylnych opinii, po jednej i po drugiej stronie polskiej barykady. A dwa lata później ten wybitny artysta sztuki estradowej, jeszcze parę lat wcześniej oficjalnie pouczany, o czym ma pisać i śpiewać, został uhonorowany przez ministra kultury – nagrodą państwową I stopnia.

Obie książki udowodniły niezbicie, że Młynarskiego można nie tylko słuchać, ale że zajęciem równie fascynującym i pożytecznym jest czytanie jego strof i śledzenie w skupieniu, z dala od rampy sceny, jak zmagają się w swoim i naszym imieniu z otaczającą nas rzeczywistością, „coraz bardziej nas otaczającą”. Nie waham się twierdzić, że trzecia książka, zatytułowana *Jeszcze w zielone gramy*, którą oto szanowny czytelniku otwierasz, okaże się równie ważnym świadectwem kolejnego etapu twórczości autora *W Polskę idziemy*. Że dostarczy wielu czytelnicznych satysfakcji. Będzie ona zarazem próbą pokazania drogi twórczej autora, bo wiem obok utworów najnowszych zawiera teksty wcześniejsze. Zbiór ma charakter retrospektywny i obejmuje piosenki powstałe w latach 1968-1986. Zdecydowaliśmy się na taki ich układ właśnie również dlatego, by czytelnik miał okazję się przekonać, iż dawne teksty Wojciecha Młynarskiego oparły się

z powodzeniem próbie czasu, do dziś nie utraciły swego uroku, zaś z perspektywy lat jeszcze bardziej intryguje ich trafność. Pisanie o autorze tak popularnym jest zadaniem szalenie trudnym. Młynarskiego znają w Polsce wszyscy i każdy ma na temat jego śpiewania wyrobione zdanie. Trudno wszak byłoby nie usłyszeć choć raz jego „kroniczki”, jak skromnie określa swą twórczość sam autor, która od z górą 20 lat towarzyszy naszym zbiorowym losom. W paru zdaniach zaledwie określeń zatem, co zwróciło moją uwagę w jego działalności.

Wojciech Młynarski staje zawsze w obronie spraw najważniejszych, są to zwykle boje o wartości w naszych czasach nieustannie zagrożone. Najczęściej chodzi po prostu o prawdę, autentyczność istnienia, wolność i swobodę wyboru, o los innego człowieka. A wszystkie opisywane przezeń zjawiska poddawane są jednocześnie błyskotliwej i głębokiej analizie i jakże często zaskakują nas swoimi niespodziewanymi odkryciami. Mimo iż są to nierzadko piosenki satyryczno-refleksyjne, że pojawiają się w nich ton i pełen bólu, i goryczy, zachowują one niebawmy wdzięk, który zjednuje im nieprzerwanie coraz to nowych wielbicieli.

Wojciech Młynarski sięga w swojej wypowiedzi literackiej po elementy różnych stylów, uprawia z powodzeniem wiele rodzajów piosenki, by wymienić choćby: balladę, obrazek obyczajowy, „szlagwort”, śpiewany felieton czy warsztatowy pastisz. Bardzo często wszystkie te przedsięwzięcia dają znakomity efekt dzięki zaskakującym pointom. Ironia, autoironia, parafraza – to tropy, które uzupełniają ten bogaty arsenał środków wyrazu.

Wojciech Młynarski podczas recitali wszystkie śpiewane piosenki dokładnie umiejscawia w czasie i ma w tym swój cel. Honorujemy w książce ten jego zwyczaj. Fakt umieszczenia pod każdym tekstem daty jego powstania powinien umożliwiać ich czytanie chronologiczne i dodatkowo uwypuklać ich smaczki i przenikliwość, podkreślać celność diagnozy.

Nie ukrywam, że od lat należę do entuzjastów sztuki Wojciecha Młynarskiego. Oddaję ten tomik w ręce czytelników, życząc miłej lektury, z przeświadczeniem, że ich liczba znowu wzrośnie.

Wrocław, sierpień 1987

Czy łatwo zostać szczęśliwym Duńczykiem? Czy hygge to polska bajka?

Dania – kraj dorodnych mężczyzn, kobiet o siermiężnej urodzie i paskudnego klimatu (wiatr dmie z ogromną siłą o każdej porze roku). Jako szesnastolatka, po przeczytaniu jednym tchem wszystkich dzieł Szekspira, nabieram przekonania, że Dania jest krainą mroczną, zamieszkałą przez ludzi do głębi swojego jestestwa nieszczęśliwych (*Hamlet!*). A nieco wcześniej przekonywał mnie o tym dość skutecznie Hans Christian Andersen (*Dziewczynka z zapalkami*). Równie przynębiający obraz Danii wyniosłam także z dziewczęcej lektury serii opowiadań o dziewczynce imieniem Ditta (tytułów ani nazwiska autora nie pamiętam, było to coś na wzór *Ani z Zielonego Wzgórza*, lecz dużo mniej rozrywkowe). A mimo to Duńczycy plasują się na pierwszym miejscu w rankingu najszcześniejszych narodów świata.

Skąd wyływa owo źródło duńskiej szczęśliwości, dowiaduję się z książki pt. *Hygge* autorstwa duńskiej aktorki Marie Tourell Soderberg. Autorka definiuje *hygge* jako umiejętność odczuwania szczęścia w drobnych przyjemnościach i twierdzi, że umiejętność ta, zdefiniowana przez Duńczyków, ma charakter uniwersalny. Marie w swojej książce nie podaje gotowych przepisów na osiągnięcie stanu *hygge*, jedynie służy przykładami z życia swoich przyjaciół, którzy opisują, w jaki sposób sami praktykują *hyggeling*. Na stronie 5 czytam: „[...] hygge jest czymś, do czego się dąży. Przypomina kompas, naprowadzający nas na chwile szczęścia, których nie da się kupić i dzięki temu odnajdujemy magię w codzienności”.

Kilkanaście lat temu moja córka przez dwa semestry studiowała w duńskim Arhus (drugie co do wielkości miasto tego kraju), a ja miałam dwakroć



okazję pojechać tam do niej i przyjrzeć się z bliska Duńczykom i ich otoczeniu, stąd moje bardzo osobiste uwagi, wspomnienia, spostrzeżenia itp. W materiale tym wykorzystam także streszczenie fragmentów moich rozmów, które odbyłam internetowo z koleżanką mojej córki – Ewą Sorensen, Polką, która od kilkunastu lat mieszka w Danii, przeflansowała się na stałe na tamtejszy grunt i – jak wnioskuję z jej wypowiedzi o tym kraju – Dania stała się jej miejscem na ziemi. (Piszę „streszczenia fragmentów moich rozmów”, a nie jej wypowiedzi, gdyż pani Ewa poprosiła mnie, abym nie cytowała dosłownie nadesłanych do mnie tekstów, gdyż nie jest w stanie poświęcić czasu na dopracowanie ich formy. A zatem – będę streszczać wypowiedzi naszej rodaczki o podwójnym obywatelstwie, odwołując się do tego, co mi przekazała w kilku e-mailach).

Dzisiejsza Dania, onegdaj mocarstwo terytorialnie rozciągające się od morza do morza, skurczyła się do malutkiego państwa, pozostając jednak potęgą gospodarczą – dochód narodowy przypadający na jednego mieszkańca należy tam do najwyższych w świecie. Ale źródłem szczęśliwości Duńczyków nie może być bogactwo – publiczne obnoszenie się ze swoim wysokim statusem materialnym uchodzi w Danii za przejaw grubiaństwa, prostactwa i nie jest praktykowane.

Zatem wjeżdżając na teren tego kraju swoim leciwym „żepotem” (tak nazwała kiedyś naszego poczciwego peugeota moja wnuczka), nie poczułam się parweniuszem; na autostradzie mijały mnie samochody średniej klasy, zaś na ulicach miasta musiałam uważać na licznych rowerzystów – od kilkuletnich berbeci po osoby w bardzo zaawansowanym wieku. Ba, dowiedziałam się, że nawet duńska królowa zwykła jest na co dzień poruszać się rowerem.

Pani Ewa Sorensen twierdzi, że Duńczycy, jeśli już decydują się na dyskusję o tematyce politycznej, to podchodzą do niej z rzetelnymi argumentami. (No cóż, u nas w Polsce na pierwszym planie są, niestety, emocje).

A są przeważnie rojalistami i chociaż królowa w Danii pełni w zasadzie tylko funkcję reprezentacyjną, to prawie wszyscy ją lubią, szanują i cenią – tak ją, jak i prawie całą królewską rodzinę. Prawie – gdyż

Duńczycy nie lubią Henrika, męża królowej, który ma marzenie, by zostać królem. Często oficjalnie wypowiada się on na ten drażliwy temat, twierdząc, że jeśli jego żona jest królową, to i jemu należy się tytuł króla, a nie tylko księcia... Irytuje Duńczyków też tym, że po tylu latach przebywania w Danii ciągle nie potrafi poprawnie mówić po duńsku (pochodzi z Francji).

I tu drobna dygresja, dotycząca języka duńskiego. Pytam córkę, jak jej idzie nauka tego języka (zajęcia na uczelni prowadzone są w języku angielskim, więc na lekcje duńskiego może chodzić zupełnie dobrowolnie, bez przymusu). Hania twierdzi, że język duński jest dość trudny, w porównaniu z angielskim i niemieckim, ale skoro jest okazja, aby go się nauczyć, to czemuż nie?

Wsluchując się w gwar ulicy czy w wypowiedzi lektorów TV, dochodzę do wniosku, że prawdziwe jest zasłyszane przeze mnie gdzieś kiedyś takie oto żartobliwe stwierdzenie, że język duński to jest właściwie niemiecki, tyle tylko, że mówiąc, należy napchać sobie do buzi gorących ziemniaków. (Zatem nie bardzo dziwię się księciu Henrykowi, że dotychczas nie opanował tego trudnego języka w stopniu zadowalającym. Rozumiem też poniekąd jego awersję do piastowania tytułu księcia duńskiego – wszak i Hamlet nim był, a wiadomo, jak skończył...)

Dorodni mężczyźni spotykani na ulicy mają czerwone, opite piwem twarze, rozgrzane w saunie (mnogość saun jest zaskakująca i pełnią one tam rolę swoistych pubów, w których życie towarzyskie spleta się z uzdrowieńczym działaniem wysokiej temperatury). Młode Dunki, niezależnie od tuszy, paradują w dżinsach biodrówkach, świecąc gołymi, białymi brzuchami... Mój mąż prosi mnie, żebym koniecznie dała mu znać, jeśli ujrzę gdzieś jakąś dziewczynę czy kobietę, na której „będzie można oko zawiesić”. Po kilku godzinach baczного rozglądania się dostrzegam filigranową czarnulkę mknącą na rowerze. Daję mężowi sójkę w bok, ale gdy dziewczyna nas mija, błyska ku nam przyjaźnie skośnymi oczkami Azjatki...

Piknik niedzielny. Jesteśmy w ogrodzie królowej, okalającym jej rezydencję w Arhus. Rozsiadamy się na miękkim trawniku, a duńskie rodziny, zanim rozłożą wiktuały przyniesione w koszykach, oznacza-

ją teren swojej biesiady flagietkami narodowymi. Wówczas jeszcze nie wiem, że oni wszyscy właśnie *hyggeją* (bo wówczas jeszcze nie wiem, że poznam to pojęcie dopiero za lat kilkanaście).

Nikt z dorosłych nie strofuje dzieci, ale muszę przyznać, że maluchy, choć dokazują z temperamentem przynależnym swojemu wiekowi, nie są dokuczliwe – biegają, śmieją się, ale niezbyt hałaśliwie. I tu znów informacja na temat duńskich dzieci, której udzieliła mi niedawno pani Ewa. Twierdzi ona, że w Danii dzieciom poświęca się bardzo dużo uwagi. Powszechne jest np. wspólne robienie wypieków nawet wówczas, gdy maluch liczy sobie zaledwie 2-3 lata. Powstający przy tym duży bałagan nie stanowi problemu, gdyż powszechna jest świadomość tego, że tylko w ten sposób można się czegoś nauczyć. Zabrudzone, ale naprawdę mocno zabrudzone ubrania dziecięce są na porządku dziennym, a Duńczycy hołdują zasadzie: brudne dzieci = szczęśliwe dzieci. Pozwala się im na przeprowadzanie wszelkich eksperymentów, ale pod jednym, przestrzegającym powszechnie warunkiem – muszą się szybko nauczyć mówić: dziękuję, proszę, przepraszam i nie przerywać, gdy dorośli rozmawiają. (Panią Ewę niepokoi preferowany ostatnio trend określany skrótowo jako *curling parents*. Polega on na tym, że rodzice troszczą się o dzieci tak bardzo, iż wyręczają je często prawie we wszystkim, gdyż powszechnieje przekonanie, że dzieci nie powinny doświadczać porażek... Aczkolwiek temat wychowania małych dzieci nie dotyczy mnie osobiście, to podzielam niepokój pani Ewy).

Pisze ona także, że duńskim dzieciom często się czyta książeczki, śpiewa się z nimi piosenki, dzieci są masowane, przytulane i śpią często u rodziców w łóżku, lecz nie na stałe, tylko podczas przyjacielskich wizyt w środku nocy...

I tu dodaje, że w Danii jest dużo rozwodów. Powszechne są tzw. patchworkowe rodziny – mama ma dwoje dzieci z jednym panem, a jak rozejdą się, to poznaje nowego pana, razem mieszkają i mają wspólne dziecko nr 3. W tym samym czasie pierwszy tatuś funduje sobie dziecko nr 3 z inną mamusią... i wszyscy się zbierają np. na imprezie urodzinowej i w zgodzie piją kawę...

Tacy właśnie są Duńczycy.

Pani Ewa wskazuje jeszcze na kilka charakterystycznych cech, różniących nas od Duńczyków. Twierdzi, że owe *hygge* jest bardzo powszechne. Wiąże się zawsze z przyjemnym nastrojem i z jakąś przyjemną czynnością do wykonania. A może nią być zarówno oglądanie telewizji, jak i chociażby porządkowanie szafy z ubraniami. W ramach *hygge* należy po prostu „wrzucić na luz” i poddać się przyjemnemu nastrojowi przebiegającej obok nas chwili. Uprawia się *hygge* głównie z rodziną, partnerem, z ludźmi bardzo nam bliskimi.

Ważnym elementem życia Duńczyka jest też planowanie. Nie ma tu w zwyczaju wpadania bez zapowiedzi na herbatkę, bo akurat jesteśmy w okolicy. Jeżeli czasami jednak nam się to zdarzy, to oczywiście będziemy mile widziani, lecz pani Ewa przestrzega, by w kraju Hamleta dwa razy takiego numeru nie wywijać.

Duńczycy są bardzo rodzinni, więc spotkania z przyjaciółmi, jeżeli ma się małe dzieci, są ograniczone do maksymalnie 1-2 wizyt w tygodniu (!) i odbywają się głównie poza domem. Ciężko jest znaleźć miejsce w restauracji w piątek wieczorem, jeśli się wcześniej nie zarezerwowało miejsca. O częstych wyjściach z domu decydują względy czysto praktyczne – nie trzeba sprzątać po gościach, więc można oddać się *hygge* na równych zasadach. Pani Ewa wnioskuje, że dobre warunki finansowe Duńczyków pozwalają im na to, a podwyższony standard życia ma pozytywny wpływ na odczuwanie szczęścia. W rodzinach duńskich nie trzeba „wiązać końca z końcem” i martwić się błahostkami. Obowiązuje zasada – zepsuła się zabawka? To nic, nic nie szkodzi, kupimy nową...

Reklamy przed sklepami pełnią rolę jedynie informacyjną, są stonowane w kolorystyce i formie, podobnie jak budowle wszelakie – zarówno gmachy firm, instytucji, jak i budynki mieszkalne mają fasady szare lub szaro-beżowe.

No i te ich okna – okna jak oczy pozbawione rzęs, bo pozbawione firanek i zasłon. (W sklepie z tkaninami, gdy zapytałam o firanki, pani sprzedawczyni przyniosła mi z zaplecza przykurzoną belkę tiulu). Idąc wieczorem ulicami Arhus, mimo

woli zaglądam do wnętrz mieszkań usytuowanych na parterze – młoda dziewczyna, traktując włosy suszarką, śmieje się do mężczyzny pijącego piwo, starszy gość czyta gazetę, dzieci jedzą kolację. I ten pogodny spokój w twarzach, ten ich spokój oraz wszechobecny brak pośpiechu! I taka otwartość – jak chcecie, to sobie patrzcie w moje okno, a co mi tam! Pani Ewa twierdzi, że Duńczycy są bardzo uprzejmi, ale konsekwentnie bronią swojej prywatności i że zwykle ludzie nie przyjaźnią się w miejscu pracy. Mają imprezy firmowe, ale na tym się kończy zażyłość. (Trochę mi zgrzyta to stwierdzenie, gdy przypominam sobie, wystawione na widok publiczny życie codzienne Duńczyków, które mogłam obserwować, idąc wieczorem ulicami Arhus).

A w akademiku, gdzie mieszka córka, cicho i spokojnie nie jest. Weekend, a wraz z nim impreza suto zakrapiana piwem. Na stole królują wieprzowina i ryby, oprócz tego każdy przynosi to, co ma – owoce, pieczywo, słodycze. (Moją uwagę przykuwa położona na stole gietka, plastikowa rura, zakończona lejkiem. Po co to i do czego?) Towarzystwo międzynarodowe, oprócz Duńczyków zasiadają do stołu także uczestnicy programu Erasmus – Niemcy, Rumunka, Jugosłowianin z Serbii, Finka. Wszyscy młodzi porozumiewają się w języku angielskim, który w Danii jest powszechnie znany. Leci głośna muzyka, a przez nasz aneks kuchenny, w którym uczujemy, przelatują z hukiem i dzikimi tańcami biesiadnicy z piętra wyżej. Część „naszych” dołącza do roztańczonego węża, ale po kilku minutach znów mamy przy stole komplet.

Dobrze, że dom opieki społecznej zlokalizowany na terenie miasteczka akademickiego znajduje się w pewnym oddaleniu od budynków zamieszkałych przez studentów. (Dowiaduję się, że w Danii powszechne jest przechodzenie ludzi starszych z mieszkań, przekazywanych do dyspozycji młodszym krewniakom, do luksusowo wyposażonych domów opieki społecznej, gdzie na miejscu jest lekarz, pielęgniarki, gabinety fizykoterapii, a każde z mieszkań składa się z pokoju, kuchni i węża WC. Rodziców czy dziadków nie oddaje się w Danii do tych domów, oni po prostu, uznając to za kolejny etap swojego życia, przeprowadzają się tam sami, gdy jeszcze sił wystarcza im na przeprowadzkę, ale

zaczyna już brakować energii do prowadzenia samodzielnej egzystencji. No cóż, wygląda to trochę inaczej niż u nas, albowiem i zakres świadczeń socjalnych w tym kraju jest nieporównywalnie wyższy niż w Polsce).

Ale wracajmy na imprezę. A ta rozkręca się, oj, rozkręca! Zakąski zostały spożyte, ale piwa jest jeszcze w bród. Muzyka dudni, a my tańczymy na blacie prawie pustego stołu, zaś rośla Lina – Dunka, studentka wychowania fizycznego, zachęca nas do skoków ze stołu wprost w jej rozpostarte ramiona. Na szczęście chłopcy, którzy mieszkają na piętrze mojej córki, są, jak na Duńczyków, dość drobni, więc i ich także Lina łapie jak skórzane piłki. A za chwilę dowiaduję się wreszcie, do czego służy owa rura, którą położono na stole przed początkiem imprezy. Jeden z Duńczyków, student medycyny, siada na taborecie, a trzej koledzy go obsługują – wstawiają mu rurę do gardła i leją przez lejek piwo wprost do żołądka... Rekord pobity, weszło pięć butelek. Truchleję, ale chłopak studiuje medycynę, więc chyba wie, co robi. (Dowiaduję się, że takie rury kupuje się u nich w sklepie na stoisku ze sprzętem AGD). Hmm, rozrywka, jak na mój gust wątpliwej jakości, ale może i ona też zawiera się w ramach swobodnego *hygge*?...

W książce Marie Tourell Soderberg czytam wypowiedzi kilkunastu osób, które szczegółowo opisują swój sposób na *hygge*. Dziewięćdziesięciolatka, dama bardzo dojrzała, ale jeszcze na chodzie, z upodobaniem piecze bułeczki, które roznosi, w ramach wizyt dobrosąsiedzkich, do osób, które mają gorszą kondycję zdrowotną niż ona. (Czyżby poznała ich recepturę, dziecięciem będąc, i tak jej zostało?) W książce zamieszczony jest także przepis na owe bułeczki. (No cóż, to na pewno nie jest zdrowa przekąska, ale zapewne pyszna!)

Któregoś dnia, podczas mojej wizyty u córki w Arhus, postanawiam wybrać się na cmentarz, gdyż od dzieciństwa miejsce to mnie zawsze lekko i przerażało, ale i fascynowało. Uważam ponadto, że cmentarze wiele mówią o żyjących.

Miewam mieszane uczucia, widząc wręcz barokowe ukwiecenia na mogiłach naszych bliskich w Polsce, a cmentarz duński, ten w Arhus, przypomina mi nieco cmentarz amerykański, dość dokładnie poka-

zany w trzeciej części trylogii wyreżyserowanej przez Sylwestra Chęcińskiego pt. *Kochaj albo rzuć*. Dziwi mnie monotonia nazwisk wyrzniętych na płaskich płytach nagrobnych. Nazwisko bajkopisarza Hansa Christiana Andersena pojawia się tu aż kilkanaście razy!

Nagrobki otoczone są trawą, nie widzę tak powszechnych u nas wiązanek kwiatów czy wieńców. Pytam o to panią Ewę, a ona mi odpowiada, że Duńczycy odwiedzają grób bliskiej osoby jedynie w dniu jej urodzin, a Halloween czy Wszystkich Świętych nie jest obchodzone na cmentarzu...

Wybieramy się z córką na spacer za miasto. Cała Dania robi na mnie wrażenie szarej i chociaż jest już kwiecień, to zieleń także jest jakaś taka z lekka szarawa. Dlatego też naszą uwagę przykuwa widoczny z daleka bardzo, ale to bardzo kolorowy, rozłożysty krzew. Podchodzimy bliżej i ku naszemu zdziwieniu widzimy, że to, co wzięliśmy za barwne kwiaty, to... kolorowe, dziecięce smoczek! Całe drzewko jest nimi upstrzone! Niektóre zdążyły już lekko sparcieć, ale niektóre są widocznie świeżo umocowane, bo kolor plastiku jest soczysty. Dzieje się to w epoce raczkującego internetu, wszechwiedząca ciocia Google jeszcze jest w powijakach, a że jest to dzień mojego powrotu do Polski, więc wyjeżdżam z brakiem odpowiedzi – co to takiego? Dopiero pani Ewa podczas naszej konwersacji na temat *hygge*, wyjaśniła mi, że drzewo smoczkowe jest w prawie każdym mieście. Jak dziecko jest odpowiednio duże, to robi się całą wyprawę do tego drzewa i zostawia się na nim wszystkie smoczeki, a w zamian otrzymuje się jakąś miłą zabawkę. Sympatyczny zwyczaj, prawda?

I tu niespodziewanie dla siebie samej dowiaduję się, że są regiony naszego kraju, gdzie *hygge*, aczkol-

wiek nie nazwane tym terminem, jest powszechnie uprawiane! Pożyczam książkę o *hygge* autorstwa Marie Tourell Soderberg mojej młodziutkiej koleżance. Jagoda Lipka, bo o nią tu chodzi, zrobiła na UZ magisterkę z germanistyki, ale przyjechała do naszego miasta z licencjatem otrzymanym na koszalińskiej uczelni. No i ta młoda kobieta twierdzi, że mieszkańcy Koszalina i tamtych okolic uwielbiają robić sobie nastrój przy blasku świateł, że zimnymi wieczorami popijają przy nich rozgrzewające herbatki, bo na Pomorzu zimno jest prawie zawsze, nie licząc kilkunastu słonecznych dni w roku... Zauważyła, że w Zielonej Górze jest o wiele bardziej pogodnie niż w jej mieście rodzinnym, więc też i te duńskie obyczaje powszechne, jak widać, wśród ludzi Północy, smaganych przez okrągły rok zimnymi wiatrami, są dla nas czystą egzotyką. Może elementy *hygge* są na tyle uniwersalne, że warto je czasami z siebie wykrzesać?

Zastanawiając się nad tym, dochodzę do wniosku, że moje *hygge* to na pewno poniedziałkowe poetyckie spotkania w „Deja vu”, dyskusje prowadzone z wnuczkami, gdy je kąpię, weekendowa poranna kawa ze spienionym mlekiem, rozmowy telefoniczne z „psiułami”, takie o niczym.

Co jeszcze? Czy ja wiem? Może powinnam zwolnić tempo życia, wrzucić na luz, ale przecież pochodzę z kraju, gdzie cnotą najwyższą jest pokorne doświadczenie cierpienia. Zatem – czyż mi wypada być beztrudnie szczęśliwą?

Ale chciałoby się czasem tak pohyggować... Czasami chciałoby się przynajmniej pobyć Dunką. Ale z gołym brzuchem nie będę nigdy paradować po listopadowej ulicy.



RECENZJE I OMÓWIENIA



Żywa lekcja historii

Katarina Bader, *Życie po ocaleniu. Testament Jurka*, z niem. przeł. M. Antkowiak, Świat Książki, Warszawa 2011, 334 s.

Życie po ocaleniu jest wzruszającym przykładem niemiecko-polskiego dialogu pomimo różnic pokoleniowych oraz diametralnie odmiennych życiowych doświadczeń.

Osiemnastoletnia Katarina Bader w ramach seminarium dziennikarskiego odwiedziła miejsce pamięci i muzeum Auschwitz-Birkenau, były niemiecki nazistowski obóz koncentracyjny i zagłady. Po zwiedzeniu obozu w programie było spotkanie ze „świadkiem wydarzeń”. Okazał się nim były więzień Auschwitz Jerzy Baran – Hronowski, numer obozowy 227. Katarina była dociekliwa, miała do prelegenta wiele pytań. Pan Jerzy odpowiadał cierpliwie, a rozmowa przedłużyła się niemal do rana. Katarina zaprosiła Hronowskiego do siebie do Niemiec, by mógł wygłosić prelekcje w okolicznych szkołach. Dostała też jego warszawski adres. Tak zaczęła się ich wieloletnia przyjaźń. Jerzy Hronowski stał się dla niej Jurkiem.

Autorka książki odtwarza trudne dzieje życia Jurka niczym patchwork, ze skrawków jego licznych opowieści, prelekcji, prywatnych rozmów, relacji innych osób o nim. Hronowski od 1965 r. obsługiwał odwiedzające Auschwitz grupy zachodnoniemieckie, a przez dziewięć ostatnich lat swojego życia (w latach 1997-2006), jako „świadek historii” udzielał się w Domu Spotkań Młodzieży w Oświęcimiu. Autorka dotarła do wielu osób, które znały pana Jerzego. Najtrudniejsze były dla niej rozmowy z rodziną Hronowskiego – syn Tomasz niemal wyparł wojenną

przeszłość ojca, ich relacje były bardzo trudne.

Trzeba wziąć pod uwagę, że *Życie po ocaleniu* nie jest biografią, ale reporterską opowieścią o spotkaniu z byłym więźniem niemieckiego nazistowskiego obozu koncentracyjnego i jego powojennych losach. Są tu wstrząsające obozowe wspomnienia, opowiedziane słowami Jerzego Hronowskiego. Jest także bardzo dużo odautorskich refleksji Katariny Bader na temat zebranego materiału, kolejnych etapów jej dziennikarskich poszukiwań oraz jej osobistego stosunku do wielkiej żywej lekcji historii, którą odebrała w Polsce.

Z kart tej niezwyklej opowieści wyłania się bardzo zaskakujący obraz głównego bohatera. Zaskakujący – bo jest niejednoznaczny i daleki od tego, jak chcielibyśmy widzieć osoby o wybitnych biografiiach. Hronowski ma wiele twarzy. Z jednej strony, jest znakomitym i błyskotliwym prelegentem, kimś, dzięki komu relacje niemiecko-polskie nabierają szczerości, prowadzą do pojednania i budują zaufanie między Polakami a Niemcami. Z drugiej strony Bader nie ukrywa: pan Jerzy to starszy pan z trudnym, chwilami nawet narcystycznym charakterem, niejednoznacznymi zdarzeniami w swojej biografii i zachowaniem dalekim od dyplomacji. Czytelnik musi sobie zadać tu oczywiste pytanie: na ile jest to skutkiem traumatycznych obozowych przeżyć?

Cenne jest w tej książce to, że Katarina Bader o niczym nie pisze „na pokaz”, ale szczerze portre-

tuje swoich rodaków i ich stosunek do nazistowskiej przeszłości Niemiec. Przykładem jest babcia Katariny, z którą również spotkał się osobiście Jerzy. *Życie po ocaleniu* znakomicie pokazuje rozmaite postawy Niemców wobec wojennej przeszłości. Są tacy, którzy unikają powrotu do tamtych czasów w rozmowach. Inni wypierają ze swojego życia to, że sami lub – w przypadku młodszych osób, ich przodkowie – kiedyś popierali nazistów. Ale są też pokazani ludzie aktywnie dążący do „przepracowania” trudnej historii i budowania na tej podstawie niemiecko-polskiego dialogu. Książka Katariny Bader bardzo wybitnie przyczynia się do tego, aby przedstawiciele obu narodów otwarciem i szczerze, bez niedomówień mogli wspólnie rozmawiać o niełatwej przeszłości. Dzięki temu możliwe jest kształtowanie wspólnej przyszłości opartej na zaufaniu oraz wolnego od uprzedzeń, nastawionego na owocną współpracę sąsiedztwa. Mieszkańcy Ziemi Lubuskiej także mają

w tym swój udział, przyczyniając się do utrzymywania dobrych niemiecko-polskich relacji.

Autorka często w książce wspomina, jak wiele zawdzięcza przyjaźni z Jurkiem. Dzięki niemu nauczyła się języka polskiego i jest w naszym kraju częstym gościem. Gdy pisała *Życie po ocaleniu*, była jeszcze studentką, zastanawiającą się nad swoją przyszłością. Obecnie, jak możemy się dowiedzieć z informacji zamieszczonych w internecie, 38-letnia Katarina Bader jest już po obronie doktoratu, pracuje na Ludwig-Maximilians-Universität w Monachium, gdzie zajmuje się zagadnieniami z dziedziny politologii, m.in. analizą porównawczą systemów politycznych i partyjnych w Europie Środkowej i Wschodniej, powiązaniem polityki i mediów. W kręgu jej naukowych zainteresowań znajduje się także dialog niemiecko-polski dotyczący trudnej historii obu krajów.

Joanna Kapica-Curzytek

Oszczędność środków wyrazu

Bogumiła Różewicz, *Błękitne zamyślenie*, Stowarzyszenie Jeszcze Żywych Poetów i wydawnictwo Organon, Zielona Góra 2017, 56 s.

Błękitne zamyślenie to najnowszy tomik poezji Bogumiły Różewicz, który przykuwa uwagę wysublimowanymi tekstami i świetnie współgrającą z tytułem okładką, zaprojektowaną przez Kazimierza Wysockiego.

Autorka zabiera nas w niezwykłą poetycką podróż – wędrujemy po znanych zielonogórzanom miejscach (ul. Świętej Jadwigi, Park Tysiąclecia), najbliższej okolicy (Letnicki Zbór, Łaski Odrzańskie), poprzez Majdan na Ukrainie, aż do odległych zakątków świata. Ale jest to też wędrówka metafizyczna, tytułowe „błękitne zamyślenie” to „krok po kamiennych schodach”, który staje się uśmiechem przez łzy, a „w dali tęcza nadziei” (s. 51).

Kamienne schody są symbolem trudu, jaki podejmujemy, zanim uda się nam wejść na wyższy poziom. Doświadczeniem, które musimy zdobyć,

zasmakować i zrozumieć, aby osiągnąć wyższy stopień własnego rozwoju: „Jak kamień wejść/ w tajemnicę czarnych znaków/ na papirusie odkryję siebie” (s. 19). To także schody do nieba, które staje się siłą sprawczą rozmyślań: „zobaczmy/ Boską wieczność/ a może nicość” (*Zegar*, s. 11). Z kolei tęcza, jako droga pomiędzy niebem a ziemią (mitologia grecka), most łączący światy bogów i ludzi (mitologia skandynawska), symbol przymierza między Bogiem a człowiekiem (obietnica złożona przez Boga Noemu – Stary Testament, Rdz 9,13), staje się symbolem nadziei, wprowadza w życie podmiotu lirycznego harmonię i optymizm. Być może stąd w wierszu *List* czytamy w zakończeniu: „widzę tęczę na niebie/ do każdej chwili/ uśmiecham się”.

Przywołane doświadczenie dotyka w szczególności sposób twórcy: „Dusza Poety/ słyszy wewnętrzną

ból/ zamknięty w ciszy" (*Lustra*, s. 39), a w innym miejscu, będącym poetyckim wspomnieniem Mietka Warszawskiego: „pozostaje poezja i pamięć/ obraz Poety/ unosi się nad miastem" (s. 45). Wewnętrzny ból dotyczy również samego aktu tworzenia: „słowa krzyczą/ rozsypują się w drobny mak/ płacząc nad poległym słowem" (*Krzyk słów*, s. 16).

W tomiku *Błękitne zamyślenie* znajdziemy wymowne obrazki poetyckie, np. *Symfonia samotności*, *Twój portret*, * * * (*Idzie kobieta*), *Chiński taniec*, *Czarny włos*, *Anioł*; przykłady liryki osobistej: *Kołysanka*, *W szpitalu*, *Msza żałobna*, * * * (*Sączę wino*); subtelne erotyki, gdzie „atrament na papierze/ rozmazał ostatnie słowo" (s. 22) itp. To, co wyróżnia teksty autorki, to przede wszystkim zmysł obserwacji, sposób postrzegania świata i pewien dystans wobec samej siebie. Rekwizyty, które znamy z twórczości innych poetów, tutaj odzyskują blask poprzez świeże, czasem zaskakujące, spojrzenie: „poświata księżycza zamyka

powieki" (s. 46), „w twoim oknie/ purpura zszywa ranę" (s. 50), „przykryłeś tysinę kapeluszem/ bez pomysłu" (s. 31).

Czytając kolejne utwory w omawianym tomiku, łatwo zauważyć, że Bogumiła Różewicz stosuje maksymalną oszczędność środków wyrazu, skoncentrowanych wokół podejmowanego tematu. Dyscypliną, powściągliwością, precyzyjną budową i zwięzłością przypomina poetykę nurtu awangardy, ale też od niej zasadniczo odbiega. Niektóre teksty sprawiają wrażenie niedopowiedzenia, tak wprost, jak i metaforycznie, jakby pozostawały w zawieszaniu, podsycając niedosyt, intrygując, prowokując czytelnika do własnych przemyśleń, a jednocześnie zachęcają do dalszej lektury. Pozostaje wierzyć, że to nie ostatnie słowo poetki, że nadal, jak zadeklarowała w utworze *Buty* (s. 37): „nie postawiła kropki nad »« / pisze wiersze".

Elżbieta Brygida Kościucha-Wieczorek

Książka o bibliotece na „Przystanku Historia"

Daniel Koteluk, „Papierowa propaganda" w bibliotece w osadzie wiejskiej Czerwieńsk w powiecie zielonogórskim od 1949 do 1956 roku [relacja z promocji]

25 stycznia 2017 r. w ramach cyklicznej działalności Centrum Edukacyjnego Instytutu Pamięci Narodowej w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej im. C. Norwida w Zielonej Górze odbyła się prezentacja, a następnie dyskusja nad książką autorstwa Daniela Koteluka pt. *„Papierowa propaganda" w bibliotece w osadzie wiejskiej Czerwieńsk w powiecie zielonogórskim od 1949 do 1956 roku*. Jej moderatorem był dyrektor Oddziału Instytutu Pamięci Narodowej w Poznaniu dr Rafał Reczek. W charakterze prelegenta wystąpił z kolei pracownik Instytutu Historii Uniwersytetu Zielonogórskiego dr hab. Radosław Domke. Nie zabrakło też mieszkańców Czerwieńska, tj. Krystyny Nowakowskiej oraz Marka Mizery. Obecne były również osoby, które w walny sposób przyczyniły się do powstania tej

książki, czyli kierownik „Pro Libris" Wydawnictwa Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. C. Norwida w Zielonej Górze Ewa Mielczarek oraz pracownik wspomnianej biblioteki Jarosław Głuszek. Uczestniczyli w tym spotkaniu także redaktor naczelny opublikowanej w 2014 r. monografii *Czerwieńska* prof. dr hab. Tomasz Nodzyński z Uniwersytetu Zielonogórskiego i współautor wspomnianej publikacji pracownik Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. C. Norwida w Zielonej Górze dr Przemysław Bartkowiak oraz dr Witold Towpik, który w swojej pracy doktorskiej poświęcił wiele miejsca osadzie, a następnie miastu Czerwieńsk.

Podczas części właściwej tego spotkania autor wymienionej książki starał się przybliżyć swoim słuchaczom proces jej powstawania, jak również

trudności związane z podjętym problemem badawczym wynikające z zaprzepaszczenia dokumentacji źródłowej odnoszącej się do biblioteki w Czerwieńsku i nieistnienia już upolitycznionego księgozbioru ksiąźnicy, który został zniszczony w 1963 i 1967 r. Wraz z wymienionym powyżej moderatorem oraz prelegentem, poruszył jednocześnie kwestię upowszechnienia w kraju, w tym w Czerwieńsku, socrealistycznych publikacji, które nie tylko gloryfikowały Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich z dyktatorem Józefem Stalinem, ale również popularyzowały przebudowę polskich realiów społeczno-gospodarczych wzorowanych na państwie radzieckim. W tej sytuacji aktywność niektórych pracowników biblioteki w Czerwieńsku była pozorowana, ponieważ nie chcieli oni uczestniczyć w tym przedsięwzięciu. Nie brakowało tam i takich osób, które ochoczo zabiegały o rozbudowę chociażby

młodzieżowej organizacji komunistycznej w postaci Związku Młodzieży Polskiej, której członkowie uniemożliwiali wręcz aktywność religijną lokalnej społeczności.

Zwieńczeniem omawianego spotkania była interesująca dyskusja, którą autor odbył nawet w kularach chociażby ze współgospodarzem spotkania, czyli dyrektorem Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. C. Norwida drem Andrzejem Buckiem.

Na zakończenie warto zaznaczyć, że istnieje możliwość zapoznania się z niemal dwugodzinną relacją z tej prezentacji, którą zamieszczono na stronie internetowej Radia Zielona Góra – <http://rzg.pl/radio-zielona-gora/strefa-slowa-przystanek-historia-w-zielonej-gorze/>.

Daniel Koteluk

Temat na pożegnanie

Umberto Eco, *Temat na pierwszą stronę*, przeł. K. Żaboklicki, wyd. Noir sur Blanc, Warszawa 2015, 180 s.

Temat na pierwszą stronę, czyli łabędzi śpiew uznanego, erudycyjnego pisarza Umberto Eco to powieść sensacyjno-kryminalna, która w krótkim, skromnym tomiku mieści wiele tajemnic i zagadek.

Akcja powieści rozgrywa się we Włoszech w 1992 r. Głównym bohaterem jest starzejący się pan Colonna, który przekroczył już pięćdziesiątkę i czuje, że rozdział jego życia, gdy mógł czegoś dokonać, został zamknięty. Niespodziewanie jednak otrzymuje interesującą propozycję od tajemniczego człowieka „Simeiego”. W zamian za znaczne honorarium bohater ma uczestniczyć w redagowaniu czasopisma, jakiego dotąd nie było. Ma to być fikcyjna gazeta, stworzona na zlecenie pewnego bogacza w celu szantażowania elit krajowych. Colonna otrzymuje dodatkowo, zatajone przed zespołem redakcyjnym zlecenie na napisanie książki, opowiadającej o dziejach tego czasopisma.

W tej materii powieść stanowi wartościowe, a zarazem zabawne pouczenie w kwestiach manipulacji medialnej. Eco wydaje się tutaj czerpać pełnymi garściami z rzeczywistości, choć ukazuje ten proces w nieco ubarwionej formie, aż do granic groteski. Czytelnik powieści widzi, jak cały proces redakcyjny od początku jest obliczony na robienie „wody z mózgu” odbiorcom, do których ma być adresowana gazeta. Choć humoru i pewnej dozy przesady tu nie brakuje, to jednak autor obnaża przy tym niejedną przykrą prawdę na temat tego, jak ludzie podatni są na propagandę i manipulację medialną oraz jak bywa to celowo wykorzystywane.

Żar zmienia się w ogień, gdy jeden z pracowników redakcji – Bragaddocio wpada na trop poważnych tajemnic politycznych, które zamierza zbadać i ujawnić światu. Wówczas redakcja schodzi na drugi plan, a powieść zaczyna przeistaczać się w coś na

kształt politycznego thrillera. Bragaddocio dzieli się spostrzeżeniami z Colonną, który nie jest pewien, czy ma traktować teorie spiskowe kolegi z pracy poważnie, czy raczej uznać go za wariata, wszystko ma rozwiązać się później.

Chociaż trudno sobie wyobrazić, jak można zaarżnąć tyle wątków w tak niepozornym tomiku, to autorowi udaje się to nad wyraz sprawnie. Bohaterowie mają nadane wyraźne i interesujące osobowości, a powieść żyje swoim życiem. Wszystkie elementy nadają jej wyraźnego, wyczuwalnego autentyzmu i naturalności. Do tego można znaleźć w powieści sporo ciekawych, wręcz detalicznych obrazów, dotyczących Włoch, życia mieszkańców, różnych warstw społecznych, a nawet architektury, uliczek i zabytków. Niestety odnajdują również słabe strony tej

powieści. Myślę, że rażącą w niej usterką jest sposób zamykania wątków. Każdy z nich zostaje zakończony tak, że wydaje się wciąż nierozstrzygnięty, choć teoretycznie akcja przebiega w logiczny, uporządkowany sposób. Atutem powieści jest z pewnością sprawna retoryka wyrafinowanego humoru i niebanalne dialogi, pełne kunsztownej gry słownej. Można dzięki temu wybaczyć nawet sięganie do kalk popularnych, politycznych i historycznych teorii spiskowych, które stanowią niemały element książki.

W ogólnym rozrachunku powieść można uznać za wartą przeczytania i niepozabawioną pewnych walorów, jednak ta puenta twórczości Eco nie dorównuje jego innym, legendarnym dziełom.

Piotr Fudali

Wiersze poety z łasku

Jerzy Szewczyk, *Między pamięcią a zapomnieniem*, Wydawnictwo MAJUS, Zielona Góra 2017

Tomik *Między pamięcią a zapomnieniem* Jerzego Szewczyka został wydany sumptem Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów przez Wydawnictwo MAJUS. Oswajałam się z nim przez jakiś czas, po czym – korzystając z wolnego czasu – przeczytałam jednym tchem. Zbiór ten w założeniu pomyślany jako kompozycja składająca się z trzech części, przynosi utwory z różnych lat, w załączku których znajdujemy problemy rozwijane przez autora w całym różnorodnym dorobku twórczym. Większość literackich dokonań Jerzego Szewczyka znam bardzo dobrze. W publikacji autor tropi przejawy życia autentycznego – od młodości po wiek dojrzały. Jest tu dużo

liryzmu, nostalgii i urody. Są także łaskie akcenty w poetyckich strofach – bowiem autor korzeniami z Ziemią Łaską jest związany. Książka edytorsko jest ładnie wydana. Wprowadzenie w tekst pogrubionych, pojedynczych liter jest ciekawą formą zwrócenia szczególnej uwagi na to, co w tekście wiodące.

Elegancja i lekkość języka, bogata kultura czucia i myślenia sprawia, że książkę czyta się z przyjemnością. To dojrzała, mądra twórczość, stymulująca aktywność refleksyjną czytelnika.

Krystyna Kosierb

Poważnie i z przymrużeniem oka o Polsce i Polakach

Matthias Kneip, *111 Gründe Polen zu lieben: Eine Liebeserklärung an das schönste Land der Welt [111 powodów aby kochać Polskę... Wyznanie miłosne do najpiękniejszego kraju na świecie]*, hrsg. von Schwarzkopf & Schwarzkopf Verlag GmbH, Berlin 2015, 240 s.

Na okładce książki czytamy: „Kto raz was odwiedził, ten wie, że to wyznanie miłosne jest zasadne i nie jest żadną sztuką”. Już sam tytuł książki brzmi zachęcająco i wzbudza naszą ciekawość. Książka jest osobistą, pełną humoru eksploracją Polski przez Matthiasa Kneipa, eksploracją polskiego języka, literatury, mentalności i tradycji.

Skąd u Niemca zainteresowanie Polską? Kim jest Matthias Kneip? Aby to sprawdzić, sięgnęłam do jego biografii, w której napisano, że urodził się w 1969 r. w Regensburgu. Jego rodzice przyjechali do Bawarii z Górnego Śląska w 1957 r. Matthias studiował germanistykę, slawistykę i politologię na uniwersytecie w Regensburgu, gdzie również obronił pracę doktorską (1999). Równolegle pracował jako lektor języka niemieckiego i literatury na Uniwersytecie Opolskim. Obecnie zatrudniony jest jako naukowy współpracownik w Niemieckim Instytucie Kultury Polskiej w Darmstadt na stanowisku referenta do spraw polskich. Jest jednym z bardziej znanych rzeczników polsko-niemieckiej wymiany kulturalnej. Ponadto para się publicystyką i pisarstwem. Powszechnie znany w Polsce Steffen Möller, niemiecki aktor, pisarz i kabareciarz, powiedział o Kneipie: „Ten człowiek zna Polskę”.

Kiedy i gdzie zaczęło się to gorące uczucie do naszego kraju? W domu rodzinnym, jeszcze jako dziecko, poznał zaprzyjaźnionego z rodzicami Tadeusza Różewicza. Wspólnie grali w piłkę, bawili i rozmawiali, ćwicząc polskie słówka. „Pan Tadeusz” (!) uczył małego Matthiasa czytać, ale też osobiście ostrzegał go przed pisaniem wierszy. W jednej ze swoich dedykacji napisał: „Dla Matthiasa z prośbą, aby nie zaczynał pisania WIERSZY przed 60 rokiem życia”. Z czasem „Pan Tadeusz” zaczął go namawiać na pisanie książek o Polsce.

Z biegiem lat Kneipp perfekcyjnie opanował język polski i – jak stwierdziłam wcześniej – należy do najbardziej znanych orędowników polskiej kultury w Niemczech. Entuzjazm dla polskiej poezji nie tylko

„Pana Tadeusza” w nim pozostał. Matthias Kneip także wysoko ceni utwory Wisławy Szymborskiej, Stanisława Lema, Sławomira Mrożka, Stanisława Jerzego Leca i Zbigniewa Herberta. Znajomość z Tadeuszem Różewiczem trwała aż do śmierci poety w 2014 r.

Wracając do książki, należy podkreślić, że autor próbuje przekonać niemieckich czytelników, że na Polskę nie można patrzeć tylko przez pryzmat polityki. Przez kolejne 10 rozdziałów wyjaśnia powody, dla których kocha Polskę. Każdą odpowiedź, uzasadnienie rozpoczyna od słowa: „Ponieważ...”.

Co szczególnie ceni sobie np. w polskiej literaturze? Kneip wyjaśnia: „Polskie poczucie humoru, autoironię i fantazję”. Przykład? Bardzo proszę! „Polacy postawili najpopularniejszemu powiedzonku (»Chrząszcz brzmi w trzcinie...«) pomnik w Szczepreszynie!”

A jak ceni sobie nasz język? Odpowiedź pada w uzasadnieniu: „Język polski wcale nie jest taki trudny, im dłużej się go uczymy tym wszystko staje się łatwiejsze, w przeciwieństwie do angielskiego, gdzie jest na odwrót, poza tym – zauważa autor – po polsku wszystko brzmi o wiele milej” (ma tu na uwadze formy zdrobnień: Ola, Oleńka, Oleczka, Olunia, Oleńka...).

Opowiadając, co powinno się zobaczyć w Polsce, Kneip wlicza: „Wawel w Krakowie, Klasztor Jasna Góra w Częstochowie, należy też przejechać 100 km polskimi drogami”.

W swojej książce autor wymienia też ciekawostki województwa lubuskiego! W jednym z rozdziałów informuje czytelników, iż w Nowej Soli stoi największy krasnal z gipsu na świecie. W rozdziale 9. *Świętowanie* pisze o polskim winie uprawianym ponownie w okolicach Zielonej Góry, które jest prawdziwym rarytatem (!)...

Rozdział 60. nie jest łatwy. Autor uzasadnia nam swoje uczucia do Polski faktem: „Polacy wybaczyli nam wojnę...”

Matthias Kneipp próbuje zdemontować uprzedzenia w stosunku do Polaków i próbuje zachęcić swoich rodaków do złożenia wizyty w naszym kraju.

Cieszyć się można, że wysiłki Kneippa nie pozostały bez echa. W 2008 otrzymał on Medal Komisji Edukacji Narodowej przyznawany przez MEN za zasługi w krzewieniu przyjaźni między narodami, w 2011 dostał za swoje zaangażowanie nagrodę kul-

turalną Kulturpreis Schlesien, a w 2013 Kawalerski Krzyż Zasługi RP.

Mam wiele sympatii dla Matthiasa Kneipp, chciałabym poznać go osobiście. Dlaczego? Aby mu po prostu podziękować!

Barbara Krzeszewska-Zmysłony

Pod podszewką świata

Robert Rudiak, *Umieralnia*, Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry Winnica, Zielona Góra 2016, 82 s.

Robert Rudiak w swojej najnowszej książce *Umieralnia* podjął się pewnego ryzyka. Ryzyko to wypływa głównie z tematu, który wkracza w niezdefiniowane przestrzenie ludzkiej intuicji i poznania. Autor zapewne liczył się z tym, że jego propozycja może zostać poddana w wątpliwość co najmniej z trzech powodów: innego doświadczenia duchowego, wiary i religii. Mówić u nas o reinkarnacji, karmie czy o dążeniu dusz do boskości, bo wtedy same staną się stwórcami – nie twórcami, a stwórcami – może rodzić u niektórych zagorzałych katolików sprzeciw lub w łagodniejszym wydaniu pobbłazanie: czego to pisarz nie wymyśli. W istocie *Umieralnia* jest książką epicko-liryczną, a autor w niej może sobie pozwolić na wiele. Ma przecież wyobraźnię i odwagę, by kreować dowolne fabuły, pod warunkiem że są dozwolone, jak to u nas, jak to na naszym gruncie. Zatem musi uważać, by nie posunąć się o jedną emocję czy słowo za daleko, bo jeszcze zostanie pisarzem wykłętym. Robertowi Rudiakowi na szczęście to nie grozi. Literackie, wyobrażeniowe i uczuciowe pola tak zestrzaja ze sobą, że nie przekracza niedozwolonego. To znaczy przekracza, ale nie obraża uczuć. Udaje mu się balansować. I robi to nie z bojaźni, a z szacunku do innych. Nie z chęci przechytrzenia czy zmylenia czujności, a z potrzeby podzielenia się własnym rozumieniem natury świata na poziomie czysto emocjonalnym, duchowym. Sfe-

ry te bywają niełatwe do zobrazowania słowem, bo są niefizyczne i nijak nie przystają do naszej rzeczywistości. Można by pomyśleć, że odkrywają się tylko przed wtajemniczonymi. Natomiast dla racjonalistów mogą być – lecz nie muszą – zwykłą fantasmagorią.

Rudiak nie ugina się jednak przed chrześcijańską doktryną Kościoła i ze swojej ezoterycznej wiedzy robi użytek. Postanawia dotknąć słowem czegoś, co ledwo jest przeczualne. Co zwykle jest spychane w milczenie, gdyż ceną może być posądzenie o śmieszność czy paranoję. Tymczasem on w sposób bardzo przystępny wlewa w przestrzeń książki mistykę świata wraz z karmą dusz i ich kolejnymi wcieleniami w drodze do oświecenia.

A zaczyna od śmierci swojej ukochanej matki. Zdarzenie to wstrząsa jego światem i widzeniem świata. Nie umie pogodzić się z nagłym odcięciem pępownicy, z utratą bezgranicznej matczynej miłości i ofiarności, która zawsze była na wyciągnięcie ręki. Przywołuje jej obecność, aż wreszcie doznaje jej obecności. I są to stany, które pomagają uwierzyć w jej opiekę nad nim. Jakby była prywatnym aniołem i pomimo swojej niefizyczności wciąż miała moc działania w realnym poukładaniu spraw. Taką właśnie narrację prowadzi autor. Nagle umie czytać znaki i zrzędzenia losu. Pozwała sobie na zmianę myślenia o ludziach i świecie. Łączy ze sobą dwa wymiary: ten ziemski, z obowiązującymi w nim cza-

sem, prawami fizyki, grawitacją i systemem wartości, z tym niewidocznym dla oczu. A stąd już tylko krok do mistycznych pojęć. Próbuje więc opisać, co też kryje się pod podszewką materialnego świata i po uwolnieniu się od niego. Inaczej postrzega nasze wybory i losy. Ale nawet gdy odnosi się do postaw ludzi, robi to ze zrozumieniem:

Kiedyś sądziłem, że człowiek, który potrafi tarzać się na własne życie to nie tchórz a bohater. [...] Dziś postrzegam to jednak jako akt ucieczki; niechęć do czynienia dobra i dawania miłości innym. Odebranie życia to w pewien sposób niezaliczenie egzaminu, jakim jest dane jednostkowe życie, to zniszczenie pewnego duchowego planu.

Nie zazdrości też ludziom wykonującym profesje, które wymagają wystawiania ocen z zachowania, uświadamiając sobie i nam przy okazji, że każda pomyłka staje się wyrządzoną krzywdą niejednokrotnie niemożliwą do naprawienia.

Duchowni, kapłani różnych wyznań, różnych religii, jakże żal mi tych ludzi... Służą czemuś, czego nie ma... I częstokroć jeszcze mówią w imieniu ich boga, interpretując na swoją modłę, co bóg miał na myśli, co chciał powiedzieć, jaki objawił nam znak...

Nie sposób po przeczytaniu podobnych treści nie zauważyć, w jakiej matni na własne życzenie znalazł się człowiek, jeśli oczywiście zgodzimy się z proponowanym holistycznym ujęciem czy sferą ducha obiektywnego. Jak dalece odbiega powszechnie przyjęte wartościowanie od odwiecznych praw? Sędzia oddala się od prawdy, i żołnierz, i nauczyciel. Lepiej więc nie sądzić, nie oceniać, bo każdy robi to kiedyś sam, gdy opuści ziemskie ciało. Autor dosyć wyraźnie werbalizuje swoje przekonania. Przekonania, które zaczęły się krystalizować po traumatycznym przeżyciu, czyli śmierci najbliższej osoby. A był z nią niewiarygodnie mocno związany emocjonalnie i, jak się okazuje, duchowo również.

Postrzeganie niematerialności pod podszewką realu i prawideł w niej rządzących było domeną Te-

resy Rudiak, matki autora. Udało jej się, jak widać, wtajemniczenie syna. A autor wiedzę tę traktuje jak spadek. Nie może się jej sprzeniewierzyć i z pieczołowitością ją ujawnia. A że nie robi tego jak na kazaniu, więc znajdzie wśród czytelników też i cichych sprzymierzeńców.

Pora na kolejną odśłonę. Czym jest tytułowa umieralnia? Ano naszym doczesnym światem. W nim bytujemy w organicznej powłoce, która się starzeje, psuje i umiera. Zatem nasze godziny, dni i lata „przyziemnej” egzystencji są tylko nieznacznym odcinkiem na wykresie duchowych doświadczeń, jeśli spojrzymy z jakiejś góry na sumę naszych wcieleń. W takim kontekście wielość żyć przypomina grę komputerową, w której można dostać kolejne i kolejne powtórzenie: „Życie to coś, do czego nie warto się przywiązywać, bo z perspektywy duszy zobaczysz, ile tych żyć już miałeś i potraktujesz je jak stare, znoszone, niepotrzebne kapcie”.

Zwykle pytamy, czym jest śmierć, lecz czy na pewno wiemy, czym jest życie? Ta książka pozwala się i nad tym zastanowić i przewartościować to i owo. Może nagle jasne staną się trzy pytania: kim jesteśmy, skąd przyszliliśmy i dokąd zmierzamy? Do-rzucmy: my, wieczni wędrowcy.

Wiem też, że nie ma po tamtej stronie żadnego raju, piekła ani boga, ale to nie przeszkadza wierzyć w Jezusa, Allacha, Mahomet, Buddę i innych, jeśli dzięki tej wierze wyznawcy stają się lepszymi ludźmi i czynią dobro za życia.

Z podobnymi przekazami zapewne nieraz już zetknęliśmy się w ezoterycznych i paranaukowych książkach. Jedni tłumaczą istotę baśniowo lub in- struktażowo, a jeszcze inni naukowo, jak zrobił to np. dr Amit Goswami. W swojej *Fizyce duszy. Kwantowej księdze życia, umierania i nieśmiertelności* zawarł ciekawe tłumaczenie zjawisk z pozycji za- wodowego fizyka, ale chyba i intuicjonisty, i meta- fizyka. Pokazał, że da się jednak fizyką kwantową opisać życie, reinkarnację i nieśmiertelność. Rudiak natomiast podzielił się swoim przeżyciem. Ta em- piria zaowocowała reorientacją jego postawy oraz

książką. Kompozycja jej jest przemyślana. Najpierw opis zdarzenia (śmierć matki), które przeradza się w mistyczne doznanie. Potem wyobrażenie sobie świata poza fizycznością i wskazanie uniwersalnych wartości, z których rozliczy się każda dusza. To, co niewerbalne, autor pozostawia w spokoju. Natomiast bazuje na przeciwczonych przez nasze umysły projekcjach. A wszystko zmierza do konkluzji, że tylko dobro uczynione drugiemu człowiekowi, miłość i oddanie prowadzi do oświecenia; „To nie wiara w boga jest najważniejsza dla człowieka tu na Ziemi, ale wiara w drugiego człowieka”.

Przedostatnią częścią książki jest *Umieralnia* opowiedziana mottem C.K. Norwida: „Z rzeczy świata tego zostaną tylko dwie./ Dwie tylko: poezja i dobroć... i więcej nic”. A w niej wiersze, którymi syn oswajał się z chorobą matki, złorzeczył i modlił się

o pozostawienie jej przy życiu: „tylko ten jeden raz okazał się bogiem/ tylko ten jeden raz”.

Mamo! Moja mamó przywiązana do laski
zamiast do ramion syna
przykuta do wózka miast do moich dłoni
[...]
Dopóki jesteś – jestem – będziemy
poradzimy sobie z niedowładem laską wózkiem
ze spartaczonym światem w dniu jego poczęcia
(*Wyrocznia*)

Polecam książkę zwłaszcza tym, którzy nie zamykają się na odmienne rozumienie człowieka i świata, którzy poszukują, a w swoich dociekaniach są odważni.

Elżbieta Musiał

Powrót redaktora Sokoła

Krzysztof Koziołek, *Operacja Aksamit*, Manufaktura Tekstów, Nowa Sól 2016, 246 s.

Jedenastą książkę Krzysztofa Koziołka (jest także autorem opowieści historycznych i dla turystów) przeczytałem pod koniec 2016 r. Długo zbierałem się do wyrażenia tego, co dopiero teraz napisałem o książce autora rodem z Zielonej Góry z nowosolskim adresem. Nie mam wątpliwości, że K. Koziołek jest najpracowitszym współczesnym prozaikiem w środkowo-zachodniej Polsce. Jesienią 2016 r. wydawnictwo Manufaktura Tekstów wypuściło jego powieść *Operacja Aksamit*, u progu wiosny – *Będę cię szukał aż cię odnajdę*, a rok wcześniej nominowaną do Kryminalnej Piły i Lubuskiego Wawrzynu Literackiego powieść retro *Furia rodzi się w Ślawie*. Niedawno dotarła do moich rąk jego kryminalna opowieść *Tam, gdzie czai się wiatr*, napisana przy udziale Macieja Ratajczaka, znawcy przeszłości ziemi przemęckiej na pograniczu wielkopolsko-lubuskim. K. Koziołek, absolwent Uniwersytetu Zielonogórskiego, ma dopiero 39 lat. Jako powieściopisarz pokazał się w 2007 r. I już jego nazwisko figuruje na dwunastu książkach literackich.

W *Operacji Aksamit* K. Koziołek wraca do bohatera ze swoich wcześniejszych powieści. Odnoszę wrażenie, że robi to troszkę tak, jakby ignorował czytelników. Przypomina bowiem zdawkowo niektóre zdarzenia z życia redaktora Andrzeja Sokoła, a czytelnicy chcieliby czegoś więcej o nich się dowiedzieć. Mam na myśli nowych czytelników, bo starszych, mimo że z wiekiem pamięć zaczyna szwankować (dużo mógłbym o tym napisać), ten problem szeroko nie dotyczy. Ale pewnie tak już jest, gdy pisarz żyje wśród tych samych bohaterów i razem z nimi próbuje naprawiać świat. Zresztą nie tylko nowosolski/zielonogórski redaktor Sokół wraca na stronach *Operacji Aksamit*. Wraca także Sara Bednarz, nie w ciemni bita agentka instytucji mającej dbać o bezpieczeństwo państwa i obywateli, która ostatnio, kiedy to piszę, nazywa się ABW. Agentka mieszka we Wrocławiu, dziennikarz żyje w Zielonej Górze. Dzieli ich geograficzna odległość. Łączy coś, co da się nazwać miłością i nadzieją na wspólne życie. Łączą także

bardzo ważne sprawy dotyczące Rzeczypospolitej. Nie zdradzę za wiele, jeśli napiszę, że akcja powieści zaczyna się w zrujnowanej fabryce w Nowej Soli (wypisz, wymaluj niedawno rozebrana Odra przy drodze na Wrocław, ale to mój domysł), gdzie dziennikarz odwiedza kanciapę pewnego biedaczyny. Może lepiej powiedzieć, że interesuje się mężczyzną, który zmarł z powodu przepicia. To, że zmarł z powodu przepicia, staje się podejrzanym, bo ów mężczyzna przestał pić. Red. Sokół nie wierzy, że alkoholik zawsze będzie alkoholem, dlatego coraz bardziej daje się wciągnąć w wyjaśnienie tej śmierci. Akcja powieści przenosi się do innych miast, także do Warszawy, gdzie politycy z rządzącej ekstraligi, przy ośmiorniczkach popijanych wykwinną brandy, w pewnej restauracji rozmawiają o ciemnych interesach. Ma się rozumieć, że nie ma w nich mowy o korzyściach dla państwa. Co ciekawe i ważne w powieści K. Koziołka: agentka i dziennikarz są niemal osamotnieni. Ktoś tam bierze ich stronę, niby się stara, ale oni liczyli na więcej w walce z mafią na najwyższym, czyli rządowym szczeblu.

Coś podobnego wydarzyło się w polskiej rzeczywistości latem 2015 r. Wygląda na to, że K. Koziołek dokładnie przeanalizował rozmowy gości warszawskiej restauracji Sowa i Przyjaciele. A może nie? Może

nos dziennikarski dużo wcześniej podpowiedział mu, do czego są zdolni politycy za długo zajmujący rządowe pokoje? Autor przecież jest magistrem politologii. Jeśli tak było, jako to przedstawił K. Koziołek w *Operacji Aksamit*, to powinien on awansować na głównego szefa ABW lub CBŚP. Śmieję się i źle mu życzę? W pierwszej sprawie – nie zaprzeczam, w drugiej – życzę mu tylko dobrze.

K. Koziołek nieźle opanował żargon urzędniczy, jakim posługują się organizatorzy operacji Aksamit. Momentami ma on coś, tzn. żargon, z prześmiewczego języka kabaretu. Momentami jest groźny, ale tylko momentami, bo dość szybko czytelnik nabiera wstrętu do polityków i zaczyna ich mieć powyżej uszu. Szczególnie złotoustych ministrów i totum-fackich ich doradców.

K. Koziołek napisał powieść sensacyjną. Polityczną. Niemal zbeletryzowany reportaż. *Operację Aksamit* dałoby się zakwalifikować i do groteski, gdyby nie to, że przedstawione w powieści zdarzenia fikcyjne mogły być prawdziwe. Ale to już inna sprawa. Zadanie do odrobienia przez aktualnie rządzących i rozliczających swoich poprzedników.

Alfred Siatecki

Reality show z piekła

Przemysław Piotrowski, *Droga do piekła*, Videograf, Chorzów 2016, 384 s.

Gdyby ode mnie zależało, Lubuski Wawrzyn Literacki 2016 otrzymałby Przemysław Piotrowski za powieść *Droga do piekła*. Ma ona szansę stać się książką szeroko czytaną szczególnie przez męską część moich rodaków, a może już tak jest.

P. Piotrowski to absolwent zielonogórskiej polonistyki. Był dziennikarzem sportowym „Gazety Lubuskiej” i potem reporterem śledczym, czego nie pamiętam, a też pracowałem w tej redakcji. Ma dwa adresy: zielonogórski i norweski. W Norwegii pracuje dla pieniędzy. Wychodzi mi, że w Polsce dla sławy. Rzeczywiście spory rozgłos zdobył debiutancką po-

wieścią *Kod Himmlera*, wydaną w 2015 r. także przez śląski Videograf. Jeśli nie rozgłos, to uznanie czytelników lubiących porządną historię i zajmującą historię.

Droga do piekła to także rzecz z akcją umiejscowioną poza krajem nad Wisłą. Jedyne związki bohatera powieści z Polską jest taki, że pochodzi on z Zielonej Góry. Gdyby pozostał w mieście winnic, nazywałby się Jan Pilarz. Tam, w Stanach, jest Johnem Pilarem. I w Stanach Pilar przechodzi piekielne męki. Wszystko zaczyna się od tego, że ktoś morduje jego żonę i dzieci w jego domu. Sąd nie daje wiary, że to nie Pilar jest sprawcą i dlatego skazuje go na karę śmierci. Wyrok

został wykonany w więziennej celi, czego świadkiem był brat skazanego Lukas (może Łukasz). Zamiast trumny z ciałem, brat otrzymuje urnę z popiołem. I tu się zaczyna coś w rodzaju prywatnego śledztwa, które usiłuje poprowadzić Lukas. Ma on doświadczenie prawnicze, sporo znajomości i nosa, uruchamia więc to wszystko, co jest niezbędne. Przede wszystkim Lukas nie wierzy, żeby John zamordował swoją żonę i dzieci, chociaż zdaje sobie sprawę z tego, że służąc w siłach specjalnych poza granicami USA, jego brat przebył niejedną drogę do piekła. Zresztą Lukas także odkryje drogę do piekła, tyle że pod koniec powieści i będzie miała zupełnie inny wymiar, ponadto zaprowadzi go do krainy Harrat w Arabii Saudyjskiej. Tak więc akcja *Drogi...* dzieje się na kilku kontynentach. Gdzie „Świat był plugawy [...] Ludzie spotykani na ulicy, mili, przyjaźni, sympatyczni, oni wszyscy nosili maski. Każdy z nich krył jakąś mroczną tajemnicę, każdy nosił w sobie ziarno zła, pierwotnego, bezdusznego i nieczułego drapieżcy”.

Książka P. Piotrowskiego nie jest kryminałem. Nie jest powieścią z gatunku fantastyki, chociaż bliżej jej do fantastyki niż do kryminału. Ma trochę z powieści obyczajowej i przygodowej. Dużo z horroru i sensacji. Thriller bez dwóch zdań. Na pewno sprawi radość tym, którzy swoje codzienne wypowiedzi okraszają wulgaryzmami, co ma podkreślać ich jakąś ponadczłowieczą siłę. A jak siłę, to i erotykę. Ale nie erotykę zmysłową, a dziką, wręcz zwierzęcą. O to mam pretensję do autora. Wolałbym, żeby o sprawach męsko-damskich pisał jak intelektualista, bo nim jest. Poświadcza, że jest intelektualistą szcze-

gólnie wtedy, kiedy przeprowadza czytelnika przez niedostępne zakątki globu, kiedy wyjaśnia tajemnice amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości, kiedy przedstawia sekrety z życia możnych tego świata. To nie tylko wyobraźnia pisarska.

Na skrzydełkach okładki pięcioro czytelników wyjaśnia, co w tej książce jest najważniejsze i dlaczego nie mogli zasnąć w trakcie jej czytania. Mnie także powieść spędzała sen z oczu, ale nie z powodu makabrycznych obrazów. Mnie trzymała przede wszystkim z powodu polszczyzny. Czysty, poprawny i przy tym logiczny język, o co dziś tak trudno u młodszych pisarzy. Gdyby nie te wulgaryzmy, przyznałbym P. Piotrowskiemu jeden złoty medal za język. I drugi za wiele zdań-mądrości. Na przykład za takie. „Gdy człowiek się bogaci, przychodzi czas, że w końcu przekracza tę granicę i [...] inni zaczynają widzieć w nim boga, tak zaczynają do niego podchodzić i tak traktować”. „Bo ludzie nigdy nie zwalczą swojej dzikiej natury. Kierują nami pierwotne żądze, czy tego chcemy, czy nie. [...] Świat jest zepsuty do szpiku kości, żądny zła, pragnie krwi. Nie ma sensu z tym walczyć”. Z tym ostatnim się nie zgadzam, ale biorę je pod uwagę. Jak i to, że żyjąc w XXI wieku, żyjemy w piekle. Piotrowskiemu udało się wstrząsnąć czytelnikiem i zmusić go do refleksji na temat tego, dokąd zmierza świat.

Za język pochwaliłem powieść. Także podoba mi się okładka. Nie to, żeby zachwycała. Podoba mi się ze względu na spokój. Ta okładka nie koliduje z zawartością powieści.

Alfred Siatecki

Kulinaria Waśkiewicza

Andrzej K. Waśkiewicz, *Jedzenie jest niezdrowe. Ale przyjemne...*, Związek Literatów Polskich, wyd. II poszerzone, Zielona Góra 2017, 36 s.

Artyści, pisarze poza tym, że zajmują się głównie swoimi życiowymi profesjami, jak każdy w zasadzie człowiek, bywa, że sporo czasu oddają również zajęciom pobocznym. Kolekcjonują dzieła sztuki, stare sa-

mochody, liście drzew, monety, butelki wina, znaczki, książki, różnorakie przedmioty etc. A nawet polne kamienie. I mają w tych niepozobawionych pasji zajęciach, także domowych, często spore osiągnięcia. Pośliku-

ją się ową „nieprawdopodobnie dużą wiedzą” – jak stwierdza o swoim ojcu Marcin Waśkiewicz. Z biegiem czasu stają się specjalistami w przedmiocie swoich hobby. W czym rzecz. Moim zdaniem w dywersyfikacji zainteresowań, co może mieć dobry wpływ na zajęcia główne, albowiem emocje nowego typu oczyszczają wnętrze, relaksują ducha, wprowadzają jakiś rodzaj odpoczynku. Tak też pewnie było, gdy idzie o Andrzeja K. Waśkiewicza.

Jak wyznaje w pomieszczonym na końcu książki *Jedzenie jest niezdrowe. Ale przyjemne...* wspomnieniu Olena Waśkiewicz: „Ojciec miał w sobie niezwykłą, dziecięcą otwartość na świat. Był ciekawy życia, kolekcjonował zaskakujące fakty, anegdoty, cytaty”. Tu tkwi źródło. Właśnie tu. Chciał wiedzieć jak więcej nawet o dziedzinach od siebie odległych.

Wiedziałem, że przez wiele lat, a może i całe życie np. kolekcjonował znaczki pocztowe i sądzę, że są to zbiory budzące podziw. A poza tym znał się na wartości znaczków. Jednak zainteresowania i zdolności kulinarne, którymi mógł się popisać nie tylko na co dzień, ale zwłaszcza wobec odwiedzających go przyjaciół (nalewkami własnej roboty i jakimiś specjałami), są dla mnie pewnym zaskoczeniem. On po uszy i łokcie urobiony w krytyce literackiej, w analizach i ocenach poezji – okazuje się – odnajdował się świetnie także w kuchni. Po prostu lubił dobrze jeść. Wygląda na to, że miał Andrzej predylekcje do bycia mistrzem kuchni.

Książka, a raczej chyba zeszyt, pod wyżej wymienionym tytułem (wydanie II, poszerzone) jest tego niezbitym dowodem. Rzecz ta została wydana nakładem oddziału ZLP w Zielonej Górze, pod redakcją przyjaciela Andrzeja, czyli Eugeniusza Kurzawy. To jego trzecia pozycja przywracająca Waśkiewicza Zielonej Górze i Ziemi Lubuskiej. Od strony nieco innej. Nieco tym razem odbrażawia postać autora *Dziedzictwa*. Ale przecież tych kilka przepisów, napisanych w konwencji gawędy (dokładnie dziewięćciu), najpierw publikowanych (i napisanych), z inspiracji

właśnie E. Kurzawy, w periodyku-miesięczniku „Zaradna i Romantyczna”, pokazuje nie tylko smakowe preferencje Andrzeja, który lubił potrawy mięsne, ale też skłonność do eksperymentowania, choćby w sferze przypraw. Są te przepisy osadzone w polskiej kulturze kulinarnej, a nie jedynie w stylu czysto kuchennych poradników. Znajdziemy w nich ich podstawową cechę Waśkiewicza – znajomość literatury przedmiotu, dozę erudycji i pietyzm. A więc poniekąd można jeść, czytając, oczywiście pod warunkiem że nie jest się pozbawionym smakowej wyobraźni.

Wzbogacenie tego zeszytu, który został dobrze opracowany edytorsko – z posłowiem żony Anny Sobeckiej oraz wypowiedziami dzieci o ojcu – dosyć licznie zdjęciami autora, także zdjęciami jego (imieninowego w Gdańsku-Morena, 2010) stołu oraz biesiadujących gości, pozwala go (zeszyt) traktować jako coś więcej. A więc ma on charakter legendotwórczy. Jednak jest, jakby nie patrzeć, swego rodzaju bibelotem. Podobny zeszyt (pomysł wydawniczy) można byłoby poświęcić właśnie np. filatelistycznym osiągnięciom Andrzeja. Prezentacji jego zbiorów. I innym zbiorom pewnie też. Osobiście wolałbym aby, jeśli już ma się dokonywać przywoływanie dorobku pisarskiego Waśkiewicza, jakieś wydanie obejmowało np. odpowiedzi poczty literackiej Waśkiewicza (w „Nadodrzcu”), które teraz czytałoby się z zainteresowaniem albo – co też niebagatelne – korespondencję Andrzeja. Wiem, że takową prowadził z Janem Brzękowskim i innymi pisarzami czy osobami. Czemu nie. Warto. I to tyle, gdy idzie o moje pięć groszy. Smacznego tym, którzy zechcą zrobić dania według Waśkiewiczowych przepisów, a potem konsumować owe babki kartoflane, klucho kamienne, cepeliny, kaczki po pekińsku, karpia w szarym polskim sosie i świńskie uszy. I na koniec. Dobrze, że po śmierci pisarza o nim się nie zapomina. Wielka to sprawa.

Czesław Sobkowiak

Mortui viventes obligant. Człowiek wobec zła

Dariusz Czaja, *Lekcje ciemności*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2009, 307 s.

Zło jest zawsze brakiem jakiegoś dobra, które w danym bycie powinno się znajdować, jest niedostatkim. Nigdy nie jest jednak całkowitą nieobecnością dobra.

święty Jan Paweł II

Leszek Kołakowski w następujący sposób wypowiedział się o współczesnej kulturze: „Do ważnych jakości naszej cywilizacji należy całkowity odwrót od wiary w wartość cierpienia”¹. Wydaje się, że ból utracił swój sakralny sens w świecie bez Boga, dlatego jest on bez celu i absurdalny – staje się zbędnym balastem, którego należy się jak najprędzej pozbyć. Przejść przez życie bez cierpienia – dzięki medykamentom, terapiom, używkom – taki jest ideał dzisiejszej egzystencji.

Cierpienie to zło, a człowiek cierpiący to nie tylko człowiek nieszczęśliwy, któremu nie powiodło się w życiu, nieudacznik, ale także ktoś zbędny, nieprzydatny, nie potrafiący skutecznie funkcjonować w sprawnym, utylitarnym społeczeństwie. Dlatego trzeba go odizolować, aby nie przeszkadzał innym – służą temu domy starców, hospicja czy ośrodki odgradzające od bólu i konieczności współczucia.

Niegdyś zło i cierpienie, którego doświadczał człowiek, nobilitowało, uświęcało jego życie, stając się próbą jego charakteru oraz dialogiem ze Stwórcą. Obecnie wtrąca ono, w szaleńczym biegu świata, w coraz większą samotność każdego z nas. Lękamy się zła, lękamy się cierpienia, a przecież ta negatywna strona ludzkiej egzystencji towarzyszy człowiekowi od zawsze.

Właśnie z aktem zła i cierpienia próbuje się zmierzyć Dariusz Czaja w zbiorze esejów pt. *Lekcje ciemności*.

We wstępie Ireneusz Kania pisze m.in.:

Mroki, ciemności. Ich penetrowanie – w różnych sferach, od literatury do polityki, z moralnym jestestwem człowieka po drodze – jest wątkiem

głównym niniejszego tomu. Autorowi wydaje się przyświecać przeświadczenie, iż właśnie „lekcja ciemności”, wyostrzając nam wzrok, zdolna jest powiedzieć najwięcej o fundamentalnym wymiarze bytu – o złu tkwiącym nieusuwalnie w przyrodzie, historii i w nas samych².

Książka składa się z trzech części, które z kolei zawierają po cztery rozdziały – część pierwsza nosi tytuł *Zaćmienie*, część druga *Spadanie*, część trzecia *Końcówka*. Stanowią one precyzyjną kompozycję, jednolitą stylistycznie, gdzie problem zła i cierpienia, występujący w poszczególnych esejach, jest rozpatrywany z różnych perspektyw. Robi to wrażenie fugi rozpisanej na głosy, niezależne i polemizujące ze sobą, ukazujące liczne odcienie czerni.

Przytoczone wypowiedzi poszczególnych autorów pogłębiają problematykę. Są świadectwem tego, że zło ma wymiar uniwersalny, niezależny od czasu i miejsca, stawiając człowieka przed podstawowymi pytaniami o sens własnej egzystencji, jej cel i rolę w świecie. Zło jest niszczące, ale może też być ocalające wtedy, gdy staje się źródłem duchowej przemiany.

W części pt. *Zaćmienie* niepojętość zbrodni zostaje przede wszystkim wyrażona przez Holocaust, czyli właśnie nieodwracalne „zaćmienie” tożsamości ludzkiej. Nikt i nic po tej Zagładzie nie jest już takie samo. Wszelkie dotychczasowe kryteria zła oraz cierpienia zostały przekroczone. Auschwitz wciąż trwa, ponieważ pamięć popiołów jest usypana z żywych ciał. Ponadto czegoś, czego nie można wyrazić, nie można również wymazać.

Głosy i świadectwa, w jakie Dariusz Czaja się wsluchuje, są głosami z wnętrza tej apokalipsy, z najczarniejszej czerni. Ich autentyzm poraża. Są potwierdzeniem tego, co nierozumne i niemożliwe w człowieku, dlatego wciąż powtarzają: tak, to wydarzyło się naprawdę.

1 L. Kołakowski, *Obecność mitu*, Warszawa 2005, s. 67.

2 I. Kania, *Wstęp*, [w:] D. Czaja, *Lekcje ciemności*, Wołowiec 2009, s. 4.

Imre Kertész, Primo Levi, Jean Améry, Aharon Appelfeld – każdego z nich pochłonęła czerń i każdy z nich usiłuje się z niej wyzwolić. Uratować ich może słowo oraz wiara, pomimo okrutnych doświadczeń, w heroizm człowieka: „Piszę, żeby się ratować”³ – obwieszcza Kertész. „Czy to jest człowiek?”⁴ – zapytuje Levi. „Poza winą i karą”⁵ – tak sytuuje miejsce ofiary Améry. „Zaledwie zaznacza krawędzie otchłani, która pochłonęła europejskich Żydów”⁶ – stwierdza Appelfeld.

Pomiędzy nimi Czaja umiejętnie i wnikliwie prowadzi wewnątrztekstowy dialog – pragnie z różnych, nieraz skrajnie sprzecznych punktów widzenia (por. Levi-Améry), zbliżyć się do rzeczywistości Zagłady i do pamięci o niej.

Jako antropolog umiejscawia te doświadczenia w kontekście ogólnoludzkim, więc śledzi różnice, podaje przykłady, bada kulturalne i cywilizacyjne konsekwencje popełnionych zbrodni, aby w końcu stwierdzić, iż nie poddają się one żadnemu przyswojeniu, ponieważ:

Nikt nie rozumie, ani też nigdy nie będzie rozumiał tego, co się stało. Zamordowanie sześciu milionów mężczyzn, kobiet i dzieci nie może być do końca wyjaśnione ani w kategoriach publicznej bądź prywatnej nienawiści, błędu lub szaleństwa, ani też upadku moralności czy niemożliwych do okiełznania sił społecznych. Co się stało? Jak to się stało? Jak mogło się stać? Kto jest za to odpowiedzialny? Mamy do czynienia z raną, której zaleczyć nie sposób, wobec której nawet balsam rozumienia pozostaje dla nas niedostępny⁷.

W ten sposób Holocaust zniszczył nie tylko podmiotowość i wszelkie prawa człowieka, ale również wypracowywane i zdobywane przez wieki źródła tradycji humanistycznej.

Stając twarzą w twarz z okrutnym i niepojętym, zbrodniczym pierwiastkiem w sobie, człowiek zniszczył dotychczasową tożsamość i te wartości, które pozwalały mu określać i utrzymywać własny etos w świecie. Czy więc pozostało mu już tylko spadanie w dół nicości?

W *Spadaniu* z problemem zła Czaja usiłuje się zmierzyć przy pomocy wybitnych współczesnych artystów oraz myślicieli, m. in. Jerzego Nowosielskiego i autora *Jądra ciemności*, Józefa Conrada.

Pierwszy z nich, znany malarz i teolog, poszukuje biblijnych korzeni we współczesnym świecie, źródła zła widząc w grzeszności natury. To w nas znajduje się udręczony grzechem pierworodnym początek wszystkiego, co skazuje gatunek na przemijanie, choroby, agresję bądź zbrodnię. Świadomość własnej ułomności powoduje, że żadne prawa czy etyka nie potrafią zniszczyć żądzy, chciwości, a także chęci mordu, tkwiących w człowieku od czasu Kaina. Destrukcja jest atrybutem tego, co ludzkie. Zło nie jest przez to problemem, który można rozwiązać, oddzielić od istnienia lub wyeliminować ze świata. Albo tylko przeszkodą do pokonania na pewnym etapie rozwoju czy to pojedynczego osobnika, czy to całej cywilizacji. Ktoś, kto próbuje zło ominąć lub oswoić, zawsze musi liczyć się z klęską – dlatego musimy nauczyć się żyć z jego mroczną tajemnicą, wobec której rozum często okazuje się bezradny. Co więc może ocalić człowieka przed przerażającą i niepojmowalną stroną jego natury? Zdaniem Nowosielskiego jest to intuicja oraz piękno, czyli sztuka.

To w akcie twórczym artysta potrafi wyzwolić się spod panowania swojej doczesności, aby codzienności nadać eschatologicznego znaczenia. Konieczna przy tym jest jednak pokora, a także umiejętność otwarcia się na wpływ łaski – to dar Boży, który nie

3 *Piszę, żeby się ratować. Imre Kertész w rozmowie z Anną Bikont*, „Gazeta Wyborcza” 5-6 czerwca 2004, s. 17, [w:] D. Czaja, dz. cyt., s. 17.

4 P. Levi, *Czy to jest człowiek?*, przeł. H. Wiśniowska, Oświęcim – Warszawa 1996, s. 10, [w:] D. Czaja, dz. cyt., s. 31.

5 J. Améry, *Poza winą i karą. Próby przełamania podjęte przez złamanego*, przeł. R. Turczyn, Kraków 2007, [w:] D. Czaja, dz. cyt., s. 39.

6 A. Appelfeld, *Badenheim 1939*, przeł. H. Szafir, Warszawa 2004, s. 165, [w:] D. Czaja, dz. cyt., s. 55.

7 K. Murphy, *Rodzin wśród kanibalów*, przeł. M. Pietrzak-Merta, „Res Publica Nowa” 1997, nr 12, s. 74, [w:] D. Czaja, dz. cyt., s. 93.

pozwała zagubić się człowiekowi w rozpacz oraz poczuciu samotności we wszechświecie. Nowosielski tak o tym mówi:

Człowiekowi dopiero wówczas, gdy przestaje mieć jakąkolwiek nadzieję na odrodzenie duchowe za sprawą własnej woli, gdy ma świadomość, że jest największym z grzeszników nie tylko wśród wszystkich otaczających go ludzi, ale i całej ludzkości, grzechy zostają odpuszczone⁸.

Wyznanie winy przed sobą jest procesem oczyszczającym, a przez to wzmacniającym człowieka – jego relacje z Bogiem są żywe i prawdziwe. To ciągły, chociaż trudny dialog, ale konieczny do walki ze złem.

Podobnie w swoich artystycznych fascynacjach Nowosielski opowiada się za sztuką uczciwą, autentyczną, bezkompromisową, która przekracza estetyczne kanony czy mody, jest poza regułami rynku i pragnie wyrażać wprost zagrożenia w dzisiejszym świecie. Trzeba wyjść poza ramy przyzwyczajęń, porzucić stereotypy, przeciwstawić się różnym estetycznym manipulacjom po to, aby móc stanąć wobec epifanii cierpienia i zła, wskrzeszającej ducha w człowieku.

Takiego artystę widzi Nowosielski w osobie Francisca Bacona, którego twórczość staje się symbolem człowieka przełomu XX i XXI wieku. W swoich rozważaniach przywołuje jego słynny cykl obrazów *Ukrzyżowania*, który interpretuje następująco:

To jest absolutnie doskonałe unaocznienie zła. To niejako potwierdzenie w sztuce intuicji manichejskich. Zło, które w taki sposób manifestuje się za pośrednictwem formy artystycznej, zdaje się posiadać substancjalne, osobowe istnienie. Albowiem posiadając substancjalny byt, zło zdolne jest nasycić formę artystyczną. Taka niepokojąca rzeczywistość artystyczna zaistniała

dopiero w naszych czasach, sztuce dawnej obce były tego rodzaju doświadczenia. Zło ucieleśniło się w sztuce dopiero w realizacjach Bacona. Wydaje mi się, że fakt, iż zaistniała taka możliwość, stanowi znamię czasów ostatecznych⁹.

Tutaj, w przecięciu się realnego zła i sztuki, pojawia się tajemnica ludzkiego bytu, który nawet w najbardziej zagrożonej sytuacji potrafi odnaleźć duchową perspektywę, potrafi dojrzeć światło nadziei w tunelu – ku niemu to zmiernają w końcu przywoływane przez Czaję przykłady. Wie on – jak pisze Ireneusz Kania, wyjaśniający znaczenie tytułu książki następująco: „[...] wziął go z muzyki religijnej; *lectiones tenebrarum* (franc. *lecons de tenebres*), to tak zwane ciemne jutrznie w liturgii Wielkiego Tygodnia – poprzedzają one Triduum Paschalne¹⁰ – że

...ciemności to przede wszystkim matecznik pajęczyn. Ale wie też, że są takie mroki, które w końcu rozbłyskują światłem. I ostatecznie światła, jak się zdaje, szuka Dariusz Czaja. Albowiem chyba nie bez powodu naszego autora fascynuje „lekcja” Apokalipsy, skoro podług niej „czasy są zawsze ostatnie i zawsze pierwsze, zawsze zawierają w sobie, jako immanentną możliwość, ciemność końca i blask początku”¹¹.

Chociaż „jądro ciemności” jest w nas i z wnętrza człowieka wychodzi niewyobrazalna potworność, o której mówi Kurtz w ponadczasowej powieści Conrada, wcale to nie oznacza, że musimy się na nią zgadzać. Mimo że jesteśmy kruchą trzciną w kosmosie, to jednak myśląc, jak pisał Pascal, i to nam daje wyjątkową szansę oraz przewagę nad całym wszechświatem, podobnie jak sztuka, której piękno niejednokrotnie jest ukryte w najgłębszej czeluści nocy, po to, aby dać nam siłę przetrwania.

Dotychczasowe rozważania Dariusza Czaję o temat zła w dużym stopniu opierały się i wykorzysty-

8 *Wokół ikony. Rozmowy z Jerzym Nowosielskim*, Warszawa 1985, s. 153-154, [w:] D. Czaja, dz. cyt., s. 111-112.

9 *Mój Chrystus. Rozmowy z Jerzym Nowosielskim*, Białystok 1993, s.11, [w:] D. Czaja, dz. cyt., s. 113.

10 I. Kania, dz. cyt., s. 4.

11 Tamże, s. 4-5.

wały dzieła oraz myśli twórców i filozofów w rozmaity sposób „doświadczających ciemności”. Ich lekcje, na których zmagali się z tą dręczącą człowieka i świat kwestią, służyły jako punkt wyjścia do polemik oraz rozważań samego autora.

Za pośrednictwem innych Czaja przedstawił nie tylko bogaty i rzetelny przegląd poruszanej przez niego tematyki, rozpisując jej zakres na wiele, często odmiennych, głosów, lecz równocześnie własnymi komentarzami nawiązał dialog z różnymi stanowiskami odnoszącymi się do problemu zła.

Jak trafnie zauważa Zbigniew Mikołejko w swojej recenzji pt. *Noc człowieka, noc świata*:

Dariusz Czaja mówi o złu, ale mówi o złu – nie umiem tego nazwać inaczej – w sposób niebezpośredni. Mówi poprzez jawne i niejawne cytaty, poprzez rozliczne świadectwa cudze, poprzez precyzyjne streszczenia. Mówi, wywołując głosy wielkich świadków i wielkich interpretatorów, by dyskretnie, jakby tylko na marginesie, i jakby tylko w szczelinach cudzej mowy, zdobyć się na własną interpretację [...]. Nie przygana to jednak, lecz pochwała¹².

A zatem dopiero w części trzeciej i ostatniej pt. *Końcówka*, w sposób zdecydowany na plan pierwszy wysuwają się już refleksje samego autora, pomimo że pozostaje on nadal w intelektualnej orbicie wcześniej przywołanych polemik.

Ten osobisty, indywidualny ton nadaje szczególnej wartości poruszanym zagadnieniom. Posiada nie tylko walor doraźny, ale i historyczny, ponieważ odkrywa przed nami własne lęki oraz troski kogoś żyjącego na początku XXI wieku. Wrażliwy i szczerze zaangażowany w losy świata antropolog, a zarazem zwykła osoba, żyjąca tu i teraz w globalnej wiosce, próbująca przeciwstawić się złu.

To etyczne oraz emocjonalne zaangażowanie sprawia, że nie czytamy jego rozważań i spostrzeżeń oraz wynikających z nich wniosków, pytań czy polemik, jak akademicką, teoretyzującą rozprawę,

ale żywą, odpowiedzialną relację walki człowieka z niegodziwością.

W chaosie współczesnego świata, w jego konsumpcjonizmie, odhumanizowaniu, w jego wreszcie funkcjonującej cyberprzestrzeni, bardzo ważną okazuje się aktywna postawa wobec zła, które przyjmuje różną postać od bezmyślnego okrucieństwa wobec zwierząt po instrumentalne stosunki pomiędzy ludźmi.

W ten sposób problemy przedstawione w książce są bliskie oraz istotne dla każdego, kto czuje i myśli. Nie można wobec nich pozostać obojętnym, wymagają od nas określonej postawy i reakcji.

Dlatego *Końcówka* jest próbą rekonstrukcji w świecie, któremu przynależy nikczemność, przestrzeni sacrum. Jest prawdziwą, konsekwentną, mozolną budową wewnętrznej świątyni – przekraczaniem progu naszych słabości oraz zaniedbań czy bezmyślności. A może przede wszystkim jest próbą połączenia tego, co duchowe, wysokie, niebiańskie z tym, co grzeszne, niskie i ziemskie.

Autor wspomina:

Zdarzyło się niedawno, że przechodząc przez krakowski plac Wszystkich Świętych, co czynię rutynowo kilka razy w tygodniu, wracając z wykładów, postanowiłem wstąpić do kościoła oo. Franciszkanów. W tym ciemnym wnętrzu, obok kilku mniejszych witrażowych okien projektu Wyspiańskiego, najjaśniejszym prześwitem jest odślaniający się wiernym potężny witraż, również jego autorstwa. W katalogach twórczości artysty opisywany bywa zazwyczaj jako „Bóg Ojciec” [...]. W istocie, Bóg Ojciec dalej góruje zdecydowanie w tej mrocznej przestrzeni [...]. W tej strzelistej świątyni, w tym popołudniowo pustym gotyku starzec z kolorowych szkiełek stwarza świat. Chce być chyba groźny, ale nie jest¹³.

To właśnie w Bogu, tym najbardziej dziś odpychanym i ponizanym symbolu wiary, nadziei oraz miłości, należy poszukiwać poza wsparciem mo-

12 Z. Mikołejko, *Noc człowieka, noc świata*, „Nowe Książki” 2009, nr 10, s. 56-57.

13 D. Czaja, dz. cyt., s. 208-209.

ralnym, takich wartości, które mogą jako jedyne wypełnić straszliwą pustkę, pozostałą w człowieku po Auschwitz, Kołymie czy Bośni. Świat się zmienia, zmienia się również jego Bóg. Nie jest on już stałym, jednowymiarowym, groźnym, acz sprawiedliwym, biblijnym Stwórcą, lecz współpartnerem w walce ze złem. Dlatego należy koniecznie zmienić nasz stosunek do Boga, uczynić go bardziej aktywnym oraz odpowiedzialnym z naszej strony, inspirując się przede wszystkim miłością. I jak kończy książkę Dariusz Czaja: „[...] wołać do Niego, złorzeczyć,

współczuć, modlić się, wierząc przeciw rozpacz, mając nadzieję wbrew nadziei, że kiedyś wreszcie przyjdzie. A wtedy będzie już dobrze, wtedy tak”¹⁴.

Mortui viventes obligant – zmarli zobowiązują żyjących.

Zatem *Lekcje ciemności* są rzetelnym zapisem o doświadczeniu świadomości kłęski i doświadczeniu heroizmu tę kłęskę przekraczającego, czyli uczciwym zmierzeniem się z problemem zła.

Anna Piliszewska

Piórem po kartce i słowem po niebie – antologia Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów

Pióro na niebie. Antologia wierszy członków Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów na 20-lecie Stowarzyszenia, wyb. J. Pytel, Organon, Zielona Góra 2015, 144 s.

Cel ukazania się publikacji zbiorowej jest niemal zawsze ten sam – chęć zaistnienia w literaturze, pokazania swoich wytworów artystycznych, wypromowania osób piszących... Każde, zwłaszcza młodoliterackie pokolenie te cele uważa za nadrzędne, jeśli decyduje się na wydawnictwo zbiorowe swojej grupy, organizacji, środowiska. Tak było na Ziemi Lubuskiej niemal przy każdej wkraczającej na literacki parnas generacji, która zawsze poetycki start zaczynała wspólnymi siłami. W ten sposób debiutowali członkowie zielonogórskiego Klubu Literackiego Lubuskiego Towarzystwa Kultury w 1958 r. (*Miniaturowa*), pierwsza w regionie Grupa Młodych Twórców w Żarach (*Rylcem i piórem* – 1964), a potem grupa „Dziewin” (*W dole kamieniołomu* – 1968), rodzące się środowisko młodoliterackie (*Moment wejścia* – 1976), tak zaczęli autorzy zrzeszeni w Korespondencyjnym Klubie Młodych Pisarzy (*Zachłannie porywa nas czas* – 1978) i w Kole Młodych Twórców przy LTK (*Zaproszenie* – 1980) oraz młodzi poeci gorzowscy (*Nauka tańca* – 1985), a także członkowie

zielonogórskiego oddziału Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury (*Strofy robotniczej muzy* – 1988). Wreszcie niemal wszystkie młodzieżowe grupy literackie w Nowej Soli, Żarach i Świebodzinie, studenckie grupy poetyckie w Zielonej Górze (Klub „54”, „Kometka”, „Budowa II”) i formacje poetyckie („Die Hülle”, „Szuflada”, „Poza Kontrolą”).

W końcu przyszedł także czas na środowiska seniorów, które pod egidą Zielonogórskiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku i Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów zaczęły debiutować z początkiem nowego wieku antologiami. Stowarzyszenie, dowodzone przez niestrudzoną w swoich działaniach popularyzacyjnych Jolantę Pytel-Marciniszyn, zaczęło od antologii *Poddasze poetów* w 2005 r. pod redakcją wspomnianej i Katarzyny Jarosz-Rabiej. Później przyszła już kolej na indywidualne wydania poezji i prozy. W sumie w latach 2005-2016 ukazało się 30 pozycji książkowych kilkunastu autorów. Jednak obok tomików indywidualnych Stowarzyszenie co kilka lat przygotowywało do druku zbiór tekstów

14 Tamże, s. 307.

swoich członków. Tak było w 2011 r., kiedy SJŻP wydało drugą antologię poetycką *Tacy sami jesteście* opracowaną przez Agnieszkę Kopaczyńską-Moskaluk. Rok później Stowarzyszenie zorganizowało turniej jednego wiersza i wydało w formie pokłosa zbiorek z nagrodzonymi tekstami swoich członków *Kropelka* w opracowaniu J. Pytel. A w 2013 r. – zbiór baśni i wierszy *Oto trudzę się nad kamieniem*.

Jednak w pełni kompleksową antologią Stowarzyszenia – jeśli wolno tak ją określić – stanowi wydany przez zielonogórski Organon zbiór *Pióro na niebie*, który ukazał się w 2015 r. z okazji 20-lecia SJŻP w wyborze dokonany przez szefową SJŻP Jolantę Pytel. Kompleksowa, jak napisałem, gdyż antologia ta zawiera wiersze niemal wszystkich 45 członków Stowarzyszenia, od początku jego istnienia. Znaleźli się tu pisarze zarówno ci stosunkowo młodzi, którzy do Stowarzyszenia wstąpili niedawno, jak i ci w wieku już słusznym; zarówno doświadczeni literacko, jak i ci starsi – zwykle emeryci, którzy zaczęli debiutować w jesieni życia. Zamieszczono również teksty poetów już nieżyjących – Ireny Cisek-Piątkowskiej, Emilii Grzelak, Joanny Szczepaniak, Marianny Dulat, Marii Hołyńskiej-Sawickiej, Natalisy Orawiec, Henryka Chmielewskiego, Franciszka Madery, Tymoteusza Hejduka – dla którego miał to być debiut i zmarłego krótko po wydaniu antologii Zbigniewa Rajchego.

Przedział społeczny, zawodowy, a zwłaszcza wiekowy prezentowanych w zbiorze członków SJŻP jest ogromny – od osób urodzonych w latach 1923 i 1924 (w grupie urodzonych w latach 20. i 30. XX w. jest dziewięć osób), po osoby urodzone w latach 40. (13 osób), 50. (w tej grupie jest 11 piszących) i 60. (dwóch autorów), po urodzonych w latach 70. (sześć osób) i cztery osoby urodzone w latach 80. ubiegłego wieku. W tej ostatniej grupie wiekowej najmłodszy autorzy to ludzie urodzeni w 1987 i 1986 r., czyli liczący 28 i 29 lat, co w ich przypadku trzeba uznać już za późny start.

Różnicowany jest też staż literacki, data debiutu czy przynależność organizacyjna, bowiem są tu i członkowie Związku Literatów Polskich w osobach: J. Pytel, K. Jarosz-Rabiej, Barbary Konarskiej i Władysława Klepki – jednego z założycieli SJŻP, są

też członkowie Klubu Literackiego ZLP w Żarach, Grupy Literackiej „Oksymoron” i Zielonogórskiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku.

Z grona autorów, którzy znaleźli się w zbiorze *Pióro na niebie*, własne książki w ramach działalności wydawniczej Stowarzyszenia wcześniej opublikowało 13 pisarzy: Zofia Tumielewicz, Jadwiga Ambroziak, Halina Bohuta-Stapel, Wiesława Siekierka, Anna Blacha, Maria Hołyńska-Sawicka, Maria Kuleszyńska-Kozak, Kazimierz Wysocki, Jerzy Szewczyk oraz Z. Rajche, B. Konarska, J. Pytel i K. Jarosz-Rabiej. Niektórzy z nich wydali po dwie-trzy książki, dla innych był to zwykle debiut książkowy. Większość jednak autorów wydała wcześniej choćby po jednej książce poetyckiej, zatem byli po debiucie książkowym. Jednakże pięć osób z członków SJŻP debiutowało tylko w publikacjach zbiorowych, zwykle w poprzednich antologiach Stowarzyszenia, a dla czworga zamieszczone utwory w najnowszej antologii *Pióro na niebie* stanowią debiut literacki. Tak jest w przypadku Agaty Rawskiej, Wojciecha Dragowskiego, Witolda H. Stankiewicza i T. Hejduka, który nie doczekał już wydania antologii. Jest też grupa byłych członków SJŻP, którzy debiutowali tomikami poezji wydanymi przez Stowarzyszenie, jednak nie przetrwali próby czasu i nie znaleźli się w antologii, jak Ryszard Schreyner, Klaudia Raszkievicz, Urszula Jakubowska, Justyna Jęzak, Tadeusz Minkiewicz, Mirosław Mrozkowiak.

W zbiorze liczącym niemal 150 stron zamieszczono zwykle od jednego do pięciu-sześciu tekstów każdego z autorów, dodajmy utworów o różnorodnej tematyce – od wierszy osobistych, wspomnieniowych, dedykowanych rodzicom lub krewnym autorów (np. *Moja mama* Barbary Anielskiej-Bartus, *Do matki* Marianny Dulat, *Stopy* Agnieszki Haupe, *Wizyta u matki* K. Jarosz-Rabiej, *Nad urwiskiem i Ceglany dom* J. Pytel, *Dom dzieciństwa* i *Tęcza* Bronisławy Raszkievicz, *Odyseusz* J. Szczepaniak, *Jesteś* Z. Tumielewicz, *Babciny świat* M. Hołyńskiej-Sawickiej, *Na dzień spadającego liścia* i *Z wiatrem* Jerzego Szewczyka, *Przemijanie* Kazimierza Wysockiego, *Osobne góry* Marzeny Więcek), po melancholijno-nastrojowe, filozoficzno-religijne czy okolicznościowe liryki (np. Anny Blachy, Jadwigi Ambroziak, Ireny Bujko, Iwony Jankowskiej, Leokadii Kaczmarek,

Marii Kuleszyńskiej-Kozak, Katarzyny Kulikowskiej, Agnieszki Leśniewskiej, Jacka Żeromskiego) czy erotyki i wiersze miłosne (np. Elżbiety Dybalskiej, Wojciecha Drągowskiego, Kazimierza Wysockiego) lub krótkie impresje, wręcz miniatury liryczne (np. Bogusławy Czajko, Nadziei Łukaszewskiej, Urszuli Scheinberg, Bogumiły Różewicz, Mirosławy Szott i W. Klępki) albo utwory satyryczne i rubaszne, jak w przypadku H. Bohuty-Stapel – *Z mojego dowodu rejestracyjnego*, *Bezrobotna 50+* i *Dlaczego?* czy B. Anielskiej-Bartus *Lew i baran*.

Znalazło się kilka wierszy poświęconych wybitnym osobom, np. papieżowi Polakowi czy ks. Janowi Twardowskiemu (np. *Biały gołąb* i *Nasz papież* Agnieszki Haupe, *Dziękuję* Iwony Jankowskiej) oraz zwykłe teksty dziękczynne dedykowane twórczyni Stowarzyszenia i redaktorce antologii Jolancie Pytel lub też innym, zaprzyjaźnionym członkom SJŻP, zwykle przedwczesnie zmarłym, Emilii Grzelak czy Joannie Szczepaniak. Nostaliczno-sentymentalny i żałobno-wspomnieniowy ton pobrzmiewa w utworach *Nadzieja* B. Anielskiej-Bartus, *Do zobaczenia*, *Emilko* J. Pytel i *Do Emilki* Z. Tumielewicz. Natomiast wymowne, pochwalno-dziękczynne nastroje znajdu-

jemy np. u J. Ambroziak w wierszu * * * („rozsypały się iskierki moich marzeń...”), A. Haupe w balladzie *Jola w falach oceanu*, *Marzeny Więcek* w wierszu *Kobieta z włosami do ramion*. Całość tomu zamykają zaś prace plastyczne i fotograficzne członków SJŻP – malarstwo akrylowe A. Blachy, olejne Z. Tumielewicz, akwarele K. Wysockiego, kompozycje z papieru czerpanego W. Klępki i zdjęcia pejzażowe B. Konarskiej.

Cieszyć powinna zatem kolejna książkowa prezentacja twórczości członków Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów, tym bardziej że mimo odejścia już niektórych z tego padołu i przejścia wielu pozostałych w smugę cienia, to wciąż stan kadrowy Stowarzyszenia utrzymuje się na podobnym poziomie. Przychodzą nowi członkowie, często też już dobiegający wieku emerytalnego, ale – co ważne – pojawiają się także młodzi, zwykle po studiach, którzy mają okazję zaistnieć na literackiej niwie, wydać własny arkusz poetycki. Jolanta Pytel ma w sobie tę smykałkę przyciągania nowych piszących i to ciepło, w którym wyrastają kolejne talenty młodych debiutantów.

Robert Rudiak

Poeci dla pokoju

***Zieleni się drzewo pokoju. Poezja europejska w intencji powszechnej zgody*, wybór i red. A. Sołtysiak, K. Sutarski, Sulechowski Dom Kultury im. Fryderyka Chopina, Zielona Góra – Sulechów 2016, 280 s.**

Pod koniec 2016 r. ukazał się rzadko spotykany, gdyż w międzynarodowym wykonaniu, wybór poetycki *Zieleni się drzewo pokoju. Poezja europejska w intencji powszechnej zgody*, wydany przez Sulechowski Dom Kultury im. F. Chopina przy wsparciu magistratów w Zielonej Górze i Sulechowie oraz Uniwersytetu Zielonogórskiego. Wybór i redakcję almanachu przygotowała para poetów – Aleksandra Sołtysiak z Zielonej Góry, do 1999 r. przewodnicząca zielonogórskiego oddziału Wspólnoty Polskiej i dr inż. Konrad Sutarski z Poznania, były członek grupy

literackiej „Wierzbak” i tłumacz literatury, a także dyplomata i przewodniczący Ogólnokrajowego Samorządu Mniejszości Polskiej na Węgrzech (Sutarski od 1965 r. na stałe przeniósł się do Budapesztu, gdzie jest dyrektorem Muzeum i Archiwum Węgierskiej Polonii).

Każdy tekst zamieszczony w książce ukazał się w trzech językach – angielskim, polskim i narodowym danego autora, stąd książka jest objętościowo obszerna, licząca 280 stron. A grono zaproszonych do udziału w projekcie było znaczne – 60 pisarzy z 23

krajów. Znaleźli się tu m.in.: Guy Goffette z Belgii, uhonorowany Wielką Nagrodą Poetycką Francuskiej Akademii, Dorta Jagić z Chorwacji, której przyznano Bałkańską Nagrodę Poetycką w 2007 r. i tytuł Europejskiego Poety Wolności w 2014 r., poeci francuscy Lionel Ray (wł. Robert Lortho) i Jacques Reda – obaj otrzymali Nagrody Poetyckie Goncourtów, Antonio Colinas z Hiszpanii – laureat literackiej Premio Nacional w 1982 r., Birutė Jonuškaitė z Litwy – dziennikarka i pisarka, wiceprezes Związku Pisarzy Litwy, Dagnija Dreika z Łotwy – poetka i tłumaczka, zdobywczyni Nagrody Mario Dell'Agata we Włoszech, Lidija Dimkowska z Macedonii – poetka i eseistka, laureatka wielu międzynarodowych nagród, w tym Europejskiej Nagrody Literackiej za 2013 r., poeci niemieccy: Klaus Rainer Goll uhonorowany Nagrodą Fundacji Księstwa Lauenburg i Bodo Heimann (ur. w 1935 w Breslau), laureat nagrody Eichendorffa (1993) i zdobywca Grand Prix Mediterranee im. Nikolausa Lenaua (2014) oraz Jan Wagner – zdobywca nagród im. Anny Seghers (2004), Friedricha Hölderlina (2011) i Targów Książkowych w Lipsku (2015), poeci rosyjscy: Siergiej Biełorusiec – sekretarz Związku Pisarzy Moskwy i Aleksander Timofiejewskij – zdobywca Wieńca Moskwy, Nagrody im. Maksymiliana Wołoszyna i Nonkonformisty 2015, serbska poetka i prozaik Srdan Valjarević, która otrzymała Nagrodę im. Stevana Sremaca (2007) oraz Le prix des Lecteurs w Tulonie (2011), Gianni Bianconi ze Szwajcarii, zdobywca Nagrody Marazza, Sandro Csoori z Węgier – laureat Nagrody im. Herdera i Wielkiej Nagrody im. Kossutha, podobnie jak Sandro Kanyadi i zmarły w 2015 r. Ferenc Juhasz – triumfator Wieczorów Poezji w Strudze oraz pisarz i eseista włoski Valerio Magrelli – laureat nagrody poetyckiej Feltrinelli, a także Geoffrey William Hill z Wielkiej Brytanii (poeta zmarł w czerwcu 2016 r.), który otrzymał tytuł Profesora Poezji Uniwersytetu Oxfordzkiego i Nagrodę Poetycką im. Janusa Pannoniusa.

Z polskich pisarzy w zbiorze europejskiej poezji znalazły się wiersze siedmiu osób – Adama Czerniawskiego, mieszkającego w Wielkiej Brytanii, członka Stowarzyszenia Pisarzy Polskich za Granicą, Krzysztofa Karaska z Warszawy, Urszuli Koziół

z Wrocławia, Romualda Mieczkowskiego z Wilna, członka Związku Pisarzy Litwy, poetki i tłumaczki Krystyny Rodowskiej ze Lwowa, Bohdana Zadury, mieszkającego w Warszawie i Puławach oraz wspomnianego już Konrada Sutarskiego, współredaktora almanachu, który od 1965 r. mieszka w Budapeszcie.

To oryginalna mozaika kulturowa europejskich twórców, reprezentujących różne szkoły filozoficzne, estetyczne, literackie, a nawet etyczno-religijne, w sprawach pokoju mówi jednym głosem. I mimo wyraźnego także zróżnicowania wiekowego czy też odmiennych doświadczeń osobistych, wyobrażeń na temat wojny, młodzi twórcy i osoby pamiętające lata wojny i okupacji również w tej kwestii są jednomyślni. Wojna to koszmar i największe nieszczęście, jakie może spotkać ludzkość, tym bardziej że przez ową ludzkość wojna jest wywoływana, powodowana, toczona. Wojna to traumatyczne przeżycie, to śmierć i okaleczenia fizyczne, to głód, gwałty, tortury, wypędzenia, poniewierka, strach, zniewolenie... To w końcu przewrotna siła, która zmienia wszystko – ludzi, władze, granice państw, stan majątkowy i społeczny. Wojna w końcu obficie zbiera śmiertelne żniwo w postaci milionów ofiar, wywołuje nieszczęścia, strach, ból i cierpienia u zwykłych ludzi, po eksterminacji całych narodów; rodzi przejawy nienawiści i pogardy, ksenofobi i szowinizmu, rasizmu i nacjonalizmu, wywołuje wreszcie najgorsze, najbardziej prymitywne instynkty ludzkie – zabijanie dla samego zabijania.

We wstępie do antologii *Poezja sumieniem święta* jej autorzy piszą:

Od najdawniejszych czasów, myśli i teorie służyły człowiekowi do zgłębiania, objaśniania i przekształcania rzeczywistości oraz kształtowały jego stosunek do takich zjawisk społecznych jak wojna i pokój, będących domeną badań polemologii i irenologii. [...] Tak jest i w niniejszej antologii poświęconej idei ogólnoludzkiego porozumienia. Poeci nie milczą, natomiast empatycznie mierzą się z faktami – obrazami rzeczywistości i błędząc, jak stendhalowskie zwierciadło po miejscach zawieruch XX i XXI wieku, gdzie toczą się wojny i słychać

lament ofiar, zawierając w wierszach odwieczną prawdę o człowieku, stają się sumieniem świata.

Dlatego wołanie o pokój jest najważniejszym przesłaniem artystów, zwłaszcza poetów, walczących piórem i słowem. Zvonko Taneski w *Pieśni do dnia* woła i prosi lirycznie:

Bywają także dni błogie, prawe,
promienne blaskiem, dziecięcą wrzawą,
jest ptak co złotym głosem nam niesie
pieśń o pokoju tutaj, na świecie

Jest to usilna prośba o pokój,
by nikt nie strzelał w dom mój, ni we mnie,
prośba ta stale wraca jak miłość,
bo pieśń ta przecież to ciąglej refren.

Słusznie zauważają we wstępie do książki A. Sołtysiak i K. Sutarski, że

ogromną rolę odgrywa tu doświadczenie będące następstwem przeżycia bądź przeczucia zbiorowych nieszczęść i wojen, co pozostawia ślad w sferze psychicznej i moralnej autorów, a przez to skutkuje indywidualnym podejściem do tematu i różnorodnością proponowanych form przedstawiania go. Wspólnym mianownikiem w refleksji autorów antologii jest głębokie poczucie istnienia ogromu zła [...], ale i ogromna wiara w skuteczność poetyckiego słowa w zmaganiach o przewycięzenie tego zła.

Poecie pozostaje zatem tylko wiara w dobro i moc sprawczą poetyckiego przekazu, jak czyni to Lubow Benedyszyn w wierszu *Już niebo rozchwiali*:

...Planecie przyśni się nadzieja
– gołąbek pokoju.
I chwilę, jak piórko,
Uchwyci w swe dłonie
Bóg.

Japońska poetka Masami Saionji, pełniąca funkcję prezesa międzynarodowego Towarzystwa Błaganie o Pokój Światowy, łączy poezję z pracą na rzecz pokoju i solidarności między narodami. W manifestacyjnej odezwie *Błaganie o światłą przyszłość* pisze ona:

Bez względu na to, jaką religię wyznajemy,
Jaką ideę polityczną popieramy,
Jakiej filozofii wierzymy, jakie mamy zasady,
Jaka jest nasza narodowość lub tożsamość etniczna,
Jako ludzie dobrej woli, możemy uznać za własne
i wspierać

Błaganie o pokój na świecie.

I niech ta idea przyświeca każdej myśli ludzkiej, wszelkim czynom człowieka, niech będzie myślą przewodnią w sztuce, która winna scalać narody, w przekazie twórców, wyrazie artystów i głosie poetów, które zawsze winny łączyć ludzi.

Robert Rudiak

***To jedno* – biograficzno-poetycka opowieść o Dorze Maar**

Elżbieta Musiał, *To jedno*, Wyd. ARK Media, Warszawa 2016, s. 58.

Artysta, dodajmy do tego wielki artysta, jeśli nie rzec: artystyczny geniusz, wizjoner, kreator sztuki, to osobowość z pewnością niełatwa nie tylko w obcowaniu czysto ludzkim, na niwie towarzyskiej czy twórczej, a co dopiero w układzie osobistym, intym-

nym, uczuciowym. A jeśli w takim związku pojawi się partnerka o równie silnej osobowości, mocnej konstrukcji psychicznej, o mentalności artystycznej, to czy taki układ damsko-męski ma szansę na udany związek, ba w ogóle na dłuższe choćby przetrwa-

nie?... Toksyyczny układ niszczy wszystko w zastraszającym tempie – miłość, przyjaźń, intymny kontakt, partnerski układ, wspólną przeszłość, stworzone dzieła, jednakowe patrzyenie na sztukę...

A taki właśnie związek tworzyli Pablo Picasso i Dora Maar (właśc. Henriette Theodora Markovic), wybitny malarz hiszpański i modelka, fotograficzka i również surrealistyczna artystka, z pochodzenia Chorwatka, która wychowała się w Argentynie, gdzie biegle opanowała hiszpański. Poznali się w jednej z paryskich kawiarni, gdzie spotykała się światowa cyganeria. On miał wówczas 54 lata, ona 28, jego okrzyknięto już geniuszem, ona dopiero wchodziła w świat artystyczny. Przykuła uwagę Picassa czarnymi rękawiczkami haftowanymi w różę, kiedy bawiła się nożem, wbijając go między palce, aż do zranienia.

Paryska zima 1936 roku. Śnieg nie mógł padać.

To by dopiero
była sceneria: nieskazitelność bieli, czarne

rękawiczki
w czerwone różę i skrwawiona kropla. Żywa
inspiracja.

[...]

Podszedł i poprosił o splamioną rękawiczkę. Tę
jedną.

I nic więcej.

Od krwi zaczynał, od pulsu, od wnętrza. Reszta
ciała przyszła potem.

Podobny temperament, przyjaźń, duchowość, zrozumienie na niwie artystycznej jeszcze mocniej połączyły parę kochanków; on zwykł mawiać o niej, że może z nią „rozmawiać jak z mężczyzną”, ona, że po „Picassie tylko Bóg”. Jednak taki związek spala się szybciej niż zwyczajny, płonie żarliwiej i gaśnie tak szybko, jak nagle się rozpałił. Po dziewięciu latach nadszedł czas rozstania i zburzenia tego, co tak pieczołowicie budowała.

Tak, wiem, jak to jest. Oszukiwać siebie, bo
może zostanie
przy nas, co odchodzi. [...]

Zanim schowałaś się za horyzont, już byłaś dla
niego
przeźroczyta, jak jedna z warstw w grafice, ale
ta z przewagą
powietrza. Istniałaś z każdym oddechem mniej
[...]

Miałaś tyle czasu na zastanowienie, więc wiesz,
że albo
kochała za bardzo, albo w ogóle nie umiała.
Dlatego miłość unieśmiertelniała.

Właściwie wszystkie związki Picassa z kobietami okazywały się nietrwałe, nieszczęśliwe, nieudane. Jeśli kobieta podporządkuje się artyście, przestaje być dla niego partnerem, przestaje być też żoną, kochanką, obiektem westchnień, uniesienia i pożądania. Załamanie nerwowe, choroba psychiatryczna, leczenie elektrowstrząsami, szpital, unicestwienie... Tak odchodziły kobiety Picassa, tak odeszła też Dora Maar. Dwie kochanki artysty popełniły samobójstwa po jego śmierci, inne dwie popadły w obłęd. Dora choć odtrącona, samotna, pozostała wierna swojemu mistrzowi. Jej miejsce zajęła inna kobieta, tym razem o czterdzieści lat młodsza od Picassa. Po niej była jeszcze jedna, w sumie siedem muz w życiu genialnego twórcy.

I mimo iż niektóre z kobiet Picassa były w swojej epoce dobrze znane socjocie artystycznej Paryża, były modelkami lub tancerkami, pozowały do obrazów innych malarzy, dwie były artystkami, wszystkie zaś portretowane były przez Picassa, to jednak tylko Dora Maar zyskała rozgłos w świecie sztuki, była bowiem zaliczana do wybitnych twórców surrealizmu. Ona też towarzyszyła swojemu mistrzowi w okresie jego malarskiego apogeum, kiedy tworzył słynną, monumentalną *Guernikę*, którą pomagała mu malować, dokumentowała zapisami fotograficznymi warsztat jego pracy (wykonała 1800 fotosów), była intelektualistką i godnym niego partnerem w żywiołowych dyskusjach o sztuce. W jej życiu więcej było cierpienia niż radości, a w związku z Picassem więcej łez niż uśmiechów, choć przy mistrzu ich nie okazywała, to właśnie ją w 1937 r. uwiecznił Picasso na swoich typowo kubistycznych obrazach *Płacząca*

kobieta i *Portret Dory Maar*, na którym artystka uśmiecha się tajemniczo. Picasso dzielił swoje kobiety na „wycieraczki” i „boginie”, jej od razu przyznał to miano i oddał artystyczny hołd.

Patrzcie, jak dla mnie płacze. Niekończąca się
sekwencja
W dziele tego, który był już więcej niż Bóg. A to
płakały

Obrazy. [...] Każdy
ma swoją Guernikę. Przynajmniej jesteście
monumentem,
który rozpacza. [...]
Mogłaś bezkarnie zmieniać proporcje. Już nie
jeden do siedmiu
w dziele Picassa, przy założeniu, że muz było
siedem. Przy
tobie płonęła Guernika.

Dora Maar ukończyła Akademię Julian – prywatną szkołę malarską w Paryżu, do której mogły uczęszczać kobiety, zajmowała się malarstwem, ale stała się artystką obiektywu. Poprzez cykle fotograficzne utrzymała wygląd zaułków i życia nędzarzy, starców i kalek z ubogich dzielnic i przedmieść Madrytu i Paryża. Eksperymentowała ze światłocieniem, negatywami, fotomontażem, zdjęciowym kolażem, wykonywała też odważne akty. Uwieczniła na swoich kliszach znanych artystów, aktorów i malarzy, m.in. Leonora Fini. Dziś tworzą one nieocenioną dokumentację jej epoki, świadectwo czasu lat 20. i 30. ubiegłego wieku. Przez samych nadrealistów uważana była za mistrza fotografii, a krytycy tego kierunku zaliczali ją do ścisłego grona najwybitniejszych jego przedstawicieli.

Inne wołały odejść na wieczność. Maria Teresa,
Jacqueline.
To cena za wolność. Lub do swoich obrazów
jak Gilot.
Tylko ty jedna, a ty do końca. Zdziwiająca
wierność. [...] Mój Boże, ty, muza totalna, z natury skłonna
do wyuzdanej

nagości i rozmodlenie. Co za obrazek? [...]
Twoje nienarodzone dziecko zastąpiłaś nim. A gdy
przyjdzie
cierpieć, to cierpieć dla niego. Pęczniał, rósł jak
balon
nad twoją głową. Monstrualny z jednym jądrem
i zasłaniał całe
niebo. [...] Po *Picassie tylko Bóg*. I znów
samospełniająca się
przepowiednia.

Po rozstaniu z malarskim geniuszem Dora Maar leczyła się psychiatrycznie m.in. u jednego z psychoanalityków Jacquesa Lacana, duchowego przywódcy nowego ruchu artystycznego, który zasłynął słynną parafrazą „Myślę tam, gdzie nie jestem, zatem jestem tam, gdzie nie myślę”. Jej losy przypominały tragiczny romans i życie francuskiej rzeźbiarki Camille Claudel. Najpierw dla swojego mistrza zarzuciła fotografię, twierdząc: albo sztuka, albo Picasso, potem zatraciła dla niego całą siebie, swoje życie, wszystko... Rozstając się z narcystycznym malarzem, ponoć zarzuciła mu, że nigdy nikogo nie kochała i nigdy nie poznała smaku miłości.

Świat się rozpadał. Do woli można go było
składać na obrazach.
Chroniczne źródło inspiracji podobne naturze.
[...] Znów skonstruował obraz. Doro, tym razem
umieścił cię za
kratami. Co prawda, kraty potem zamalował,
ale to nie zwróciło
ci wolności.

Kiedy zaczęła popadać w obłąd, tracić pamięć, nazywała siebie Królową Tybetu. Stwierdzono u niej manię prześladowczą, schizofrenię, paranoję i delirium tremens. Po opuszczeniu szpitala nie była już sobą. Żyła samotnie, opuszczona i zapomniana. Tak upłynęło jej kolejnych 50 lat. Przeszła na katolicyzm, stała się dewotką, dziwaczała coraz bardziej, gromadząc tylko pamiątki po swoim kochanku. Zmarła w 1997 r. w Paryżu, mając 89 lat.

Na obrazach genialny twórca kubizmu zazwyczaj malował ją całą w łzach, a kiedy obrazy z jej podobizną zaczęły osiągać astronomiczne kwoty, Dora Maar stwierdziła, że „jej łzy sprzedają się lepiej niż diamenty”. Jej portret *Dora Maar z kotem* namalowany przez Picassa siedem lat później sprzedany został na aukcji za ponad 95 milionów dolarów! Był to wówczas piąty na świecie najdrożej sprzedany obraz.

Poemat Elżbiety Musiał *To jedno* poświęcony wrażliwej, delikatnej kobiecie-intelektualistce, fenomenalnej fotografce i natchnionej muzie artystów, czyta się jednym tchem, co w przypadku kontem-

plowania kreacji świata poetyckiego zdarza się rzadko. Jednak odpowiednie operowanie słowem, nastrojem, emocjami przy doskonałym warsztacie pisarskim i świetnie opanowanej sztuce empatii oraz drobniawo przeprowadzonej psychologiczno-duchowej wiwisekcji bohaterów lirycznych sprawia, że najnowszy tomik Musiał przeżywa się głęboko i zapada on w pamięć na długo, jak pogmatwane, toksyczne życie kochanków artystycznej bohemy, które autorka skrupulatnie opisuje.

Robert Rudiak

Kryminały z duszą

Elisabeth Herrmann, *Wioska morderców*, przeł. W. Łygaś, Prószyński Media, Warszawa 2016, 548 s.
Elisabeth Herrmann, *Śnieżny wędrowiec*, przeł. W. Łygaś, Prószyński Media, Warszawa 2016, 511 s.

Od kilku dni zerkamy na mnie książki Elisabeth Herrmann, kusząc intrygującymi okładkami i tytułami wyczuwalnymi dotykowo. „Dlaczego współczesne kryminały są takie opasłe?” – westchnęłam, spoglądając na ponad 500-stronicowe *Wioskę morderców* i *Śnieżnego wędrowca*. Przyznaję, że nie przepadam za krwistymi jak befszytk kryminałami, a na myśl, że krew będzie się lała przez tyle stron, przechodziły mnie ciarki... Tytuł *Wioska morderców* nie sugerował spokojnej lektury w przeciwieństwie do *Śnieżnego wędrowca*. A jednak sięgnęłam najpierw właśnie po książkę, w której mała podupadła wieś Wendisch Bruch w Brandenburgii od 20 lat skrywa swoje mroczne tajemnice...

Już pierwszy rozdział tej powieści był przyjemnym zaskoczeniem – spoglądamy na ponurą wieś oczami młodego, niespokojnego psa, który zwietrzył nadchodzące nieszczęście. „Dziewczyna klęknęła i ukryła twarz w sierści psa. – Bruno – szepnęła. Czy takie było jego imię? Pomachał ogonem i polizał jej

mokrą od łez twarz. Cały drżał [...]. Nie pachniała krwią, tylko mydłem”¹⁵. Warto wspomnieć, że ta wrażliwość na uczucia zwierząt i ich prawa pojawia się w dalszych częściach książki, gdzie na przykład dowiadujemy się, jak hoduje się i zagazowuje myszki, szczury i króliki przeznaczone na karmę dla królów zoo – drapieżników... Pisarka podkreśla zresztą, że kocha zwierzęta i traktuje je z głębokim szacunkiem¹⁶. Kolejny rozdział przenosi nas do świata zwierząt i zezwierzęcenia – jesteśmy w berlińskim zoo wiele lat później. Makabryczne odkrycie na wybiegu nie tak miłych świnek pekari, które pałaszują część ludzkiego ciała, szokuje najpierw wystraszone przedszkolaki i gapiów, a potem opinię publiczną, sprowadzając do ogrodu zoologicznego cały sztab policji i dziennikarzy. Zupełnie przypadkiem na pierwszej linii ognia trafia policjantka patrolująca ulice Sanela Beara, która, wiedzona wrodzoną ciekawością, a także niezwykłą intuicją, wtrąca swój mały nos w nieswoje śledztwo i zapoznaje się z pracownicą

15 E. Herrmann, *Wioska morderców*, przeł. W. Łygaś, Warszawa, 2016, s. 13-14.

16 Wywiad z Elisabeth Herrmann. Dostęp: <http://ksiazki.onet.pl/wywiad-z-elisabeth-herrmann-autorka-ksiazki-wioska-mordercow/ffh2en> [odczyt: 20 września 2017].

zoo, Charlie Rubie, oskarżoną później o wyrafinowaną i okrutną zbrodnię.

Muszę przyznać, że główna bohaterka, krewka Chorwatka o niskim wzroście i wysokich ambicjach, od razu przypadła mi do gustu. Polubiłam też wysportowanego i zarozumiałego inspektora Lutza Gehringa, typa macho chodzącego w dopasowanych spodniach, który tylko w chwilach słabości przyznaje racje swojej pyskatej podwładnej. Okazuje się bowiem, że zdziwaczała, a nawet zdziaczała Charlie Rubi, która przyznaje się do zbrodni, może nie być jej sprawcą, a wszystkie tropy wiodą do prawie wymarłej wioski Wendisch Bruch... Na potrzeby wydania opinii o poczytalności Rubi pisarka tworzy kolejne wyraziste postaci: doświadczonego psychologa, profesora Gabriela Brocka oraz jego pomocnika, przystojnego, lecz nieporadnego Jeremego Saalera, który ma problemy z własnym życiem uczuciowym i relacjami. Dobrym zabiegiem jest postawienie na jego drodze życiowej Cary Spornitz, naturalnej blondynki o jędrnym ciele, która musi dostarczyć kluczowych informacji dla śledztwa i oceny Charlie. Autorka umiejętnie i barwnie opisuje wygląd i zachowanie swoich bohaterów – widać, że kreowanie postaci sprawia jej przyjemność: „[Cara] przyciemniła brwi, a wargi pociągnęła czerwoną matową szminką. Wyglądała to sztucznie, ale pasowało do jej typu urody. Na pewno należała do tych kobiet, za którymi mężczyźni oglądają się na ulicy [...]. Jej sposób chodzenia przypominał mu ruchy baletnicy. Poruszała się płynnie, elegancko”¹⁷.

Najważniejsze dla Elisabeth Herrmann wydaje się jednak badanie zakamarków ludzkiej duszy i dochodzenie do motywów ich działań, nawet tych najokrutniejszych. W książce wyczuwa się zrozumienie i empatię dla bohaterów, a linia podziału na kata i ofiarę nie jest tak wyraźna. Poznajemy wszystkie okoliczności popełnianych zbrodni i sami możemy ocenić zachowanie bohaterów. Autorce zdecydowanie bliżej do Jamesa Pattersona, cenionego za psychologiczne portrety postaci, niż do Stephena Kinga i jego zimnych psychopatów. Co do krwistości tego kryminału, autor-

ka na szczęście nie epatuje przemocą i nie przelewa zbyt dużo krwi. Sprawnie buduje napięcie i czasami sprytnie zwodzi czytelnika, wywołując uśmiech: „Walburga uderzyła tak mocno, że czerwona ciecz rozprysnęła się na blacie zlewozmywaka. W końcu odłożyła młotek i jakimś narzędziem o staroświeckim wyglądzie próbowała otworzyć puszkę”¹⁸. Książkę czyta się szybko, strony same się przewracają, a przyjemności w lekturze dodaje pora roku, w której osadzona została akcja – środek lata.

Muszę wyznać, że jako pisarka (wprawdzie nie literatury kryminalnej, lecz książek dla dzieci i wierszy), z pewną pasją, a pewnie i obsesją na punkcie języka, przyglądałam się z powagą słowom i słówkom tej powieści, pełnym zapachów lata i przelotnych przyjemności, podkreślając sobie to i owo, przysmak na podniebieniu: „Był odurzający, przemożny i zbyt rzeczywisty, żeby był prawdziwy. Ale tak właśnie pachniały truskawki w kuchni jej matki, gdy robiła z nich dżemy i kompoty [...]. Beara zebrała garść przejrzałych, ciemnofioletowych śliwek i weszła na szczyt wzniesienia. Usiadła w trawie i ugryzła pierwszy owoc. Był słodki i ciepły od słońca”¹⁹. Powracając do fabuły, powinienam nadmienić, że pod koniec książki niektóre wydarzenia wydają się trochę nieprawdopodobne (a może jak w złym śnie) i trudno zrozumieć, dlaczego bohaterom nie udaje się uciec przed szaloną osobą. Te poszarpane sceny są być może potrzebne do tego, co autorka obmyśliła na końcu – mrozących w żyłach chwil, które na długo się pamięta i grand final – wytłumaczeniu tego całego koszmaru. Poruszająca historia kobiecych dramatów zapadła mi w pamięć i żałowałam, że muszę rozstać się z Sanelą Bearą i Lutzem Gerhingiem. Warto dodać, że książka znalazła się na liście bestsellerów w całej Europie, a w Polsce nominowana była do nagrody portalu *Lubimy czytać*.

Kiedy wzięłam do ręki *Śnieżnego wędrowca*, z radością odkryłam, że to druga część cyklu o Saneli Bearze i Lutzu Gerhingu. Ich złożona relacja wprowadza emocjonalne napięcie potrzebne w każdej dobrej

17 E. Herrmann, *Wioska...*, s. 161.

18 Tamże, s. 302.

19 Tamże, s. 244.

książce – impulsywni i przekonani o swojej racji działają na siebie często jak płachta na byka, odpychają się, ale i przyciągają i – co najważniejsze – są sobie potrzebni. Od razu nadmienię, że liczyłam na pełniejsze rozwinięcie ich relacji (apetyt rośnie w miarę lektury), ale za pewne stanie się to w kolejnej części cyklu.

Tym razem Sanela Beara zaczyna zajmować się sprawą zaginionego i prawdopodobnie zamordowanego chorwackiego chłopca na prośbę samego Gerhinga, który potrzebuje tłumaczki, żeby nawiązać lepsze relacje z rodziną Darija. Sanela od razu orientuje się, że tak naprawdę, dumny i porywczy inspektor potrzebuje jej pomocy w śledztwie. Miotają nią sprzeczne uczucia, ale postanawia zaangażować się w poszukiwanie zabójcy Darija. I jak to Sanela wymyśla własne, kontrowersyjne sposoby dotarcia do prawdy – zmienia kolor włosów na wściekły blond i zatrudnia się jako pomoc domowa w bogatej rodzinie Reinartzów, u których pracowała matka chłopca. Nie wszystko złoto, co się świeci – berlińska rodzina krezusów odsłania swoje mroczne oblicze, przeciwstawione przyjaznym i ciepłym relacjom w chorwackiej diasporze.

Śnieżny wędrowiec to wciągająca i nastrojowa książka – w kontraście do rozpalonego lata *Wioski morderców* – osadzona jest w środku śnieżnej zimy. Opisy zastygłej przyrody i ludzi chroniących się przed obeszwanianym jak rozpacz chłodem są poetyckie i melancholijne, umiejętnie zestawione z rozpalonymi emocjami pełnymi namiętności i nienawiści. Ośniewane słowa są na tyle sugestywne, że schroniłam się pod kołdrą, aby kontynuować lekturę, sięgając po kubek gorącej herbaty z imbirem i miodem, a „popołudnie skryło się za szarymi chmurami przyniesionymi przez nadciągający niż”²⁰. Książka porywa w zimową podróż już od pierwszej strony: „mróz obejmował miasto żelaznym uściskiem [...] Nadkomisarz policji kryminalnej Lutz Gehring już kilka razy się poślizgnął. Uchwycił się dachu samochodu, aby go obejść i znaleźć się po drugiej stronie, przy drzwiach kierowcy [...] Było tak zimno, że kluczyki od samochodu wypadły

mu ze zgrabiątych palców”²¹. W czasie zimowej wędrówki stykamy się, tak jak w *Wiosce morderców* z okrutnym losem zwierząt – czy to wilk, czy królik. Autorka dostarcza nam również bardzo dokładnych opisów znalezionych przedmiotów, robi to z rzetelnością reporterki i dokumentalistki z ponad 25-letnim doświadczeniem zawodowym – praca w dziennikarstwie nauczyła ją, że „opieranie się na dowodach jest najważniejsze. Najpierw fakty, potem fikcja”²².

Mocną stroną powieści Elisabeth Herrmann są postaci drugoplanowe, na tyle charakterystyczne i szczegółowo opisane, że można się do nich przywiązać i oczekiwać na ich powrót. Jest pośród nich na pewno nieporadna Gerlinde Schwab, policjantka, która prowadzi akta spraw i która jest często, z racji swojej hipochondryczności i wyglądu hipopotama, pośmiewiskiem kolegów i koleżanek. A jednak to właśnie na tej pracowitej i lojalnej osobie Gerhing może śmiało polegać. Istotne jest również to, że wzajemne relacje bohaterów tego kryminału i motywy ich działania są, tak jak w życiu, złożone. Podobnie jak w *Wiosce morderców*, nie będzie tak łatwo pokazać winowajcę palcem – winy mnożą się, a w kręgu przemocy i nienawiści nie ma zbyt wielu „świętych”. Jednak muszę przyznać, że przy spotkaniach Saneli z przystojnym Darko Tudorem, który pracuje w lesnej stacji badawczej zajmującej się życiem wilków, nabrałam wątpliwości, czy prawdziwa policjantka posunęłaby się tak daleko... Ale wiemy o sobie tyle, ile nas nauczono, a życie to wędrówka w nieznanie. Podróż ze *Śnieżnym wędrowcem* była dla mnie ciekawsza niż poruszanie się po *Wiosce morderców* – może z powodu nastrojowej zimowej aury, a może poprzez poruszający dramat małego chłopca, bliski sercu każdego rodzica. Moja recenzja dobiega powoli końca, tak jak zima w *Śnieżnym wędrowcu*, więc dodam tylko, że obie książki Elisabeth Herrmann to wciągająca literatura kryminalna dla wrażliwych dusz.

Agnieszka Ginko-Humphries

20 E. Herrmann, *Śnieżny wędrowiec*, przeł. W. Łygaś, Warszawa 2016, s. 254.

21 Tamże, s. 1.

22 Wywiad z Elisabeth Herrmann...

KSIĄŻKI NADESŁANE

- Halina Bohuta-Stapel, *Romeo i Julii tragedia prawdziwa: 10 scen jednoaktowych parodii*, Lubuska Agencja Elblask, Zielona Góra 2016, 22 s.
- Maria Borcz, *Mikrochaos*, Profes Mariusz Grobelniak, [Poznań] 2016, 42 s.
- Emilia Cepa, *Nosorożec gorzowski*, Urząd Miasta Gorzów Wlkp., Gorzów Wlkp. 2017, 24 s.
- Edward Derylak, *Historie niewyśnione*, Eurosystem, Wrocław – Żagań 2016, 128 s.
- Stanisław Drygalski, *Żagańskie historie*, [b.w.], Wrocław 2015, 358 s.
- Krzysztof Garbacz, *Zielona Góra. Spacer z przeszłością*, Agencja Wydawnicza „PDN”, Zielona Góra 2017, 104 s.
- Marek Grewling, *Anachoreta na bezdrożach*, Związek Literatów Polskich – Oddział w Gorzowie Wlkp., Gorzów Wlkp. 2016, 126 s.
- Agnieszka Haupe, *Kręgi na piasku. Poemat w języku polskim i angielskim*, Organon, Zielona Góra 2016, 39 s.
- Historia i ludzie Orkiestry Dętej Zastal 1947-2017*, Stowarzyszenie Orkiestra Dęta Zastal, Zielona Góra 2017, 16 s.
- Władysław Kłępka, *Księżyc Miró*, Pro Libris, Zielona Góra 2017, 64 s.
- Tadeusz Kolańczyk, *Nienazwane*, Towarzystwo Słowaków w Polsce, Kraków 2016, 48 s.
- Anna Konstanty, *Wiosna i inne opowiadania*, Wydawnictwo Papierowy Motyl, Kręczi 2016, 102 s.
- Barbara Konarska, *Czy życie musi boleć?*, Organon, Zielona Góra 2016, 79 s.
- Věra Kopecká, *Zaproszenie na wernisaz*, nakładem autora, Poznań 2013, 176 s.
- Justyna Koronkiewicz, *Szamanka*, Grupa Literyczna Na Krechę, Fundacja Centrum Rozwoju Kultury i Edukacji, Poznań 2016, 55 s.
- Paulina Korzeniewska, *Pogodna biel dobrego samopoczucia*, Dom Literatury w Łodzi, Łódź 2016, 31 s.
- Lubuski Teatr. 65 sezonów. Dokumentacja repertuarowa Lubuskiego Teatru w latach 1951-2017*, Stowarzyszenie Przyjaciół Lubuskiego Teatru, Zielona Góra 2017, 110 s.
- Władysław Łazuka, *Chwila z kosem i inne wiersze*, wydawca: WIMBP im. Z. Herberta w Gorzowie Wlkp., Gorzów Wlkp. 2016, 120 s.
- Nowa Sól na dawnej kartce pocztowej. Katalog zbiorów Muzeum Miejskiego w Nowej Soli*, t. 1: *Motywy odrzańskie*, Muzeum Miejskie Nowa Sól, Nowa Sól 2017, 80 s.
- Marcin Radwański, *Nie odrzucaj mnie*, E-bookowo, Będzin 2016, 306 s.

Tatarzy w Polsce po 1945 roku. Historia – religia – tożsamość, pod red. P.J. Krzyżanowskiego, A. Miskiewiczza, B.A. Orłowskiej, Wydawnictwo Naukowe Akademii im. Jakuba Paradyża, Gorzów Wlkp. 2016, 344 s.

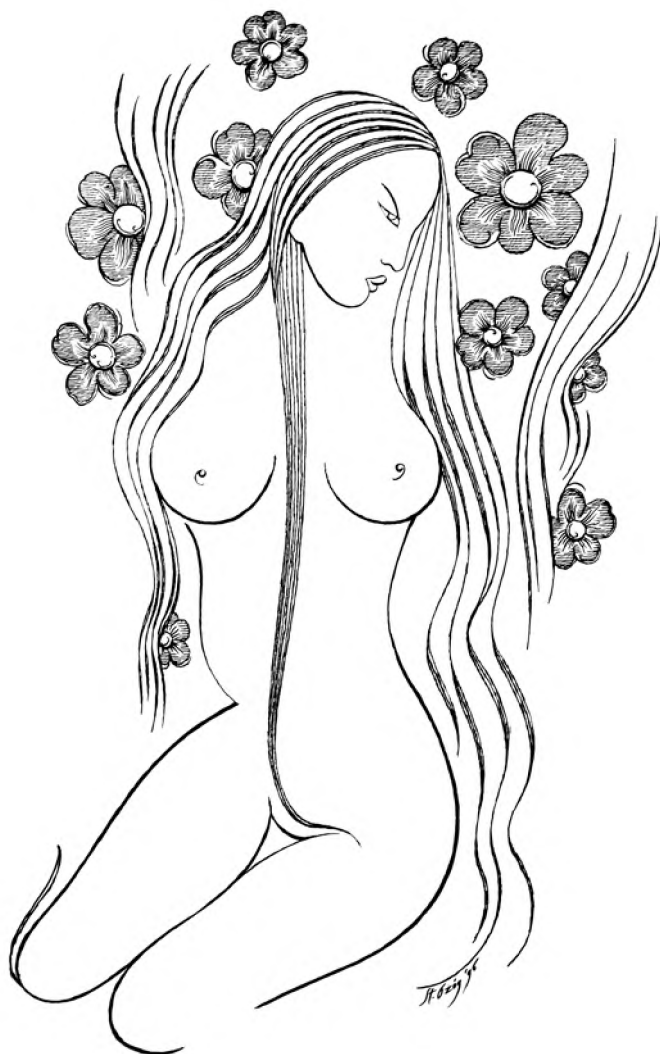
Magda Turska, *Wodne granice*, Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Z. Herberta, Gorzów Wlkp. 2017, 110 s.

Adam Bolesław Wierzbicki, *Dziedzictwo*, Fundacja Centrum Rozwoju Kultury i Edukacji: Grupa Literacyjna Na Krechę, Łucja Dudzińska, Poznań 2016, 64 s.

Maria Wypych, *Los i czas*, nakładem autora, Żary 2016, 84 s.

Jerzy Beniamin Zimny, *Dzieci Norwida*, Związek Literatów Polskich w Poznaniu, [Poznań] 2016, 307 s.

Iwona Małgorzata Żytkowiak, *Świat Ruty*, ZLP Oddział w Gorzowie Wielkopolskim, Gorzów Wielkopolski 2016, 296 s.



AUTORZY NUMERU

Marlena Berdys

Urodziła się w 1992 r. Absolwentka filologii polskiej na Uniwersytecie Zielonogórskim. Jej praca magisterska dotyczyła źródeł patologicznych zachowań w trylogii kryminalnej Zygmunta Miłoszewskiego. Interesuje się literaturą kryminalną i wszelkimi zależnościami występującymi pomiędzy bohaterami, przestrzenią i czasem. Najbliższą przyszłość wiąże z pozostaniem na Uniwersytecie Zielonogórskim i rozpoczęciem studiów doktoranckich.

Halina Bohuta-Stapel

Publicystka, poetka, prozatkorka. Uczestniczka i laureatka konkursów literackich, autorka 5 tomików poetyckich. Publikuje w pismach: „Obrzeża”, „Pegaz Lubuski”, „Pro Libris”, „Gazeta Lubuska”, „Grünberger Wochenblatt” oraz na portalu internetowym pkpzin. Członkini Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów, laureatka Nagrody Kulturalnej Wójta Gminy Świdnica za rok 2009. Wraz z Aleksandrą Sztukowską-Matusiak prowadzi Literacki Kabaret Dojrzałych Dam.

Agata Buchalik-Drzyzga (1940-2013)

Absolwentka wrocławskiej PWSSP/ASP (dyplom w Pracowni Grafiki u prof. S. Dawskiego). Zajmowała się grafiką warsztatową i użytkową, tkaniną artystyczną, malarstwem sztalugowym, sztuką papieru oraz ekslibrisem. Autorka kilkudziesięciu wystaw indywidualnych i zbiorowych. Laureatka szeregu prestiżowych nagród, wyróżnień, odznaczeń i medali. Także pedagog, w latach 90. XX w. dyrektor zielonogórskiego BWA. Całe życie zawodowe związana z Zieloną Górą.

Renata Diaków

Filolog, nauczycielka, scenarzystka, pisarka. Prowadzi Rodzinny Teatr Lalek „Pinokio”. Laureatka VII edycji konkursu „Lubuski Laur Oświaty” zorganizowanego przez Sejmik Województwa Lubuskiego. Jej powieść *Artysta zmartwychwstały* otrzymała nominację do Lubuskiego Wawrzynu Literackiego 2015. Mieszka w Nowogrodzie Bobrzańskim.

Agnieszka Dylewska

Germanistka, nauczyciel akademicki z tytułem doktora. Pracuje w Zakładzie Literatury i Kultury Krajów Niemieckiego Obszaru Językowego na UZ. Specjalizuje się w historii literatury niemieckiej XVIII i XIX w. oraz w polskiej i niemieckiej literaturze ludowej prowincji poznańskiej 1815-1918.

Agnieszka Ginko-Humphries

Poetka i pisarka, laureatka ogólnopolskich konkursów poetyckich. Autorka czterech książek dla dzieci, wyróżnionych w konkursach literackich oraz trzech książek z zakresu animacji kulturalnej. Za swoją twórczość dla dzieci otrzymała w 2015 r. ogólnopolską Nagrodę Guliwer w Krainie Olbrzymów. Jej wiersze dla dorosłych oraz felietony ukazały się w polskich i brytyjskich czasopismach kulturalnych,

m.in. „Opcje”, „Kresy”, „Fraza”, „Akant”, „Relacje-Interpretacje” i londyńskich „Arts Professional” i „The Wolf” oraz w polskich i brytyjskich tomikach pokonkursowych. Autorka od dwóch lat mieszka w Zielonej Górze i należy do Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów. Jako anglistka koordynuje pracę Biblioteki Obcojęzycznej WiMBP.

Agnieszka Góra-Stępień

Prozautorka, laureatka III miejsca w XVIII Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Eugeniusza Paukszty w Kargowej w 2017 r.

Joanna Kapica-Curzytek

Anglistka i pedagog, adiunkt w Instytucie Neofilologii na Uniwersytecie Zielonogórskim. Autorka recenzji książek („Twój Styl”, „Twoja Muza”, „Forum Akademickie”), recenzji teatralnych i wywiadów (www.e-teatr.pl). Współautorka i tłumaczka reportażu radiowego wyróżnionego nagrodą specjalną Studia Reportażu i Dokumentu Polskiego Radia na konkursie „Polska i Świat 2000”. Obecnie jest stałą recenzentką magazynu kultury „Esensja” (www.esensja.stopklatka.pl). Oprócz literatury jej pasją są języki obce i muzyka klasyczna. Ostatnio rozpoczęła (z pierwszymi sukcesami) naukę śpiewu.

Jacek Katos Katarzyński

Urodzony w 1966 r. w Koninie. Poeta, filmowiec. Współzałożyciel antyrockowego kabaretu ROZkROKCK (1986), wydawca artzynu *Dada rzyje*. Debiutował wierszem na łamach „Twórczości Robotników” w 1987 r. Autor książek poetyckich. Główny inicjator i współzałożyciel Formacji Artystycznej Cut Off. W latach 2003-2004 był szefem klubu artystycznego Cafe Tattoo, w którym odbywały się liczne imprezy związane z polską kulturą niezależną. Dwukrotny stypendysta i laureat Nagrody Kulturalnej Miasta Zielona Góra. Członek grupy filmowej Sky Piastowskie. Mieszka w Zielonej Górze.

Anna Kokot

Urodzona w Poznaniu, z wykształcenia politolog i dziennikarka. Debiutowała w Klubie Literackim Centrum Kultury Zamek w Poznaniu – obecnie Klub Literacki „Dąbrówka”. Przez wiele lat dziennikarka „Głosu Wielkopolskiego”. Obecnie publikuje m.in. w „Akancie”, „Gońcu Ziemi Wronieckiej”, „Protokole Kulturalnym” oraz zajmuje się krytyką literacką. Jej teksty pojawiły się w kilkunastu almanachach literackich, wielu pismach („Merkuriusz”, „Metaforze”, „Przeglądzie Wielkopolskim”, „Ciechanowskich Zeszytach Literackich”) oraz wydawanej w Chinach publikacji „World Poetry Yearbook”. Tłumaczona na język angielski i chiński.

Krystyna Kosierb

Bibliotekarka, regionalistka, aktywna działaczka Stowarzyszenia Przyjaciół Ziemi Łaskiej.

Daniel Koteluk

Historyk, regionalista, autor książek naukowych, absolwent studiów doktoranckich Uniwersytetu Zielonogórskiego (2005). Doktorat poświęcił Zjednoczonemu Stronnictwu Ludowemu w województwie zielonogórskim w latach 1950-1956. W 2014 r. uzyskał na Uniwersytecie Wrocławskim stopień doktora habilitowanego w zakresie historii, specjalność: historia najnowsza Polski. Laureat VII Lubuskiego Wawrzynu Naukowego (2011). Współtworzy monografie miast, publikuje w historycznych pismach naukowych.

Věra Kopecká

Urodziła się w 1951 r. w Turnovie. Poetka, organizatorka Dni Poezji; należy do Wschodnioczeskiego Oddziału Związku Pisarzy. Pedagog matematyk na Uniwersytecie Karola w Pradze. W latach 1980-1985

w Ludowym Konserwatorium w Pradze studiowała recytację, teatr poezji i twórczość literacką. Wydała 14 książek poetyckich. W 2009 r. ukazał się w Polsce wybór jej poezji pt. *Śladami cieni* w tłum. Kazimierza Burnata. Fotografuje, miała wiele wystaw w Czechach i w Polsce. Uprawia również tradycyjne techniki i rzemiosła ludowe.

Justyna Koronkiewicz

Poetka, laureatka Srebrnego Sokolego Pióra Lubuskich Wawrzynów Literackich 2016 za tomik *Szamanka*. Stroni od zgłętku aglomeracji, mieszka w małym przysiółku w Górach Stołowych.

Elżbieta Brygida Kościucha-Wieczorek

Poetka, prozautorka, biblioterapeutka, członkini Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów. Z zawodu nauczycielka polonistka.

Barbara Krzeszewska-Zmyślony

Specjalista w Centrum Kultury i Języka Niemieckiego na UZ. Rzeczniczka dobrosąsiedzkich stosunków z Niemcami. Organizatorka wielu cennych niemiecko-polskich inicjatyw kulturalnych.

Ewa Kuberska

Poetka; publikuje na portalu: poezja-sztuka.com. Jej wiersze znalazły się w antologiach *Potyczki z Kupido* i *Kiedyś wrócimy do...* Píše pod pseudonimem Ewa Liwia.

Eugeniusz Kurzawa

Urodził się w 1954 r. Absolwent WSP w Zielonej Górze, poeta, dziennikarz, redaktor książek i wydawnictw, animator kultury, prasoznawca. Wieloletni pracownik „Gazety Lubuskiej”, członek Związku Literatów Polskich (prezes oddziału zielonogórskiego). Uprawia głównie publicystykę, felietonistykę, wywiad, pisze eseje, szkice i recenzje literackie. Mieszka w Wilkanowie pod Zieloną Górą.

Władysław Łazuka

Urodził się w 1946 r. we wsi Tyrawa Solna. Poeta, prozaik, muzyk. Ukończył Liceum Pedagogiczne w Stargardzie oraz studia na Wydziale Rolniczym Wyższej Szkoły Rolniczej w Szczecinie. Pracował w instytucjach rolnych. Debiutował opowiadaniem na antenie szczecińskiej rozgłośni Polskiego Radia Szczecin w 1969 oraz wierszami w „Tygodniku Kulturalnym” i kwartalniku „Vineta”. Wiersze tłumaczone były na język niemiecki, węgierski, bułgarski, macedoński, słoweński, litewski, serbski, indonezyjski, chorwacki i angielski. Wydał 17 zbiorów poetyckich. Mieszka w Choszcznie.

Adrianna Machalica

Urodziła się w Zielonej Górze i tutaj też ukończyła I Liceum Ogólnokształcące im. Edwarda Dembowskiego. W Zielonej Górze rozpoczęła w tym roku studia na kierunku dziennikarstwo i komunikacja społeczna. Od dziecka interesuje się teatrem. Aktywnie działa w Domu Harcerza, będąc członkinią koła teatralnego i biorąc udział w różnych przeglądach. Oprócz studiów ma również mnóstwo zainteresowań. Kiedyś jeździła konno, teraz oprócz gry w teatrze trochę śpiewa.

Klaudia Małagocka

Urodziła się w 1995 r. w Lublinie. Poetka, laureatka konkursów poetyckich. Sukcesy literackie odnosi od czasów gimnazjalnych (Gimnazjum nr 1 im. M. Kopernika w Świebodzinie).

Krzysztof Martwicki

Prozaik, laureat wielu konkursów literackich (m.in. wyróżnienie w XVIII Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Eugeniusza Paukszty w Kargowej w 2017 r.). Mieszka i tworzy w Płońsku.

Aleksandra Mazur

Prozaiczka, laureatka wyróżnienia w XVIII Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Eugeniusza Paukszty w Kargowej w 2017 r.

Zofia Mąkosa (1957-2017)

Urodziła się w Kargowej. Jest emerytowaną nauczycielką historii i wiedzy o społeczeństwie. Publikowała artykuły w lokalnej prasie. Jej debiut literacki to powieść *Cierpkie grona*. Obecnie pracuje nad kontynuacją cyklu *Wendyjska winnica*.

Elżbieta Mikoś (1957-2017)

Poetka, malarka. Aktywnie działała w nieformalnej grupie plastycznej Klub Twórczy MARFO.

Elżbieta Musiał

Poetka, krytyk literacki. Wydała kilka zbiorów wierszy.

Anna Piliszewska

Pisarka, poetka, kulturoznawca. Urodziła się w 1966 r. w Krakowie, mieszka w Wieliczce. Absolwentka WSFP / Akademii Ignatianum w Krakowie. Interesuje się filozofią, literaturą, historią starożytną, malarstwem oraz muzyką klasyczną. Ceni nad wyraz poezję Bolesława Leśmiana. Ponadto jest miłośniczką zwierząt i wielkim przyjacielem przyrody.

Alina Polak-Woźniak

Dr nauk humanistycznych, specjalizuje się w odczytywaniu starych dokumentów, rękopisów i pamiętników. Do jej zainteresowań naukowych należą historia i archeologia słowiańszczyzny oraz średniowiecza, a także kultura materialna dwudziestolecia międzywojennego w Polsce i Europie. Jej hobby to nauki kryminalistyczne, detektywistyka, a w wolnym czasie uczy się języka japońskiego. Pracuje w Muzeum Ziemi Lubuskiej.

Roksana Polon

Absolwentka filologii angielskiej na Uniwersytecie Zielonogórskim. Lektorka języka angielskiego. Uzależniona od kwiatów i czarnej herbaty.

Marcin Radwański

Urodził się w Zielonej Górze. Autor wielu opowiadań, których większość ukazała się drukiem w magazynach literackich. Publikuje również na łamach portali internetowych („wZielonej” przy Uniwersytecie Zielonogórskim, „Szafa”, „Mroczna Środkowo-Wschodnia Europa”, „Ośrodek Postaw Twórczych – Helikopter”, „Nowa Gazeta Literacka”, „Cegła”, „Litetnet”, „2Miesięcznik. Pismo ludzi przełomowych”). W 2014 r. wydał w formie e-booka zbiór opowiadań pt. *Skok w przepaść* i powieści kryminalne *Nieprzygodkowa ofiara* i *Nie odrzucaj mnie* (w 2015 r. ukazały się wersje papierowe obu książek). Jest autorem tomiku poezji pt. *Czekając na...* Stypendysta Prezydenta Zielonej Góry w dziedzinie literatury za 2013 r.

Bogumiła Różewicz

Urodziła się w 1961 r. w Zielonej Górze. Poetka, członkini Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów. Wydała dwie książki poetyckie.

Robert Rudiak

Poeta, prozaik, publicysta, krytyk i historyk literatury, doktor nauk humanistycznych, autor kilku książek poetyckich, współautor antologii i szkiców literackich. Należy do Oddziału Związku Literatów Polskich w Zielonej Górze (obecnie wiceprezes), jest prezesem Lubuskiego Stowarzyszenia Miłośników Działań Kulturalnych „Debiut”. Otrzymał Nagrodę Kulturalną Prezydenta Miasta Zielona Góra i Lubuską Nagrodę Literacką ZLP. Pracuje w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej im. C. Norwida.

Alfred Siatecki

Urodził się w 1947 r. w Kostrzynie nad Odrą. Autor powieści, zbiorów opowiadań i reportaży, słuchowisk oraz bio-bibliografii pisarzy Środkowego Nadodrza. Laureat prestiżowych nagród literackich (m.in. Lubuski Wawrzyn Literacki w 2000 r.). Wieloletni dziennikarz „Gazety Lubuskiej” i autor artykułów zamieszczonych w „Studiach Zielonogórskich”.

Czesław Sobkowiak

Urodził się w 1950 r. w Jaromierzu; absolwent polonistyki na Uniwersytecie Wrocławskim, poeta, autor kilkunastu tomików poetyckich i tomu prozy *Rzeka powrotna*; krytyk literacki, współpracownik regionalnych i ogólnopolskich pism literackich. Mieszka w Zawadzie koło Zielonej Góry.

Mirosława Szott

Urodziła się w 1987 r., poetka, krytyczka literacka, autorka dwóch książek poetyckich (*pomiary Zamku*, 2013; *Anna*, 2015). Przygotowuje pracę doktorską o poezji lubuskiej w perspektywie geopoetyki. Kieruje działem Regionalia w roczniku „Filologia Polska”. Członkini Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów. Pracuje w Bibliotece Uniwersyteckiej w Zielonej Górze.

Stanisław Szulist

Historyk, nauczyciel. Laureat II miejsca w XVIII Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Eugeniusza Paukszy w Kargowej w 2017 r.

Natalia Szymańska

Pochodzi ze Zbąszynka, po ukończeniu zielonogórskiego I Liceum Ogólnokształcącego rozwija swoje pasje, studiując psychologię na Uniwersytecie Wrocławskim. Do jej zainteresowań należą historia (także ta indywidualna, jednostkowa) i pedagogika specjalna.

Wojciech Śmigieński

Urodził się w 1952 r. w Zielonej Górze. Absolwent Uniwersytetu Wrocławskiego. Poeta, krytyk i tłumacz. Debiutował zbiorem *Nieobecny nie będzie dziedziczył* (Ossolineum, Wrocław 1977). Opublikował kilka książek poetyckich. Jest autorem książki eseistycznej o Andrzeju Bursie i tomu przekładów Václava Hrabě. Pierwszy redaktor „Obecności”, kwartalnika literackiego wydawanego poza cenzurą w latach 1983-1990 we Wrocławiu. Był kierownikiem literackim w Lubuskim Teatrze im. L. Kruczkowskiego w Zielonej Górze. Przez wiele lat mieszkał i pracował we Wrocławiu. Obecnie mieszka we wsi Droniki, w pobliżu Jeziora Sławskiego.

Adam Bolesław Wierzbicki

Urodził się w 1972 r. w Krośnie Odrz. Autor kilku zbiorów poetyckich; nagradzany i wyróżniany w kilkudziesięciu ogólnopolskich konkursach literackich. Mieszka w Dłużku pod Lubkiem.

Daria Wolanin

Urodziła się w 1995 r. Ukończyła kierunek dziennikarstwo i komunikacja społeczna na Uniwersytecie Zielonogórskim. Interesuje się fotografią, malarstwem i szeroko pojętą komunikacją społeczną.

VII FESTIWAL LITERACKI IM. ANNY TOKARSKIEJ PROZA POETÓW

16-30 listopada 2017, Zielona Góra

ORGANIZATOR

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. C. Norwida w Zielonej Górze
Dyskusyjne Kluby Książki
Lubuskie Stowarzyszenie Miłośników Działań Kulturalnych DEBIUT

PARTNERZY

Związek Literatów Polskich Oddział W Zielonej Górze
Klub Literacki Oksymoron Zielonogórski Uniwersytet Trzeciego Wieku
Stowarzyszenie Jeszcze Żywych Poetów

DYREKTOR ARTYSTYCZNY

Andrzej Buck

PROGRAM:

16 listopada / czwartek

godz. 18.00, hol WiMBP

Spotkanie autorskie z ELIZABETH HERRMANN, niemiecką pisarką, dziennikarką, autorką thrillerów i kryminałów, m.in.: *Wioska morderców*, *Śnieżny wędrowiec*, *Opiekunka do dzieci*
Prowadzenie: ALFRED SIATECKI. Fragmenty czyta: ANDRZEJ NOWAK.

17 listopada / piątek

godz. 11.00-12.30, Mediateka Góra Mediów

Warsztaty pisarskie dla licealistów i studentów z udziałem ELIZABETH HERRMANN

godz. 18.00, hol WiMBP

Spotkanie autorskie z MAŁGORZATA CZYŃSKĄ, dziennikarką, historykiem sztuki, autorką książek, m.in. *Kobiety Witkacego*. *Metafizyczny harem*

Prowadzenie: MIROSŁAWA SZOTT

godz. 20.00, hol WiMBP

Kocham cię strasznie, ale swoboda to wielka rzecz... spektakl w wykonaniu Teatru Zza Boru w adaptacji i opiece artystycznej JANA ANDRZEJA FRĘSIA, w reżyserii LUCYNY KORCZOWSKIEJ I DAGMARY ŁANUCHY. Scenariusz spektaklu oparty został na fragmentach listów i pamiętników kobiet związanych z Witkacym oraz na publikacjach prasowych powstałych w związku z jego osobą i twórczością.

19 listopada / niedziela

godz. 17.00, hol WiMBP

IWONA LORANC & GRZEGORZ TOMCZAK *O!POWIEŚCI O KOBIEtach*

IWONA LORANC – śpiew

GRZEGORZ TOMCZAK – śpiew

oraz:

DAWID TROCZEWSKI – fortepian

GRZEGORZ KOPALA – gitary, śpiew

Koncert promuje wspólną płytę Iwony Loranc i Grzegorza Tomczaka. Inspiracją były... kobiety.

To one są bohaterkami piosenek: kobieta po przejściach, Joanna samotna panna, zbieraczka chmur, Ruda Zocha, Maria, rzeka, Mama, kobieta na księżycu, kobieta róża... Taki bukiet niewiast realnych i wymyślonych, z życia i z poezji.

Impreza biletowana. Bilety na Abilet.pl

21 listopada / wtorek

godz. 18.00, hol WIMBP

Spotkanie autorskie z JUSTYNĄ SOBOLEWSKĄ, krytyczką literacką, dziennikarką, autorką publikacji *Książka o czytaniu*

Prowadzenie: dr JOANNA KAPICA-CURZYTEK

22 listopada / środa

godz. 18.00, hol WIMBP

Spotkanie autorskie z ANNĄ KRÓL, autorką scenariuszy, reżyserką spektakli teatralnych, projektów audiowizualnych, pomysłodawczynią i dyrektorką Big Book Festival, autorką książki m.in.: *Spotkać Iwaszkiewicza. Nie-biografia, Rzeczy. Iwaszkiewicz intymnie*

Prowadzenie: dr KAJA ROSTKOWSKA-BISZCZANIK

23 listopada / czwartek

godz. 18.00, hol WIMBP

Spotkanie autorskie z AGATĄ TUSZYŃSKĄ, pisarką, poetką i reportażystką, autorką biografii, m.in. *Naręczona Schulza*

Prowadzenie: dr ALINA POLAK-WOŹNIAK

26 listopada / niedziela

godz. 17.00, hol WIMBP

Krakowski Salon Poezji w Zielonej Górze

Edycja specjalna z okazji 100-lecia odzyskania Niepodległości Polski

Gość specjalny: aktor filmowy i teatralny LECH DYBLIK

W programie pt. *A każ tyż ta Polska* opartego na tekstach

Wyspiańskiego, Tuwima, Słonimskiego, Lechonia i Trzebińskiego.

W programie: pieśni legionowe w wykonaniu Lecha Dyblika i Andrzeja Nowaka

Gospodarz Salonu: ANDRZEJ BUCK

28 listopada / wtorek

godz. 18.00, hol WIMBP

Spotkanie autorskie z MAGDALENĄ GRZEBAŁKOWSKĄ, pisarką i reporterką „Gazety Wyborczej”, autorką książek, m.in. *Beksińscy. Portret podwójny*

Prowadzenie: ks. prof. ANDRZEJ DRAGUŁA

29 listopada / środa

FESTIWAL MŁODYM

HARRY POTTER I BIBLIOTEKA TAJEMNIC

godz. 10.00, Sala Wykładowa im. dra Grzegorza Chmielewskiego (II piętro)

Drużynowy konkurs wiedzy o książkach J.K. Rowling *Harry Potter*. Konkurs adresowany do uczniów szkół podstawowych w wieku 11-13 lat z zastosowaniem technik audiowizualnych i tekstowych.

godz. 14.00, Mediateka Góra Mediów

Warsztaty rysunku komiksowego prowadzone przez WERONIKĘ DOBROWOLSKĄ z Grupy Grafiki Komiksowej z Zielonogórskiego Ośrodka Kultury. Cel warsztatów: stworzenie komiksu. Wydarzeniu towarzyszy w Mediatece Góra Mediów wystawa *Fantastyczna Zielona Góra w ujęciu Igora Myszkiwicza*, zielonogórskiego artysty, malarza, ilustratora, zajmującego się także grafiką komputerową i komiksem. Wystawa czynna od 20 listopada do 9 grudnia br.

godz. 18.00, hol WiMBP

Spotkanie z EWELINĄ PIETROWIAK, reżyserką teatralną i operową, scenografką oraz współautorką książek *Zawsze nie ma nigdy. Jerzy Piłch w rozmowach z Ewelina Pietrowiak. Cz. 1* oraz *Inne ochoty. Jerzy Piłch w rozmowach z Ewelina Pietrowiak. Cz. 2*

Prowadzenie: dr JOANNA KAPICA-CURZYTEK

30 listopada / czwartek

godz. 10.00, Mediateka Góra Mediów

Performatywne czytanie fragmentu książki *Przekłęte dziecko* J.K. Rowling z udziałem:

AGNIESZKI DER, AGNIESZKI HRYNIEWICZ, IDY OCHOCKIEJ, ERNESTA NITY

W trakcie czytania pokaz chemiczny przygotowany przez KRAINĘ EKSPERYMENTÓW

godz. 17.00, Mediateka Góra Mediów

Spotkanie autorskie z ANDRZEJEM ZIEMIAŃSKIM, pisarzem science fiction i fantasy, autorem książek *Zapach szkła*, *Achaja*, *Pałapka Tesli*

Prowadzenie: DARIUSZ REKOSZ

godz. 19.00, hol WiMBP

Ogrody Leśmiana – wernisaż wystawy akwarel STANISŁAWA OŻOGA, artysty grafika, rysownika, ilustratora. Jego dorobek artystyczny to setki prac wykonanych piórkim i tuszem oraz w technice gwaszu. Jest autorem ponad 70 wystaw indywidualnych w kraju i za granicą. *Ogrody Leśmiana* to wystawa prac inspirowanych twórczością Bolesława Leśmiana w przypadającą w bieżącym roku 140. rocznicę urodzin i 80. rocznicę śmierci poety.

V KONKURS „Debiut Poetycki Pro Libris”

REGULAMIN

ORGANIZATOR

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. C. Norwida w Zielonej Górze
Lubuskie Stowarzyszenie Miłośników Działań Kulturalnych DEBIUT

IDEE

- Zachęcenie młodych autorów do tworzenia poezji, do rozwoju własnego talentu i zaistnienia w szerszym kręgu odbiorców.
- Promowanie twórczości młodych lubuskich poetów.
- Stworzenie możliwości zaistnienia w regionalnym środowisku literackim poprzez umożliwienie debiutu wydawniczego.

WARUNKI UCZESTNICTWA:

Konkurs jest skierowany do osób wywodzących się z województwa lubuskiego lub obecnie zamieszkujących na jego terenie, które nie ukończyły 35. roku życia oraz których twórczość poetycka nie ukazała się jeszcze w formie książkowej.

Tematyka wierszy zgłaszanych do Konkursu jest dowolna.

Utwory nadesłane nie mogą być wcześniej publikowane w formie drukowanej oraz nagradzane w konkursach.

Uczestnicy Konkursu nadsyłają nie mniej niż 40 wierszy, z których każdy powinien być opatrzony godłem (pseudonimem autorskim, a nie znakiem graficznym). Wiersze w formie wydruku komputerowego oraz na płycie CD należy nadsyłać na adres:

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. C. Norwida
al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra
z dopiskiem: V Konkurs „Debiut Poetycki Pro Libris”

Dane uczestnika (imię i nazwisko, adres do korespondencji, e-mail, nr telefonu) należy umieścić w osobnej kopercie opatrzonej tym samym godłem.

Na nadesłanie prac organizatorzy czekają do końca grudnia 2017 r.

Organizatorzy nie zwracają nadesłanych tekstów.

NAGRODA

Nagrodą w Konkursie jest publikacja wierszy laureata w formie tomiku poetyckiego w nakładzie 200 egzemplarzy w terminie do pół roku od ogłoszenia werdyktu Jury.

POSTANOWIENIA OGÓLNE

1. Prace nadesłane po upływie wyznaczonego terminu, przesłane za pośrednictwem poczty elektronicznej oraz niespełniające wymogów technicznych, nie będą brane pod uwagę w ocenie.
2. Organizator Konkursu powołuje Jury, które wybiera laureata. Ocena Jury jest ostateczna i nie podlega weryfikacji.
3. Rozstrzygnięcie Konkursu nastąpi 31 stycznia 2018 r.

ZAPYTANIA I UWAGI

prosimy kierować do Ewy Mielczarek, Dział Wydawnictw WiMBP im. C. Norwida w Zielonej Górze, tel. 68 45 32 637, kom. 603 610 906, e-mail: prolibris@wimbp.zgora.pl

